

Gilles Legardinier

DO USŁUG
szanownej
PANI




WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Była noc, dość chłodna. W sercu Londynu, wewnątrz oszklonej werandy przed hotelem Savoy, mężczyzna w średnim wieku, ubrany w smoking, krążył tam i z powrotem, przeglądając gorączkowo informacje w swoim telefonie komórkowym. Organizator kolacji, którą podano w przestronnym salonie, opuścił hol i zbliżył się do mężczyzny, uwalniając zza drzwi dźwięk instrumentów dętych zespołu grającego muzykę Cole'a Portera.

– Nadal nie ma informacji od pana Blake'a? – zapytał.

– Próbuję się do niego dodzwonić, ale wciąż nie odbiera. Proszę dać mi jeszcze chwilę.

– Postawił nas w niezwykle kłopotliwej sytuacji. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało...

„Agonia byłaby jedyną akceptowalną wymówką!” – pomyślał mężczyzna z telefonem.

Kiedy tylko organizator kolacji odszedł, wybrał ponownie domowy numer swojego najstarszego przyjaciela. Po odsłuchaniu powitania nagranego na automatyczną sekretarkę oświadczył neutralnym tonem:

– Andrew, tu Richard. Jeśli mnie słyszysz, błagam, odbierz. Wszyscy czekają tutaj na ciebie. Nie mam pojęcia, co im powiedzieć...

Nagle ryba chwyciła przynętę.

– Wszyscy na mnie czekają? Gdzie?

– Bogu dzięki, jesteś tam! Nie mów mi, że zapomniałeś o gali wręczenia Nagrody Modelowego Przedsiębiorstwa. Uprzedzałem cię, że załatwię ci nominację.

– To miło z twojej strony, nie mam jednak do tego serca.

– Andrew! Nie tylko zostałeś nominowany, ale zwyciężyłeś. Niniejszym informuję cię, że przyznano ci nagrodę.

– Jestem wzruszony. Co dostałem? Sądząc po wieku uczestników, jest to na pewno coś, czego nie można schrupać. Lewatywa? Laparoscopia?

– To naprawdę nie czas na żarty. Ubieraj się i przyjeżdżaj!

– Donikąd się nie wybieram, Richardzie. Teraz sobie przypominam, że mówiłeś mi o tej nagrodzie. Pamiętam również, co ci odpowiedziałem – że mnie to nie interesuje.

– Zdajesz sobie sprawę, w jakim położeniu mnie stawiasz?

– To sytuacja, w jakiej sam się postawiłeś, żabciu. O nic cię nie prosiłem. Wyobraź sobie, że zamawiam dla ciebie dwie tony ostryg – tylko dlatego, że cię lubię – po czym zmuszam cię, żebyś je zjadł.

– Przyjeżdżaj natychmiast albo powiem twojej gosposi, że uprawiasz voodoo, wtedy zaś jej noga już więcej u ciebie nie postanie.

Blake wybuchnął śmiechem.

– Musiałeś wpakować się w niezłe tarapaty, skoro wymyślasz takie brednie! Przestraszyć biedną Margaret. Naprawdę? To tak, jakbym groził ci doniesieniem na twoją żonę Służbom Dobrego Smaku za to, co zrobiła ze swoimi włosami i z waszym pudłem.

– Zostaw Melissę w spokoju. Ja nie żartuję, Andrew! Przyjeżdż natychmiast. Wiesz, do czego jestem zdolny.

– Pamiętam, jak chciałeś mnie oskarżyć o kradzież małpki pani Robertson. Do śmierci była przekonana, że to ty zjadłeś jej zwierzątko. Margaret ci zresztą nie uwierzy. Powiem jej, że bierzesz narkotyki. Jeśli uda ci się ją skłonić do dymisji, opłacę ci tydzień na Bahamach z żoną i jej włosami.

– Skończ wreszcie z włosami mojej żony! – zdenerwował się Richard Ward. – Dość tego,

Andrew! Walczyłem o to, żebyś dostał nagrodę, zrób mi więc tę przyjemność i przyjedź ją odebrać. I to szybko.

– Uwielbiam, kiedy podnosisz głos. W czasach, gdy byliśmy młodzi, to właśnie twoja porywczosć mnie urzekła. Jestem ci wdzięczny, że tyle się nachodziłeś wokół tej sprawy, ale nie licz na mnie, że będę grał w twoją grę. Nie wystrychnąłem cię na dudka. Od początku byłem szczerzy. Takie wieczory są nudne, z kolei trofea wręczane przez zadufanych w sobie ludzi nie mają większej wartości. Nie przyjadę. Jeśli jednak masz ochotę wpaść na jednego, to zapraszam – nie mam planów na wieczór.

Ward aż zachłysnął się z wściekłości:

– Posłuchaj mnie dobrze, Blake! Jeśli mnie wystawisz, nasza przyjaźń na tym ucierpi.

– Mieliliśmy już setki okazji, żeby się pokłócić. Te wszystkie obelgi i trudne chwile...

W ciągu ponad pięciu dekad Andrew Blake rzeczywiście często wystawiał nerwy współnika na ciężką próbę. Tego wieczoru jednak najwyraźniej miarka się przebrała.

– Andrew, proszę cię...

– W moim obecnym stanie tylko ty możesz mi jeszcze sprawić odrobinę radości. Powiedz im, że uderzyłem się w głowę i zapomniałem, jak się nazywam. Żeby ich rozweselić, wytłumacz, że uważam się za Boba Kanciasoportego, ale w przebłysku świadomości błagałem cię o odebranie nagrody w moim imieniu. Możesz ją sobie oczywiście zachować.

Organizator kolacji po raz drugi wyszedł z hotelu. Richard zdążył jeszcze szepnąć przyjacielowi:

– Obiecuję, że mi za to zapłacisz.

– Życie już się na mnie mści, przyjacielu. Ja także serdecznie cię całuję.

Richard Ward rozłączył się i przybrał współczującą minę, żeby oznajmić:

– Andrew Blake został hospitalizowany.

– Dobry Boże!

– Jego życie nie jest zagrożone. Jeśli pan sobie życzy, mogę odebrać nagrodę w jego imieniu. Wiem, jak bardzo będzie mu przykro, że zepsuł pański wieczór.

Siedząc przy biurku, Andrew Blake opuścił w dół ekran laptopa i zamknął oczy. Powoli, skupiając się na zmyśle dotyku niczym ślepiec, przesunął dłońmi obok urządzenia, gładząc wypolerowaną drewnianą powierzchnię. Przy tym biurku pracował niegdyś jego ojciec, wówczas jednak nikt jeszcze nie słyszał o informatyce ani o bilansie miesięcznym. Inna epoka.

Wciąż z przymkniętymi powiekami, Andrew przesunął palcami po zaokrąglonej krawędzi wysłużonego dębowego blatu, pogładził boki i mosiężne gałki szuflad. Ciepło drewna, chłód metalu. Tyle odczuć, tyle wspomnień. Oddawał się temu rytuałowi wyłącznie w chwilach najgłębszego smutku, najbardziej dojmującego zmęczenia. Tak jak dzisiejszego wieczoru. Z niewielkiej firmy, którą odziedziczył, nienaruszony pozostał jedynie ten element. W miarę upływu czasu cała reszta się zmieniła: adres, obrót handlowy, sprzęt, wystrój, ludzie, on sam. Ewolucja okazała się tak daleko idąca, że Andrew nie poznawał już tego, czemu poświęcił znaczną część życia.

Nie otwierając oczu, wysunął prawą dolną szufladę i zanurzył palce w jej wnętrzu. Wymacał ciężki zszywacz, który z trudem podnosił, kiedy jeszcze był dzieckiem, trzy postrzępione notatniki, zapalniczkę i przycisk do papieru z brązu – prezent od pracowników. Relikwie te pozwalały mu nie tylko pamiętać o przeszłości, ale naprawdę przenosić się w czasy, gdy życie było prostsze – kiedy nie wszystko zależało od niego, kiedy jeszcze nie był tym najstarszym. Muskając palcami przedmioty codziennego użytku, potrafił odtworzyć otaczający go niegdyś świat, od dźwięku telefonu po zapach smaru i rozgrzanej blachy, jaki dochodził z sąsiedniego warsztatu. Powracał głos ojca – szybki, poważny, tak bliski. Co by pomyślał o sytuacji, w jakiej znalazł się dziś jego syn? Jakiej rady by mu udzielił? Z biegiem lat to Andrew stał się panem Blakiem. Otworzył oczy i zamknął szufladę.

Od dawna wzruszało go wszystko, co robił po raz ostatni, często nawet bezwiednie. Uświadomiło mu to pewne wydarzenie – ostatnia kolacja zjedzona w towarzystwie ojca, zwykły posiłek, podczas którego matka popędzała ich ze śmiechem, chciała bowiem obejrzeć film w telewizji. O czym rozmawiali? O wszystkim i o niczym. Gawędzili z beztroską charakterystyczną dla tych, którzy wierzą, że następnego dnia będą mieli okazję kontynuować rozmowę. Pęknięcie tętniaka w nocy sprawiło, że stało się inaczej. Chwila ta, tak banalna, okazała się najważniejsza, wyjątkowa. Wydarzenia tamtego wieczoru nastąpiły blisko czterdzieści lat temu, mimo to jednak, kiedy Blake go wspominał, odczuwał ten sam ból w piersi, ten sam zawrót głowy, jak gdyby ziemia usuwała mu się spod stóp. Od tamtej pory podejrzewał życie o to, że chce mu odebrać wszystko, na czym mu zależy. Co gorsza utrzymywał się w nim lęk przed utratą kochanych osób. Ukuł zatem sobie własną filozofię: cieszyć się każdą sekundą, ponieważ świat może się w każdej chwili zawalić.

Strach nie stanowi ochrony przed niebezpieczeństwem, nieszczęście po raz kolejny zapukało więc do jego drzwi. Przeżył jeszcze wiele ostatnich razów: żona Diane, śmiejąca się z głową wspartą na jego ramieniu, jeszcze żywa – w czwartkowe przedpołudnie. Córka Sara, która prosi go o bajkę na dobranoc, po czym zasypia – wtorkowy wieczór. Ostatni mecz tenisa. Ostatni raz, kiedy we troje oglądali film. Ostatnie badanie krwi, którego wyniki odczytał z lekceważeniem. Lista nie miała końca i z każdym dniem się wydłużała. Wszystkie te chwile – ważne lub pozbawione znaczenia, mijające, zanim ich znaczenie zostało docenione – trafiały w końcu na szalę wagi, która niespodziewanie przechylała się w złą stronę.

Andrew, gdy był zmęczony, ogarniało nieprzyjemne uczucie, że życie ma już za sobą, że

żyje tylko po to, aby wypełniać obowiązki względem świata, którego wartości przestał już pochylać. Jego marzenia przewracały się w grobie, on zaś wkrótce do nich dołączy.

Sięgnął ręką po dużą kopertę, której zawartość kompletował od wielu tygodni. Dokumenty, mnóstwo dokumentów. Nie otworzył jej. Pomyślał o podjętych decyzjach i o ich konsekwencjach. Każdą z nich ocenił raz jeszcze, choć żadnej nie pożałował.

Ktoś zapukał do drzwi. Andrew pospiesznie ukrył plik papierów w górnej szufladzie biurka.

– Proszę!

Pojawił się młody mężczyzna w garniturze.

– Przepraszam, panie Blake. Chciałbym zamienić z panem słowo.

– Nasze czterogodzinne spotkanie nie wystarczyło, panie Addinson?

– Przykro mi, że tak źle reaguje pan na nasze propozycje. Powinien pan to przemyśleć.

Gdyby był młodym gepardem, Blake rzuciłby się na Addinsona i go rozszarpał, ale był tylko starym lwem. Zaśmiał się krótko.

– Przemyśleć? Chyba wciąż nie najgorzej sobie z tym radzę, zapewne dlatego właśnie wasze „propozycje” mnie irytują.

– Chodzi o dobro firmy.

– Jest pan tego pewien? Niech mnie pan nie prowokuje, Addinson. Pan i pańscy figuranci już mnie wystarczająco dziś zdenerwowaliście.

– Robimy to, co w naszej mocy, w interesie nas wszystkich.

– W interesie wszystkich? Dla kogo pan pracuje, panie Addinson? Czego uczono pana w szkołach, które ukończył pan z poczuciem wszechwiedzy? Pan kpi z klientów. Pańskie credo brzmi: „Sprzedawać, nawet jeśli ludzie niczego nie potrzebują, produkować jak najtaniej, nawet jeśli ma się to odbyć kosztem pracowników fabryk, po czym odejść, nie patrząc za siebie”.

– Jest pan bardzo surowy w ocenie.

– Nie dbam o pańskie osądy. Był pan zaledwie niesprecyzowanym projektem w głowach rodziców, kiedy ja już kierowałem tą firmą. Zaczynałem od zmiatania fabryki. Znałem każdego pracownika, imiona ich żon i dzieci, patrzyłem, jak ich pociechy dorastają. Ma pan mnie za zgrzybiałego idiotę? Uważa pan, że moja przemowa jest paternalistyczna i że jestem zapatrzony w przeszłość? Nieważne. To ja jestem szefem, pan zaś jest moim pracownikiem.

– Świat się zmienia, panie Blake. Trzeba umieć się dostosować.

– Dostosować się do perwersyjnych systemów wymyślonych przez ludzi pańskiego pokroju. Pan i pańscy ludzie służycie wyłącznie sobie samym. Jestem jednak przekonany, że pewnego dnia padnie pan ofiarą swoich wybryków. Nie jest pan idiotą, Addinson, ale to nie inteligencja stanowi o wartości człowieka, tylko sposób, w jaki ją wykorzystuje.

– Szlachetne zasady nie uratują pańskiego przedsiębiorstwa, panie Blake.

– A niskie pobudki je utopiają. Proszę nie zapominać, że to moja firma. Od ponad sześćdziesięciu lat produkujemy metalowe pudełka. Klienci cenią sobie nasze produkty, ponieważ są solidne i funkcjonalne. Są może mniej szykowne niż te plastikowe, jaskrawozielone świństwa, na które moda trwa kilka tygodni, ale za to praktyczne. Jesteśmy potrzebni, panie Addinson. Ludzie na nas liczą! Nie mam pewności, czy rozumie pan, o co mi chodzi... Tak więc, mimo pańskich mętnych teorii, nie zmniejszymy grubości metalu, żeby zwiększyć poziom odzysku. Nie przeniesiemy produkcji, żeby wyzyskiwać tanią siłę roboczą. Róbmy to, co do nas należy! Skłania mnie to do zadania sobie pytania o to, jaka właściwie jest pańska rola.

Optymalizacja? Osiąganie wyników? Zdobywanie rynków? Wyszukiwanie okazji? To tylko słowa, pretensjonalny żargon, który ma nadać panu powagi.

– Bez nas niczego by pan nie sprzedał!

– Tak pan sądzi? Tymczasem jakoś dawaliśmy sobie radę przez pół wieku. W mojej naiwności wierzę, że przydatne przedmioty sprzedają się bez problemu, za to bezwartościowe gadżety, jakie generuje nasza epoka, muszą być wciskane klientom na wszelkie możliwe sposoby. Wracając jednak do tematu, nie pozwolę panu ostrzyć sobie kłów na mojej firmie.

– Nie zawsze będzie miał pan wybór, panie Blake. Nie jestem sam. Banki zgadzają się ze mną.

– Czyżby mi pan groził?

– Przychodzę w celu załagodzenia stosunków, pan zaś mnie obraża.

– Właśnie rzucił mi pan wyzwanie, a ja panu odpowiedziałem. A teraz proszę wyjść.

Dość się na pana dziś napatrzyłem. Chciałbym mimo wszystko panu podziękować, Addinson – rozwiązał pan moje wątpliwości.

– Co pan ma na myśli?

– Zobaczysz pan, że ja również jestem zdolny do innowacji. Niech pan już idzie.

3

– Heather, jest pani jeszcze?

Zatopiona w lekturze młoda kobieta nie usłyszała nadchodzącego szefa. Drgnęła na dźwięk jego głosu.

– Dobry wieczór panu. Muszę skończyć raport z dzisiejszego spotkania. Marketing prosił o przygotowanie tych dokumentów na jutro.

– Proszę o tym zapomnieć i wrócić do domu.

– Ale...

– Heather, jest pani moją asystentką, nie ich. Jeśli mówię, że może pani zająć się tą sprawą później, to nikt nie będzie tego kwestionował.

– Dobrze, proszę pana.

Kobieta bez cienia sprzeciwu odłożyła notatki do teczki. Uświadomiła sobie nagle, że Andrew Blake niezwykle rzadko podchodził do jej biurka. Przyjrzała mu się uważnie. Wydawał się zmęczony. Był raczej wysoki, miał niemal zupełnie białe włosy, pociągłą twarz i szczere spojrzenie dostrzegalne zza okrągłych okularów. W prawym kącie ust widniała niewielka fałdka, która nadawała jego twarzy lekko zgorzkniały wyraz. Od pewnego czasu widywała ją coraz częściej. Tego dnia pan Blake nosił aksamitną marynarkę w odcieniu ciemnej zieleni, a pod szyją zawiązał czerwoną muszkę. Heather zawsze bawił jego osobliwy gust – a może brak gustu – w kwestii garderoby, ale mimo to go lubiła.

Stał teraz przed nią w milczeniu, trzymając dużą kopertę.

– Coś do wysłania?

– Nie. Skoro jednak już tutaj pani jest, chciałbym z panią porozmawiać.

Potarł oko zwiniełą w pięść dłonią. Często wykonywał ten gest, niczym zaspany dzieciak, unosząc wysoko łokieć i mrużąc z całej siły powieki. Zauważyła to wkrótce po tym, jak pojawiła się w firmie. Uważała, że był wzruszający. Dziecięcy gest u starego człowieka. Od tamtej pory naliczyła ich więcej, choćby machanie nogami pod stołem czy zabawę w katapultę długopisami podczas nudnych – czyli wszystkich – zebrań. Dobrze go znała. Mimo braku zażyłości byli sobie bliscy. Wiedziała o wszystkich jego maniach, o linijce, która zawsze leżała po prawej stronie aparatu telefonicznego, o zamilowaniu do precyzji, o uczciwości. Nie rozmawiali ze sobą o życiu prywatnym, była jednak w stanie rozpoznać, w jakim jest nastroju – dobrym czy złym. On zawsze pytał, co u niej słyhać, i wysłuchiwał odpowiedzi. Nigdy niczego przed nim nie ukrywała, on zaś nie zamykał drzwi gabinetu, kiedy dzwonił do swojego starego przyjaciela i współnika, Richarda Warda. Wtedy czasami słyszała, jak się śmieje. W innych sytuacjach prawie mu się to nie zdarzało.

Andrew Blake zrobił krok naprzód.

– Heather, nie będzie mnie przez pewien czas.

– Kłopoty ze zdrowiem? – zaniepokoiła się natychmiast.

– Ludzie mogą mieć również inne powody do wyjazdu, nawet ci starzy.

Usiadł na krześle przystawionym do biurka asystentki.

– Nie mogę na razie nic więcej powiedzieć, ale proszę, żeby mi pani zaufała.

Położył przed nią kopertę.

– Heather, pracuje pani dla mnie od trzech lat. Zdążyłem się pani przyjrzeć. Jest pani młoda, poważną i wyrozumiałą kobietą. Ufam pani. Długo się zastanawiałem przed podjęciem tej decyzji. Firma bardzo dużo dla mnie znaczy.

– Dlaczego mi pan o tym mówi? Zaczynam się bać. Czy na pewno wszystko w porządku?

– Heather, jest pani w wieku mojej córki i wiem, czego oczekuje pani od życia.

Zastanawia się pani, jak je sobie ułożyć. Chce się pani rozwijać. To normalne – osiągnęła pani wiek wyborów. Wiem, że często otwiera pani gazetę na stronie z ogłoszeniami o pracy. Ja z kolei zacząłem się zastanawiać, co po sobie zostawię. Dlatego przed wyjazdem skontaktowałem się z adwokatem, który przygotował te dokumenty: przekazują one całą moją władzę w pani ręce.

Młoda kobieta pobladała.

– Nie, proszę tego nie robić! – spanikowała. – Jestem pewna, że da pan sobie radę. Jest pan duszą tej firmy, chłopcy z warsztatu pana uwielbiają. Lekarzom na pewno uda się pana wyleczyć! Proszę nie tracić nadziei.

Heather mówiła szybko, głosem przepełnionym emocjami. Na twarzy wzruszonego Blake'a pojawił się uśmiech, który zbił z tropu dziewczynę. Przerwał jej, kładąc dłoń na jej ręce.

– Wszystko w porządku, Heather. Mówiłem, że nie jestem chory. Lekarze nie znają lekarstwa na to, co mi dolega. Cierpię po prostu na bolesną sześćdziesiątkę. Proszę się uspokoić i wysłuchać, co mam do powiedzenia. Oto jak sprawy wyglądają: chcę trochę wypocząć, aby następnie zdecydować, jak wykorzystam resztę danych mi dni. Tymczasem pani zajmie moje stanowisko.

– Nie potrafię!

– Za każdym razem, kiedy trzeba było podjąć decyzję, przedstawiała mi pani swój punkt widzenia. Często nasze opinie były zgodne. Proszę nic nie zmieniać! Nie słuchać żadnych rad, nie dać się omotać kretynom, którym i tak już płacimy krocie. Proszę nikogo nie zatrudniać, chyba że fabryka będzie potrzebować siły roboczej. W nagłych wypadkach albo jeśli będzie pani potrzebowała rady, proszę dzwonić do Richarda Warda albo do Farrella z warsztatu.

– Nie będziemy pana widywać?

– Dopiero gdy wrócę.

– Będzie można się z panem skontaktować telefonicznie albo przynajmniej mailem?

– Nie wiem. Będę dzwonił od czasu do czasu.

– To niemożliwe, nie może pan tak po prostu wyjechać! Firma upadnie i będzie to moja wina!

– Proszę dać sobie szansę. Ma pani okazję odnieść większy sukces niż ja. Proszę pamiętać, że nie powierzyłbym przedsiębiorstwa komuś, w kogo nie wierzę.

Wskazał kopertę.

– Proszę spokojnie wszystko przeczytać. Mecenas Benderford wpadnie jutro przed południem po podpisane przez panią dokumenty. Będzie pani również musiała znaleźć sobie asystentkę. Mam nadzieję, że trafi pani równie dobrze jak ja. A teraz proszę już iść do domu. Jutro zaczyna pani pracę w całkiem nowym zawodzie.

– Pana już nie będzie?

– Nie, Heather. Gdy tylko dokumenty zostaną podpisane, zostanie pani dyrektorem.

Życzę pani powodzenia. Jestem przekonany, że wszystko będzie dobrze. Niech pani po prostu będzie sobą.

Następnie wstał i obszedł biurko. Nachylił się i delikatnie pocałował kobietę w czoło. Po raz pierwszy pozwolił sobie na coś takiego. Uczynił to równie szczerze, co niezręcznie. Od dawna nie miał okazji nikogo całować, nawet po przyjacielsku.

Dłuższą chwilę stali nieruchomo, każde zagubione w wątpliwościach i obawach typowych dla swojego wieku.

Za każdym razem, gdy Andrew Blake popychał drzwi restauracji Browning w Saint-James, odczuwał rzadką satysfakcję na widok miejsca, w którym nic się nie zmieniło od czasów jego dzieciństwa. Te same masywne drzwi o skośnych ażurowych kratkach, wypolerowane mosiężne poręcze, kurtuazyjne pozdrowienia od *maître d'hôtel* Terrence'a, klasyczny, niewzruszony wystrój z boazerii i aksamitu w odcieniach rubinu. To tutaj dwa razy w miesiącu Blake jadał obiad z Richardem Wardem. Tym razem jednak Andrew umówił się na spotkanie, nie odczekawszy ustalonych piętnastu dni.

W wieku, w którym mężczyźni szukają przyjaciół ze swojego pokolenia w mniej lub bardziej dziwacznych klubach, Andrew mógł sobie pozwolić na luksus posiadania prawdziwego kumpla z czasów szkolnych.

Terrence przywitał go i oznajmił:

– Pan Ward już przybył. Zaprowadzę pana do stolika.

Podobna sytuacja zdarzała się tak rzadko, że Andrew się zdziwił. Ruszył za *maître d'hôtel*, który z gracją kluczył między siedzącymi klientami. Andrew kroczył za nim, starając się niczego nie stracić. Miał wrażenie, że przestrzenie między stolikami są węższe, niż były dawniej. A może to on ma kłopoty z poruszaniem się?

Charakterystyczne dla wnętrza restauracji były otaczające przestronną salę centralną małe alkowy, w których można było zjeść posiłek w niczym niezmaconej atmosferze spokoju. W jednym z tych pomieszczeń na Blake'a czekał jego towarzysz.

Mężczyźni się uścisnęli.

– Jak minął tamten wieczór? – zagadnął Blake.

– Na scenie miałem wrażenie, że wygłaszam mowę na twoim pogrzebie, i dziwnie się poczułem. Naprawdę mogłeś przyjść...

– Mowa pogrzebowa? Nie licz na to. Skoro najlepsi odchodzą pierwsi, istnieje ryzyko, że zostanę tu jako jeden z ostatnich...

– Wyglądasz jak za swoich najlepszych dni – stwierdził Ward. – Cieszę się jednak, że cię widzę.

Usiedli.

– Co słyhać u Melissy? – zapytał Blake, rozkładając kartę dań.

– Jest w Nowym Jorku z którąś z przyjaciółek. Przetrzęsają galerie sztuki w poszukiwaniu skarbów, którymi będzie można ozdobić dom na wsi. Nie mam nic przeciwko temu, ponieważ nie chodzi o nasz dom. Jak zwykle nie znajdują nic oprócz butów, które posłużą im najwyżej raz. Czemu zawdzięczam przyjemność tak rychłego spotkania? Umówiłeś się z lekarzem, który obwieścił ci tę samą złą nowinę, jaką ogłasza nam wszystkim? Witaj w klubie, przyjacielu!

Blake nie zareagował. Ward nachylił się ku niemu z przebiegłym uśmiechem.

– Nie mów mi, że byłeś u proktologa. To byłoby zbyt piękne! Założyłem się z Sommersem o butelkę, że to cię spotka przed końcem roku.

Blake podniósł nagle wzrok i utkwiał go w przyjacielu.

– Richardzie, podjąłem decyzję.

Ward dłuższą chwilę przetrwał informację.

– Rozmawiałeś na ten temat z Sarą?

– Moja córka mieszka dziesięć tysięcy kilometrów stąd, a jedynym mężczyzną, który teraz się dla niej liczy, jest jej mąż inżynier. Logiczne. Nie obchodzi jej, co się ze mną dzieje.

– A jednak! Kiedy widziałem się z nią w ubiegłym miesiącu, była zaniepokojona twoim stanem. Jestem jej ojcem chrzestnym i, paradoksalnie, widuję ją częściej niż ty – jej ojciec.

Blake odwrócił wzrok i skupił się na menu. Ward przyjął tę milczącą prośbę o zmianę tematu.

– Nie musisz wybierać – oznajmił. – Już zamówiłem.

– Dlaczego?

– Ponieważ zawsze wahasz się przez trzy kwadranse, żeby w końcu i tak zamówić to samo co ja. Pomyślałem, że zyskamy tym sposobem na czasie.

Andrew nie wyglądał na zaskoczonego. Spojrzał na przyjaciela, wyraźnie zaniepokojony.

– Udało ci się załatwić to, o co cię prosiłem?

Ward odpowiedział, podnosząc znacznie głos:

– Nie będzie łatwo przeprowadzić na tobie operację plastyczną, która miałaby upodobnić cię do Marilyn. Nawet z implantami piersi będziesz bardziej przypominał jej figurę woskową po pożarze.

Kilku mężczyzn z sali odwróciło głowę w ich stronę.

– Richard! – nalegał Blake. – Mówię poważnie.

– Wiem. I to mnie martwi. Oczywiście że załatwiłem. Nie mam jednak pewności, czy to dobry pomysł. Rozumiem, że chcesz nabrać dystansu do pracy, ale żeby aż wracać do Francji!

– Mam na to ochotę. To jedyna rzecz, jaka mnie jeszcze pociąga.

– Niech tak będzie, ale mógłbyś się zabrać do tego w inny sposób. Powinieneś to jeszcze przemyśleć.

– Jesteś już drugą osobą, która w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin każe mi się namyślać. Chcecie mi wmówić, że zupełnie zramolałem?

– Spędź resztę lata u Sary, ma miły dom. I pokój gościnny.

– Nie jestem jej gościem.

– Andrew, jak by ci to powiedzieć? Powrót do Francji...

Richard się zawahał, zanim ośmielił się powiedzieć więcej.

– Wybacz mi szczerość, ale powrót do wspomnień nie wskrzesi Diane.

– Mam tego świadomość, naprawdę. Każdego dnia się o tym przekonuję.

– W jakim zatem celu chcesz jechać?

– Nie mogę już tutaj wysiedzieć. Zastanawiam się nawet, dlaczego w ogóle chodzę do pracy. Wciąż tylko rozpamiętuję i żałuję. Co wieczór, kładąc się spać, zastanawiam się, po co jeszcze istnieję.

– Każdy czasami ma dość. Każdy wcześniej czy później przeżywa taki okres. Ale to mija. Zaczynaj grać w golfa. Wpadnij do nas. Melissa narzeka, że w ogóle nas nie odwiedzasz. Zapałała miłością do kuchni włoskiej, chętnie więc wykorzystalaby cię jako królika doświadczalnego... Rozerwij się trochę, a poczujesz się lepiej. Przecież nie po raz pierwszy dopada cię depresja.

– Tym razem jest inaczej.

– I co? Jedynym sposobem na przezwycięzenie kryzysu miałby być ten dziwaczny plan?

Oczywiście nie jestem zaskoczony. Pamiętam, jak po zakończeniu studiów chciałeś wszystko rzucić. Przypominasz sobie? Kupiłeś żaglówkę, ale w końcu uświadomiłeś sobie, że cierpisz na chorobę morską i że nie steruje się nią tak samo jak rowerem wodnym. „Seamaster” – swoją drogą, cóż za pretensjonalna nazwa! – pewnie nadal spoczywa na dnie redy w Portsmouth, z której nawet nie udało ci się jej wyprowadzić.

Richard roześmiał się na wspomnienie katastrofy, ale szybko spoważniał, widząc poważną minę Blake’a.

– Co masz nadzieję tam znaleźć? – zapytał. – Wiesz, tam, gdzie załatwiłem ci posadę,

o niczym nie mają pojęcia. Uszanowałem twoją tajemnicę. Dla nich to nie zabawa.

– Nie wątpię.

– Mój poczciwy druhu, martwię się o ciebie. Powinieneś wyjść do ludzi, nie zaś uciekać. Masz szczęście cieszyć się dobrym zdrowiem w wieku, w którym wiele osób spędza czas w szpitalu i przechodzi na „ty” ze swoim kręgarzem albo chirurgiem.

– Nie masz pojęcia, co czuję.

– Nie praw mi kazań dziadka! Jesteś ode mnie starszy zaledwie o cztery miesiące.

– Wciąż masz u boku Melissę. Ja jestem sam. Poza tobą nie mam bliskich. Sara mieszka daleko, ma swoje życie. Nie istnieję już dla nikogo.

– Przestań! Ten pomysł z powrotem do Francji naprawdę nie wypali. Nie mam pojęcia, jakim cudem dałem się po raz kolejny w to wkręcić. Jak to się skończy? Kogo będę musiał przeproszać? Za pierwszym razem nie mieliśmy nawet dwunastu lat. Namówiłeś mnie, żebyśmy ukryli się w kontenerze na śmieci i przestraszyli starą Morrison.

– Ależ to była wiedźma! Trzeba było zareagować, dziurawiła przecież wszystkie piłki, które wpadły do jej ogrodu. Nie zlitowała się nawet nad tą nową, skórzaną, którą Matt dostał na urodziny. Starej Morrison bały się wszystkie dzieciaki z dzielnicy.

– To prawda, że nikt nie płakał, kiedy znaleziono ją z przetrąconym karkiem u stóp schodów.

– Jestem przekonany, że chodziło o spisek piłek. Zemściły się, spychając ją ze schodów.

– Nie pękły! – zachichotał Ward.

– Teraz mogłyby się przyznać, sprawa się przedawniła! – dodał Blake. – Nie pamiętam jednak chwili, w której ją przestraszyliśmy...

– Nie bez przyczyny, ośle! Śmieciarka pojawiła się tuż przed nią! Prawie nas zmiażdżyła! Blake nagle przypomniał sobie całą scenę i jego twarz się rozpromieniła.

– Prawda! Zapomniałem!

– Na szczęście wciąż tu jesteśmy i możemy się z tego śmiać!

Obaj mężczyźni parsknęli śmiechem. Wkrótce jednak Blake znów spochmurniał.

– To wszystko przeszłość – stwierdził.

– To nasza historia, Andrew. Przestań patrzeć na wszystko bez cienia nadziei. Tam, gdzie się wybierasz, życie nie jest wcale łatwiejsze. Właścicielka jest wdową i nie chcę, żebyś ją jeszcze bardziej przygnębił. Skoro więc upierasz się przy tym szalonym projekcie, obiecaj mi, że będziesz zachowywał się przykładowie.

– Jak możesz we mnie wątpić?

– Po facecie, który usiłował przebrać się za własną matkę, żeby usprawiedliwić „syna” przed dyrektorem szkoły, spodziewam się najgorszego.

Jesienny urok leśnej drogi, którą jechała taksówka, nie zdołał odwrócić uwagi Andrew Blake'a od ogarniającego go zmęczenia. Dzień rozpoczął o świcie: wstał wczesnie, wsiadł do pociągu do Paryża, następnie przesiadł się do innego, jadącego w głąb prowincji, otoczony ludźmi trajkoczącymi w języku, który przecież doskonale znał. Mimo że był już blisko celu, wiedział, że nie będzie mu dane wypocząć.

– Zabawne – stwierdził kierowca taksówki. – Od dziesięciu lat jeżdżę po okolicy, ale w tym miejscu jestem po raz pierwszy. Nie wiedziałem nawet, że ta droga dokądś prowadzi. Mimo że miasto jest położone niedaleko, czuję się zagubiony w lesie.

Posiadłość Beauvillier, droga Beauvillier – adres nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do znaczenia tego miejsca. Wstążka asfaltu wiła się przez piękny, pagórkowaty las o rudych już o tej porze roku koronach drzew. Na szczycie jednego z licznych wzniesień pnie się przeredziły, odsłaniając mur, wzdłuż którego jechała teraz taksówka. Po kilku kilometrach ogrodzenie zakreślało na skraju polany, tworząc obszerną wnękę, pośrodku której widniała monumentalna brama. Między dwoma filarami – nadgryzionymi zębem czasu i zwieńczonymi kamiennymi posągami lwów – rozciągała się wysoka krata ozdobiona literą „B” z kutego żelaza.

Taksówka się zatrzymała.

– Jesteśmy na miejscu.

Kierowca zerknął na pasażera i zapytał:

– To dom spokojnej starości?

– Mam nadzieję, że nie...

– W każdym razie ma pan szczęście, jest piękna pogoda. Późna jesień bywa często bardzo przyjemna w tych stronach.

Andrew zapłacił za kurs i wysiadł z samochodu. Kierowca wyciągnął jego jedyną walizkę z bagażnika, pożegnał się, życząc miłego pobytu, i odjechał. Na widok oddalającej się taksówki Andrew poczuł się nagle bardzo samotny.

Stanął przed kratą i wziął głęboki wdech. Powietrze było łagodne. Lekki powiew wiatru poruszał suchymi trawami porastającymi alejkę przy bramie. Najwyraźniej nieczęsto z niej korzystano. Na jednym z filarów była wygrawerowana nazwa posiadłości: Domaine de Beauvillier. Przez kratę, w oddali za drzewami, rysowało się domostwo o licznych spiczastych dachach. Na prawo od bramy znajdowała się furtka.

Odblaski słońca na otaczającym posiadłość murze oślepiały. Andrew zauważył domofon. Urządzenie nie sprawiało dobrego wrażenia. Ostrożnie nacisnął przycisk. Brak odpowiedzi. Ponowił więc próbę, ale bez większego sukcesu. W końcu zdecydował się popchnąć kratę, która ustąpiła, skrzypiąc.

Miejsce było tak ciche, że sprawiało wrażenie opuszczonego. Andrew starannie zamknął furtkę za sobą i ruszył zwirową alejką. Jego kroki wydawały taki sam odgłos jak u wujka Marka w Pillsbury. Kiedy rodzice Andrew spędzali tam popołudnie, on godzinami krążył po dróżce wyspanej żwirem tylko po to, żeby nacieszyć ucho tym charakterystycznym chrzęstem.

Blake kroczył wprost przed siebie. Dawno już zapomniał o osobliwym uczuciu, jakie budzi odkrywanie całkowicie nieznanego miejsca. Zastanawiał się również, czy nie wyskoczy na niego nagle stado szczekających psów. Nosił co prawda okulary, ale nie widział dobrze na dużą odległość. Usłyszałby je, na cóż jednak by się to zdało? Nie mógł biegać. Przećwiczył szeptem wymowę „Na pomoc!”, starając się wyeliminować akcent.

Ciążyła mu wielka walizka, której kółka okazały się bezużyteczne na nierównym gruncie. Po obu stronach ścieżki rozciągał się park. Między drzewami migąła mu od czasu do czasu bryła budynku. Za grupą kasztanowców na zakręcie alejki Andrew ujrzał wreszcie w pełnej okazałości posiadłość o ścianach z piaskowca i czerwonej cegły. Budowla była zadziwiająca, nieregularna, zwieńczona kwadratową wieżą, u stóp której znajdowało się wejście. Stąd odchodziły dwa skrzydła z licznymi frontonami i wąskimi balkonami. Każde piętro miało własny typ okien – wysokich na parterze, mniejszych na drugiej i trzeciej kondygnacji, aż po okienka dachowe różnych rozmiarów. Trzyszczytowe okapy wzbogacały całość, przez co jednak nie sposób było przypisać konstrukcji do jednego stylu. Posiadłość nosiła ślady wpływów normandzkich, neogotyckich, a nawet bajkowych.

Andrew skierował się do wejścia, starając się utrzymać regularny krok. Być może był już obserwowany – miał świadomość znaczenia pierwszego wrażenia. Wspiął się po długich, ułożonych w półkole stopniach, ukrytych pod zadaszeniem z matowego szkła. Zanim zadzwonił do drzwi, dał sobie chwilę na poprawienie ubrania.

Pociągnął za łańcuch dzwonka ruchem, który miał być łagodny. Tymczasem włożył w niego zbyt dużo siły, przez co dzwonek wydał z siebie niestosownie głośny dźwięk.

Andrew czekał cierpliwie i – podobnie jak za każdym razem w takiej sytuacji – zaczął zadawać sobie mnóstwo pytań. Może pomylił adres? A jeśli dom jest pusty? Znając swoje szczęście, znajdzie zasuszone zwłoki właścicielki, jak tę mysz, którą odkrył, sprzątajac ostatnio w garażu.

Nagle przez szybki witrażu zdobiącego drzwi dostrzegł cień. Ktoś przekręcił zamek i skrzydło drzwi się uchyliło. Stała w nich kobieta koło pięćdziesiątki, o masywnej, choć niepozabawionej wdzięku figurze, z brązowymi włosami spiętymi w koński ogon. Bezceremonialnie zlustrowała go wzrokiem.

– Dzień dobry. Pan pewnie jest nowym majordomem?

– Istotnie. Jestem umówiony z panią Beauvillier.

– Proszę wejść. Jestem kucharką.

– Jak ona się czuje?

Gdyby kobieta powiedziała, że pani leży martwa i zasuszona w garażu, Andrew zacząłby wierzyć w znaki.

– Pani spodziewała się pana w południe. Proszę poczekać, powiadomię ją.

Po oślepiającym świetle, w jakim tonął park, Andrew potrzebował kilku chwil, żeby przyzwyczać się do półmroku panującego w holu wejściowym. Kucharka się oddaliła – jej obcasy stuknęły na płytkach zdobionych niebieskim motywem kwiatowym. Pomieszczenie umeblowano przy użyciu różnych sprzętów, najpewniej z odzysku. Upłynęło kilka minut, wkrótce jednak w ciszę ponownie wdarł się odgłos jej zdecydowanych kroków.

– Pani przyjmie pana za chwilę. Proszę zostawić bagaż na ławeczce. Napije się pan czegoś?

– Nie teraz, dziękuję.

– Jak minęła podróż?

Wymawiała te dość miłe słowa osobliwie surowym tonem.

– Doskonale, dziękuję.

Kucharka poprowadziła go na pierwsze piętro pięknymi dębowymi schodami wypełniającymi całą przestrzeń wieży. Przemierzyli korytarz poprzecinany kilkoma stopniami i zatrzymali się przed jedynymi drzwiami. Kobieta zapukała. Kiedy głos zachęcił ich do wejścia, otworzyła drzwi i się odsunęła, przepuszczając gościa przodem.

Zasłony były zaciągnięte. Pani Beauvillier siedziała za biurkiem. W półmroku rysowała

się tylko jej sylwetka. Wąski promień światła wciskający się przez szczelinę między zasłonami wydobywał z mroku starannie ułożone na blacie teczki z aktami, telefon, figurkę z brązu przedstawiającą balerinę i porcelanową obsadkę.

Kobieta wstała i wyciągnęła dłoń na powitanie.

– Pan Blake. Zgadza się?

– Do usług, proszę pani. Jestem zaszczycony, że mogę panią poznać.

Andrew ujął jej rękę. Drżała. Pani domu zajęła ponownie miejsce w swoim fotelu i dała mu znak, żeby usiadł na tapicerowanym krześle naprzeciw niej. Siedzenie było tak niskie, że Blake, w rzeczywistości mężczyzna dość wysoki, znalazł się niżej niż jego rozmówczyni.

– Zaniepokoiło mnie pańskie spóźnienie, ale nie mieliśmy numeru pańskiej komórki, żeby sprawdzić, co się z panem dzieje.

– Przepraszam, powinienem był podać numer. Musiałem pomylić godzinę wyjazdu z Paryża z porą przyjazdu na miejsce.

– Zapomnijmy o tym. Pańskie referencje są doskonałe i serdecznie mi pana polecano. Zatrudnię więc pana na próbny okres czterech miesięcy. Do nowego roku.

– Dziękuję pani.

Mimo braku oświetlenia Blake zauważył u swojej pracodawczyni dumnie uniesioną głowę, staranną fryzurę i precyzyjne gesty. Z jej postawy było jednak zmęczenie. Melodyjny i energiczny głos brzmiał młodzieńczo, tymczasem Richard powiedział Andrew, że z dokładnością do kilku miesięcy oboje są mniej więcej w tym samym wieku.

– Wspomniano mi, że zna pan Francję – zagadnęła.

– Miałem okazję wielokrotnie tutaj bywać. Moja żona była Francuzką. Od jej śmierci nie przyjeżdżałem już tutaj.

– Bardzo mi przykro.

Po czym od razu dodała:

– Odile, którą już pan poznał, przedstawi panu organizację pracy w domu i zakres pańskich obowiązków. Nie musi pan nosić uniformu, ale konieczna będzie koszula z krawatem. Wychodne w każdy poniedziałek. Nalegam na punktualność. Zobacz pan, że to spokojny dom. Nie przyjmujemy wielu gości. A teraz proszę już odejść, czekają mnie inne obowiązki. Jeśli ma pan pytania, proszę kierować je do kucharki.

– Dobrze, proszę pani.

Andrew wstał i skierował się do drzwi. Kiedy już miał wyjść, pani Beauvillier odezwała się raz jeszcze:

– Panie Blake?

– Tak, proszę pani?

– Dziś został pan zaproszony do posiadłości głównym wejściem. Wyjątkowo. Pracownicy używają tylnych drzwi w zachodnim skrzydle, a najczęściej kuchennych, na tyłach domu.

Andrew nawet nie mrugnął.

– Zrozumiałem, proszę pani.

– Witamy w naszych progach.

Układ pomieszczeń posiadłości był równie złożony jak elementy jej architektury. Samodzielnie kierując się na dół, Andrew prawie się zgubił. Wahał się, skręcał, cofał, żeby w końcu z uczuciem ulgi trafić na drzwi, które prowadziły do pomieszczeń kuchennych. Odwrócona do niego tyłem Odile napełniała cukierniczkę. Przez okno i zdobione małymi szybkami drzwi wpadało z zewnątrz przyjemne światło. Andrew wszedł do środka. Słyszac go, kucharka gwałtownie się odwróciła.

– To moje królestwo! – rzuciła. – Nikt nie może tutaj wchodzić bez mojej zgody.

Blake zamarł.

– To nic osobistego – ciągnęła. – Po prostu uważam, że nie mamy ani środków, ani zapotrzebowania na pańskie usługi. Ale oczywiście nie ja tutaj rządę, to znaczy... oprócz tego pomieszczenia.

Andrew cofnął się na próg. Odile odstawiła cukierniczkę i wytarła dłonie o fartuch.

– Wciąż nie chce się panu pić? – zapytała.

– Chętnie napiję się wody.

Kobieta skierowała się w stronę dużej lodówki i wyciągnęła z niej karafkę. Wróciła do długiego stołu zajmującego środek pomieszczenia i postawiła ją tam razem ze szklanką.

– Dalej, niech pan wejdzie! Nie zjem pana! – Odwróciła głowę w stronę Andrew.

– Przed chwilą powiedziała pani jednak...

– Wolę, żeby sytuacja była jasna, to wszystko.

– Już jest.

Odile odsunęła jedno z krzeseł i usiadła. Andrew rozejrzał się po pomieszczeniu.

Imponująca kuchonka gazowa zajmowała całą wnękę po dawnym palenisku. Na ścianach nad nowoczesnymi blatami kuchennymi i niskimi szafkami były zawieszane półki i kucharskie utensylia. Całość była metodycznie uporządkowana. Nic nie wystawało, nawet ścierki przewieszane przez uchwyt piekarnika starannie złożono. Andrew zauważył nagle przepięknego kota angorskiego leżącego w pozycji sfinksa przy piecyku. Zwierzę o karmelowej sierści poprzecinanej ciemniejszymi prążkami miało zamknięte oczy i pyszczek lekko uniesiony, jakby węszyło.

– Ma na imię Mefisto – oznajmiła Odile z dumą.

– Wspaniały.

– Niech pan nie próbuje go głaskać, nienawidzi tego. To dzikus. Toleruje tylko mnie.

Odile nalała Andrew wody i ciągnęła dalej:

– Czy został pan już poinstruowany?

– Pani Beauvillier powiedziała, że pani to zrobi...

– Nie traćmy więc czasu. Jest nas czworo na służbie u pani. Ja zajmuję się posiłkami i pomagam pani w czynnościach osobistych. Codziennie rano przychodzi młoda dziewczyna, która sprząta, pierze i prasuje. Ma na imię Manon, pozna pan ją jutro. Poza domem jest także zarządca – mieszka na drugim końcu posiadłości, w pawilonie łowieckim. Nie ma wyznaczonych zajęć w domu, za to odpowiada za wszystko, co znajduje się na zewnątrz. Jakież pytania?

– Czego wymaga się ode mnie?

– Zajmie się pan obowiązkami sekretarza pani, czyli jej korespondencją i tego typu sprawami. Będzie pan ponadto obsługiwał zaproszonym gościom i prasował pani gazetę.

Andrew odniósł wrażenie, że źle zrozumiał.

– Chciała pani powiedzieć, że przygotuję jej prasówkę?

– Nie, powiedziałam, że będzie pan prasował gazetę. Pokażę panu jutro. Pani życzy ją sobie punktualnie o siódmej, razem ze śniadaniem. Ja szykuję tacę, pan ją zanosz. Następnie pomagam pani się ubrać. Pierwszego dnia zostaną z panem i przerobimy wszystko krok po kroku. Chce pan zobaczyć swój pokój?

Andrew dopił szybko wodę, Odile zdążyła już bowiem opuścić pomieszczenie.

Im wyższe zdobywali piętro, tym schody stawały się węższe i bardziej strome. Andrew z trudem radził sobie z walizką, idąc za Odile, która wyjaśniała mu rozkład pomieszczeń.

– Na parterze pani przyjmuje przede wszystkim w małym saloniku. W dużym podaje się posiłki, ale od dawna już nie organizowaliśmy tutaj proszonych obiadów. Pani nie lubi także, kiedy wchodzimy do biblioteki. Na pierwszym piętrze mieszczą się jej apartamenty i różne nieużywane pomieszczenia. Na trzecią i wyższe kondygnacje pani nigdy nie wchodzi. Tam mieści się dawne biuro pana.

– Znała go pani?

– Nie, wstąpiłam na służbę osiem lat temu, on zaś zmarł chyba trzy lata wcześniej.

A pan? Jakim sposobem znalazł się pan tutaj?

Bezpośrednie pytanie zaskoczyło Andrew, który wciąż jeszcze dobrze nie opanował przygotowanego na tę okazję kłamstwa. Zdyszany zaimprovizował:

– Moja poprzednia pracodawczyni zmarła. Musiałem znaleźć sobie nową posadę.

– Nie udało się zaoszczędzić na emeryturę?

– System socjalny w Wielkiej Brytanii wygląda nieco inaczej...

– Tak, słyszałam o tym. Wiele rzeczy zresztą jest tam innych.

Dotarli na trzecie piętro.

– Oto i nasze królestwo – oznajmiła Odile, wskazując długi, wąski korytarz z licznymi drzwiami. – Mój pokój jest tutaj. Pan urządzi się na drugim końcu. Pozostałe pomieszczenia służą jako składziki. Nikt tutaj nigdy nie zagląda. Mamy starocie za sąsiadów, drogi panie.

Odile pociągnęła nowo przybyłego w stronę jego pokoju.

– Zabawne! – zauważył Andrew. – We Francji zawsze umieszcza się służbę na najwyższych piętrach. Z kolei w Anglii przydziela się im pomieszczenia w przyziemiu. Uważam za paradoksalne, że służący mieszkają wyżej niż ich pracodawcy.

Odile odwróciła się gwałtownie na pięcie i wbiła w niego surowe spojrzenie.

– Proszę nie zapominać, że mieliśmy w tym kraju rewolucję. Wasza królowa szybko zostałaby u nas skrócona o głowę. Proszę tędy.

Kucharka ruszyła dalej. Spokojniejszym już tonem oznajmiła:

– Pański pokój nie jest duży, ale roztacza się stąd piękny widok. Do pana dyspozycji jest także łazienka i toaleta. Biorąc pod uwagę stan hydrauliki, muszę ostrzec, że jeśli nie chce pan skończyć pod lodowatym prysznicem, starajmy się nie brać go w tym samym czasie. Woli pan rano czy wieczorem?

– Rano.

– Doskonale. Ja wieczorem. Nie powinno być problemu.

Otworzyła drzwi, starając się nie przekroczyć progu, i zachęciła Blake'a do wejścia.

– Oto pańskie lokum. Pokażę jeszcze, gdzie przechowujemy pościel i ręczniki. Manon nie ma obowiązku sprzątać u pana, ale może się pan z nią dogada.

Serce waliło Andrew mocno po wspinaczkę, gdy wchodził do pokoju z walizką. Jeśli marzył o odmłodzeniu się, to okazja nadarzyła się idealna, gdyż pokój przypominał kwatery studencką. Klitka na poddaszu była wyposażona w niewielkie łóżko, dwie półki, szafę i maleńkie biurko z przystawionym do niego krzesłem. Całości dopełniała wyblakła tapeta w geometryczne wzory.

– Proszę się zainstalować i zejść, kiedy będzie pan już gotowy. Mamy jeszcze kilka

szczegółów do omówienia.

– Dziękuję, że zechciała mi tu pani towarzyszyć.

Odile zamknęła za sobą drzwi bez słowa. Blake stał przez chwilę nieruchomo, rozglądając się uważnie po pokoju. Podszedł do okna. Było już późne popołudnie i w parku kładły się długie cienie. Widok rzeczywiście był przepiękny. Wiele rozłożystych drzew zachowało jeszcze trochę liści, które ogarniała łuna promieni zachodzącego słońca. Posiadłość miała tak dziwny układ pomieszczeń, że Andrew nie potrafił się umiejscowić w stosunku do głównego wejścia. Cofnął się do łóżka i nacisnął materac, żeby sprawdzić jego sprężystość. Był tak zmęczony, że zasnąłby nawet na desce. Otworzył szafę i obejrzał półki. Następnie zajrzał do łazienki. Odkręcił krany, które dziwnie zadrżały, zanim popłynęła z nich woda.

W końcu usiadł na krześle i odetchnął. Cóż on tutaj robi? Richard miał rację, mówiąc, że to żaloszny pomysł. Uduwać majordoma! Atmosfera panująca w domu pani Beauvillier wcale go nie rozluźniła. W towarzystwie chlebobawczyni, która zabrania mu wchodzić przez główne drzwi, i kucharki, która niczym kapitan okrętu wojennego wymaga od swoich marynarzy oficjalnego podania w sprawie dostępu na mostek kapitański, nie ma widoków na dobrą zabawę. Dorzucając do tego wszystkiego kota o imieniu Mefisto, można uznać, że zapowiada się prawdziwe piekło.

Andrew postanowił zająć się walizką, wciągnął ją więc na łóżko. Najchętniej rozwiesiłby jedynie koszule, resztę ubrań upchnął zaś byle jak w szafie, ale żadna z półek nie sprawiała wrażenia wystarczająco solidnej, żeby wytrzymać ciężar całego bagażu. Zdecydował, że rozpakuje się później, i oparł się o ścianę, spoglądając na swoje nowe królestwo. Jego ostatnia przeprowadzka nastąpiła dwadzieścia lat wcześniej – razem z Diane przenieśli się do ich wiejskiego domu w Debney. Przez moment poczuł ten szczególny dreszcz, jaki towarzyszy chwili, gdy obejmujemy w posiadanie jakieś miejsce, myśląc, że należy ono do nas, że będziemy mogli urządzić je zgodnie z naszym gustem, nie pytając nikogo o zdanie ani o pozwolenie. Szybko przypomniał sobie jednak, że wcale nie jest u siebie i że tym razem jest zupełnie sam. Dziś nikogo nie zaskoczy, nie będzie się uśmiechał, słuchając uwag drugiej osoby, i nikt nie przyjdzie pomóc mu wnosić ciężkie pakunki. Andrew postanowił wyjść z pokoju, licząc, że dzięki temu opuści go ścisnąjące gardło wzruszenie.

Schodząc po schodach, Andrew Blake wreszcie wczuł się w puls domu. Był szczęśliwy, ponieważ dzięki temu zaczął myśleć o czymś innym. Teraz mógł czuć, obserwować i słuchać. Skrzypiące parkiety, ślady po starych obrazach zdjętych ze ścian, wytarte dywany, przytłumiony spokój domu, który czasy świetności miał już dawno za sobą.

Sunął dłonią po balustradach, wyglądał przez okna na półpiętrach, nasłuchiwał przez chwilę przed apartamentem pani Beauvillier. Kiedy znalazł się przed wejściem do pokoju kredensowego, zauważył kota, który znajdował się w tej samej pozycji co poprzednio, z zamkniętymi oczami, ale nieco bliżej kuchenki gazowej, niczym rzeźba, którą przesunięto. Drzwi wychodzące na zewnątrz były otwarte. Andrew nie śmiał wejść do środka. Zaszurał nogami, żeby przyciągnąć uwagę Mefista, ten jednak nie zaszczycił go nawet podniesieniem powieki. Nachylony nad zwierzęciem Blake zaczął wydawać coraz dziwniejsze odgłosy, przy którym to zajęciu zaskoczyła go w końcu powracająca z ogrodu Odile.

– Jakiś problem? – zapytała, podnosząc brew.

– Absolutnie nie – odparł, prostując się gwałtownie.

– Podoba się panu pokój?

– Jest doskonały – odparł, myśląc, że zapewne nie spędzi w nim zbyt dużo czasu.

Na zewnątrz zachodziło słońce. Ciepłe światło odbijało się w wiszących rzędem miedzianych garnkach, które rozrzucały złote refleksy po całym pomieszczeniu. Podmuchał wiatru

wpadł do serca kuchni. Nie było tu nic, co przeciąg mógłby poruszyć lub zakłócić, z wyjątkiem sierści kota angorskiego, która zafalowała.

– Proszę nie stać tak w progu, niech pan wejdzie!

– Sądziłem, że...

– W porządku. Skoro mamy mieszkać pod jednym dachem, przywitajmy się w miłej atmosferze.

Odile wróciła z kilkoma główkami sałaty, które zaczęła płukać pod kranem.

– Macie tutaj ogród warzywny? – zapytał Blake.

– Nie jest tak duży, jak bym chciała, ale wystarczający. Pokażę go panu jutro, jeśli ma pan ochotę.

– Czyli to pani gotuje? Nawet dla mężczyzny, który mieszka w pawilonie łowieckim?

– Zapomniałam o nim! Lepiej, żeby go pan odwiedził przed nocą. Jest dość wyjątkowy.

– Wyjątkowy?

Odile nie wdała się w wyjaśnienia, tylko wskazała drzwi do ogrodu.

– Niech pan idzie prosto alejką. Jeśli nie zboczy pan na żadną ścieżkę biegnącą w stronę wzgórz i lasu, na pewno pan trafi. To niedaleko, ale stąd nie zobaczy pan pawilonu łowieckiego. Nie sposób jednak go nie zauważyć: niewielki dom z cegieł obrośnięty pnącymi krzewami róż. Proszę lepiej już iść! Przy okazji niech mu pan powie, żeby przyszedł po swój posiłek. Mamy interkom, ale przestał działać.

Już miała się odwrócić w stronę zlewu, ale się zawahała.

– Jeśli pan chce, mogę poczekać z kolacją. Pamiętam swój pierwszy wieczór tutaj.

Poprzedni personel zostawił mnie samą przy kolacji, przy tym stole. Zachowałam po tym bardzo złe wspomnienie. Co prawda nie wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać, ale skoro mogę oszczędzić panu takiego doświadczenia.

– Bardzo dziękuję.

Odile skinęła głową. Potrafiła zaskoczyć. Czyli kapitan nie był jednak bez serca.

Andrew wyszedł z domu i ruszył alejką. Wkrótce przestał słyszeć szum wody lejącej się z kranu. Widoczność malała, drzewa zmieniały się w ciemne, bezkształtne bryły. Blake nigdy nie lubił być na zewnątrz o zmierzchu. *Entre chien et loup*¹ – jak mawiała Diane po francusku. Odkąd pamiętał, jeśli w chwili zachodu słońca nie znajdował się w domu, wśród swoich, ogarniały go melancholia i uczucie samotności. Żeby dodać sobie odwagi, wziął głęboki wdech i przyspieszył kroku.

O ile część posiadłości położona przed domem była zaaranżowana dość klasycznie – trawniki, symetryczne alejki i żywopłoty, które zresztą należałoby przystrzyc – o tyle teren na tyłach budowli przypominał wybujały ogród usłany kobiercem kwiatów, poprzedzielany zagajnikami i przecięty pośrodku szerokim trawnikiem. Ta rozległa przestrzeń wiała się między zalesionymi wzgórzami. W zapadającym mroku Andrew z trudem rozpoznawał rzeźbę terenu i wielokrotnie potykał się na kamieniach wystających ze ścieżki. Zapuszczając się w głąb posiadłości, przeszedł obok altany ogrodowej, zauważył opuszczoną wolierę, aż w końcu rozpoznał kształt niewielkiego domu o rozświetlonych oknach. Nie była to duża budowla – sześcienna bryła skulona u stóp wysokich jesionów na skrawku trawnika.

Zszedł ze ścieżki, aby skrócić sobie drogę. Zbliżał się do drzwi, kiedy usłyszał podniesione głosy i hałas przywodzący na myśl walkę. Dwóch mężczyzn kłóciło się wśród odgłosów przewracanych mebli. Andrew cofnął się i zrezygnował z zapukania. Na palcach zakradł się do okna, chcąc ostrożnie rzucić okiem do środka. Nikogo nie zobaczył, choć głosy stawały się coraz donośniejsze. Sprzeczka musiała rozgrywać się w sąsiednim pomieszczeniu. Aby się upewnić, przeszedł wzdłuż muru aż do drugiego okna. Utorował sobie drogę przez rabatkę i przyłożył twarz do szyby, żeby lepiej widzieć. Zmrużył oczy. Naraz silna dłoń gwałtownie złapała go za ramię i wykręciła je na plecy. Andrew jęknął z bólu. Poczul, że do szczęki przytknięto mu zimny przedmiot. Czyjś głos wyszeptał mu do ucha:

– Uprzedzam cię, dupku, że jeśli się ruszysz, rozwalę ci głowę, pokroję ją na małe kosteczki i dam do żezarcia psu!

Nawet jeśli Andrew nie zrozumiał wszystkiego, doskonale pojął istotę przekazu.

– Przyszedłem się przywitać – powiedział drżącym, zduszonym głosem.

– Jasne, przyjacielu! Znam tę gadkę. Ja również mam pokojowe zamiary, prowadź mnie więc do swojego szefa! Dzień dobry, a raczej – o tej porze – dobry wieczór! Synalek kowala znowu przyszedł zwędzić moje narzędzia! Mało ci było w zeszłym tygodniu? Posłuchaj mnie uważnie! Odwróć powoli głowę do światła, a jeśli będziesz grzeczny, masz szansę jeszcze ujrzeć jutrzejszy wschód słońca.

Mężczyzna mocniej wykręcił Blake'owi ramię i zmusił go do odwrócenia się do niego twarzą.

– Cholera, bezwstydnicy! – oburzył się na widok twarzy swojego więźnia. – Wysyłają emeryta do węgla! Paskudnie. Gadaj, na pewno jesteś sam? Chyba nie zwinąłeś mi dwustu kilogramów towaru tymi swoimi łyżeczkami do herbaty? Gdzie twoi kumple?

– Nie mam kumpli. Zadaje mi pan ból. Jestem nowym majordomem, nazywam się Blake.

Mężczyzna bardzo szybko zamrugał powiekami. Rozpoznał angielski akcent, w niczym zresztą nie przypominający akcentu Cyganów, którzy komplikowali mu życie. Odsunął lufę strzelby od szyi Blake'a i rozluźnił uścisk.

– Majordom – powtórzył zakłopotany. – Wziąłem pana za...

– Mięso dla psa, wiem.

Blake odepchnął lufę i roztarł ramię, krzywiąc się z bólu.

– Ma pan dziwny sposób witania się z ludźmi – mruknął.

– Zdeptał mi pan szczypiorek – stwierdził mężczyzna, wskazując stratowane rośliny.

– Pani Ofile prosiła o przekazanie, że może już pan przyjść po posiłek.

Mężczyzna pomógł Andrew poprawić ubranie.

- Naprawdę bardzo mi przykro, panie Steak.
- Blake. Nazywam się Blake. Pójdę już.
- Nie może pan tak odejść! Nie mogę na to pozwolić. Na jeden strzał!
- Ze strzelby?

– Nie, to znaczy, że zapraszam pana na aperitif, żeby uczcić pańskie przybycie.

Z krwiożerczej bestii mężczyzna zmienił się teraz w życzliwą duszę. Andrew spojrział na niego, zbity z tropu i nieco przestraszony. Zaczynał rozumieć, co Odile miała na myśli, mówiąc, że jest on „wyjątkowy”.

Mężczyzna wyciągnął do niego rękę w szczerym geście.

– Philippe Magnier. Jestem zarządcą tej posiadłości.

Andrew wahał się przez chwilę, zanim odwzajemnił uścisk dłoni.

– Andrew Blake. Przepraszam za szczybiorek.

– Szczypiorek. Aromatyczne zioło z rodziny liliowatych. Poza tym to prawda, że u nas o tej porze mówi się raczej „dobry wieczór”. „Dzień dobry” działa do szesnastej, chociaż to oczywiście zależy od regionu.

– A po osiemnastej trzydzieści witacie się strzelbą, tak?

– Proszę się nie obrażać. Mówiłem już, że mi przykro. Poza tym nie powinno się tak zaglądać do ludzi przez okno.

– Kiedy chciałem zapukać do drzwi, usłyszałem odgłosy kłótni.

– To w telewizji! Dan nie chce oddać pieniędzy na policję, choć dzięki temu James zostałby uwolniony, dlatego Todd na niego nawrzeszczał.

– Zostawię już pana. Jestem pewien, że wkrótce pojawi się Bill i wszystkich ich aresztuje.

– Widział pan ten odcinek?

Blake westchnął ciężko i się odwrócił.

Magnier przytrzymał go.

– Nie, poważnie, niech pan zostanie! Proszę. Poza tym cieszę się, mogąc gościć mężczyznę w moim domu. Wie pan, te trzy gazy to jednak niezłe gagatki.

– Gazy?

– Pani Beauvillier, Odile i mała Manon. Mają – jak by to powiedzieć? – niezbyt po kolei w głowach...

Andrew pozwolił zaciągnąć się do wejścia.

– Dalej, zapraszam! – rzekł Magnier. – Witam w moich progach.

– Jeśli dobrze zrozumiałem tutejsze zwyczaje, to jest jedyny raz, kiedy będę mógł przekroczyć ten próg. Następnym razem powinienem próbować się dostać przez zsyp na śmieci lub przez okno?

Magnier popatrzył na niego zdziwiony.

– Dlaczego pan pyta?

Andrew wzruszył ramionami i wszedł do środka. Tam stanął nos w nos z młodym golden retrieverem, który zaszczekał na jego widok. Szczeniak sprawiał wrażenie szalonego i miał orzechową sierść.

– Leżeć, Youpla! – zawołał Magnier, udając, że się zamachuje ręką. – Proszę się nie bać, nie jest zły.

Pies rzeczywiście godnie powitał nowo przybyłego, liżąc rękę Andrew nawet między palcami dłoni.

– Jeśli to on miał mnie pożreć, nawet w formie małych kawałeczków, zajęłoby mu to chwilę.

Magnier wyjął z szafy dwa kieliszki i butelkę, po czym wyjaśnił:

– Dotrzymuje mi towarzystwa. To on mnie ostrzegł przed pańskim przybyciem. Dobry z niego stróż.

Blake pogłaskał psa po łbie i szepnął:

– Następnym razem powiedz panu, że nie jestem złodziejem. Wyglądasz mi na najbardziej normalnego z całej bandy.

– Wypijmy za nasze spotkanie!

Magnier uniósł kieliszek. Blake dołączył do niego, pocierając brodę, wciąż obolałą od nacisku lufy strzelby. Przełknął zawartość kieliszka i niemal się udławił.

– Mocne, co? – zarechotał Magnier.

– Muszę już wracać. Odile na mnie czeka.

– Może trochę poczekać, trzeba ją przećwiczyć. Za długo już uważa się tutaj za szefową. Pójdę z panem.

Po szybkiej kolacji Andrew pomógł Odile posprzątać ze stołu. Między dłuższymi okresami milczenia rozmawiali tylko o sprawach błahych. Blake usiłował wykorzystać okazję i zerkał na Mefista, mając nadzieję, że zaskoczy go z otwartymi ślepiami. Kot jednak do perfekcji opanował rolę wypchanego sfinksa. Zwierzę znów oddaliło się od piecyka, choć Andrew nie potrafił stwierdzić, kiedy dokładnie to się stało. To prawdziwa sztuka.

Gdy nadeszła pora, aby znów wspiąć się na górę do pokoju, Blake nie pamiętał już, co jadł ani o czym rozmawiali z Odile – zapewne wskutek aperitifów wypitego u zarządcy.

– Dobranoc, pani Odile! Dziękuję za przyjęcie mnie przy swoim stole.

– To żaden problem. Dobranoc, panie Andrew. Proszę pamiętać, że jutro spotykamy się tutaj o szóstej rano i zabieramy się poważnie do pracy.

Andrew skinął głową i ruszył w stronę drzwi. Odwrócił się jeszcze w progu.

– „Pani Odile, pan Andrew”. Nie uważa pani, że to brzmi trochę staroświecko?

Moglibyśmy chyba zwracać się do siebie po imieniu?

– Wolę staroświeckość od przesadnej poufałości, panie Andrew.

– Jak pani sobie życzy, choć dziwi mnie trochę, że stawia pani styl Jane Austen nad zaproponowany przeze mnie układ *à la* Victor Hugo.

Kucharka nie zareagowała, Blake opuścił więc pomieszczenie.

Z jedynej w pokoju, energooszczędnej żarówki sączyło się zimne światło, przy którym domek Barbie wyglądałby jak przemysłowa chłodziarka na ryby. Andrew nie miał już wyboru – przed położeniem się spać musiał w końcu opróżnić walizkę. Otworzył ją, po czym zaczął metodycznie wyjmować ubrania i układać je w szafie. Udało mu się wcisnąć pustą walizkę na samą górę mebla – była tak duża, że cała konstrukcja przypominała teraz wielkiego grzyba. W małej łazience rozmieścił nieliczne kosmetyki, w szklance pod lustrem ustawił dwie szczotki.

Na łóżku został już tylko niewielki neseser. Andrew wyjął z niego ramkę ze zdjęciem, starannie owiniętą w bordową piżamę. Fotografia z wakacji na południu Francji. Diane promieniała, Sara się śmiała – obie opierały głowę na jego ramionach. To było chyba ich najlepsze wspomnienie. Tego dnia wiatr zerwał wszystkie parasole z plaży i z kawiarnianych tarasów, wywołując atmosferę surrealistycznej paniki, która tak ich rozbawiła. Na ich twarzach malowało się szczęście. Nie mieli pojęcia, że były to ich ostatnie wspólne wakacje. Jeszcze jeden ostatni raz.

Andrew rozłożył podpórkę ramki i ustawił ją na stoliku nocnym. Zanurzył rękę w torbie i wyciągnął z niej małego pluszowego kangurka, którego posadził obok zdjęcia, zwracając jego głowę ku sobie.

– Dobry wieczór, Jerry – powiedział.

Zwierzątko miało wytarte uszy i nosek. Małe okrągłe oczka straciły już swój dawny blask. Andrew popatrzył na kangurka ze wzruszeniem. Po chwili wahania wziął go znów do ręki i mocno przytulił. Ukrył nos między łapkami pluszaka, wciągnął głęboko jego zapach i odstawił kangurka na miejsce. Zaczęły powracać wspomnienia. Niektóre przedmioty mają moc pokonywania czasu, ale nigdy smutku. Ukojenie, którego dostarczają, ma swoją cenę. Szczęście, jakie zdają się wskrzeszać, odchodzi jeszcze dalej, niczym fala odpływu, kiedy się je odłoży na półkę.

W torbie został mu jeszcze tylko telefon komórkowy. Skierował go w stronę źródła

światła i włączył. Brak zasięgu. Jak poszukiwacz z detektorem, Blake przemierzył powoli kilka metrów dzielących go od okna, próbując złapać sygnał. Nic, nawet cienia zasięgu. Do kogo zresztą miałby dzwonić?

Umył zęby i stanął przed lustrem. Nowy wystrój i inne światło zmuszały go do spojrzenia na siebie inaczej. Gdyby nie odbicie, które miał teraz przed sobą, i gdyby nie wiara w ukryte w głębi duszy uczucie, czułby się martwy.

Andrew położył się do łóżka, otulając się starannie kołdrą. Niemal po raz ośmiotysięczny w swoim życiu zdjął okulary i odłożył je na stolik nocny. Jerry był ostatnią rzeczą, jaką zobaczył przed zgaszeniem światła. Wtulił głowę w poduszkę. Zapach pościeli łączył w sobie wiele syntetycznych aromatów mających kojarzyć się z wiosną. Już zaczął tęsknić za własną kołdrą. Od jak dawna nie spał w jednoosobowym łóżku? Jeśli kiedykolwiek miał wrażenie, że robi to po raz ostatni, pomylił się. Jak co wieczór, Andrew życzył dobrej nocy Diane, która spała już od dawna. Dokładnie od siedmiu lat, czterech miesięcy i dziewięciu dni.

Najpierw ze złego snu wyrwał go dobiegający z oddali grzmot. Następnie odgłos bombardowań wojennych. Wreszcie huk i słowa wypowiedziane surowym tonem:

– Panie Blake, jest szósta piętnaście! Zapomniał się pan obudzić.

Zapukano ponownie do drzwi. Andrew obrócił się powoli, starając się jednocześnie dojść do siebie. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła Odile.

– Proszę się pospieszyć! Jesteśmy spóźnieni! Pani się to nie spodoba.

Pochwyił okulary i usiadł.

– A gdybym tak spał nago? – oburzył się.

– Zmarzłby pan! – odparła nieporuszona tym wcale kucharka. – Niech pan bierze szybko prysznic! Czekam na pana na dole za pięć minut.

Andrew zerwał się z łóżka tak szybko, że zakręciło mu się w głowie. Nie zdążył nawet ustawić odpowiedniej temperatury wody. Umył się więc pod lodowatym strumieniem, a następnie splukał we wrzątku. Ledwie obudzony, już jednak wściekły, zdążył do kuchni na czas.

– Ponieważ to pana pierwszy dzień, poszłam po gazetę za pana – oświadczyła Odile. – Chodźmy do pralni, pokażę panu, jak się ją prasuje.

Andrew odkrył kolejne korytarze prowadzące do pomieszczenia z pralką i suszarką. Kucharka wskazała mu deskę do prasowania, na której leżał numer „Figaro”.

– Przede wszystkim musi pan przykryć deskę specjalnym pokrowcem, w przeciwnym razie popłami ją pan farbą drukarską i zniszczy pościel, którą prasuje tutaj Manon.

Wręczyła mu małe żelazko.

– Termostat ustawiony na trzy. Nie może być więcej, ponieważ gazeta się zapali. Wiem, już mi się to bowiem zdarzyło.

– Rozumiem, termostat na trzy.

– I może pan używać tylko tego żelazka z zielonym uchwytem, gdyż z drugiego korzysta Manon.

– Rozumiem: farba, te sprawy, i czysta pościel, którą można popłamić.

– A teraz do roboty!

– Mam prasować gazetę?

– Właśnie. Dzięki temu prostują się zagniecenia i utrwała się farba drukarska. To sprawi, że pani nie będzie miała czarnych palców. Nie robicie tego w Anglii?

– My nawet nie potrafimy czytać – mruknął Andrew. – Może kiedy przeprowadzimy rewolucję, wypożyczymy sobie Karola Wielkiego, żeby wynalazł dla nas szkoły.

Starał się, jak mógł najlepiej. Zapach rozgrzanej farby drukarskiej przyprawiał go o mdłości. Zatrzymał się na dłużej przy tytule *Ceny stali wzrosną o ponad dwadzieścia procent: zagrożenie dla przemysłu*.

Odile się wtrąciła:

– Pani bardzo nie lubi, kiedy się czyta gazetę przed nią.

– Myśli pani, że wzrok Anglików zużywa strony? Skąd zresztą mogłaby to wiedzieć?

W koszyku na robótki trzyma detektor kłamstw?

– Pani nie robi na drutach, pan zaś nie powinien się z niej nabijać. Byłby pan zaskoczony, wiedząc, do czego jest zdolna.

– Gdyby potrafiła czytać gazetę bez obawy, że pobrudzi sobie palce, już byłbym pod

wrażeniem. Śmieszą mnie takie manie.

– Akurat pan nie powinien mówić o śmiesznych maniach.

– Co pani sugeruje?

Andrew przerwał prasowanie i odwrócił się do Odile, która odparła:

– Pani przynajmniej nie śpi z pluszowym zwierzątkiem, jak jakieś dziecko.

Andrew uniósł ręce do nieba:

– Nie tylko pozwala sobie pani na wtargnięcie znieścacka do pokoju mężczyzny, którego poznała pani zaledwie wczoraj...

– Pani z pewnością zwolniłaby pana za spóźnienie!

– ...ale jeszcze narusza pani jego prywatność!

– Wcale nie.

– Ponieważ jest pani tak niedyskretna, opowiem pani historię Jerry'ego.

– Nie interesuje mnie ona. Nie wiem nawet, kim jest ten Jerry.

– Pluszowym kangurem, z którego się pani nabija. Nigdy nie podróżuję bez niego. To była ulubiona maskotka mojej córki. Nazwała go tak na cześć swojego ojca chrzestnego, który przywiózł go z Australii i podarował jej na piąte urodziny. Wszędzie go ze sobą zabierała. Strata Jerry'ego byłaby dla niej największym dramatem. Nie potrafiła bez niego zasnąć. Pewnego dnia Jerry został jednak porzucony w kącie łóżka. Nie brała go już w ramiona. Po pewnym czasie wyładował na półce. Jeszcze później córka wyjechała na studia – bez Jerry'ego. Może to naturalna kolej rzeczy, ale poczułem się wzburzony. Przyzwyczyłem się, żeby codziennie wchodzić do pokoju, w którym moja córka już nie sypiała, żeby przywitać się z jej zapomnianym towarzyszem. Od tamtej pory wszędzie go ze sobą zabieram. Może się pani śmiać...

– Naprawdę mi przykro. Nie chciałam...

Przerwał jej gęsty dym, który wzbil się znad gazety.

– Skaranie boskie! – zawołała Odile, porywając żelazko. – Płoną wyniki giełdowe!

– Możemy mówić o pożarze na rynkach finansowych.

– Żarty na bok. Teraz oboje wylecimy!

– Nic nie szkodzi. Proszę spojrzeć – ogłoszenia o pracy ocalały.

Andrew siedział samotnie przy stole w kuchni z filiżanką herbaty. Po obfitującym w wydarzenia początku dnia delektował się teraz mocnym i słodkim naparem earl grey. Jego wzrok zatrzymał się na kocie, który najwyraźniej nie ruszył się z miejsca od wczoraj.

– Na czym polega twój sekret, Mefisto? Zrób mi tę przyjemność i otwórz ślepie, żebym przynajmniej miał dowód na to, że nie jesteś kocią mumią.

Przez chwilę kusila go myśl, żeby rzucić się na zwierzę i zmusić je tym sposobem do reakcji, ale Odile wróciła, zanim zdążył przejść do czynu.

– Nie wierzę! – mruknęła kucharka, siadając ciężko na krześle. – Gdybym spaliła centymetr kwadratowy jej gazety, to aż się boję myśleć, jak bym oberwała. A tutaj ani słowa. Co gorsza nie powiedziała także nic na widok pana nieogolonej twarzy i uważa za zabawne, że nosi pan zieloną muszkę do niebieskiej koszuli. Jestem zdegustowana.

Andrew uśmiechnął się i skomentował:

– Ma pani rację, nic nie powiedziała, kiedy stawiałem tacę. Grzanki pięknie pachniały, ale woń spalonej przeze mnie gazety była silniejsza.

Odile spojrzała na zegarek.

– Widział pan Manon?

– Jeszcze nie. Może jeszcze nie przyszła?

– Przyszła, przyszła. Widziałam przez okno jej rower. Tylko w czwartki spóźnia się regularnie.

Następnie Odile zwróciła się do kota:

– Życz mi powodzenia, Mefisto! Muszę pomóc pani w toalecie.

Podniosła się. Andrew mruknął cicho przez nos:

– Powodzenia, miauu!

Odile odwróciła się na pięcie i wbiła wzrok w nieprzeniknione zwierzę z błyskiem nadziei w oku.

– Ty mówisz, Mefisto?

– Nie ma co o tym marzyć, on nawet nie potrafi otworzyć oczu.

Gdyby kucharka miała pod ręką patelnię, z pewnością by go nią zdzieliła.

Blake kończył układać naczynia, kiedy nagle od strony schodów dobiegł ostry gwizd. Jedyny równie potężny oznajmiał rzut karny w Mistrzostwach Europy. Prawie upuścił trzymany w rękach talerz i pobiegł sprawdzić, co się stało. Kot nawet się nie poruszył.

W korytarzu Andrew omal nie wpadł na młodą dziewczynę, która nadbiegała od strony pralni, ze słuchawkami w uszach.

– Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony Blake.

Nieznajoma zdjęła słuchawki i wskazała podest schodów na pierwszym piętrze, gdzie stała Odile, kręcąc gwizdkiem zawieszonym na kawałku sznurka. Wyprostowana i dominująca nad holem kobieta, widziana pod światło, przypominała trochę krwiożerczego księcia z Transylwanii witającego swoje ofiary.

– Dlaczego pani gwizdże? – dociekał Andrew.

– Żeby przedstawić panu Manon. Nigdy nie wiadomo, gdzie jest. Przez tę swoją muzykę nic zresztą nie słyszy. Dlatego gwizdżę.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Blake'a, wahając się jeszcze, czy podać mu rękę, czy może uklonąć się jak przed angielską królową.

– Dzień dobry – powiedziała w końcu.

Andrew od razu poczuł do niej sympatię. Miała duże oczy o bardzo czarnych rzęsach i długie, kasztanowe włosy spięte kłamrą. Żywotność i wdzięk nadawały jej wygląd tancerki. Nawet w bezruchu emanowała z niej energia.

– Dzień dobry – odpowiedział. – Przepraszam za to brutalne spotkanie. Mogłem poczekać, aż wstąpi pani do kuchni.

– Nie ma sprawy – uśmiechnęła się. – Wracam zatem do pralni. Rozwieszam właśnie pościel.

Zadzwieczał dzwonek. Blake pomyślał, że ktoś stoi przy drzwiach wejściowych, ale Odile zawołała, wbiegając szybko po schodach:

– Pani mnie wzywa!

„A więc Drakula ma przełożoną” – przyszło Andrew do głowy. Nie poczuł się przez to jednak lepiej. Zwrócił się do Manon i zapytał:

– Jeśli dobrze zrozumiałem, Odile wzywa panią za pomocą gwizdka, z kolei właścicielka tej posiadłości przywołuje Odile dzwonkiem, zgadza się?

– Taki jest zamysł.

– A mnie jak będą wzywać? Ślepymi strzałami z rewolweru czy grzechotką?

– Ślepe strzały są już zarezerwowane dla zarządcy, odkąd zepsuł się domofon przy bramie.

– Uroczo. Podejrzewam, że należy zachowywać zimną krew w tej atmosferze zagrożenia bombardowaniem?

– Gdyby pan chciał, mam w domu jeszcze jeden odtwarzacz MP3. Mogę go panu pożyczyć. Jeśli włączy się muzykę wystarczająco głośno, nie słyszy się ich.

– To miło. W moim wieku wystarczy jeszcze tylko trochę poczekać, a przestanie się słyszeć cokolwiek.

W korytarzu na pierwszym piętrze rozległ się łomot, właściwie zaś zabrzmiała kawalkada. Spanikowana Odile zbiegła po schodach:

– W łazience pani nie ma wody, a mimo to słyszę, jak się leje.

– Nad jakim pomieszczeniem znajduje się jej łazienka? – zapytał Blake.
Odile zmarszczyła brwi w zamyśleniu. Manon zawołała:
– Biblioteka. Jest tu obok!
– Pani nie chce, żebyśmy wchodzili do środka – zaprotestowała Odile.
– Nie mamy wyboru – odparł Blake. – Manon, proszę pokazać drogę.
Andrew wszedł do pomieszczenia. Z sufitu lała się woda. Odile przyglądała się wszystkiemu, nie przekroczywszy jednak progu. Blake rzucił w jej stronę:
– Łazienka pani być może nie spełnia już swojej funkcji, ale z przyjemnością mogę oznajmić, że odtąd dysponujemy wodą bieżącą w bibliotece.
– Co robić? – zawołała przerażona Odile.
– Trzeba zakręcić dopływ wody, i to szybko, w przeciwnym razie będzie można kąpać się w encyklopediach. Gdzie się znajduje główny zawór wody?
– W piwnicy.
– Może się tym pani zająć?
– Nie.
– Słucham?
– Nie pójdę.
– Czy mam rozumieć, że należy to do moich kompetencji?
Odile stała jak skamieniała. Blake nalegał:
– Czy mogłaby mi pani przynajmniej pokazać, gdzie się znajduje zawór?
– Z pewnością nie! Prędzej złożę wymówienie. Na dole są wielkie włochate pająki i te okropne myszy.
– Ona boi się pajaków i myszy – westchnęła Manon.
– A pani mogłaby mnie tam zaprowadzić? Pospieszmy się, woda leje się na książki.
– Do piwnicy schodzi się tędy. Nie mam jednak pojęcia, gdzie jest zawór.
Schodząc po zakurzonych i źle oświetlonych schodach, Andrew przypomniał sobie, że jeszcze wczoraj dom wydawał mu się wyjątkowo spokojny.

Korzystając ze słońca, które stało właśnie w zenicie, Blake, Odile i Manon rozkładali mokre książki wzdłuż ogrodzenia warzywniaka, żeby wyschły. Magnier, który przyszedł po obiad, stwierdził:

– Czyli jednak zdecydowała się wystawić te rupiecie na sprzedaż.

Blake wyprostował się z trudem i, nie przerywając osuszania tomu *Cyganeczki* Miguela de Cervantesa, przywitał się, po czym dodał:

– Zanim popełni ten błąd, powinien pan przynajmniej przeczytać tę książkę. To historia Cyganów. Mogłaby się panu przydać.

– Te książki są mokre – zauważył Magnier.

– Mieliśmy problem z hydrauliką.

– Dopóki awaria nie występuje na zewnątrz, dopóty mnie to nie dotyczy.

W progu kuchni pojawiła się Odile i wskazała małe zadaszanie na ścianie, gdzie umieściła hermetyczne pudełko.

– Pański posiłek jest na miejscu. Proszę pamiętać o odniesieniu mi pozostałych pojemników – powiedziała, po czym odwróciła się i wróciła do swoich zajęć. Magnier wziął pojemnik i szykował się do odejścia. Przechodząc obok Blake'a, zaproponował:

– Może wpadłby pan do mnie na kielicha któregoś wieczoru?

– Czemu nie? Może za kilka dni.

– Kiedy pan będzie miał ochotę, panie Blake.

Nadeszła Manon z nową partią książek.

– To już ostatnie, prawie skończyliśmy – oznajmiła. – Całe szczęście, że tak szybko pan zareagował, w przeciwnym razie zniszczyłyby się meble i parkiety. Nie jest źle.

Blake przejął od niej naręczę tomów.

– Dziękuję, Manon.

Razem układali książki na słońcu. Odile była zajęta w kuchni. Blake wykorzystał okazję i zapytał:

– Czy Magnier i Odile zawsze się tak do siebie odnoszą?

– Co pan ma na myśli?

– Są jak pies z kotem.

– Nigdy nie widziałam, żeby zachowywali się inaczej. On nigdy nie wchodzi do domu, chyba że pani go wzywa, ona zaś unika parku, z wyjątkiem ogródka warzywnego.

– Zdarza wam się jadać wspólne posiłki?

– Biorąc pod uwagę moje godziny pracy, nie jest to możliwe. O czternastej trzydzieści muszę już być w szkole w centrum.

– Czym się tam pani zajmuje? Jeśli to nie jest niedyskretne pytanie.

– Pomagam mianowanym nauczycielom, dopóki sama nie zdam egzaminu.

– To doskonały plan!

– Niestety, nie zdałam go w zeszłym roku. Ponieważ mieszkam z matką, musiałam przyjąć tę posadę. Jest jednak miło.

– Skoro już jesteśmy przy pytaniach... Zapewne ma pani komórkę?

– Oczywiście, choć nie jest to najnowszy model.

– Udaje się pani złapać tutaj zasięg?

– Niestety, nie. Kiedyś słyszałam, że jedynym miejscem, z którego można tu dzwonić,

jest wzgórze w lesie.

– Wzgórze w lesie?

– Tak, gdzieś tam.

Wskazała w stronę porośniętego drzewami wzniesienia daleko za domem zarządcy.

Następnie spojrzała na zegarek.

– Muszę lecieć! Nawet na rowerze dojazd do miasta zajmuje dłuższą chwilę.

– Proszę jechać, Manon. Do jutra. I niech się pani nie spóźni, Odile bowiem znowu wygwizdże pani czerwoną kartkę.

– Ależ ja zawsze jestem na czas!

– Oprócz czwartków, z tego, co zrozumiałem.

– To przez Justina. W środy po południu nie ma szkoły, spotykamy się więc wieczorem...

Sam pan rozumie.

Dziewczyna spuściła wzrok i uśmiechnęła się nieśmiało, co wzruszyło Blake'a.

– To przywilej pani wieku. Niech już pani ucieka.

Manon się oddaliła, pomachawszy mu ręką na pożegnanie. Blake oparł ostatnią książkę o ogrodzenie. Była tylko lekko wilgotna. *Ostatni dzień skazańca* Victora Hugo. Diane z pewnością uznałaby, że to znak.

Kiedy Andrew przekroczył próg kuchni, od razu zrozumiał, że Odile jest niezadowolona. Jej gesty były bardziej szorstkie niż zazwyczaj. Nie odwróciła się nawet, żeby z nim porozmawiać.

– Ten poranek zepsuł mi apetyt – stwierdziła. – Znajdzie pan jedzenie w lodówce, na środkowej półce. Tam jest kuchenka mikrofalowa. Pani chce pana widzieć punktualnie o piętnastej w swoim biurze.

– Oczywiście.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba, będę na górze w moim pokoju.

– Źle się pani czuje?

– Przeciwnie. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów będę wreszcie mogła odpocząć między posiłkami. Ponieważ pani uznała za stosowne zatrudnić pana, przynajmniej na coś się pan przyda. Zostawiam interes w pańskich rękach na to popołudnie.

Blake dziwnie się poczuł sam w kuchennym królestwie. Kot, zgodnie ze swoim zwyczajem, leżał bliżej kuchenki niż z samego rana. Andrew otworzył lodówkę i odkrył stos szklanych pojemników z produktami, których w większości nie potrafił zidentyfikować. Zauważył tylko jeden talerz. Zdjął z niego folię spożywczą, przeszukał wszystkie szuflady w poszukiwaniu widelca i wreszcie zasiadł przy stole. Już pierwszy kęs zrobił na nim wrażenie. Danie było wykwinną mieszanką lekko podpieczonego łososia i warzyw. Andrew z przyjemnością pochłonął zawartość talerza, a następnie splukał go w zlewie. Odile najwyraźniej wkładała w gotowanie delikatność, której skąpiła w życiu. Następnie Blake wrócił do ogrodu, żeby nadzorować schnące książki i spędzić kilka chwil na słońcu. Cieszył się na spotkanie z panią Beauvillier. Miał jej sporo do powiedzenia.

– Proszę mi powiedzieć, jakie ma pan wrażenia z pierwszego dnia wśród nas, panie Blake?

– Bardzo burzliwy poranek...

Słońce nie wpadało jeszcze bezpośrednio przez okna, zasłony były odsunięte i Andrew mógł się wreszcie przyjrzeć pani Beauvillier. Jej twarz świadczyła o silnym charakterze. Miała szczupłą, lecz wyraźnie zarysowane dłonie. Nie nosiła innej biżuterii poza skromną złotą obrączką, nieco za luźną, przez co obracającą się wokół serdecznego palca.

– Ten przeciek to poważny kłopot – zmartwiła się. – Boję się o książki. Rozumie pan, bardzo mi na nich zależy. Były pasją François, mojego zmarłego męża.

– Proszę się nie obawiać. Manon wszystko wysprzątała, a książki nie ucierpiały. Już jutro znajdą się z powrotem na półkach.

– Cieszę się. To jednak nie rozwiązuje problemu awarii. Ten dom się sypie... Niech pan poprosi Odile o numer do pana Pisoniego, to on zajmuje się naprawami. Proszę go tutaj jak najszybciej sprowadzić.

– Pisoni. Zanotowałem, proszę pani.

Andrew wyobraził ją sobie jako młodą blondynkę o długich włosach. Pasowały do niej. Obecnie czesała się tak, jak przystało kobiecie w jej wieku – białe włosy miała starannie ułożone w drobne fale. Jej niebieskie oczy musiały niegdyś łamać serca. Ciągnęła:

– Jutro rano pójdzie pan po moją korespondencję do skrzynki przy głównym wejściu.

Otworzymy listy wspólnie, ja zaś powiem panu, na które należy odpowiedzieć.

Blake słuchał tylko jednym uchem, zbyt zajęty przyglądaniem się pani Beauvillier. Miała wąskie, proste wargi, które mogłyby nadać jej surowy wygląd, gdyby ich wyrazu nie niwelował melodyjny głos. Mówiła jeszcze o czymś, ale nie dosłyszał, po czym zakończyła:

– Na tym dzisiaj skończymy.

Blake skinął głową i skierował się do drzwi.

– Ach, byłabym zapomniała! – zawołała za nim. – Jutro podejmuję moją przyjaciółkę, panią Berliner. Spodziewam się jej w porze podwieczorku. Byłabym wdzięczna za nakrycie w małym saloniku na godzinę piętnastą. W najbliższych dniach pojawi się zapewne jeszcze kilka innych osób. Będę pana informować na bieżąco o spotkaniach.

Andrew się uśmiechnął. Nie powiedział pani Beauvillier nic z tego, co zamierzał. Był zbyt zajęty przyglądaniem się jej.

Kiedy Odile zeszła na dół, Blake stał wsparty plecami o framugę drzwi kuchennych wychodzących do ogrodu, zapatrzony w krajobraz.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Nie było żadnych problemów. Wniosłem do środka ostatnie książki. Doschną w pralni.

– Doskonale.

– Podobno pani nieczęsto podejmuje gości...

– Teraz chce pokazać wszystkim swoją nową zabawkę.

– Jaką nową zabawkę?

– Pana.

Blake przyjął cios. Odile, z niemal niezauważalnym uśmiechem na ustach, wślizgnęła się na próg obok niego.

– Jak się panu podoba mój ogródek warzywny?

– Bardzo ładny.
– Miał pan taki w poprzednim miejscu pracy?
– Prawdę mówiąc, moją specjalnością była blacha. Jeśli trafiałem na warzywa, to głównie po to, żeby je pakować do puszek.

Blake uświadomił sobie natychmiast, że żart ten mógł pogрузić oficjalną wersję przebiegu jego kariery, ale Odile jak gdyby nigdy nic ciągnęła dalej:

– Ja wolę je mrozić. Uważam, że dzięki temu lepiej zachowują swój smak. Konserwy wszystkie smakują tak samo.

Ludzie słyszą tylko to, co sami chcą usłyszeć. Blake ponownie zmienił temat rozmowy:

– Pani Beauvillier nigdy nie wychodzi z pokoju?

– Schodzi do gości, ale nieczęsto.

– Szkoda takiego wielkiego domu i parku, żeby siedzieć w zamknięciu.

– Każdy ma prawo robić, na co ma ochotę.

Odile weszła do środka i zwróciła się do Mefista.

– Pewnie jesteś głodny, mój drogi?

Kot nawet nie mrugnął. Leżał niemal przyklejony do kuchenki. Otwierając lodówkę, Odile stwierdziła:

– Zaczyna się robić chłodno, panie Blake. Proszę nie trzymać długo drzwi otwartych.

Andrew rzucił ostatnie spojrzenie na niebo, a następnie jeszcze jedno – w stronę zalesionego wzgórza.

– W porządku, także już wracam.

Odile krzątała się przy lodówce. Andrew zamknął za sobą drzwi i zapytał:

– Czy mogę zadać pani pytanie natury praktycznej?

– Słucham.

– Gdybym chciał zadzwonić...

– Telefon stacjonarny znajduje się w biurze pani. Zgadza się, żeby używano go w razie nagłej potrzeby. Gdzie ja to mogłam włożyć?

– Swoją drogą, dziękuję za obiad. Łosoś był przepyszny.

Odile się odwróciła.

– Łosoś?

– Ten, który przygotowała pani dla mnie na talerzu.

Odile zaczerwieniła się gwałtownie.

– Zjadł pan posiłek Mefista?

Zwierzę nagle otworzyło ślepią. Blake'a zaskoczyło to nawet bardziej niż uwaga kucharki. Jakim cudem kot ją zrozumiał? Jego spojrzenie miało nienaturalnie pomarańczowy kolor.

– Bardzo przepraszam – powiedział bez przekonania. – To było wyborne, nawet lepsze... Przerwał.

– Proszę dokończyć zdanie – złościła się Odile. – Było lepsze od tego, co gotuję dla was?

– Nie to chciałem powiedzieć. Danie było naprawdę wyjątkowe.

– Podobnie jak Magnier, zaczniesz pan uważać, że lepiej być moim kotem niż współpracownikiem?

– Nic takiego nie powiedziałem.

Mefisto śledził wymianę zdań, odwracając za każdym razem głowę w stronę osoby, która akurat mówiła. Blake był zafascynowany.

– Mój biedny synekciu! – lamentowała Odile, pieszcząc zwierzę. – Mamusia szybko przygotowuje ci nowe jedzonko.

Po czym, raptownie zmieniając ton, ponownie zwróciła się do Blake'a:
– Rano nabija się pan ze mnie, a wieczorem zjada posiłek mojego kotka. Dość tego!
Niech pan stąd zmiata!

Mimo panującego półmroku i słabego wzroku Blake zamierzał dopiąć swego. Musiał zadzwonić, nawet gdyby w poszukiwaniu zasięgu przyszło mu się wspinać na drzewa. Co prawda chodziło o pilną sprawę, nie chciał jednak dzwonić z posiadłości, gdzie ktoś mógł przypadkiem podsłuchać jego rozmowę. Ruszył alejką, za opuszczoną wolierą skręcił w stronę lasu i zaczął wspinać się na wzniesienie. Od czasu do czasu dawał się zaskoczyć niskim gałęziom, które chłostały go po twarzy, nie pozwolił się jednak powstrzymać. Szedł, nie zwalniając kroku, potykając się i opierając o pnie, żeby pokonać gęste cierniste krzewy dzielące go od szczytu.

Kiedy w końcu dotarł do wyznaczonego punktu, okazało się, że otacza go prawdziwa mała dżungla krępująca każdy jego krok. Wiał lodowaty wicher. Andrew widział stąd dachy posiadłości i spory obszar doliny, w głębi której było położone najbliższe miasteczko.

Ostrożnie wyjął telefon z kieszeni. Wiedział, że jeśli go upuści w plątaninę gałęzek i zeschniętych z braku dziennego światła roślin, będzie miał spore trudności z odnalezieniem urządzenia. Na samą tę myśl oblewał go zimny pot. Bez komórki był zgubiony. Poprawił okulary i zmrużył oczy, żeby sprawdzić, czy ma tutaj zasięg. Manon miała rację. Dzielna dziewczyna. W książce adresowej miał zapisanych tylko pięć nazwisk. Wybrał Richarda Warda, który odebrał po czwartym sygnale.

- Dobry wieczór, Richardzie! Tu Andrew.
- Jak się miewasz?
- Niezbyt dobrze. Jesteś mi potrzebny.
- Utknąłeś w pojemniku na śmieci? Twój statek tonie?
- Wyobraź sobie, że jestem w samym środku lasu, w krainie szaleńców.
- Ładna definicja Francji.
- Richardzie, poddaję się. Chcę wrócić!
- Przyjechałeś zaledwie wczoraj, poza tym postawiliśmy sprawę jasno.
- Nie masz pojęcia, przez co zdążyłem przejść w tak krótkim czasie.
- Zmusili cię do zjedzenia ślimaków? Spleśniałego sera?
- Blisko: karmy dla kotów. Co gorsza – smakowała mi.
- Lubisz karmę dla kotów? Nie zapomnij, żeby opowiedzieć o tym psychiatrze, zanim lekarz przepisze ci coś na niedrożność jelit.
- Richardzie, miałeś rację. Przyjazd tutaj był głupim pomysłem.
- Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, kolego. Obiecałeś, że dotrwasz przynajmniej do końca okresu próbnego. Dałeś słowo!
- Wczoraj zarządca niemal złamał mi rękę i przyłożył mi strzelbę do gardła, ponieważ zdeptałem mu szczypiołek.
- Widzę, że prowadzisz naprawdę burzliwe życie! Chyba robię się zazdrosny. Kiedy pomyślę, że my z Melissą po prostu oglądaliśmy głupi film w telewizji...
- Błagam cię! W wieku sześćdziesięciu sześciu lat mam już za sobą takie głupoty.
- Brawo, przyjacielu, wytrwałeś dwa razy dłużej niż Chrystus! Jeśli jednak zobaczysz, że zbliżają się do ciebie z wielkim krzyżem i gwoździami, uciekaj, jak możesz najszybciej, i krzycz – wyślę ci posiłki.
- Jestem na skraju wytrzymałości, a ty się ze mnie nabijasz.
- Byłeś już u kresu sił przed wyjazdem, bracie. Przypominam ci, że sam chciałeś tam jechać. Nawet nalegałeś. Ustaliliśmy jednak, że przetrwasz okres próbny, nie przynosząc mi

wstydu, nie wywołując problemów, a potem będziesz wolny.

– A jeśli to ostatnie miesiące życia, jakie mi pozostały?

– Nie próbuj wzbudzić we mnie litości. Gdybyś zresztą był w Londynie, również zmarnowałbyś ten czas.

– Mógłbym odwiedzić Sarę...

– Andrew, wstydz się! Zachowujesz się jak dziesięcioletnie dziecko, które jest skłonne gadać bzdury, żeby tylko uciec przed kłopotami.

– Nie pomożesz mi?

– Już to zrobiłem, ulegając po raz kolejny twojemu kaprynowi. Znalazłem ci tę posadę. Przyjmij więc na siebie odpowiedzialność. Trzymaj się, Andrew! Nie wahaj się zadzwonić, jeśli znajdziesz się w tarapatkach. I postaraj się nie deptać cudzego szczypiorku.

Ward się rozłączył. Andrew został sam pośród nocy i cierni. Zatokczył się. Jego obcas zaczepił o coś i Blake poleciał jak długi do tyłu w gęstwinę kolczastych pnączy. Za żadną cenę nie chciał wypuścić z ręki telefonu.

– *Bloody hell!* – zaklął.

Do oczu napłynęły mu łzy wściekłości i rozpacz, ale poczucie godności nie pozwoliło mu się załamać. Widział się już umierającego tutaj, w lesie, gdzie Youpla znajdzie go na wpół rozszarpanego przez wilki i wiewiórki. Jego zwłoki zostaną spakowane do pojemników Odile i wysłane do Wielkiej Brytanii. Kilka minut zajęło mu uspokojenie szalonych myśli. Z trudem uniósł się na łokciach, po czym zaczął uwalniać się z roślinnych sideł. Cierń po cierniu. Był wycieńczony, kiedy wreszcie wstał.

W drodze powrotnej Andrew uświadomił sobie, że jego ubranie jest zniszczone. Sweter i spodnie były poszarpane. Nadawały się do wyrzucenia. Ramiona, dłonie i twarz nosiły ślady licznych zadrapań i bardzo piekły. Na szczęście był już blisko domu. Blake z ulgą powitał skraj lasu. Zdyszany, zawahał się przez chwilę, czy nie poprosić o pomoc Magniera, ale zniechęciło go ryzyko ponownych tortur i znalezienia się na celowniku.

Już miał podążyć w stronę posiadłości, kiedy nagle mu się wydało, że widzi cień krążący w pobliżu domu zarządcy. Ukrył się za pnem. W blasku padającym z jednego z okien istotnie dostrzegł skradającą się sylwetkę. Złodziej powrócił. Blake przemknął w pobliże rabatki hortensji, żeby lepiej widzieć. Co powinien zrobić? Krzyknąć, żeby zaalarmować Magniera? Zająć się złodziejaskiem osobiście? W jego wieku walka z młodszym mężczyzną mogłaby okazać się niebezpieczna.

Przez listowie zobaczył cień przemykający wzdłuż fasady budynku. Nagle drzwi się otworzyły i wypadł z nich Youpla. Zamiast jednak rzucić się napastnikowi do gardła, pies wyraźnie ucieszył się na jego widok! W progu pojawił się Magnier. Smukła i drobna sylwetka podeszła bliżej. Blake był za daleko, żeby mieć całkowitą pewność, ale na pewno była to młoda dziewczyna. Westchnął. Zarządca i jego gość weszli do domu i zamknęli za sobą drzwi.

Blake wrócił do posiadłości, powłócząc nogami. Na ścianie swojego pokoju będzie znaczył – niczym więźniowie, którzy nie chcą stracić rachuby czasu – każdy przetrwany tutaj dzień. Wolność nie nadejdzie jutro, musi wytrzymać jeszcze cztery miesiące.

- Czy dom jest posprzątny? – zapytała pani Beauvillier.
- Odile szykuje ciastka na popołudnie, Manon skończyła pastować schody i zajmuje się pościelą. Tylko pan Pisoni się spóźnia.
- To dość typowe dla niego. I tak uważam za cud, że zdecydował się tak szybko przybyć. Nie wiem, co mu pan powiedział.
- Powiedzmy, że opisałem sytuację jako krytyczną.
- Przyniósł pan pocztę?
- Właśnie wyjąłem listy ze skrzynki i mam pewną sugestię: czy nie powinno się zainstalować dzwonka przy drzwiach?
- Jeśli nie jest drogi, to czemu nie? Proszę omówić tę kwestię z zarządcą – zastanowimy się nad tym.

Wpatrywała się w pocztę z dziecięcą niecierpliwością. Blake położył na biurku niewielki plik kopert różnych rozmiarów. Pani Beauvillier ceremonialnie otwierała jedną po drugiej za pomocą noża do papieru w kształcie miecza. Najwięcej otrzymała reklam i katalogów, które krzyczały tytułami: Odbierz nagrodę! Jeszcze tylko jeden etap i zgarniesz całą pulę! Twój numer został wylosowany! Wygrałeś wspaniały zestaw multimedialny!

Andrew ze zdziwieniem zauważył, że jego chlebodawczyni traktuje te oszustwa z największą powagą. Zestaw multimedialny przypominał zapewne stary wieszak – jeśli uderzysz się nim w głowę, będziesz mógł policzyć gwiazdy, jeśli wepchniesz go sobie do ucha, usłyszysz chrupanie kości. Czyli multimedia. Pani Beauvillier czytała wszystko, oglądała fałszywe pieczątki i chwytliwe atesty, jak gdyby chodziło o autentyczne pisma notarialne. Za każdym razem wręczała list majordomowi.

- Niech im pan odpisze, że na razie nie zamierzamy nic zamawiać, ale zgadzamy się na udział w konkursie.

Przez chwilę Blake miał wrażenie, że pani Beauvillier sobie z niego żartuje, ale najwyraźniej się mylił. W powodzi ulotek znalazła się również zielona koperta z ręcznie wypisanym adresem. Co interesujące, pani Beauvillier nie zadała sobie nawet trudu, żeby ją otworzyć, i od razu przepuściła list przez niszczarkę stojącą przy biurku. Wśród szmeru kręcących się ostrzy koperta wyłoniła się ponownie w formie cienkich pasków, które wpadły do kosza na śmieci. Z uśmiechem zachwyty na ustach pani Beauvillier sięgnęła po kolejną przesyłkę – tym razem obiecującą czek.

Blake bez mrugnięcia okiem uczestniczył w tym przedziwnym przedstawieniu. Miał wrażenie, że powrócił do czasów, gdy bawił się z kuzynami w szpiegów i udawał, że „tajne dokumenty”, które przekazywali sobie przez okienka wycięte w starych pudłach, wcale nie były zwykłymi wycinkami z gazet. Kończąc spotkanie, pani Beauvillier wydawała się zadowolona, jak gdyby wypełniła pilne i przydatne zadanie.

Kiedy Andrew opuszczał jej piętro, nie bardzo wiedział, co sądzić o pracodawczyni. Spotkał Manon, która czyściła wystylizowaną figurkę niedźwiedzia stojącą na kredensie. Blake wyczuł, że odkurzała ją tylko po to, żeby mieć się czym zająć w oczekiwaniu na spotkanie z nim.

- Panie Blake! – powiedziała cicho.
- Tak, Manon?
- Chciałabym pana o coś zapytać.
- W jakiej kwestii?

– Wolę powiedzieć o tym panu niż Odile, ona bowiem cały czas się złości. Chodzi o to, że w przyszły wtorek Justin ma urodziny i szykuję dla niego niespodziankę.

– Chciałaby pani dostać wypłatę przed końcem miesiąca?

– Nie, w porządku, daję sobie radę! Chciałabym wziąć wolne tego dnia, żeby wszystko zorganizować.

– Jaki jest pani rozkład dnia we wtorek?

– Sprzątam pańskie piętro i oba salony.

– Powinniśmy dać sobie radę. Porozmawiam z panią Beauvillier.

Dziewczyna aż podskoczyła z radości.

– Dziękuję, ależ pan jest miluchny!

Andrew nie znał tego wyrażenia. Na widok jego pełnej powątpiewania miny Manon uściśliła:

– To znaczy, że jest pan kochany, słodki jak krem... angielski!

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi wejściowych. Blake zszedł na dół, ale Odile zdążyła już otworzyć.

– Dzień dobry, panie Pisoni.

– Witam! Dawno się nie widzieliśmy!

– Wszystko działało – wyjaśniła kucharka. – Nie było powodu, żeby pana wzywać.

– Już myślałem, że się pani na mnie obraziła i wzywa majstra z Plassart. Trafiają mu się tylko proste naprawy, ale gdy chodzi o coś trudniejszego, kiedy potrzeba eksperta, zawsze pada na Pisoniego. Marzę, żeby klient zadzwonił do mnie z prostą sprawą, nieprędko jednak nadejdzie ten dzień.

Mężczyzna był niskiego wzrostu, krągły i najwyraźniej miał temperament sangwinika. Nie przyszedł sam. Za nim wszedł wielki, umięśniony typ niosący skrzynkę z narzędziami.

Odile przedstawiła ich sobie.

– Odtąd pan Blake, nasz nowy majordom, będzie nadzorował prace.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– „Blake” brzmi z angielska – zauważył Pisoni.

– Istotnie, jestem Anglikiem.

– Spróbujmy dogadywać się lepiej niż nasi przodkowie. Pochodzę z Korsyki.

– Jeśli do jutra awaria nie zostanie usunięta, ześlę pana na Elbę.

– Nie przepadam, kiedy żartuje się z naszego cesarza. Był wielkim człowiekiem.

– Niezbyt wielkim, z tego, co wiem. Ale żarty na bok! Nawet jeśli Francuzi podobno stronią od mydła, chodźmy naprawić tę łazienkę.

Trzej mężczyźni i Odile ruszyli w stronę apartamentów chlebobawczyni. Nie było jej w gabinecie. Odile zapukała do drzwi sąsiedniego pokoju.

– Proszę pani, przyszli hydraulicy.

Pani Beauvillier odpowiedziała po osobliwie długiej chwili. Kiedy wreszcie otworzyła drzwi, wyglądała na przerażoną. Zasłony w pokoju były zaciągnięte. Blake wszedł do środka po raz pierwszy. Stwierdził, że pomieszczenie jest mniejsze, niż można było sądzić po rozmiarach korytarza. Odile skierowała wszystkich do łazienki. Nie było tam żadnego produktu kosmetycznego i ani jednego ręcznika – najwyraźniej łazienkę opróżniono przed wizytą mężczyzn. Mimo to unosił się tutaj jeszcze zapach, być może jaśminu, z nutą czegoś, co kojarzyło się z lekarstwem. Blake wyczuł ponadto inną woń, której w pierwszej chwili nie zdołał zidentyfikować.

– Oleg, podaj mi kleszcze!

Olbrzym otworzył skrzynkę i wyciągnął z niej narzędzie. Niczym chirurg Pisoni

wślizgnął się pod umywalkę, a następnie zajrzał pod wannę. Wyprostował się i zaczął narzekać.

– Ojej! Co to za instalacja? Chyba pamięta czasy faraonów! Jeśli zostawicie to w tym stanie, pojawią się nowe przecieki, kolejne szkody, a któregoś dnia dom będzie tak przeżarty przez wilgoć, że zawali wam się na głowy i zginiecie w jego ruinach.

Blake się wtrącił.

– Przepięknie. Brzmi to niemal jak przepowiednia biblijna. To byłaby chyba ósma plaga egipska, najmniej znana, o której nigdy się nie mówi: klątwa uszczelki pod umywalką.

Pisoni zbył jego uwagę milczeniem i zwrócił się do Odile:

– Zrobi pani, co uważa, ale ja nie zmienię zdania. Wszystko tu jest do przerobienia.

Oleg przyglądał się szefowi z osobliwą miną. Pisoni sięgnął po notatnik i dodał:

– Przygotuję kosztorys, bardzo szybko, ponieważ czas nagli. Dostanie go pani za trzy tygodnie. Znamy się od dawna z panią Beauvillier. Mam do niej zaufanie. Jeśli będzie chciała, mogę rozpocząć prace nawet bez kosztorysu.

Odile gotowa była ustąpić. Rzuciła pytające spojrzenie Blake'owi, który przejął pałeczkę.

– Jeśli pan pozwoli, panie Pisoni, zrobimy wszystko po kolei. Najpierw pan nam powie, jakie prace zamierza przeprowadzić i ile będą one kosztować, a następnie my zdecydujemy, czy taki plan nam odpowiada.

Pisoni robił wszystko, żeby nie musieć rozmawiać z Andrew.

– Pani Odile, instalacja przegniła. Im szybciej się za to zabierzemy, tym lepiej. To kwestia bezpieczeństwa narodowego.

Żeby zaakcentować powagę swojej demonstracji, zwrócił się do robotnika.

– Oleg, podaj młotek!

Siłacz wręczył mu młot kamieniarski, ale Blake się sprzeciwił.

– Nie będziemy teraz niczego niszczyć. Proszę o wykonanie kosztorysu, który porównamy z innymi.

– Co to za podstęp? Bitwa pod Trafalgarem?

– Proszę zapytać cesarza.

- Już się cieszę na wychodne! – zawołał Blake.
- Tymczasem niech pan to zanieś – odparła Odile, wręczając mu tacę ze słodkościami.
- Proszę niczego nie zrzucić.

Andrew wyszedł z kuchni, minął hol i biodrem pchnął drzwi prowadzące do małego salonu. Pani Beauvillier siedziała na spłowiełej sofie naprzeciw zagłębionej w fotelu pani Berliner, lśniącej jak złoto. Z okazji wizyty u swojej przyjaciółki żona sprzedawcy polis ubezpieczeniowych obwiesiła się całą swoją biżuterią. Niczym pełna podziwu i trochę zazdrosna dziewczynka, pani Beauvillier przyglądała się napuszonej koleżance. Ta kobieta najwyraźniej lubiła się słuchać.

- Moja ty nieszczęsna! Nie wiem, jak sobie dajesz radę sama w tych trudnych czasach.

Blake podsunął jej tacę, licząc, że dzięki temu kobieta na chwilę zamilknie. Sięgając po jedno z ciasteczek przygotowanych przez Odile, pani Berliner zgmiotła dwa inne z nim sąsiadujące. Nawet nie zdała sobie z tego sprawy i włożyła herbatnika do ust, nie przestając mówić.

– My na przykład zdecydowaliśmy się na remont domu. Mimo że znalezienie chętnych do pracy majstrów kosztowało nas wiele trudu. Nie mieliśmy jednak wyboru, pokoje gościnne wyglądają już bowiem zupełnie niemodnie. Byliśmy zmuszeni zatrudnić dekoratora wnętrz. Same kłopoty! Widzieliśmy już jednak projekt i mogę powiedzieć, że w pełni wart był całego tego zachodu. Będzie cu-do-wnie!

Kiedy tylko Andrew ją zobaczył, wydała mu się kobietą niesympatyczną. Uderzyło go coś w jej postawie, w jej stosunku do innych ludzi. Blake podsunął tacę chlebobawczyni, która uznała za stosowne wziąć jedno z pokruszonych ciasteczek. Po raz pierwszy Blake zbliżył się do niej na tak małą odległość, bez przeszkody w formie biurka między nimi. W jej spojrzeniu było coś budzącego zakłopotanie – mieszanina smutku i napięcia. Zaoferował dolewkę kawy, a tymczasem pani Berliner mówiła dalej:

– Wymienię także wszystkie zasłony. Mam ich już dość. Życie jest naprawdę zbyt krótkie, żeby spędzać je w otoczeniu brzydkich przedmiotów!

„Życie jest zbyt krótkie, żeby marnować choćby minutę w towarzystwie osoby pani pokroju” – pomyślał Blake. Znał wielu podobnych ludzi, takich, którzy przychodzą, żeby was posłuchać, ale w rezultacie mówią tylko o sobie, przechwalają się przed tymi, którym szczęście mniej dopisało, żeby zyskać we własnych oczach. Andrew nigdy ich nie znosił. Wyraz twarzy pani Beauvillier poruszył go. Zmuszała się do okazania zainteresowania gościowi, rzucając przerażone, ukradkowe spojrzenia na własny salon, którego nagle zaczęła się wstydzić. Nic dziwnego, że po takim spotkaniu zamyka się później na cały dzień w sypialni.

- Dziękuję, panie Blake. Może nas już pan zostawić.

Wstyd źle znosi obecność świadków.

Tego wieczoru w kuchni, kiedy Andrew zajął miejsce naprzeciw Odile, wciąż jeszcze się w nim gotowało. Kucharka przyglądała mu się z rozbawieniem.

- Co panią tak śmieszy? – zapytał.
- Pan. Zazwyczaj to ja jestem najbardziej wściekłą osobą w całym domu. Podoba mi się, że ktoś wziął to teraz na siebie.
- Czy pani jednak nie rozumie? Z jednej strony majster oszust, z drugiej zaś – ta zła kobieta. Idealny przepis na zniszczenie sobie życia.

– W pełni się z panem zgadzam. Proszę tylko poczekać, aż zobaczy pan pozostałych znajomych naszej pracodawczyni.

– W podobnym stylu?

– Niektórzy są jeszcze gorsi.

– Nie wygląda na osobę, która lubi obracać się w złym towarzystwie.

– Z pewnością nie, ale kiedy ktoś boi się nawet własnego cienia, łatwo może zblądzić.

Proszę wybaczyć! – ciągnęła Odile. – Właściwie nie powinnam mówić w ten sposób o pani.

Mefisto patrzył na Blake'a swoim nadprzyrodzonym wzrokiem. Znajdował się mniej więcej w odległości metra od kuchenki. Andrew wskazał na niego ruchem głowy.

– Chyba wybaczył mi, że zjadłem jego posiłek.

– Ma dobre serce...

– Nie chcę wracać do drażliwego tematu, ale jedzenie było naprawdę wyśmienite.

– Nie smakuje panu to, co gotuję dla ludzi? Tutaj zresztą, mając wokół siebie panią, która nie lubi nietypowych potraw, i Philippe'a, który zje byle co, nie widzę powodu, żeby się przesadnie starać.

– Nie twierdzę, że pani kuchnia jest zła, powiedziałem tylko, że trzeba mieć nie lada talent, żeby przygotować tak smaczne jedzenie dla kota.

Odile czym prędzej wstała, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest wzruszona.

Sięgnęła po ścierkę, po czym otworzyła piekarnik, który okazał się pusty, następnie zaś umyła ręce, chociaż były czyste.

Blake puścił oko do kota.

– Powiadasz więc, że nie lubisz pieszczot?

Kot odwrócił wzrok.

– Tym gorzej dla ciebie – ciągnął Andrew. – Twój wybór.

– Bardzo lubi, kiedy się go głaszcze – wtrąciła Odile. – Ale tylko wtedy, kiedy ja to robię, poza tym to nie jego pora, gdyż zazwyczaj...

Mefisto nie pozwolił jej dokończyć zdania – wstał, podszedł bliżej i pomrukując, zaczął ocierać się o nogi Blake'a. Zwierzę dosłownie lepilo mu się do łydek. Kucharka była równie zdumiona, jak zazdrosna. Andrew pogłaskał kota, który wcale się przed tym nie bronił.

– To zwierzę pasuje do pani, Odile: szczery wdzięk pod pozorami wyniosłości.

Odile otworzyła usta ze zdumienia. Blake zapytał:

– Wie pani, dlaczego on ciągle zmienia miejsce w kuchni?

– To kot, nie musi działać racjonalnie.

– Nie jestem pewien. Pozwoli pani, że przeprowadzę pewne doświadczenie w najbliższych dniach?

– Co pan zamierza?

– Proszę mi zaufać.

– Musi pan obiecać, że nie zrobi mu pan krzywdy i nie będzie go denerwował.

– Mefistowi nic nie grozi, pani jednak...

Kucharka uczyniła gest, jakby zamierzała rzucić w majordoma ścierkę. Przez ułamek sekundy atmosfera między nimi zelżała.

– Pani Odile, posiłek był doskonały, ale muszę teraz panią opuścić. Idę do pana Magniera. Muszę z nim porozmawiać, między innymi o remoncie.

Youpla wypadł przez uchylone drzwi i rzucił się ku Andrew, witając go radośnie. Skamlał i podskakiwał, kręcąc ogonem niczym śmigłem helikoptera. Prawdziwy stróż.

– Pan Cake! Jak to miło, że pan wpadł. Gdybym wiedział, coś bym przygotował.

– Przepraszam, że przychodzę niezapowiedziany, ale muszę z panem porozmawiać. Nie przeszkadzam? Nie spodziewa się pan nikogo?

Magnier pokręcił głową z uśmiechem, ale najwyraźniej nie czuł się swobodnie.

– Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję. Właśnie wstałem od stołu.

– Może likieru?

– Naprawdę dziękuję.

– Gra pan w szachy?

Andrew nie był pewien, czy zrozumiał sens tego pytania.

– Co pan ma na myśli? To jeszcze jedno z pańskich powiedzonek?

– Nie, po prostu pytam, czy grywa pan w szachy. Wie pan, takie czarno-białe kratki, król, królowa, wieże i konie?

– Dlaczego pan pyta?

– Nie wygląda mi pan bowiem na kogoś, kto lubi siedzieć godzinami przy butelce, zastanawiam się więc, jak moglibyśmy inaczej wspólnie spędzać czas.

Szczerść Philippe'a była rozbrajająca.

– Grywałem w młodości, ale to było dawno temu.

– Doskonale. Razem więc przypomnimy sobie tę grę. Chyba jednak nie dziś wieczorem.

O czym chciał pan ze mną porozmawiać?

– Wydaje mi się, że powinniśmy naprawić domofon przy drzwiach wejściowych i interkom łączący posiadłość z pańskim domem.

Magnier skrzywił się i potarł ręką brodę.

– Jeśli chodzi o drzwi wejściowe, nie mam nic przeciwko. Co zaś do moich... Jeśli to pan będzie go używał, to w porządku, ale jeśli to Odile...

Andrew wykorzystał okazję, żeby zapytać:

– Co się dzieje między panem a Odile?

– Łatwiej byłoby powiedzieć, co się nie dzieje. Nie mam nawet prawa wchodzić do kuchni! A przecież pracujemy dla jednej chlebodawczyni!

– Sprzeczacie się?

– Ona zawsze się bała, że straci posadę. Odrzuca więc wszystkich, którzy mogliby wkroczyć na jej terytorium. Pracowałem u pani Beauvillier, jeszcze zanim Odile się pojawiła, ale mieszkałem tutaj, na uboczu, zachowanie dystansu nie stanowiło zatem problemu. Z panem trudniej jej będzie sobie poradzić.

– Z biegiem lat nie poczuła się pewniej?

– Nie bardzo.

– Wydawało mi się, że ma panu coś za złe.

– Jest coś jeszcze. Panu mogę powiedzieć. Żyję sam, ona również jest samotna, pewnego razu usiłowałem więc zmienić nasz status za jednym zamachem...

– Rozumiem.

– Bardzo źle zareagowała. Od tamtej pory unika mnie i trzyma na dystans. Może nie

wykazałem się wielkim taktem, ale mimo wszystko...!

– Przepraszam, że zadaję panu te wszystkie pytania, ale usiłuję zrozumieć, dlaczego nie tutaj nie działa tak, jak powinno, zarówno w rurach z wodą, jak i w ludzkich głowach.

– Świat już, niestety, taki jest, panie Clack! Niełatwa do pojęcia jest ludzka kondycja. Nikt nie potrafi uciec przed bałaganem, jaki rządzi niedoskonałym światem.

– Czyli to prawda, co mówią...

– Na jaki temat?

– Podobno Francuzi filozofują na każdy temat. Proszę, Magnier, niech mnie pan poczęstuje kieliszeczkiem swojej mieszanki i zmykam.

Philippe czym prędzej wyciągnął kieliszki i butelkę bez etykiety.

– Wie pan co, panie Flakes? Przyjemnie będzie grać w szachy na zewnątrz. Możemy usiąść w altanie, bardzo tam przytulnie. Wykorzystamy ostatnie ciepłe dni.

– Lubię pana, panie Magnier. Naprawdę pana lubię. Jeśli jednak jeszcze raz przekręci pan moje nazwisko, zmuszę pana do zjedzenia zdeptanego szczybiorku.

Już po raz czwarty Blake ostrożnie położył tajemnicze urządzenie obok kota, który pozwolił mu się pogłaskać. Codziennie powtarzali ten rytuał.

– W końcu zgłębię twoją tajemnicę – szepnął.

Kuchnia była skąpana w promieniach ostrego, porannego światła. Odile pomagała pani na górze w porannej toalecie. Punktualnie o dziewiątej Andrew usłyszał dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Wszedł do holu, ale odgłos nie dobiegał od strony drzwi wejściowych. Cofnął się i w głębi korytarza prowadzącego do zachodniego skrzydła budynku dostrzegł przemykający cień człowieka. Jeśli to Manon, dlaczego weszła służbowym wejściem, którego nigdy nie używano? A jeśli to nie Manon? Blake uznał, że musi to sprawdzić. Zdecydowanym krokiem ruszył na poszukiwanie tajemniczej postaci. Nie zastał nikogo w spiżarni ani w pralni. Ostrożnie otworzył ostatnie drzwi.

– Manon, jest pani tutaj?

W pomieszczeniu gospodarczym zobaczył dziewczynę. Krzątała się przy jednej z półek.

– Dzień dobry, panie Blake. Jak się pan miewa?

Nie odwróciła się do niego. Coś się tutaj nie kleiło. Andrew zastanawiał się już, czy nie wyjść, ale pozostawienie pytania bez odpowiedzi nie leżało w jego naturze.

– Dziękuję, dobrze. A pani?

– *Cool!* Wszystko w porządku.

Nawet głos dziewczyny wydał mu się dziwny.

– Jak minęły urodziny Justina? Zdążyła pani wszystko przygotować?

Dziewczyna westchnęła i przestała myszkować wśród butelek. Oparła czoło o półkę i nagle się rozszlochała.

– Manon, co się dzieje?

Andrew położył dłoń na jej ramieniu. Nie była w stanie od razu odpowiedzieć. Płakała przez chwilę, po czym szepnęła:

– To był najgorszy wieczór w moim życiu.

– Nie zawsze wszystko wychodzi tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Z pewnością jednak nie warto z tego powodu wpadać w tak wielką rozpacz.

Manon się odwróciła. Na jej twarzy malował się wyraz bólu, oczy miała zapuchnięte i czerwone od płaczu.

– Nie o to chodzi – powiedziała, pociągając nosem. – On mnie zostawił.

– Zostawił panią w swoje urodziny? Dlaczego?

– Bo to drań!

– Coś chyba pani powiedział?

– Justin nie chce mieć ze mną dziecka.

– Może jest jeszcze za wcześnie na takie plany?

– Niezupełnie. Od dwóch i pół miesiąca jestem w ciąży...

Andrew cofnął się o krok. Manon dodała:

– Chciałam mu zrobić niespodziankę. Byłam taka szczęśliwa, że powiem mu o tym w dniu jego dwudziestych szóstych urodzin. Najpierw uznał, że żartuję, że go testuję. Kiedy uświadomił sobie, że to prawda, wpadł we wściekłość. Oskarżył mnie o to, że zrobiłam to specjalnie, chociaż to nieprawda! Powiedział, że wzięłam jego życie jako zakładnika, ale on na to nie pozwoli. Pokłóciliśmy się i Justin wszedł, przysięgając, że nigdy więcej się już nie

zobaczymy.

W maleńkim pomieszczeniu, pośród półek pełnych pudełek, butelek i flakoników, w świetle gołej żarówki zwisającej z sufitu, Andrew odwrócił wiadro do góry dnem i zachęcił Manon, żeby usiadła. Sam zajął miejsce na skrzynce z butelkami. Znalazł rolkę papieru toaletowego i wręczył ją dziewczynie.

– Do wytarcia nosa.

– Dziękuję.

– Rozmawiała pani z matką?

– Ona nienawidzi Justina, zabroniła mi się z nim spotykać. Kiedy się dowie, że jestem z nim w ciąży, wypędzi mnie z domu. Poza tym chcę zatrzymać to dziecko. Sama je wychowam! Chcę patrzeć, jak dorasta. To moje maleństwo, czuję się na nie gotowa. Znając moje szczęście, pewnie będzie podobne do swojego ojca i codziennie będę go w nim widziała. Przynajmniej jednak będę mogła je przytulić...

Manon znów się rozplakała. Andrew dotknął jej nadgarstka.

– Chce pani poznać moje zdanie?

– Proszę powiedzieć, panie Blake, ale to niczego nie zmieni. Justin odszedł, dziecko urodzi się w maju, nie zdam egzaminu, matka zaś wyrzuci mnie na ulicę.

– Widzi pani wszystko w czarnych barwach. Musi pani się odprężyć i zastanowić.

– Dobry żart! To nie pan jest na moim miejscu. Nie potrzebuję książkowych porad. Jest pan miły, ale nie ma pan pojęcia, jak się czuję!

– Może trudno to pani sobie wyobrazić, Manon, ale byłem kiedyś w pani wieku. Jestem również ojcem dziewczyny niewiele starszej od pani. I nawet jeśli nigdy nie byłem w ciąży, to doskonale pamiętam, co się działo w mojej głowie, kiedy żona oznajmiła mi, że zostanę tatą. Wtedy naprawdę bardzo chcieliśmy mieć dziecko. Mimo to tego wieczoru, kiedy żona oznajmiła, że właśnie jest ono w drodze, spanikowałem. Starłem się jej tego nie okazać, ale miałem ochotę uciec. Żona nigdy się o tym nie dowiedziała. Jest pani pierwszą osobą, której o tym mówię. Nigdy nie przestałem się zastanawiać, dlaczego zareagowałem tak paradoksalnie. Przez czterdzieści lat nie udało mi się znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Chyba przestraszyłem się odpowiedzialności. Bałem się, że nie będę miał już prawa być tym beztroskim młodym mężczyzną, za jakiego się uważałem. Szczerze mówiąc, obawiałem się także, że moja żona pokocha kogoś jeszcze oprócz mnie. To nie usprawiedliwia mojej winy, ale może przynajmniej ją wyjaśnia.

Manon przyglądała się Blake'owi. On zaś mówił dalej:

– Nie znam Justina, ale zdradzę pani pewien sekret: wszyscy mężczyźni funkcjonują mniej więcej tak samo. Wydajemy się różni, nasze drogi życiowe wyglądają inaczej, napędza nas jednak ten sam mechanizm. Spędzamy czas na zaspokajaniu naszych chęci, wypełnianiu obowiązków – w takim stopniu, w jakim to możliwe. Z wami, dziewczynami, jest inaczej. W przeciwieństwie do nas, nigdy nie robicie niczego dla siebie. Waszym życiem nie kierują wasze potrzeby, ale potrzeby tych, których kochacie. My dążymy do jednego celu, wy robicie wszystko dla innych.

– Czy to znaczy, że Justin wróci?

– Oto przykład praktycznego kobiecego myślenia w zestawieniu z abstrakcyjnymi męskimi teoriami. Oczywiście ma pani rację – życie składa się z konkretów. Chciałbym móc panią pocieszyć, ale nie mam pojęcia, czy Justin wróci. Rozumiem jednak pani chęć oznajmienia mu radosnej nowiny i jego reakcję.

– Przestraszył się?

– Zapewne. Do tego stopnia, że zaczął mówić od rzeczy.

– Jest zazdrosny o dziecko?
– Nie bardzo można przypisywać mężczyznom tak dalekosiężne myślenie. Spodziewał się, że uczucie jego święto, młodego i wolnego człowieka...
– Superprzystojnego!
– Tymczasem pani mu oznajmiła, że do końca waszych dni połączy was odpowiedzialność za małą istotkę.
Manon pociągnęła nosem.
– Ależ ze mnie idiotka!
– Tutaj znowu szybka kobieca ocena wobec męskich wątpliwości. Zrobiła pani to, co uważała za najlepsze. I słusznie. Chociaż nie uzyskała pani spodziewanego rezultatu. Na jaką reakcję pani liczyła?
– Marzyłam o tym od tygodni. Oczyma duszy widziałam idealną scenę. On skacze z radości, bierze mnie w ramiona i tuli do siebie – ale nie za mocno, żeby nie zgnieść dzidziusia – po czym wybiega z domu i pędzi do kwiaciarni. Tam wykupuje wszystkie czerwone róże i wręcza mi je, klęka przede mną i prosi mnie o rękę.
– Jedno udało się pani trafnie przewidzieć: wybiegł z domu.
– Naśmiewa się pan ze mnie.
– Manon, usiłuję tylko pokazać, że nawet w najtrudniejszych chwilach nie wszystko wygląda tak tragicznie, jak to sobie wyobrażamy. Jest pani zdrowa, dziecko zapewne również. Justin żyje. Wszystko jest możliwe.
Manon znów wytarła nos.
– Co powinnam zrobić?
Przenikliwy gwizd wypełnił cały budynek.
– Koniec gry – stwierdził Andrew. – Zastanowię się.
– Odile pewnie szuka mnie już od dłuższej chwili, musi być wściekła. Proszę mi obiecać, że nic jej pan nie powie.
– Obiecuję. Wolę jednak nie myśleć, co sobie wyobrazi, jeśli zobaczy, jak oboje wychodzimy z tego składziku...

Blake i Magnier leżeli obok siebie na podłodze w łazience, ugniatając uszczelki na rurze doprowadzającej wodę do wanny.

– Proszę mocno trzymać, panie Blake, inaczej jeszcze wszystko wyrwiemy.

– Dalej, proszę zaciskać!

Na ich widok Odile cofnęła się odruchowo. Obaj mężczyźni się podnieśli, wykonawszy zadanie. Kucharka uniosła brew i stwierdziła:

– Rano chowa się pan z pokojówką w szafie, teraz tarza się pan z zarządcą po łazience...

– A dzień się jeszcze nie skończył! – dodał z ironią Andrew. – Proszę uważać.

Magnier zarechotał. Odile była wyraźnie niezadowolona, widząc go w domu. Blake stanął na nogi z wysiłkiem i oznajmił:

– Schodzę do piwnicy, żeby odkręcić wodę. Panie Magnier, proszę sprawdzić, czy coś cieknie. Niech pan nie zapomni o umywalce. Odile, w razie problemu, proszę zagwizdać krótko dwa razy. Będziecie musieli poczekać, trochę czasu zajmie mi bowiem zejście po schodach. Idę zatem...

– Postaramy się zachowywać jak należy – zażartował Philippe.

Kucharka rzuciła mu natychmiast ponure spojrzenie.

Kiedy Blake wdrapał się w końcu z powrotem na górę, woda płynęła z kranu – po przecieku nie było śladu.

– To powinno wystarczyć do czasu dostarczenia kosztorysu przez pana Pisoniego – stwierdziła z ulgą Odile.

Wychodząc przez pokój pani Beauvillier, Blake utwierdził się we wrażeniu, jakie odniósł podczas pierwszej w nim wizyty – pomieszczenie było naprawdę niewielkie. Kiedy znaleźli się na korytarzu, spróbował ocenić długość pokoju i łazienki. Nawet na oko ściana korytarza ciągnęła się znacznie dalej niż oba te pomieszczenia.

Z kolei Magnier rozglądał się dookoła niczym dziecko, któremu pozwolono wejść na zakazany teren.

– Czyli jesteśmy umówieni? – rzucił Magnier do Andrew. – Po obiedzie wpadnie pan do mnie i pokaże panu park?

– Z przyjemnością. Przy okazji sprawdzimy domofon. Odile, może miałyby pani ochotę się do nas przyłączyć?

Zaskoczona kucharka zamknęła się niczym ostryga skropiona sokiem z cytryny.

– Dziękuję, ale nie mam czasu. Muszę przygotować listę zakupów na przyszły tydzień.

Po czym ostrzejszym tonem dodała, zwracając się do Magniera:

– Listę może pan odebrać wraz z wieczornym posiłkiem. Proszę tym razem o niczym nie zapomnieć, pani przyjmuje ostatnio więcej gości.

Magnier ruszył do wyjścia. Odile została w kuchni z Blakiem i Mefistem.

– Zrozumiałem strategię kocura – oświadczył majordom.

– Jeśli ma pan jakieś zastrzeżenia w stosunku do mojego kota, nie będę pana karmić przez tydzień.

– Dwadzieścia dwa stopnie.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Ma gorączkę?

Po chwili, uświadomiwszy sobie, co wiązałyby się z taką ewentualnością, natychmiast się uniosła:

– Jest pan nienormalny? Zmierzył mu pan temperaturę?

– Proszę się uspokoić. Zmierzyłem tylko temperaturę w miejscu, w którym Mefisto się sadowi. Cały czas przebywa tam, gdzie akurat są dwadzieścia dwa stopnie. Kiedy piekarnik jest włączony, Mefisto się cofa, robi mu się bowiem za ciepło, a kiedy drzwi od ogrodu stoją zbyt długo otwarte, zbliża się do pieca.

Odile wyglądała na zaskoczoną. Spojrzała na swojego kota z jeszcze większym podziwem.

– Mefisto, jesteś geniuszem!

– To raczej kulka futra, której bardzo zależy na komforcie...

Za żywopłotem Magnier otworzył drewnianą furtkę i zachęcił Blake'a, żeby wszedł dalej. Andrew natychmiast uległ urokowi tej odległej części ogrodu.

– Przepięknie tutaj! – szepnął.

– Osiemset krzewów różanych, dwadzieścia dwie odmiany. Wszystkie posadziłem osobiście i teraz o nie dbam. O tej porze roku zostało już niewiele kwiatów, ale latem jest tutaj wspaniale. Proszę przejść dalej i powdychać ten zapach. Jest silniejszy, kiedy świeci słońce, ale nawet w taki dzień jak dziś można doświadczyć czegoś wspaniałego.

Blake ruszył między usianymi kwiatami kępami krzewów. Od bieli po intensywną czerwień, przez wszystkie możliwe odcienie, róże tworzyły kolorowy wir – kremowe, pomarańczowe, karminowe, cynobrowe. Andrew kroczył, wdychając głęboko powietrze do płuc, łapiąc w nozdrza woń unoszącą się w powietrzu, idąc za ulotnym zapachem, jakby odkrywając świat. Pokonał zaledwie kilka metrów, a już znalazł się poza zasięgiem rzeczywistości. Zapachy były niczym wesołe wróżki, które latały wokół niczego, łaskotały go w nosie, obdarowując przeróżnymi doznaniem. Andrew zamknął oczy i pomyślał, że musi tu koniecznie wrócić z Diane.

– W głębi postawiłem ławkę – wyjaśnił Magnier.

Głos zarządcy ściągnął Blake'a z powrotem na ziemię.

– Cudownie – powtórzył zamyślony.

– Naprawdę się cieszę, że ktoś to docenia. Ja już nawet tego nie zauważam.

– Pani nigdy tu nie przychodzi?

– Nie, od śmierci pana François. To on poprosił mnie o założenie ogrodu różanego dla żony.

– Znał pan dobrze pana Beauvillier?

– On mnie zatrudnił! Zabawna historia. W pewien poniedziałek, będzie z piętnaście lat temu, zostałem zwolniony z fabryki, gdzie pracowałem jako tokarz. Wyrzucono mnie z dnia na dzień jak jakiegoś drania, ze wszystkimi pozostałymi pracownikami warsztatu metalurgii, ponieważ podobno staliśmy się nieopłacalni. Pracodawca postanowił przenieść zakład do Polski. Zostałem bez niczego. Nie miałem za co opłacić czynszu za mieszkanie, nie odłożyłem bowiem ani grosza na czarną godzinę. W okolicy nie było żadnych miejsc pracy. Katastrofa! Byłem w takim szoku, że postanowiłem nic nie mówić matce, która wówczas jeszcze żyła. Pokój jej duszy. Nazajutrz, jak w każdy wtorek, wziąłem rower i pojechałem ją odwiedzić. Nagle zobaczyłem wielki samochód nadjeżdżający z naprzeciwka. Poruszał się dziwacznie: najpierw sunął zygzakiem, następnie gwałtownie skręcił i uderzył w pień wielkiego kasztanowca! Okropne zderzenie. Potworny huk. Byłem pewien, że kierowca zginął na miejscu. Rzuciłem rower i pobiegłem ku niemu. Silnik zajął się ogniem. Przez potłuczoną przednią szybę dostrzegłem mężczyznę, który machał do mnie ręką. Nie wiem dlaczego, ale podszedłem do niego bez namysłu. Wyciągnąłem nieszczęśnika, zaciągnąłem na bok i oparłem o drzewo. Wtedy samochód wybuchł. Pan Beauvillier po prostu zasłabł za kierownicą. Po dwóch miesiącach spędzonych w szpitalu odszukał mnie, a kiedy opowiedziałem mu o sobie, zaproponował mi pracę. Mogę powiedzieć, że kolejne lata należały do najpiękniejszych w moim życiu. Hugo, ich syn, ukończył właśnie studia i miał wyjechać do Afryki Południowej. Nie poznałem go dobrze, ale był sympatycznym młodym człowiekiem. Dużo się śmiałyśmy. Pani i pan dobrze się rozumieli. Zajmowałem się wszystkim. W tamtym czasie rozplanowano na nowo wygląd ogrodów. Pan

pozwoił mi odnowić dom w parku i zamieszkać w nim. Pan François był miłym facetem. Niestety, choroba nie zwraca uwagi na to, czy ktoś jest dobry, czy też jest draniem, a jemu przyszło umrzeć przedwcześnie. Czasami wspominam poranek w dniu jego hospitalizacji – rozmawialiśmy jeszcze na schodach posiadłości. Mówił o pracach, które należy wykonać, po czym wyjechał i nigdy już do nas nie wrócił. Rozmawialiśmy wtedy po raz ostatni, sami o tym nie wiedząc.

Na końcu alejki stała ławka. Umieszczono ją na niewielkim wzniesieniu, skąd roztaczał się doskonały widok na morze kwiatów.

– Usiądziemy na chwilę? – zapytał Magnier.

Andrew zajął miejsce.

– Pani Beauvillier wie, że nadal dba pan o różany ogród?

– Nigdy o nim nie wspomina, ale zapewne podejrzewa mnie o to. Dostatecznie dokładnie analizuje rachunki, że musi wiedzieć, że zamawiam worki specjalnego nawozu do róż.

I pomyśleć, że kręci na to nosem, chociaż powierza swoje pieniądze bandytom!

– Co pan ma na myśli?

Magnier podniósł wzrok. Jak dziecko, które się zorientowało, że się wygadało, próbował się wycofać.

– Nie powinienem był tego mówić. W końcu to nie moja sprawa.

Andrew nie nalegał. Ruchem głowy wskazał na różę.

– Krótko mówiąc, tylko pan korzysta z parku.

– To prawda. Razem z psem. I teraz z panem!

– Odile nigdy się tutaj nie przechadza?

– Założę się o to, że miałyby ochotę, ale wówczas wtargnęłyby na mój teren, a tej satysfakcji nie chce mi dać. Któregoś dnia zabiorę pana w głąb posiadłości. Prawdziwy raj dla grzybiarzy. To niedaleko stąd, a naprawdę warto. Przepiękny zakątek. Rozciąga się stamtąd widok na całą dolinę i miasteczko.

– Taki jak z tamtego wzgórza?

– Właśnie... Skąd pan wie, że widać stamtąd miasto?

– Domyśliłem się. Posiadłość jest naprawdę ogromna.

– Była jeszcze większa za życia pana François. Pani sprzedała sporo ziemi inwestorom budowlanym, żeby podratować budżet. Niemal jedną czwartą całego terenu. Brakuje im jeszcze kawałka na zasadach służebności, mogliby wówczas doprowadzić drogę do osiedla, które mają w planach. Dlatego dręczą panią, żeby sprzedała im więcej ziemi. Na razie im się nie daje.

– Pani Beauvillier zawsze taka była?

– Jaka?

– Zamknięta w sobie, dyskretna, a jednocześnie...

Uczynił nieokreślony gest, zachęcając Magniera do odpowiedzi.

– Za czasów pana François była wesoła i roześmiana. On ciągle ją wołał, ponieważ nie mógł się bez niej obejść. „Nalie! Nalie!” – wszędzie rozbrzmiewało to imię. Byli niczym nowożeńcy przez czterdzieści lat. Na Wielkanoc i Nowy Rok zapraszali mnie do swojego stołu. W ostatnim roku gościli nawet moją matkę. Kupiłem jej suknię na tę okazję. Było bardzo miło. Po śmierci pana wszystko się zmieniło. Pani zaczęła coraz bardziej zamykać się w sobie. Dawno nie słyszałem, żeby ktoś zwracał się do niej po imieniu.

Magnier spojrział na niego i dodał:

– Może powinniśmy sprawdzić ten cały domofon, zanim zacznie padać.

– Rzeczywiście. Bołą mnie jednak nogi. Dawno już tyle nie chodziłem.

– Pański poprzedni pracodawca nie miał dużych włości?

- Nie, nie. To była bardzo mała posiadłość. Wszystko tam było małe. Mężczyźni opuścili różany zakątek.
- Wie pan, cieszę się, że znalazł pan tutaj posadę.
- Jestem tylko na okresie próbnym.
- Pani byłaby niemądra, gdyby pana nie zatrzymała.
- Dziękuję.
- Jeśli pan pozwoli, powiem panu coś na temat Anglii.
- Jeżeli chodzi o odzyskanie Białej Wieży, to proszę może...
- W języku francuskim używamy pewnej formy, której wam brakuje – chodzi o mówienie sobie na „ty”. Do osób, za którymi nie przepadamy, zwracamy się *per* „wy”. Jeśli jednak kogoś lubimy, rodzinę i przyjaciół, mówimy *per* „ty”. To coś w rodzaju prezentu, wyróżnika wskazującego zażyłość.
- A po osiemnastej możecie im już mówić „Dobranoc”. Jeśli pan pozwoli, ja również mam pewną uwagę na temat pańskiego kraju.
- Słucham.
- Zawsze mnie dziwiło, że w waszej demokracji, która tak duży nacisk kładzie na równość, istnieje właśnie to rozróżnienie, gdy tymczasem w naszej monarchii, która z kolei na każdym kroku podkreśla swoją hierarchiczność, nie robimy żadnej różnicy, zwracając się do króla i do dziecka.
- Magnier się skrzywił.
- Gdybyście byli rzeczywiście tacy silni, wasza dewiza nie byłaby po francusku². Andrew wybuchnął śmiechem.
- Punkt dla pana, obywatelu Magnier!
- Prawdę mówiąc, zmierzałem do tego, żebyśmy mówili sobie na „ty”.
- *Why not*, drogi Philippe.

Andrew wrócił z saloniku z ostatnią tacą wypełnioną brudnymi filiżankami i talerzykami deserowymi. Odile była zajęta przygotowywaniem kolacji.

– Pozwoli pani, że włożę to wszystko do zmywarki nieco później. Jestem wykończony.

Zawahał się, po czym dodał:

– Proszę mi powiedzieć, czy zna pani to małżeństwo, które odwiedziło dziś panią Beauvillier? Wydają mi się nieszczerzy. Ta ich maniera ściszenia głosu, kiedy się zbliżam, wydaje mi się podejrzana. I śmieją się fałszywie. Mam wrażenie, że cały czas rozmawiali tylko o pieniądzach.

Odile milczała. Blake ciągnął dalej:

– Pani coraz częściej podejmuje gości. Prawie codziennie ktoś nas odwiedza.

– A pańska gorliwość jej nie uspokoi. Pomysł z rozpaleniem w kominku był doskonały. Dzięki nowemu ustawieniu stolika do kawy i foteli salon wygląda jak wyjęty z czasopisma dekoratorskiego.

– Philippe przygotowuje tyle drewna, że szkoda by było nie rozpaścić ognia od czasu do czasu, szczególnie o tej porze roku.

– „Philippe” – zauważyła kucharka. – Niedługo będziecie z Magnierem znać się jak łyse konie.

– Pani pierwszej, Odile, zaproponowałem mówienie sobie po imieniu. Gdyby pani się zgodziła, również byśmy się znali jak chyże słonie.

Odile podniosła talerz, który Mefisto starannie wylizał. Blake opadł ciężko na krzesło i westchnął.

– Nie czuję już nóg...

Kucharka wciąż się krzątała. Otworzyła wiszącą szafkę i wspięła się na palce, żeby wyjąć patelnię.

– Czy pozwoli pani, że wyrażę swoje zdanie? – zaczął Andrew.

– Proszę spróbować.

– Dlaczego przechowuje pani najczęściej używane naczynia w najtrudniej dostępnych miejscach? Powinna pani zamienić je miejscami z tymi wielkimi garnkami, które trzyma pani na dole. Oszczędziłoby to pani...

Odile z łoskotem postawiła patelnię i stanęła przed Blakiem oparta łokciem o stół, jakby miała zamiar się z nim siłować. Znalazła się tak blisko, że Andrew widziałby ją dokładnie nawet bez okularów.

– Proszę mnie dobrze posłuchać, panie Przystawiam-Meble-I-Rozpalam-Piękny-Ogień! Spędził pan tutaj niecałe dwa tygodnie, a już chce mi wyjaśniać, jak powinnam układać moje garnki w mojej kuchni? Za kogo pan się uważa?

– Nie ma się o co obrażać! Chciałem tylko przynieść ulgę pani kręgosłupowi.

– Niech więc się pan przestanie zajmować moim kręgosłupem i pilnuje raczej własnego nosa!

Blake nie nalegał. Odile podała mu posiłek, gulasz z odgrzewaną ratatouille. Kiedy odwróciła się do niego plecami, Andrew szepnął do Mefista:

– Ty jesteś miłszy. Pogłaskać cię?

Kot spojrzał na niego.

– Chodź tutaj, przyjacielu! Dostaniesz nawet trochę mięska...

Mefisto się podniósł, przeciągnął leniwie i ruszył w jego stronę wdzięcznym kocim krokiem. Andrew wziął go na ręce i posadził sobie na kolanach. Odile aż się cała zagotowała. Blake wyszeptał:

– Czyś ty aby nie przybrał nieco na wadze, kolego? Powinieneś więcej ćwiczyć. Trzeba przyznać, że jadasz wybornie...

Odile wybuchła. Kot czmychnął już bez śladu godności.

– Po pierwsze, nie powinno się dotykać zwierząt przy jedzeniu! – pieniała się. – Po drugie, on wcale nie utył, to futro sprawia takie wrażenie...

– Ależ na pewno, wyraźnie to poczułem.

Odile krzyczała dalej:

– Po trzecie, jeśli to, co gotuję, panu nie smakuje, może pan się stołować gdzie indziej!

Zabrała Blake'owi talerz sprzed nosa i wyrzuciła jego zawartość do śmietnika.

– Dlaczego pani to zrobiła? – bronił się. – Nigdy nie powiedziałem, że to niesmaczne, nawet nie zdążyłem spróbować. Stwierdzam po prostu, że powinna pani puścić wodze fantazji i gotować tak, jak to pani czuje. Jak dla Mefista.

– Niech pan stąd zmiata!

Gdyby Andrew miał sześćdziesiąt lat mniej, poszedłby do swojego pokoju bez kolacji. Biorąc jednak pod uwagę swój wiek, postanowił iść i wyprosić kawałek chleba od zarządcy.

Blake chodził teraz znacznie więcej i kiedy wreszcie pokonał bóle, które dopadły go w pierwszych dniach, musiał przyznać, że stał się bardziej ruchliwy. Zaczynał nawet poznawać wszystkie pułapki, jakie czyhały na alejce prowadzącej w głąb parku. Na wspomnienie sprzeczki z Odile uśmiechnął się pod nosem. Jakoś nie potrafił mieć jej czegoś za złe.

Kiedy zapukał do drzwi Magniera, Youpla zaczął natychmiast szczekać, ale jego pan nie otworzył drzwi. Blake rozejrzał się wokoło. Zapadła już noc i niewiele było widać.

– Philippe? – zawołał.

Nie uzyskał żadnej odpowiedzi również od strony parku. Nagle drzwi się otworzyły i Youpla skoczył mu pod nogi. Blake czochrał głowę psa, podczas gdy ten obwąchiwał jego spodnie, zapewne zaintrygowany zapachem Mefista.

– Dobry wieczór, Andrew. Nie spodziewałem się ciebie...

– Odile wyrzuciła mnie z domu, przyszedłem więc prosić o azyl.

– Nigdy nie zamykam drzwi przed uchodźcami politycznymi. Wejź!

Mimo wypowiedzianego żartu Philippe nie wyglądał na rozentuzjanzmowanego. Andrew to zauważył.

– Może ci przeszkadzam?

– Miałem nakrywać do stołu. Zjemy razem to, co Odile dla mnie przygotowała.

– Ratatouille z mięsem, którego nie udało mi się zidentyfikować.

Andrew przyciągnął sobie krzesło i usiadł. Youpla nie przestawał kursować między kuchnią a zamkniętymi drzwiami do sypialni.

– Masz rację, naprawimy domofon. To nam ułatwi życie.

Philippe rozłożył talerze, podczas gdy pojemnik z jedzeniem od Odile odgrzewał się w kuchence mikrofalowej. Nagle się odezwał:

– Przepraszam cię na chwilę, chyba zapomniałem zamknąć okna w łazience. Nie chcę, żeby owady powlatywały mi do środka.

Zniknął w sypialni. Pies próbował pobiec za nim, ale Magnier go odepchnął. Zamknął za sobą drzwi, a zwierzę zostało, merdając ogonem i wpatrując się w klamkę.

– Ty także uważasz, że dziwnie się zachowuje? – szepnął do niego Blake. – Ty jednak pewnie wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia.

Magnier wrócił po krótkiej chwili, nieco bardziej rozluźniony.

– Czasami trochę wariuję – przyznał w ramach przeprosin.

Rozdzielił jedzenie na dwa talerze.

– Czyli powiadasz, że Odile jest wściekła?

– Szybko wpada w złość. Choć muszę przyznać, że lubię się z nią drażnić.

Magnier usiadł i wziął pierwszy kęs do ust.

– Smacznego – powiedział Andrew. – I dziękuję za gościnę.

Po chwili mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Przypomina mi to jedzenie ze stołówki fabrycznej – stwierdził Magnier.

– Przypomina mi się pewna restauracja zamknięta przez policję, ponieważ kucharz gotował szczury.

– Niemożliwe, Andrew! Odile nigdy by się na to nie zdobyła, za bardzo się boi.

– Na wojnie jak to na wojnie. Jak się tutaj mówi? „Mniam, mniam”?

– Tak jest. A u was?

- *Yum, yum.*
- To śmieszne! W ogóle nie pasuje do odgłosu.
- Odgłosu czego? Myślisz, że kogut naprawdę woła „kukuryku”?
- A u was jak? Chrum, chrum?
- *Cock-a-doodle-do.*
- Biedne zwierzę! Czym wy je karmicie?

Potężny łoskot, jaki dobiegł z sypialni, sprawił, że Magnier aż podskoczył. Rzucił się do pokoju, nie zapomniawszy jednak o zamknięciu drzwi. Andrew się wydało, że słyszy szept zarządcy i odpowiadający mu wysoki głos. Głos dziecka.

- To nie moja wina! – bronił się malec.

Kiedy drzwi ponownie się otworzyły, Magnier był blady jak ściana. Youpla przecisnęła się do sypialni. W progu stanął czarnowłosy chłopiec o bladej cerze, w wieku około czternastu lat. Philippe patrzył na Andrew z błaganiem w oczach.

- Zanim coś sobie pomyślisz, wszystko ci wyjaśnię.
- Dlaczego miałbym sobie coś pomyśleć? Pojawiłem się u ciebie niezapowiedziany. Jeśli masz dziecko, które ukrywasz, to nie moja sprawa.
- To nie jest mój ojciec! – zawołał dzieciak, zupełnie nieskrępowany obecnością Andrew.
- Dobry wieczór, młody człowieku! – odparł Blake. – Mam na imię Andrew, a ty?
- Yanis. Mieszkam na osiedlu Tourterelles, w drugim bloku. Jeśli przyszedł pan w sprawie coca...

Philippe uciszył go gestem dłoni.

- Yanis pomaga mi w zakupach – wyjaśnił. – To wszystko.

Blake przyjrzał się dziecku. Szczupła, niska sylwetka – to jego musiał zauważyć, wracając z wycieczki na wzgórze tamtego wieczoru. Philippe dostawił trzeci talerz.

- Yanis, przynieś taboret z pokoju, zjesz z nami.
- Zarządca podzielił swój posiłek raz jeszcze, po czym usiadł na krześle i westchnął.
- Byłbym zobowiązany, gdyby pan nikomu o tym nie mówił...
- Czyli w stresujących sytuacjach znów wracamy do formy grzecznościowej?
- To skomplikowana sytuacja.
- Nie musisz mi jej opowiadać. W porządku.

Chłopiec wrócił z taboretami i piłką dla psa, który już skakał w górę, usiłując ją złapać.

- Poznałem Yanisa już ponad rok temu – zaczął Philippe. – Robiłem zakupy w supermarkecie w jego dzielnicy. Jeżdżę tam, mam bowiem blisko, a jadę przecież na rowerze z przyczepką. Skracając sobie drogę przez las, docieram na skraj miasta, tuż przed bloki. To jednak nie ma znaczenia. Był czwartek, robiłem zakupy, a chłopak akurat dał się złapać za kradzież paczki ciastek, które ukrył pod koszulką.

- Miałem zapłacić – tłumaczył chłopiec. – Przysięgam!
- Nie przysięgaj, Yanis! – skarcił go Magnier. – Nie miałeś pieniędzy, kiedy zaś ochroniarze cię złapali, byłeś już przy wyjściu ze sklepu.
- To nieprawda...

Philippe pokręcił głową i mówił dalej:

- Kiedy go zobaczyłem między goryłami, zrobiło mi się go żal. Zapłaciłem za ciastka, żeby go wypuścili. A potem, chcąc go czymś zająć, zaproponowałem, żeby mi pomagał.
- Chodziło o jeden raz – oburzył się chłopiec. – Miałem panu pomóc tylko raz, a pan potem zagroził, że o wszystkim opowie mojej matce.

Magnier wstał zakłopotany.

- To nie takie proste.

– I od tamtej pory – podsumował Blake – dzieciak robi za ciebie zakupy.

– Z dostawą! – sprecyzował Yanis.

Philippe wyglądał, jak gdyby miał wybuchnąć.

– Ejże, nie traktuję cię tak znowu źle! Karmię cię i daję ci trochę pieniędzy.

– A co ze szkołą? – spytał Blake.

Yanis spuścił wzrok.

– Nieczęsto się tam pojawiaam.

– Niewielu ich tam chodzi – dodał Magnier. – Yanis i inne dzieci z osiedla często są zdane same na siebie...

– Musisz być głodny – zauważył Blake. – Jedz!

Chłopak sięgnął po widelec i szybko pochłonął swoją porcję. Mężczyźni patrzyli, jak je.

Kiedy talerz był pusty, chłopak spojrział na zegarek.

– Muszę już iść. Mama niedługo wróci.

– Nie włócz się nigdzie – poradził mu Philippe. – Masz listę zakupów?

– *No problemo* – odparł Yanis.

Ukląkł, żeby pożegnać się z psem, i się roześmiał, kiedy zwierzę wtuliło pysk w jego szyję, po czym wyszedł.

Magnier nie śmiał spojrzeć Andrew w oczy.

– Wiem, co myślisz – zaczął zarządca. – Uważasz, że wykorzystuję sytuację, mały zaś powinien robić co innego, niż wypełniać moje obowiązki.

– To mówi twoje sumienie, Philippe, a nie ja. Wydaje mi się, że powinniśmy zrobić coś naprawdę pożytecznego dla tego dziecka.

Pani Beauvillier przejrzała codzienną pocztę: reklamy, tym razem z gadżetami, próbkami i innymi tandetnymi prezentami, kolejne katalogi i dwa listy z banku. Otworzyła je pośpiesznie, nie zwracając sobie nawet głowy użyciem noża do papieru. Była tak zaaferowana, że zdawała się nie pamiętać o obecności Andrew. Przebiegła wzrokiem kilka kartek i zatrzymała się na ostatniej. Jej twarz przybrała trudny do określenia wyraz. Andrew nie potrafił go rozszyfrować, ale jednego był pewien – zauważył niepokój. Pani Beauvillier przestudiowała zawartość drugiej koperty, na którą składała się tylko jedna kartka. Przeczytawszy jej treść, wrzuciła wszystkie kartki do szuflady, zmusiła się do uśmiechu i sięgnęła po kolejną ulotkę.

W krótkim czasie Blake polubił tę osobliwą ceremonię. Wciąż oburzały go kłamliwe argumenty nadawców i czuł się zmieszany reakcją pani, która brała to wszystko bardzo na poważnie, lecz ten powtarzający się niemal codziennie seans umożliwiał mu obserwację osoby, która coraz bardziej go intrygowała. Ze szczerą radością otwierała bezwartościowe prezenty i gadżety, które ustawiała przed sobą niczym cenne trofea. Boże Narodzenie trwało tutaj cały rok.

Jak co rano, Andrew miał już odejść z plikiem odpowiedzi do przygotowania. Jak co rano, w chwili gdy miał już opuścić pokój, pani Beauvillier miała zawołać go i poinformować o „niecierpiącej zwłoki sprawie”, o której zapomniała mu powiedzieć, kiedy jeszcze siedział. Tym razem jednak Blake postanowił wziąć sprawy w swoje ręce.

– Chciałem poinformować, że razem z zarządcą naprawimy domofony bez żadnych dodatkowych kosztów. Znaleźliśmy odpowiednie narzędzia. Byłbym jednak wdzięczny, gdyby zgodziła się pani na zainstalowanie kamery przy głównym wejściu. To nie powinno wiele kosztować...

– Obawiam się, że to nie jest dobry moment na wydatki. Całe szczęście, że udało się panu zapanować nad hydrauliką w łazience, ponieważ, prawdę mówiąc, nie wiem, jak byśmy sobie inaczej poradzili.

– Nie chcę być niedyskretny, ale czy naprawdę ma pani aż takie problemy finansowe?

– Jest pan niedyskretny, panie Blake, choć prędzej czy później i tak dowie się pan wszystkiego, odpowiem zatem szczerze. Stan mojego konta nie wygląda dobrze. To duża posiadłość, dom zaś wymaga utrzymania i minimalnej liczby pracowników, żeby jako tako funkcjonować. Stąd pańska tutaj obecność, mimo kosztów. Zdecydowałam się na kilka inwestycji, które nie tylko nie przyniosły oczekiwanego rezultatu, lecz – co gorsza – sprawiły, że kapitał zaczął topnieć jak śnieg w słońcu.

– Jeśli mogę sobie pozwolić...

– Nie, nie może pan. Wśród tych ścian jest pan majordomem. I muszę przyznać, że jako taki sprawdza się pan bardzo dobrze. Doceniam pańską inicjatywę, wywiera pan pozytywny wpływ na Odile, na tę młodą dziewczynę, a nawet na pana Magniera. Jeśli zaś chodzi o moje sprawy, proszę, żeby pan wypełniał moje polecenia, nie zaś udawał doradcę. Z tego, co zrozumiałam, pozwalał pan sobie na krytyczne uwagi w stosunku do osób, w których pokładam pełne zaufanie. Wyjašnjmy sobie jedno, panie Blake – nie ma pan żadnych kwalifikacji, żeby oceniać moje zarządzanie majątkiem. Prowadzenie takiego domu jak mój można porównać z kierowaniem przedsiębiorstwem. Mój mąż, który zarządzał fabryką i kilkoma firmami, nauczył mnie kilku podstawowych zasad. Pan nie ma na ten temat pojęcia, bardzo więc proszę, żeby trzymał się pan w obrębie swoich kompetencji. Czy to jasne?

Blake przyjął krytykę, mimo że bardzo chciał coś odpowiedzieć.

– Najzupełniej, proszę pani.

Tego dnia pani Beauvillier nie dodała już nic więcej i Andrew opuścił pomieszczenie.

Po takim upokorzeniu Blake nie czuł się na siłach, żeby zejść na dół i stanąć twarzą w twarz z Odile. Wspiął się więc na trzecie piętro, żeby odpocząć chwilę w swoim pokoju. Szum odkurzacza powiadomił go, że Manon dotarła już na jego poziom. Idąc tropem przewodu biegnącego po podłodze, odkrył, że dziewczyna sprząta właśnie w jego sypialni. Wszedł do środka w chwili, kiedy Manon odkurzała pod szafą. Dostrzegła go kątem oka.

– Przestraszył mnie pan – drgnęła.

Wyłączyła urządzenie i dodała:

– Posprzątałam już w łazience i zostawiłam czyste ręczniki. Jutro, jeśli pan sobie życzy, zmienię pościel i umyję okno. Dziś już nie zdążę.

– Dziękuję bardzo, Manon. Naprawdę mi przykro, że nie chce pani przyjąć wynagrodzenia za tę dodatkową pracę.

– To dla mnie przyjemność.

– Proszę się nie przemęczać, szczególnie w pani stanie. Jakież wieści od Justina?

– Żadnych. Budzę się w nocy i się zastanawiam, co robi, co sobie myśli. Boję się, że jakaś inna dziewczyna złapie go w swoje sidła. Za każdym razem, kiedy stąd wychodzę, a mój telefon znów łapie zasięg, serce zaczyna mi mocniej bić. Liczę, że może dzwonił, ale nie. Czy pan, jako mężczyzna, potrafi się domyślić, co się dzieje w jego głowie?

– Gdybym chociaż umiał zrozumieć własne myśli...

– On nie zdaje sobie sprawy z piekła, jakie przeżywam. Z mojego cierpienia.

– Często nie zdajemy sobie sprawy ze smutku, jaki sprawiamy innym, to prawda. Wiem, że to niesprawiedliwe w stosunku do pani, że to dodatkowy wysiłek, ale myślę, że trzeba mu dać jeszcze nieco czasu.

– Do kiedy?

– Przynajmniej kilka dni.

Manon westchnęła.

– Pójdę już – powiedziała. – Już zresztą tutaj skończyłam. Jutro będzie miał pan nową pościel.

Schyliła się, żeby podnieść odkurzacza, i jej twarz znalazła się naprzeciw zdjęcia na stoliku nocnym.

– To pańskie żona i córka?

– Tak jest.

– Piękne.

Dziewczyna wzięła ramkę do ręki i przyjrzała się fotografii.

– Nigdy nie myślał pan o tym, żeby zacząć życie od nowa?

– Diane nadal jest moją żoną. To się może wydawać idiotyczne, ale wciąż z nią żyję.

– Stąd te dwie szczoteczki do zębów?

– Czyli zauważyła pani...

– Z początku pomyślałam, że to jakiś angielski zwyczaj, w stylu jedna szczotka do górnej szczęki, druga do dolnej...

– Wy Francuzi naprawdę miewacie dziwne pomysły. Jak się pani domyśliła?

– Czerwona cały czas jest sucha, a zielona jest bardziej zużyta.

– Nie przyszło pani do głowy, że Anglicy może nie mają dolnych zębów?

Dziewczyna parsknęła śmiechem i odstawiła zdjęcie.

– Czym się zajmuje pańska córka?

– Sara studiowała fizykę stosowaną, na uczelni poznała młodego zdolnego inżyniera

i wyjechała z nim do Los Angeles. Specjalizują się w prognostyce sejsmicznej.

– Podobna do pana. Często się widujecie?

– Zapewne nie dość często, a czas mija.

Teraz Andrew wziął ramkę do ręki.

– Kiedy była mała, byliśmy sobie bliscy. Ja jednak dużo pracowałem. Późno wracałem do domu. Zdarzało się, że byłem nieobecny przez cały weekend. Nie zauważyłem, jak zmieniła się w młodą kobietę. Diane pomagała jej w tej przemianie, towarzyszyła jej. Bardzo się kochały. Po śmierci żony byłem w rozsypce. Stałem przed młodą dziewczyną, której w gruncie rzeczy nie znałem zbyt dobrze i z którą nie zdołałem już nawiązać prawdziwej relacji.

– Szkoda...

– Jeszcze jedna tragedia. Tak bardzo bym chciał...

Blake przerwał z obawy przed rosnącym w nim wzruszeniem. Manon taktownie skierowała się do drzwi. Odwróciła się.

– Jest w panu coś, co budzi mój podziw, panie Blake.

– Chociaż nie powinno.

– Posiada pan dar analizowania problemów, wyjaśniania sytuacji i kojącą mądrość.

– To miłe, co mówisz, Manon. Wolałbym mieć trochę mniejsze zdolności analityczne, a trochę więcej odwagi do działania.

Dziewczyna wyszła. Blake dogonił ją na korytarzu.

– Manon!

– Tak, proszę pana?

– Być może wiem, o co chodzi Justinowi...

Kiedy Andrew wszedł do kuchni, od razu poczuł zapach pieczonego mięsa. Odile krzątała się przy piecu, od którego było tak duże ciepło, że Mefisto wycofał się aż pod zlew. Blake przez cały dzień unikał kolejnej konfrontacji. Wieczorem postanowił jednak zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby załagodzić sytuację.

– Niech pan nakryje do stołu – powiedziała kucharka.

Zdanie było zbyt krótkie, ponadto częściowo zagłuszone syczeniem i trzaskaniem przyrządzanych potraw oraz szumem okapu, żeby Andrew zdołał odgadnąć jej nastrój.

Przechodząc obok kota, powstrzymał się od pogłaskania zwierzęcia z obawy, że gest ten może być zrozumiany jako prowokacja. Otworzył szafkę z naczyniami. Brak talerzy. Początkowo wydało mu się, że się pomylił, ale na swoim miejscu nie znalazł także szklanek. Wykorzystując chwilę, kiedy Odile odwróciła się w stronę garnków, zajrzał pobieżnie do innych szafek. Wszystko poprzestawiała. Każda kategoria sprzętów kuchennych znalazła się na nowym miejscu. Najczęściej używane znajdowały się odtąd w zasięgu ręki. Andrew stłumił uśmiech. Usiłował przybrać naturalny wyraz twarzy, jak gdyby niczego nie zauważył.

– Proszę mi podać talerze – rzuciła Odile, wciąż nadzorując garnki.

Uniosła jedną z pokrywek, żeby dosypać przypraw. Po pomieszczeniu rozszedł się kolejny zapach. Andrew pomyślał, że jeśli będzie grzeczny, istnieje szansa, że dostanie mu się to samo co kotu.

– Niech pan siada! – rozkazała.

Żadne nie odważyło się spojrzeć drugiemu prosto w oczy. Odile postawiła przed Blakiem kopyaty talerz i oznajmiła:

– Polędwiczka karmelizowana z żurawiną i purée ziemniaczane.

Mefisto się oblizał. Blake czuł, że ślinka napływa mu do ust, ale poczekał, aż Odile usiądzie i zacznie jeść, zanim sam sięgnął po widelec. Jego kubki smakowe zareagowały natychmiast.

– Wyborne! Jak udaje się pani osiągnąć efekt takiej miękkości wewnątrz, a zarazem rozkosznie chrupiącej skórki?

– Poszłam na całość.

– Nie będę narzekał. Gdzie się pani nauczyła tak gotować?

– Zanim wylądowałam tutaj, byłam na wielu etatach. Swego czasu pracowałam w kuchni Relais de Dormeuil, bardzo dobrej restauracji znanej w całym regionie. Podobało mi się tam. Przez pięć lat byłam członkiem brygady.

– Brygady?

– Tak się nazywa służbę kuchenną.

Andrew rozkoszował się jedzeniem. Miał wrażenie, że od lat nic mu tak nie smakowało. W porównaniu z tym daniem nawet potrawy w restauracji Browning wydawały się mdłe.

– Zna pani dużo podobnych przepisów?

– Kilka.

Wziął do ust kolejny kęs i delektował się nim.

– Odile, to nie jest posiłek – to dzieło sztuki.

– Jeśli dzięki temu przestanie pan podkraść jedzenie mojemu kotu...

– Czy pani Beauvillier jadła już to danie?

– Nie chciałaby. Nie lubi zmian. Gotuję na zmianę to, co już zna. Rumsztyk –

siedemdziesiąt gramów, który zjada w dziewięciu kęsach – raz w tygodniu, te cholerne brokuły, sałatki z ryżu i kukurydzy. Z początku próbowałam serwować jej coś innego, ale nie chciała tego w ogóle jeść.

– Czy mogę sobie pozwolić na pewną uwagę?

– Jeśli chodzi o ustawienie garnków, wołałabym, żeby pan udawał, że niczego nie zauważył.

– Ależ ja niczego nie zauważyłem.

– Jeśli chodzi o wagę Mefista – to samo.

– Pani kot jest atletą.

– Proszę nie przesadzać! Chodzi o przepis?

– Ależ nie. Zastanawiałem się po prostu, dlaczego wy wszyscy nigdy nie spotykacie się razem?

– Pani nie lubi mieszać się ze służbą, z kolei Philippe...

– Zapewne nie jest równie wyrafinowany jak pani, ale wydaje mi się, że to poczciwy człowiek.

– Mam co do tego wątpliwości. Kiedyś haniebnie mnie podrywał.

– Początki bywają niezręczne.

– W młodości miałam koleżankę, która mawiała: „Nieważne, w jaki sposób zajmuje się ogień. Ważny jest rozmiar płomienia”. Bardzo eleganckie, prawda? Tak czy inaczej, ona jest obecnie na etapie trzeciego rozvodu. Ja dbam o formę. Jedyne raz, kiedy uwierzyłam, okazało się, że on zna się na rzeczy i było cudownie.

Zaintrygowany Andrew obserwował jedzącą Odile. Nagle ich spojrzenia się spotkały.

– Zastanawia się pan, dlaczego wylądowałam tutaj jako stara panna, chociaż kiedyś kochałam?

– Nie pozwoliłbym sobie...

– Dobrze mi zrobi opowiadanie tej historii. Nie rozmawiałam o tym z nikim, odkąd tutaj jestem. Sprawa jest prosta, panie Blake: on odszedł. Był drugim kucharzem w Relais de Dormeuil. To dla niego nauczyłam się gotować. Chyba się kochaliśmy. Byłam z nim naprawdę szczęśliwa. Po kilku latach zaproponowano mu posadę kucharza w waszym kraju. Poprosił, żebym z nim wyjechała, ja jednak odmówiłam.

Odile przestała jeść i wpatrywała się w talerz, głaszcząc ziemniaki widelcem. Podniosła wzrok.

– Usiłował mnie przekonać, ale nie ustąpiłam. Bałam się. Dziwnie się czuję, mówiąc to, dużo czasu zajęło mi jednak przyznanie się do tego przed samą sobą... Bałam się zmiany, zostawienia wszystkiego za sobą. Ależ ze mnie idiotka! Bałam się także, że zostając szefem kuchni, uzna, że na niego nie zasługuję. Rozstaliśmy się. Sześć miesięcy później złożyłam wypowiedzenie w Relais de Dormeuil i starałam się o posady w kuchni, unikając dużych restauracji. Szukałam szczęścia w szkolnych stołówkach, serwując przetworzone przemysłowo jedzenie dzieciom, które chciały jeść wyłącznie frytki i hamburgery. Spędziłam również trochę czasu w domach spokojnej starości, aż pewnego dnia odpowiedziałam na ogłoszenie i zaszłam się tutaj. Zapewne uważa pan, że to żalodne...

– Ponieważ ma pani przeszłość i ma czego żałować? Z całą pewnością nie.

– Pan również ma czego żałować?

– Sporo tego jest. W moim wieku jednak to nie błędów żałuje się najbardziej, tylko ludzi. Tak bardzo za niektórymi tęsknię...

– Pan również kochał. Czuję to. Pana sposób bycia, patrzenia na życie... Mimo swoich wad pan również należy do tej kategorii.

- Do kategorii ludzi, którzy poznali miłość, a następnie ją utracili?
- Można to tak ująć.
- W przeciwieństwie do mnie, Odile, pani nie jest wdową. Próbowала pani kiedyś odszukać swojego kucharza?
- Pewnie ułożył sobie życie, zdołał... o mnie zapomnieć.
- Nigdy już się nie kontaktowaliście?
- Nigdy, za bardzo się wstydziłam.
- Dlatego gotuje pani tylko dla kota...
- On mnie nie ocenia.
- Jeśli pani powiem, co myślę, będzie mi pani nadal gotowała te pyszne potrawy? Odile się uśmiechnęła, ale niczego nie obiecała.

Dlaczego godziny nocne tak się wloką? Dlaczego są takie ponure? Leżąc w ciemnościach, Blake rozmyślał o Odile, o Manon, o Phillipie, a nawet o Yanisie. Życie każdej z tych osób miało często chaotyczny przebieg, ale ich drogi spotkały się właśnie tutaj. Niezależnie od postawy, wypracowanej osobowości i wieku, każde z nich ukrywało jakiś problem. Andrew westchnął. Spędził we Francji zaledwie kilka tygodni i już filozofował na bezsensowne tematy.

Przez okno, w którym nigdy nie zaciągał zasłon, wpadało łagodne światło księżyca. Dom był pogrążony w ciszy. Wszyscy spali. Andrew wyobraził sobie Philippe'a w jego małym domu, Manon otoczoną samotnością, Odile na drugim końcu korytarza i panią w jej sypialni, równie ciemnej w dzień, jak i w nocy.

Wszechobecny spokój otworzył na oścież drzwi ku wspomnieniom. Jak zapanować nad strumieniem napływających obrazów i uczuć? Czy istnieje wiek, w którym człowiek traci zdolność odczuwania? Nasza biologiczna egzystencja trwa obecnie tak długo, że być może w pewnym momencie w sercu zaczyna brakować przestrzeni na przyjmowanie przyszłości i zaczyna ono żyć tym, czego już doświadczyło. Bezustannie trzeba dokonywać wyborów, sięgać tylko po to, co najważniejsze. Czy Andrew pamięta idealny dzień, który chciałby przeżyć ponownie? Które chwile zgodziłby się wyrzucić z pamięci? Gdyby dobra wróżka umożliwiła mu cofnięcie się w czasie, na jakim etapie życia chciałby się zatrzymać? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musiałby stawić czoło temu, za czym najbardziej tęsknił. Prawdziwa odpowiedź była ukryta u stóp pomników, które wznosił dla każdego ze swoich smutków. Prawdę mówiąc, cieszył się, że żadna wróżka nie złożyła mu takiej propozycji. Nie mogąc zapomnieć, skupił się na omijaniu wspomnień. Powinien żyć chwilą obecną, co może okazać się najlepszym rozwiązaniem.

Często kiedy nie wiedział, co myśleć o danej sytuacji lub osobie, Andrew się zastanawiał, co by o niej powiedziała Diane. Mówiła dużo i o wszystkim, ale gdy chodziło o ważne sprawy, wyrażała swoją opinię dość skrótowo: kilka słów na temat życiowego wyboru, komentarz na temat czyjegoś zachowania. Nigdy nie była agresywna, rzadko schlebiała, jej oceny zawsze okazywały się trafne. Co ciekawe, Andrew nie potrafił sobie wyobrazić, jakie zdanie Diane miałyby na temat mieszkańców posiadłości. Cichy wewnętrzny głosik zwrócił mu jednak uwagę, że wszyscy oni ostatecznie narzekali mniej niż on sam. Oni również byli samotni, niektórzy mieli znacznie więcej powodów do zmartwień. On nie miał problemów finansowych, jak pani Beauvillier. Żył na odludziu tylko dlatego, że sam tego chciał, w przeciwieństwie do Philippe'a. On uciekł od tego, co przypominało mu o minionym życiu, inaczej niż Odile.

Wzbierało w nim osobliwe uczucie. Powoli, nieuchronnie. Mieszanina złości, wyrzutów sumienia i frustracji. Czy potrafiłby podzielić się swoim zalem z taką samą prostotą jak Odile? Z pewnością nie. A jednak, mimo okrągłych zdań i pięknych frazesów, miał w sobie wiele smutku. Czy chciałby odciąć się od świata, żeby żyć wspomnieniami ukochanej osoby, jak pani Beauvillier? Chociaż postawił Diane na piedestale, nigdy by się na coś takiego nie zdobył. Nie miał odwagi. Naraz prawda wydała mu się wielce niewygodna: mimo swoich trosk, niełatwej sytuacji i lamentów nie był gotów zrezygnować z życia. Zastanawiał się, czy to dobra, czy też zła wiadomość.

– We Francji zaczynają białe, u was jest tak samo?

– Od czasu pierwszego turnieju szachowego, który odbył się w Londynie podczas Wystawy Światowej w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym roku, taka sama zasada obowiązuje wszystkich. Czy to jednak normalne, że król i królowa mają u was głowy?

Philippe’a rozbawiła ta uwaga. Zarządca dobrze się przygotował do ich pierwszej rozgrywki w altanie. Na plastikowy talerz wyłożył dwie paczki ciastek, przygotował także termos z herbatą i koce, które – choć zużyte i dziurawe – chroniły przed chłodnym wiatrem.

Magnier w skupieniu przesunął pion. Wysunął koniuszek języka jak dziecko, które bardzo się stara. Blake wykonał symetryczny ruch.

– Chcesz ciastko? – zapytał Magnier.

– Nie w tej chwili, dziękuję.

Blake był wzruszony tą sytuacją, która przypominała mu obiady dla lalek urządzone latem z kuzynką, kiedy spędzali wakacje na wsi. Jego ojciec zostawał w fabryce, matka zaś, zajęta rozbudowywaniem domu, wysyłała go na świeże powietrze, żeby nie plątał się robotnikom pod nogami. U ciotki wszyscy byli starzy – oprócz Debby. Zmuszony bawić się z tą fanatyczką lalek i pokazów mody, Blake po raz pierwszy żałował, że nie ma brata. Nigdy nie bawił się z kuzynką tak dobrze, jak z chłopcami, nie licząc obiadów dla lalek. Napełniali talerze ziemią i kamykami. Woda z kałuży zastępowała wino. Andrew pamiętał dzień, w którym Debby, udając, że pije, zauważyła w swoim kubku wielką wijącą się dżdżownicę. Zwymiotowała na stół. Kiedy oboje skończyli osiem lat, mieli prawo zabierać prawdziwe jedzenie do swojego zakątka pod płaczącą wierzbą. Andrew przez dekady nie wspominał tych czasów, aż do chwili, kiedy odczuł tę samą wolność w towarzystwie Philippe’a, w parku, w połatanej altanie.

Przybiegł Youpla z patykiem w pysku. Złożył go u stóp Magniera i szczekał tak długo, aż pan nie odrzucił kawałka drewna jak najdalej.

– Zostaw nas w spokoju – skarcił psa Magnier. – To poważna sprawa.

Przesunął drugi pion. Blake natychmiast poruszył gońca.

– Anglia zawsze szybko wypuszczała kawalerię – skomentował Philippe. – Pod Waterloo wiele nas to kosztowało.

– Nie jestem Anglią i mimo mojego wieku nie walczyłem pod Waterloo.

– Masz rację. Zawsze to samo. Kiedy się spotyka cudzoziemca, często przypisuje mu się cechy charakterystyczne dla jego kraju.

– Właśnie – przyznał Blake.

– Spotkasz Hiszpana i witasz go, mówiąc *Olé!* Trafiasz na Włocha, opowiadasz mu o pizzy, mafii i Wenecji. U was jest podobnie?

– Podejrzewam, że tak, kiedy bowiem myślę o Francuzach, od razu widzę żabę w berecie z bagietką pod pachą, która wydziera się na innych, przerastających ją o głowę. Pewnie się jednak mylimy, ponieważ ty w niczym nie przypominasz żaby.

– I od dawna nikt tutaj nie nosi beretów. Wiesz, jak my was widzimy?

– Powiedz.

– Jako zmanierowanych, chytrych pedantów, którzy walczą tylko o swoje.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Podobno jesteście także aseksualni.

– Aseksualni?

- Mówi się, że żeby sprawdzić, ile razy Anglik się kochał, wystarczy policzyć jego dzieci.
- O ja nieszczęsny, mam tylko jedną córkę! Jako jakie zwierzę sobie nas wyobrażacie?
- U nas Anglik to już rodzaj zwierzęcia.

Blake wybuchnął śmiechem.

- Moja żona nigdy mi o tym nie wspomniała, chociaż była Francuzką.

Youpla wrócił z patykiem.

- Zostaw nas – powiedział Magnier. – Idź zapoluj na zające albo wiewiórki.

Widząc, że jego pan nie zamierza się z nim bawić, pies zwrócił się w stronę Blake'a.

Położył przed nim patyk i cofnął się, merdając ogonem. Andrew podniósł kijek.

- Sprzymierzyliście się, żeby mi uniemożliwić skupienie się na grze?

Blake rzucił patyk w głąb zagajnika. Pies, niczym błyskawica, rzucił się za nim w pogoń.

Magnier nastawił ucha.

- Słyszałeś dzwonek?

- Nie zwracałem uwagi. Możemy kontynuować?

Magnier przesunął gońca oczyszczonym z pionów korytarzem. Blake miał już na końcu języka komentarz, ale się powstrzymał. Magnier mówił dalej:

- Muszę przyznać, że jestem pełen podziwu dla twojej znajomości naszego języka.

- Dziękuję bardzo.

- W poprzedniej pracy także używałeś francuskiego?

– Bardzo mało, ale dużo czytam. Diane lubiła lekturę, często więc powracam do tekstów, które cenila.

Blake się spodziewał, że Magnier zapyta go, jakie to teksty, ale nie wziął poprawki na zaskakującą naturę Philippe'a.

- Fascynuje mnie coś jeszcze – ciągnął tamten. – Nigdy nie słyszałem, żebyś kłął...

- Uważam przekleństwa za niepotrzebne.

- Nigdy ich nie używasz?

- Staram się ich unikać.

- Nigdy nikomu nie wymyślasz?

– Można być dosadnym bez wyzywania. Czasami szczere wyrażenie swoich myśli okazuje się bardziej ofensywne niż słowa, które straciły swoje znaczenie, każdy bowiem używa ich byle jak.

– Coś w tym jest. Uważam jednak, że bogactwo języka mierzy się także różnorodnością przekleństw. Język francuski dysponuje szeroką ich gamą. Istnieje cały arsenał wulgaryzmów, od najłżejszego kalibru po ciężki. Możesz kogoś zwymyślać od kretyna, bufona, klauna, pingwina, a jeśli naprawdę cię wkurza, wrzucasz wyższy bieg i wykorzystujesz bardziej kwieciste określenia. Jeśli chcesz, poszerzę twoją wiedzę w tym temacie. W ostateczności sięgasz po ciężką artylerię: ...synie, zakuta ..., barani ...

- Dziękuję, Philippe.

Z głębi alejki dobiegł ich głos, który sprawił, że aż podskoczyli.

- W co wy tu pogrywacie?

Zza drzew wyłoniła się Odile, zdyszana i wściekła.

- Gramy w szachy, to sport dżentelmenów – odparł Magnier.

- I obrzucacie się wyzwiskami jak przedszkolaki?

Zwróciła się do Blake'a i dodała:

- A pan, oczywiście, nie słyszał dzwonka?

- Philippe rzeczywiście zwrócił mi na to przed chwilą uwagę.

- Nie przyszło panu do głowy, że pani może wzywać?

- Nie miałem pojęcia, że powinienem reagować na ten sygnał. Odmawiam zresztą stawiania się na dźwięk dzwonka. Jestem jednak do dyspozycji na każde zawołanie.
- Sam pan to jej wyjaśni, pani czeka już bowiem od godziny.

– Ja chyba oszalałam! Szpiegowałam go pod jego pracą. Co gorsza sprawiał wrażenie całkiem zadowolonego z życia. Nie miał nawet cieni pod oczami. Proszę sobie wyobrazić, że widziałam, jak się śmiał z kolegą. Jak on to robi? Noszę jego dziecko, radzę sobie sama, a on się bawi. Może już o mnie zapomniał? W środę spędziłam wieczór na ulicy, usiłując zobaczyć coś przez okna jego mieszkania. Niewiele widziałam oprócz tego, że kilkakrotnie otwierał lodówkę. A sądząc po poświacie na suficie w salonie, podejrzewam, że cały czas grał na konsoli albo oglądał telewizję. W tym czasie ja marzłam na ulicy, załamana i ciężarna! Bałam się, że ludzie wezmą mnie za prostytutkę. Wszystko przez niego! Czekam już dziesięć dni i dziesięć nocy, panie Blake. Żadnego esemesa, żadnego maila. Nic! Nie mogę spać, właściwie nie żyję. Jestem wykończona.

Dziewczyna ponownie otarła oczy.

– Manon, płacz nic nie da. Dziesięć dni w porównaniu z całym życiem to kropla wody w morzu. A w sprawach tego typu pośpiech nikomu nie wychodzi na dobre.

– Proszę mi wybaczyć, ale to bzdura! – oburzyła się dziewczyna. – Mówi pan, jakby czytał z podręcznika. Uważa pan, że bycie rozsądnym to bułka z masłem, ponieważ sprawa pana nie dotyczy. Czy kiedykolwiek czuł się pan chory z wyczekiwania? Czy kiedykolwiek wypatrywał pan odpowiedzi, od której zależało pańskie życie, i na którą nie miał pan żadnego wpływu?

Blake poczuł się tak, jak gdyby Manon wylała na niego wiadro lodowatej wody. Miała rację. Gdyby zechciał sam się przed sobą przyznać, podobnych wspomnień miał aż nadto. Te okrągłe zdania były niczym zamknięte drzwi, za którymi piętrzyły się zakurzone wspomnienia i prawdziwe emocje. Manon właśnie wyważyła te drzwi i na Blake'a spłynął strumień wydarzeń z przeszłości. Ujrzał się tuż po tym, jak po raz pierwszy zobaczył Diane, na koncercie, a wspólny kolega obiecał podać mu jej adres – przez sześć dni niecierpliwie czekał. Później, po kilku miesiącach starania się o dziecko, czekali na wynik testu, który miał stwierdzić, czy ciąża rozwija się prawidłowo – jedenaście białych nocy. Wreszcie okres, w którym jego matka spodziewała się remisji nowotworu, a on usiłował okazać spokój i ukrywał łzy, słysząc wyrok. Takich przykładów były dziesiątki. Nie wszystkie oczekiwania zaowocowały katastrofą, wprost przeciwnie. W końcu przecież zadzwonił do drzwi Diane, pod żalonym pretekstem, żeby jej oddać szalik, który – jak doskonale wiedział – wcale do niej nie należał. Sara się urodziła cała i zdrowa. Za każdym razem dałby wiele, żeby tylko wskazówki zegara krążyły szybciej, dni zaś mijały jak sekundy.

Blake podniósł wzrok na Manon i wyszeptał zdławionym głosem:

– Na pani miejscu spróbowałbym do niego napisać.

– Świetny pomysł, ale co konkretnie?

Andrew potarł skroń.

– Nie powinno wyczuwać się w liście złości ani wyrzutów. Mogę pomóc pani go napisać.

W jednej chwili wyraz twarzy dziewczyny się zmienił. Jej spojrzenie nagle wypełniło się nadzieją i wdzięcznością.

– Nie gwarantuję sukcesu, ale zawsze warto spróbować – zastrzegł natychmiast Blake.

Manon rzuciła się majordomowi na szyję i pocałowała go w policzek.

– Jest pan kochany. Poszukam czegoś do pisania.

Blake zaczął dyktować, przekonany, że pierwsze słowa przyjdą mu z łatwością.

- „Drogi Justinie”.
- Napisałabym raczej „Mój Justinie”.
- Kobiety lubią przywłaszczać sobie mężczyzn, ale my za tym nie przepadamy, szczególnie na początku, proszę mi wierzyć.
- Niech więc będzie „Drogi Justinie”.

Andrew podjął w zamyśleniu:

– „Nie widzieliśmy się już od dziesięciu dni. Tęsknię za Tobą. Bez Ciebie moje życie nie jest już takie samo. Rozumiem, że postanowiłeś nabrać dystansu, dowiedziawszy się o mojej ciąży. Sądziłam, że będzie to dla Ciebie miła niespodzianka, ale teraz wiem, że tak nie jest. Nie było to z mojej strony celowe działanie, dziś jednak, wiedząc o dziecku i o tym, że jest Twoje, jestem bardzo szczęśliwy...”

– Chciał pan powiedzieć „szczęśliwa”?

– Oczywiście „szczęśliwa”. „To zdarzyło się szybciej, niż moglibyśmy się tego spodziewać, ale miałam nadzieję, że pewnego dnia będziemy rodziną. Nie chcę brać Twojego życia w niewolę. Chcę je tylko z Tobą dzielić”.

Andrew przerwał. Manon notowała tak szybko, jak tylko potrafiła.

– „Nie boję się samotności” – ciągnął. – „Boję się, że pozbawisz mnie siebie. Nie chcę, żebyśmy byli parą za wszelką cenę, chcę po prostu żyć u Twojego boku. Wiem, że moje życie będzie przez to piękniejsze. W chwilach rozłąki chcę móc czekać na Ciebie, wiedząc, że wrócisz. Jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym, sądziłam więc, że i ja odgrywam ważną rolę w Twoim życiu. Musisz mi powiedzieć, jeśli się myliłam, muszę wiedzieć, jeśli tylko ja miałam nadzieję. Inni ludzie nigdy nie wywoływali we mnie takiego uczucia. Kocham Cię takim, jakim jesteś. Patrzę na Ciebie, obserwuję Cię. Wydaje mi się, że u Twojego boku mogłabym stać się lepszą osobą. Stać mnie na więcej, dla nas. Zapewne potrzebujesz czasu, aby stwierdzić, czy naprawdę do Ciebie pasuję i czy masz ochotę zaangażować się w nasz związek. Mimo że to bolesne, jestem gotowa czekać. Odpowiedz mi, kiedy będziesz mógł. Mam nadzieję, że wrócisz. Kocham Cię...”

Manon zakończyła pisanie z dziwnym uczuciem. Każde z tych słów odpowiadało dokładnie jej stanowi umysłu. Mimo to fakt, że słyszała je z ust mężczyzny, który mógłby być jej dziadkiem, wywoływał u niej zakłopotanie. Spojrzała uważnie na Blake’a, ale nie udało jej się niczego wyczytać z jego twarzy.

– To było bardzo piękne – powiedziała. – Nigdy nie potrafiłabym wyrazić tak dokładnie tego, co czuję do Justina. Skąd pan wiedział?

– Dawno temu, na początku naszej znajomości, Diane zerwała ze mną. Sam już nie pamiętam, dlaczego. Pamiętam tylko swoją rozpacz. Przeżyłem istny koszmar. Wiedziałem, że jest kobietą mojego życia. Byłem pewien, że jeśli ją stracę, nigdy nie znajdę szczęścia u boku innej. Tak jak i pani, czekałem. Zapomniałem, jak niecierpliwie. Jak pani, ukrywałem się i śledziłem każdy jej krok. Tak samo nie rozumiałem, jakim sposobem ona mogła żyć, podczas gdy mnie przytłaczał smutek. List, który wysłała pani do Justina, jest tym, który ja powinienem był napisać swego czasu, gdybym był do tego zdolny...

– Jest pan do tego zdolny, przecież właśnie mi go pan podyktował.

– Czterdzieści lat za późno, Manon. Wówczas nie potrafiłem prosto wyrażać swoich myśli. Potrzeba czasu, żeby się tego nauczyć. W młodości boimy się początków. Nie wiemy, jak się zachować. Na starość boimy się tego, co może się skończyć. Wiemy już dużo, ale nie mamy okazji wykorzystać tej wiedzy. Jeśli więc moje doświadczenie może się na coś pani przydać, moje ówczesne cierpienie okaże się mniej bezsensowne. Podoba mi się ta myśl.

Manon przyjrzała się zabazgranej kartce.

– Przepiszę to na czysto i wracając do miasta, wrzucę mu do skrzynki.

– Nie, Manon. Powinna pani wysłać list pocztą. Nie może nawet podejrzewać, że zbliżała się pani do jego domu. Mężczyźni nienawidzą, kiedy ktoś zapuszcza się na ich teren.

Niebo pociemniało złowroźnie. Magnier zjawił się przy głównym wejściu ze śrubokrętem w dłoni.

– Lepiej, żeby zadziałało od razu!

Otworzył furtkę, wyposażoną obecnie w elektryczny zamek, i stanął przed domofonem z kamerą zainstalowanym tego samego dnia na ścianie. Niczym zabobonny bywalec kasyna przed rzuceniem kości, potarł kciukami czubki pozostałych palców, po czym nacisnął dzwonek.

Już po pierwszym sygnale odezwał się Blake, który czekał przy odbiorniku w holu. Na maleńkim czarnym ekranie pojawiła się twarz Magniera. Obraz niskiej rozdzielczości i szerokokątna optyka sprawiały, że przypominał płaza o olbrzymich sferycznych ślepiach i maleńkich ustach. Blake wcale by się nie zdziwił, gdyby istota ta zaczęła nagle puszczać bańki.

– Słyszysz mnie? – zapytał zarządca.

– Najpierw wypada powiedzieć „dzień dobry”, w przeciwnym razie nie otwieram. Biorąc zresztą pod uwagę godzinę, „dobry wieczór” byłoby najbardziej na miejscu.

– Bardzo zabawne. A teraz przetestujmy zamek elektryczny.

Zdeformowany głos Philippe’a docierał z opóźnieniem w stosunku do obrazu. Blake był zafascynowany tym surrealistycznym efektem.

– Andrew, na co ty czekasz? Proszę, otwórz!

Blake nacisnął przycisk otwierający zamek. Z domofonu dobiegł go suchy trzask.

– Działa! – triumfował Magnier.

Następnie przysunął twarz do oka kamery i, zmieniając radykalnie ton, oświadczył:

– Jestem śmieciem, ponieważ wykorzystałem tego dzieciaka.

Blake’a zaskoczyły te słowa, ale nawet ze zniekształconego obrazu zdołał wywnioskować, że Magnier czuje się nieswojo.

– Dlaczego teraz mi to mówisz? To domofon, nie konfesjonał.

– Wstyd mi mówić o tym wprost.

– Nie mnie to oceniać. To sprawa między chłopakiem a tobą. Jeśli żałujesz, powiedz mi o tym.

– Mówiłeś, że masz pomysł, jak to naprawić.

– Rzeczywiście, może i mam.

– Spróbujmy zrealizować go jak najszybciej, ponieważ naprawdę gryzie mnie sumienie.

– Kiedy przychodzi Yanis?

– Dziś wieczorem – odpowiedział Philippe, mrużąc oczy przed kroplami deszczu.

– Jesteś gotowy z nim porozmawiać?

– Byłoby mi łatwiej, gdybyś mi pomógł. Nie wiem nawet, na czym polega twój pomysł.

Blake milczał przez chwilę, po czym odpowiedział:

– Wpadnę po kolacji. Pogadamy.

Oblicze Magniera rozciągnęło się w szerokim uśmiechu, który kamera zniekształciła, nadając mu wygląd potwora rodem z filmu science fiction, przybyłego z kosmosu z zamiarem podbicia Ziemi śrubokrętem.

– A wy znowu się bawicie – skomentowała Odile, która zniecka pojawiła się w holu.

– Wcale nie, wypróbujemy nowy domofon – bronił się Blake.

– Właśnie słyszę, nie przestaje bowiem dzwonić. W tym celu jednak nie musicie prowadzić godzinnych konwersacji i umawiać się na tajemnicze schadzki.

Andrew nie wiedział, co odpowiedzieć. Zadowolona z siebie Odile opuściła pomieszczenie. Majordom, mimo słusznego wieku, przypominał teraz ucznia drugiej klasy przyłapanego na gorącym uczynku.

- Możemy włączyć telewizję?
 - Nie teraz, Yanis. Philippe i ja chcielibyśmy najpierw z tobą porozmawiać.
 - Uprzedzam, że nie będę więcej robił zakupów! Możecie naskarżyć mojej matce, mam to gdzieś. Nie będę już pracował. Robicie ze mnie niewolnictwo.
 - Niewolnika, jeśli już – wyjaśnił Andrew spokojnym tonem.
 - Poprawia mnie pan, ponieważ jestem imigrantem, tak?
 - Urodziłeś się we Francji, chłopcze. Z nas dwóch to ja jestem imigrantem.
- Chłopiec nie tknął posiłku. Rzucił pod stołem okruchy chleba psu, wyobrażając sobie, że nikt tego nie widzi. Tak jak to ustalili, Philippe trzymał się nieco na uboczu. Blake mówił dalej:
- Chcielibyśmy zaproponować ci układ.
 - To już po was. Macie pecha. Jestem nie do pobicia w negocjacjach.
 - Czyli lubisz tutaj przychodzić?
- Nieco zbity z tropu dzieciak obrzucił szybkim spojrzeniem obu wpatrzonych w niego mężczyzn.
- Może być, zawsze to jakaś odmiana. Poza tym jest Youpla.
 - Czy miałbyś ochotę przychodzić tutaj częściej?
 - Po co? Nie jesteście chyba zoofilami? Jeśli tak, to mój brat przyjdzie tutaj z kumplami i wam przyłoży.
 - Chciałeś pewnie powiedzieć „pedofilami”, ale nie, zapewniam cię, że nimi nie jesteśmy.
- Chodziło nam raczej o to, żeby cię nauczyć czytać i liczyć.
- Umiem już liczyć!
 - Naprawdę?
 - Wystarczająco, żeby móc robić zakupy i sobie radzić.
 - A czytać?
 - A po co mi to? W telewizji gadają... Daję sobie zresztą radę.
 - Ile ty masz lat, Yanis?
 - Prawie siedemnaście.
 - Rozumiem. I wiesz co? Wierzę ci. Każdy z nas ma swój wiek, w którym czuje się najlepiej, odpowiada on bowiem naszemu sposobowi postrzegania się. Młodzi lubią widzieć się starszymi, a starsi – młodszymi. Na przykład ja mam trzydzieści pięć lat.
 - Ale ściema! Ma pan przynajmniej trzy razy tyle!
- Blake się uśmiechnął.
- Masz rację. Pewnego dnia, jeśli będziesz grzeczny, opowiem ci o moim pierwszym polowaniu na dinozaura z czasów, kiedy jeszcze chodziłem goły i mieszkałem w grocie. Wrócimy jednak do ciebie. Ile masz lat, Yanis? Tak naprawdę.
- Chłopiec zaczął wyłamywać sobie palce.
- Czternaście. Prawie piętnaście. Za osiem miesięcy.
 - Do której klasy chodzisz?
 - Do pierwszej gimnazjum. Powtarzałem klasę, ponieważ byłem chory...
 - Nie szkodzi. Na razie, jeśli dobrze zrozumiałem, matka karmi cię i zapewnia ci dach nad głową. Zastanawiałeś się jednak, co będzie, kiedy jej zabraknie? Jak o siebie zadbasz?
 - Mam mnóstwo kumpli... I jeszcze kupę czasu. Pan tego oczywiście nie może skumać. Przyparty do muru chłopak był gotów posunąć się aż do bezczelności. Philippe już miał

zamiar go zbesztać, ale Andrew dał mu sygnał dłonią, żeby tego nie robił.

– Zdziwisz się, Yanis – ciągnął – ale takie skamieliny jak my kiedyś także były chłopcami. Kiedy byliśmy w twoim wieku, również się wyglupialiśmy. Nasze mamy na nas krzyczały. Nie lubiliśmy warzyw. Ukrywaliśmy łzy, kiedy oberwaliśmy i udawaliśmy twardzieli. Mieliśmy marzenia i wiele złudzeń. Tak jak ty. Pozwól zatem, że zdradzę ci pewien sekret, który pozwoli ci oszczędzić sporo czasu: marzenia popychają cię naprzód i rosną wraz z tobą. Kształcą cię. Musisz jednak jak najszybciej pozbyć się złudzeń. Złudzenia sprawiają, że nie widzisz życia takim, jakie ono jest, i prowadzą na manowce. Kiedy mówisz, że masz mnóstwo kumpli i całe życie przed sobą – wierz mi, to jest złudzenie.

Yanis przyjrzał się mężczyznom w zamyśleniu. Andrew dodał jeszcze:

– Muszę przyznać, że kiedy byłem w twoim wieku, nie miałem ani tyle energii co ty, ani nie byłem tak silny w gębie. Chyba nie potrafiłbym nawet przejść przez las po zapadnięciu zmroku, tak jak ty. Uciekłbym z krzykiem przy pierwszym trzasku gałązki. Albo, co gorsza, zemdlałbym, słysząc pohukiwanie sowy!

– Bał się pan ciemności?

– A ty się nie boisz?

– Dawniej trochę, ale kiedy ojciec jeszcze z nami mieszkał i miał dość naszych hałasów, wyrzucał nas na klatkę schodową w bloku, gdzie mieliśmy czekać na matkę. Ona zaś wracała bardzo późno i musieliśmy czekać na nią godzinami. Światło wyłączało się co kilka minut i siedzieliśmy w całkowitej ciemności. Od czasu do czasu pojawiali się również ludzie – „duchy”, jak ich nazywaliśmy. Tak nauczyłem się radzić sobie ze strachem.

– Mówisz o dzieciństwie w czasie przeszłym. Jak dawno to było, twoim zdaniem?

– Nie wiem, ale już ładny kawał czasu temu. A jeśli chodzi o marzenia... Kiedy patrzę na ludzi wokół mnie, to nie żyją nawet tak długo, jak postaci w grach komputerowych.

– Gdybyś miał dużo pieniędzy, Yanis, to co byś z nimi zrobił?

– Dużo pieniędzy?

– Ile tylko byś chciał.

– Dobrze pytanie. Często bawimy się w to z kolegami. Na początek kupiłbym sobie ekstrasamochód, coś jak aston martin z całą masą gadżetów. A potem ciuchy. Dałbym także trochę matce, żeby mogła rzucić swoją durną pracę.

– W pierwszej kolejności kupiłbyś sobie luksusowe auto? Mówię o marzeniach, nie o złudzeniach.

– Tak naprawdę chyba najpierw kupiłbym matce telewizor, ponieważ stary jest już zepsuty. Tylko kiedy matka ogląda ulubiony program, wygląda na zadowoloną. Jej odbiornik łapie jednak tylko dwa kanały i do tego obraz skacze, rzadko kiedy widzę ją więc szczęśliwą.

– Razem z panem Magnierem chcemy ci zaproponować następujący układ: za każdym razem, kiedy tutaj przyjdiesz, będziemy ci pomagać uczyć się czytać i liczyć.

– Mówiłem już, że potrafię!

– Pozwól mi dokończyć. Jeśli zdołasz osiągnąć odpowiedni poziom w klasie, damy ci pieniądze, żebyś mógł podarować matce telewizor.

– Serio? Niby dlaczego mielibyście to zrobić? Chcecie mi wydłubać oczy i wyciąć nerki, żeby sprzedać je handlarzom narządów?

– Myśl, że ktoś po prostu chce ci pomóc, wydaje ci się aż tak podejrzana?

– Nikt nie robi nic za nic.

– Współczuję ci, jeśli naprawdę tak uważasz.

– Nie potrzebuję waszego współczucia. Daję sobie radę.

– Yanis, czy wierzysz w szczęście?

– W totolotku – tak, ale nie w życiu.
W spojrzeniu Blake’a pojawił się krótki błysk.
– Wierzysz, że można mieć szczęście w kartach? – nalegał.
– Mój brat mówi, że los nie robi różnicy między ludźmi. Wszyscy jesteśmy równi wobec przypadku.

– Doskonale! Philippe, czy masz może karty?
– Chyba coś znajdę.
Zarządca zniknął w sypialni. Andrew spojrzał chłopcu głęboko w oczy.
– Proponuję ci grę, Yanis. Zwykłą rozgrywkę, której wynik będzie zależeć od przypadku. Żadnego blefu, żadnych skomplikowanych reguł, tylko przypadek.

– Niech pan uważa, już kiedyś grałem – nie uda się panu mnie oszukać.
– Nie ma tutaj żadnej pułapki. Ty tasujesz karty. Ty zdecydujesz, kto zaczyna. Pierwsza osoba, która wyciągnie kartę, jaką ty wskażesz, wygra. Zgoda?

– O co gramy?
– Jeśli wygrasz, nie będziesz musiał przychodzić się uczyć i kupisz matce telewizor za nasze pieniądze. Jeśli przegrasz, obiecasz, że będziesz przychodził na lekcje, a kiedy nadrobisz zaległości, damy ci pieniądze na telewizor dla matki.

– Na czym polega trik? W obu wypadkach moja matka dostanie nowy telewizor.
– Tak, ale jeśli ja wygram, to ty dodatkowo będziesz potrafił przeczytać jej instrukcję obsługi i pomożesz mi wynegocjować cenę, nie myśląc się w procentach.

Magnier wrócił z talią kart i położył ją na stole. Yanis się wahał.
– Potrzebuję czasu, żeby podjąć decyzję.
– Jesteś dużym chłopcem. Nie ma się co zastanawiać. Moja oferta nie jest wieczna. Masz wybór: możesz sprawić matce przyjemność dzięki hipotetycznemu ślepemu trafowi albo dzięki własnej odwadze.

Yanis wyraźnie się łamał, ale nie był przyzwyczajony do podejmowania decyzji. Nikt wcześniej nie dał mu takiej możliwości. Szukając wsparcia, zerknął nawet na psa. W końcu oznajmił:

– Wybieram asa pikowego. I to ja zaczynam.
Blake podał mu rękę, żeby oficjalnie przypieczętować układ. Chłopiec niezdarnie uściśnął wielką dłoń. Magnier przesunął karty w stronę chłopca, który je przetasował, rozsypując połowę na stół. Nie tracąc dumnego wyrazu twarzy, Yanis czym prędzej pozbiierał karty. Salonik Magniera nagle zmienił się w dekorację filmu grozy. Yanis pociągnął pierwszą kartę, jak gdyby zależało od tego jego życie. Przysunął ją do siebie, żeby nikt nie mógł jej podpatrzeć. Zerknął i na jego twarzy wymalowało się rozczarowanie: dziesiątka trefl.

Blake pociągnął drugą kartę i od razu ją odwrócił: walet karo. Yanis wyprostował się na krześle i wykonał kolejny ruch, naśladując już tym razem Blake’a: król pik.

– Blisko – stwierdził.
– To albo ta karta, albo nie ta. Strzelasz gola albo nie strzelasz. Nie istnieje połowiczny sukces.

Blake odwrócił dziesiątkę karo. Ciągnęli na zmianę. Napięcie rosło, w miarę jak topniał stos kart. Nawet Youpla zdawał się pojmwować powagę sytuacji i siedział spokojnie. Magnier przyglądał się rozgrywce, nachylając się coraz bardziej nad stołem.

– Ile kart już pociągnęliśmy? – zapytał Blake przeciwnika.
– Nie wiem. Dziesięć, może dwanaście. Niech pan nie próbuje mnie zmylić. Teraz moja kolej.

– Wzięliśmy już po trzysta kart. W talii są trzydzieści dwie karty. Ile nam jeszcze

zostało?

– Dość, żeby wybrać telewizor dla matki.

Chłopiec odwrócił asa kier. Na jego twarzy malowała się teraz uraza. Blake zatrzymał dłoń nad stosem kart, niczym kowboj szykujący się do sięgnięcia po broń. Popatrzył chłopcu w oczy, ten jednak nie zdołał wytrzymać jego spojrzenia.

– Yanis, zdajesz sobie sprawę, że jedna karta może zmienić twoje życie? Zawsze będziesz pamiętał, że tylko ty i przypadek zdecydowaliście.

Chłopiec uśmiechał się kpiąco, dopóki Blake zdecydowanym ruchem nie odwrócił asa pikowego.

– Oszukiwał pan!

– Jakim sposobem?

– Skąd więc pan wiedział, że trafi na asa?

– Tak jak ty wierzę w szczęście.

– Nie idę na to!

– Daleś słowo. Mężczyzna musi zawsze dotrzymywać słowa. W przeciwnym razie nikt by mu nie wybaczył, szczególnie jeśli to on sam wszystko ustalił. Twój brat i jego koledzy na pewno by się ze mną zgodzili.

Wściekły Yanis rozrzucił karty po pokoju.

– Dlaczego mi pan to robi? – krzyknął.

– Żeby ci pomóc.

Chcąc pozbyć się z pamięci zapachu ciepłej farby drukarskiej, który przyprawiał go o mdłości, Andrew spędził dłuższą chwilę nad parującym imbrykiem do kawy.

– Rezygnuje pan z herbaty? – zdziwiła się Odile, otwierając drzwi do ogrodu.

– Przenigdy. Szukam tylko małej odmiany.

Kucharka wychyliła głowę na zewnątrz, żeby zawołać kota.

– Mefisto! Mefisto! Chodź, mój kochany, nalałam ci mleczka.

– Zaziębi się pani – stwierdził Blake. – Moglibyśmy wyciąć w drzwiach okienko dla kota.

Wchodziłby i wychodziłby, nie przeszkadzając pani.

Rozglądając się za zwierzęciem, Odile rozważała pomysł.

– Nie wiem, czy pani by się zgodziła.

– Mogę z nią o tym porozmawiać. Swoją drogą, nie uważa pani, że ona coś słabo ostatnio wygląda?

– Zwróciłam jej uwagę, że sprawia wrażenie zmęczonej, ale powiedziała, że nic jej nie jest.

– Czy lekarz nie zalecał jej badań kontrolnych?

– Odkąd tutaj pracuję, nigdy nie było żadnego doktora. Pani leczy się sama jakimiś ziołami.

Kot nadbiegł truchtem, ze sterzącym pionowo ogonem, i skierował się bezpośrednio w stronę miski z mlekiem. Odile ciągnęła:

– Dziś po południu pani spodziewa się ważnych gości.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Zapewne zapomniała pana powiadomić. To spotkanie robocze.

Niezrozumienie w oczach Andrew skłoniło Odile do wyjaśnienia.

– Proszę jej tego nie brać za złe. Ona wie, co pan sobie myśli o ludziach zarządzających jej lokatami. Wołała o ich wizycie poinformować raczej mnie niż pana. Tym bardziej że – z tego, co rozumiałam – sprawa jest pilna.

– Mógłbym okazać się przydatny.

– Ona ma na ten temat inne zdanie. Poza tym to ona tu rządzi.

Blake oczywiście zauważył, że pani Beauvillier nie powierza mu żadnej korespondencji związanej z pieniędzmi. Postanowił dowiedzieć się więcej na temat sytuacji finansowej chlebodawczyni i jej „zarządców”, nawet gdyby miał zbierać informacje na własną rękę.

Zmienił temat:

– Odile, chciałbym panią prosić o przysługę. Czy moglibyśmy jutro zaprosić Manon na obiad?

Kucharka zmierzyła majordoma zdziwionym wzrokiem. Blake nalegał:

– Ostatnio jest w kiepskim nastroju.

– Czy to nie w środy spotyka się ze swoim chłopakiem?

– Ostatnio już nie.

– Sądzi pan, że posiłek z nami przywróci jej uśmiech?

– Pani kuchnia potrafi zdziałać cuda.

– Wpadła w tarapaty? Zwierzała się panu?

– To nic poważnego...

– Musi się pan raz na zawsze nauczyć, panie Blake, że dla nas, kobiet, sprawy sercowe

zawsze są poważne. I widzę, że Manon zwierzała się panu.

– Myślę, że to pani robi na niej duże wrażenie.

– Ja? Ciekawa jestem dlaczego. Manon jest bardzo porządną dziewczyną, ale nigdy nie próbowała nawiązać ze mną bliższej znajomości. Przychodzi, robi, co do niej należy, nie mniej i nie więcej, po czym wychodzi. Łączy nas czysto służbowa relacja. Chociaż chętnie bym jej wysłuchała.

– Jej życie toczy się gdzie indziej.

– Pewnego dnia, zaraz po tym, jak zaczęła tutaj pracować, powiedziała mi, że chce zostać nauczycielką. Nie ma to wielkiego związku ze sprzątaniami.

– Los rzuca nas często nie tam, gdzie byśmy chcieli. Oboje jesteśmy tego dobrym przykładem. Czy zgodzi się pani, żeby Manon zjadła z nami?

Odile pogłaskała kota, którego mały języczek zanurzał się w mleku z idealną regularnością.

– Już wiem, co z tej okazji ugotuję.

Pogoda był wietrzna. Suche liście, podrywane świszczącymi wśród gałęzi podmuchami, wlatywały ponad korony drzew, aby następnie opaść, wirując. Blake i Magnier zagłębili się w drzewostan parku.

– Być może nie znajdziemy wielu kurek – oświadczył Philippe – ale na borowiki są spore szanse.

Zarządca szedł przodem z koszykiem w jednej ręce i kijem w drugiej.

– Świetnie sobie dajesz radę z dziećmi – ciągnął. – A ten malec wcale nie należy do łatwych w obsłudze. Dziki i zawsze gotów wystawić pazury. Jak ci się udało ta sztuczka z asem pikowym?

– Nie rozumiem?

– Przecież widziałem. Wiedziałeś, że go wylosujesz. Jak to ustawiłeś? Miałeś go w rękawie? Znasz się na trikach karcianych?

– Miałem szczęście.

– Andrew, pytam serio! Mnie możesz wyznać prawdę. Obiecuję, że nie powiem chłopakowi.

– Liczy się tylko to, żeby nadrobił program w szkole.

– Godny pochwały pomysł, ale ja go znam – to spryciarz. Zrobi wszystko, żeby tylko się nie przemęczyć.

– Jak każde dziecko. Chodzi o to, żeby nie pozostawiać mu wyboru. My również jesteśmy sprytni, prawda?

Magnier się uśmiechnął.

– Skoro mowa o dzieciach. Masz córkę, prawda?

– Ma na imię Sara. Nigdy nie musiałem jej zmuszać do nauki. Matka służyła jej za przykład.

– Nigdy nie musiałeś pomagać jej w zadaniach domowych?

– Raz czy drugi, z fizyki. Poprosiła mnie o to, kiedy już była na studiach.

– Pytam, ponieważ nie mam pojęcia, jak podejść do Yanisa.

– Wolisz liczyć czy czytać?

– Liczę tylko pensję i dawki nawozu dla roślin. A jeśli chodzi o lekturę, to od czasu do czasu przeglądam różne czasopisma. Jako dziecko lubiłem książki, głównie dlatego, że nudziłem się na wakacjach, a to był jedyny sposób, żeby się czymś zająć.

– Możesz więc wziąć na siebie czytanie, ja zaś zajmę się matematyką.

– Zgoda, ale dalej nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Czytaj mu różne historie, ale tylko te, które ci się podobają. Co lubiłeś czytać na wakacjach? Dzięki jakim opowieściom odpływałeś najdalej? Jakie książki sprawiały, że miałeś ochotę pochłonąć je w całości? Przypomnij sobie. Przeczytaj mu twoje ulubione bajki na głos. Kilka stron podczas każdej wizyty. Spraw, żeby miał ochotę się dowiedzieć, co się stało dalej, jak gdyby chodziło o serial. Wciągnie się.

– Nie tak się uczyłem w szkole.

– Szkoła to co innego. Nauczyciele muszą zapanować nad zbyt dużą liczbą dzieci jednocześnie, wszystko więc automatyzują, sprowadzają nauczanie do linii produkcji przemysłowej, choć najlepiej sprawdza się zarażanie szczęściem, jakie daje lektura. Nie będziemy mu wyjaśniać, co jest w książkach – zachęcimy go, żeby sam odkrył, co można w nich

znaleźć.

– Na każdy temat masz takie przemyślenia? Pewnie dobrze sobie radziłeś z nauką?

– A jednak nie byłem łatwym uczniem, zapewniam cię! Najbardziej lubiłem spędzać czas z kolegami. Motywowały mnie tylko spotkania z nimi. Dużo się wygłupialiśmy – na nieszczęście nauczycieli. Nie byliśmy specjalnie rozsądni, ale jacy mogliśmy być w takim wieku?

Przynajmniej trzymaliśmy się razem.

– Nie lubisz samotności?

– Moja żona mówiła, że tylko to, co się dzieli z innymi, ma wartość. Wydaje mi się, że miała rację.

– Pewnie uważasz, że jestem głupi, żyjąc jak szczur w tym małym domu.

– Czasami człowiek nie ma wyboru. Ja również wylądowałem sam jeden wśród was. Od czasu do czasu każdy jest sam. Najważniejsze, żeby odnaleźć drogę do innych, jeśli to możliwe.

Magnier miał wrażenie, że w głosie Andrew zabrzmiał smutek. Zarządca miał ochotę powiedzieć majordomowi, że nie jest już sam, ponieważ właśnie są na dobrej drodze do zaprzyjaźnienia się. Chętnie położyłby mu rękę na ramieniu, żeby go pocieszyć, jak to robią koledzy na szkolnych podwórkach. Nie ośmielił się jednak.

Blake postawił kołnierz. Magnier wskazał kopczyki suchych liści pod ich stopami.

– Lepiej zacznijmy uważniej patrzeć pod nogi – powiedział, rozgrzebując ściółkę kijem. – Kurki łatwo zauważyć, gdyż mają złotawy kolor, ale do borowików trzeba mieć dobre oko. I proszę, nie wkładaj niczego do koszyka, zanim mi tego nie pokażesz. Jeśli choć jeden trujący grzyb znajdzie się wśród jadalnych, zarazi je wszystkie. Grzyby nie wybaczą błędów.

Blake miał wrażenie, że ostatnie zdanie jest nieco zbyt dramatyczne jak na tę tematykę. „Grzyby nie wybaczą błędów”. Teoretycznie następny rozdział powinien nosić tytuł *Straszliwa zemsta grzyba*. Borowik zjawia się w swoim okrągłym kapeluszu i mści się bezlitośnie, gdyż – jak każdy już wie – grzyby nie wybaczą nikomu. Blake się domyślił, że angielskie grzyby są zapewne równie pamiętliwe jak francuskie. Wtem kawałek dalej, u stóp majestatycznych drzew, zauważył niskie, ostro zakończone ogrodzenie.

– Co to? – zapytał. – Granica posiadłości?

– Nie, to cmentarz.

W cieniu rozłożystego dębu, liczącego zapewne kilka stuleci, widniały cztery kamienie nagrobne. W ogrodzonej przestrzeni znajdowało się dość miejsca na jeszcze trzy groby. Magnier odstawił koszyk i kij, po czym pchnął furtkę. Zdecydowanym krokiem skierował się ku płycie z surowego granitu. Blake ruszył za nim.

– Tutaj spoczywa pan François – wyjaśnił szeptem.

Starannym, pełnym szacunku gestem Philippe usunął zeschnięte liście z płyty nagrobnej. Następnie stanął i skrzyżował dłonie. Blake nie spuszczał z niego oczu. Zarządca wbił wzrok w inskrypcję na kamieniu. Jego wargi delikatnie się poruszały, ale rytm słów nie przypominał modlitwy. Może Philippe zwracał się do pana Beauvilliera? Osobliwy był to widok: mężczyzna wśród przyrody, szepczący coś pod nosem. Zadziwiający był również rozdźwięk między miejscem, w którym się znajdowali, i jego zachowaniem. Tylko on zdawał się wiedzieć, co się kryje pod imponującym kamiennym blokiem. W przeciwieństwie do wielkich cmentarzy i kościołów, które potrafią odgradzić nas od świata, ta maleńka przestrzeń nie zdołała zapanować nad otoczeniem. Śmierć nie osłania przed wiatrem, żadna krata nie powstrzyma nawiewanych liści, smutek i wspomnienia nie wstrzymają biegu życia.

Blake zostawił Philippe'a jego rozmyśleniom i opuścił niewielki cmentarzyk. Przez ogrodzenie przyglądał się pozostałym grobowcom. Rodzina Beauvillier, rodzina Delancourt. Na trzecim nie było napisu.

Po chwili zarządca przeżegnał się niewprawnym gestem i również się wycofał. Jego głos odzyskał naturalne natężenie:

– Wyobrażasz sobie, że tylko ja tutaj przychodzę?

Magnier znów mówił dźwięcznym głosem, choć znajdował się zaledwie kilka kroków od miejsca, w którym uznał za stosowne szeptać. A przecież minął tylko ogrodzenie. Nie po raz pierwszy Blake stwierdził, że wszystko jest tylko kwestią kodów i symboli.

– Pani nigdy tutaj nie bywa?

– Na początku przychodziła od czasu do czasu. Później tylko w Święto Zmarłych. Od czterech lat nawet tu jednak nie zajrzała. Nie pyta także, czy dbam o to miejsce. Nie potrafię tego zrozumieć, byli ze sobą tak bardzo zżyci.

– Rodzina Delancourtów to krewni pani?

Magnier skinął głową.

– Panu François zależało na przeniesieniu ich tutaj. Chciał zjednoczyć rodzinę.

– Dlaczego na jednym z kamieni nie ma żadnego napisu?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, czy ktoś został pod nim pochowany. Był już tutaj, kiedy zaczynałem pracę. Pan François nigdy nic na ten temat nie mówił, a ja nie ośmieliłem się spytać.

– Byliście ze sobą blisko?

– Ja i pan Beauvillier? Chyba tak. Nie należeliśmy do tego samego środowiska i nigdy nie nazwałbym się jego przyjacielem, ale łączyły nas dobre chwile. Myślę, że byłem dla niego kimś w rodzaju towarzysza.

– Musi ci go brakować.

– Zanim go poznałem, byłem nieco zagubiony. Odkąd odszedł, również tak się czuję.

– A jego syn, Hugo?

– Od lat go tutaj nie było. Ostatni raz widziałem go na pogrzebie pana. Mam wrażenie, że wyjechał jeszcze tego samego wieczoru, nie nocował tutaj. To dziwne, nie potrafię sobie przypomnieć. Prawdę mówiąc, byłem w takim szoku...

Philippe wskazał kijem pod pień kasztanowca.

– Widzisz go? Pierwszy w tym sezonie! Jest twój. Będzie doskonale smakował w jajecznicy.

– Dziękuję, panie Blake. Nie będzie pan już potrzebny.

Słowa te rozpoczęły sekretne odliczanie, z którego Andrew miał zamiar wykorzystać każdą chwilę. Uklonił się z szacunkiem i wycofał, pozostawiając panią i jej dwóch doradców finansowych o uśmiechach tak identycznych, że aż przerażających. Opuścił salon i starannie zamknął za sobą drzwi.

Sądząc po liczbie broszur, jakie ze sobą przynieśli oprócz laptopa, majordom ocenił, że ma przynajmniej piętnaście minut. Zerknął na zegarek i wszedł na górę, omijając starannie ósmy stopień, który skrzypiał. Kiedy znalazł się na podeście pierwszego piętra, przez chwilę nasłuchiwał odgłosów dochodzących z góry. Odile znajdowała się w swoim pokoju na trzecim piętrze, zapewne zajęta czytaniem romansu.

Upewniwszy się, że ma wolną drogę, Blake skierował się do apartamentów pani. Wślizgnął się do środka i przypuścił atak na biurko. Szuflada, w której pani Beauvillier trzymała listy, jakich nigdy mu nie pokazywała, nie była zamknięta na klucz. Blake wyciągnął kilka kartek: upomnienia z banku przeplatane pismami z nagłówkami inwestorów budowlanych. Znalazł również wyciągi z kont i raport dotyczący stanu majątku. Dokument ten natychmiast przyciągnął jego uwagę. Podsumowanie obrazowało dokładnie sytuację, z jaką musiała sobie radzić pani Beauvillier. Tylko w ciągu ostatniego półrocza lokaty straciły na wartości ponad piętnaście procent. Przeglądając listy, Blake się zorientował, że najstarsze pochodzą sprzed zaledwie kilku tygodni. Gdzie są pozostałe?

Andrew poprawił okulary i, skradając się na palcach, przeszukał cały pokój. W sekretarzyku znajdowały się tylko książki, katalogi i terminarze z poprzednich lat. Szafa pękała w szwach od starych kaset wideo, płyt DVD i kolekcji dziwacznych bibelotów, zapewne pamiątek z zagranicznych podróży. Mimo starannych poszukiwań Blake niczego więcej nie znalazł.

Zdecydowany zdobyć odpowiedź na dręczące go pytanie, Andrew przeszedł do sypialni. Zasłony były zaciągnięte. Zamarł: wydało mu się, że w półmroku dostrzeża zarys sylwetki. Stał przez chwilę nieruchomo, zanim zdecydował się zapalić światło. Koszula nocna wisiała na wieszaku zaczepionym o parawan.

Blake miał świadomość, że wkroczył na zakazany teren, ale w jego oczach potrzeba wiedzy usprawiedliwiała ten czyn. Prawdę mówiąc, nie chodziło tylko o odkrycie miejsca, w którym pani przechowuje dokumenty. Zakradając się do jej prywatnych apartamentów, miał nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej na jej temat, a to interesowało go znacznie bardziej.

Naprzeciw zasłanego łóżka, na pięknej starej komodzie, królował telewizor o płaskim i szerokim ekranie. Po lewej stronie łóżka, na jedynym w sypialni stoliku nocnym, przy budziku o świecącej niebieskiej tarczy, pani postawiła wazon z różami. Gest ten wydał się Blake'owi paradoksalny, biorąc pod uwagę jej niemal całkowity brak zainteresowania kwiatami, kiedy przynosił je Philippe.

Jedynymi meblami, w których można by ukryć dokumenty, była komoda, duża szafa, biblioteczka i szafa ścienna. Andrew rozpoczął przeszukiwanie od komody, ale kiedy trafił na bieliznę pani, postanowił działać szybko. Ostatnia szuflada zawierała listy ułożone według rozmiaru i dziecięce rysunki. Szafę wypełniały ubrania podzielone osobliwie – nie według rodzaju, lecz według koloru. W biblioteczce obok pięknie oprawionych dzieł znalazł również niezbyt interesujące współczesne pozycje. W szafie ściennej umieszczono zaś sukienki i garsonki

oraz kilka pudełek z butami.

Kiedy spojrzął na budzik, uświadomił sobie, że czas ucieka, a on wciąż nie znalazł nic godnego uwagi. Coś się nie zgadzało w całej tej historii z papierami. Pani z całą pewnością musiała przechowywać dokumenty w swoim apartamencie. Znał już na tyle dobrze posiadłość, że wiedział, że nie istnieje żadne inne miejsce, gdzie można by przechowywać archiwa, nie licząc – być może – piwnicy, do której nikt nigdy nie schodził. Znajdował się właśnie w jedynym pomieszczeniu, w którym pani spędzała czas, i w którym Manon nie miała prawa sprzątać. Może dokumenty schowano w pudełkach po butach w szafie ściiennej? Otworzył ją jeszcze raz i ukląkł, żeby podnieść pokrywki. Pierwsze pudło zawierało dwie pary czólenek. Stojące obok – botki. Sprawdził ciężar pozostałych pojemników, ale były zbyt lekkie, żeby mogły znajdować się w nich papiery. Odstawiając pudła na miejsce, Andrew odniósł wrażenie, że tylna ściana szafy się poruszyła. Wsunął rękę między ubrania. Kiedy jego palce natrafiły na drewno, napał na nie i – ku jego wielkiemu zdziwieniu – ścianka ustąpiła. Blake poczuł, że drżą mu dłonie. Serce waliło jak opętane. Pchnął lekko skrzydło drzwi. Otworzyła się przed nim czarna jak noc przestrzeń, znacznie przestronniejsza niż zwykła tajna skrytka.

Wtedy usłyszał przenikliwy dźwięk dzwonka. Podniósł się tak gwałtownie, że uderzył głową o półkę. Czym prędzej poprawił wieszaki i pudełka, a następnie opuścił jak najszybciej pomieszczenie.

Ciszę rozdarł przerażający krzyk. Wrzask rozniósł się po wszystkich zakamarkach każdego z pięter, po czym zmienił się w pełen żalości jęk. Andrew niemal upuścił oliwiarkę, za pomocą której smarował zamek w drzwiach wejściowych. Ruszył szybko, przekonany, że pani przytrafiło się coś strasznego, ale kiedy już miał wbiec na schody, zorientował się, że jęki dobiegają z kuchni. Zobaczył Odile, która ukrywszy twarz w dłoniach, leżała niemal na stole, postępując jak konająca.

– Odile, co się stało?

Kucharka nawet się nie poruszyła.

– Źle się pani czuje? Odile, proszę coś powiedzieć! Wezwę pogotowie!

– To zbędne – wymamrotała. – Już za późno. To straszne.

Na pierwszy rzut oka Odile nie wyglądała na ranną. Może jednak coś się stało pani? Może upadła albo nawet... Odile wyciągnęła ramię w stronę otwartych drzwi do ogrodu.

– Tam jest! Błagam, proszę czymś zakryć ciało...

Andrew wypadł na zewnątrz. Niczego jednak nie dostrzegł. Podbiegł w stronę ogródka warzywnego. Tam również nie było śladu zwłok. Wrócił do kuchni.

– Gdzie jest ciało? Odile, błagam, proszę wstać i mi odpowiedzieć!

Blake objął ją uspokajającym gestem, któremu Odile się poddała, wtulając głowę w jego ramię. Drżała.

– Ciało leży u stóp schodów...

– Niczego nie zauważyłem!

Blake pomógł jej usiąść na krześle i wrócił na próg. Wreszcie dostrzegł ofiarę: małą mysz pozbawioną głowy.

– Odile, czy to z tego powodu tak pani krzyczała?

– Nienawidzę myszy – otrząsnęła się. – Nie znoszę ich widoku. A jeszcze bardziej boję się ich, kiedy są martwe.

Blake westchnął.

– To na pewno sprawka Mefista.

– Wiem – odparła kucharka, powoli dochodząc do siebie. – Robi to regularnie. Nie rozumiem, przecież nie umiera z głodu. Podobno nawet je za dużo...

– To nie ma żadnego związku z jedzeniem. Koty chcą się w ten sposób odwdziżyć.

Blake patrzył na zamordowanego gryzonia.

– Brakuje głowy. Mam nadzieję, że jej duch nie będzie nas nawiedzał.

– Jak pan może w ten sposób żartować?

– Śmiech jest najlepszym sposobem na poradzenie sobie ze strachem.

– Ciekawe, jak by się pan zachował na moim miejscu. Szłam po liście laurowe i wpadłam prosto na to... Wredna bestia!

– Proszę się na niego nie złościć. Mefisto ulega własnemu instynktowi. Wyraża w ten sposób swoją miłość do pani.

Blake z trudem zachowywał powagę.

– Kiedyś, za miliony lat, kiedy jego gatunek odpowiednio wyewoluuje, będzie swoimi małymi łapkami zestawiał dla pani piękne bukiety, rysował laurki, a może nawet wyrecytuje poemat w kocim języku. Niestety, na razie potrafi tylko przynieść skróconą o głowę, zdechłą mysz.

Na sam dźwięk tego słowa przerażenie Odile ponownie się wzmoгло. Andrew znów ją przytulił.

– Przepraszam, nie chciałem.

– To potworne barbarzyństwo! – załkała.

– Przykryję zwłoki białą chusteczką, a na żółtej wstążce napiszę: miejsce zbrodni i otoczę nią teren.

– Pan się ze mnie nabija.

– Może się pani na mnie pozłościć. Mefisto by nie zrozumiał. A pożeraczka sera wreszcie dostała za swoje.

W drzwiach kuchni pojawiła się pani Beauvillier i jej oczom ukazał się widok Odile w objęciach Blake’a.

– Kto tak przeraźliwie krzyczał? – zapytała zaniepokojona.

Słyszając głos szefowej, kucharka gwałtownie oswobodziła się z uścisku Blake’a.

– To ja, proszę pani. Bardzo mi przykro.

– Nic się pani nie stało?

– Nie, proszę pani, chodzi o...

Nawet wypowiedzenie tego słowa zdawało się ponad jej siły. Wtrącił się Andrew:

– Odile zobaczyła... Jak by to powiedzieć? Gdybym chciał wyrazić to rebusem, to chodzi o zaimek osobowy w pierwszej osobie liczby mnogiej z doczepionym „sz”.

Pani Beauvillier zastanawiała się przez chwilę, po czym się uśmiechnęła i dodała:

– Który mieszka w norce i czasami pokazuje nam swój pyszczek.

– W tym wypadku jest go całkowicie pozbawiony i zobaczylibyśmy tylko krwawą...

Majordom zauważył, że Odile przygląda im się surowo.

– Powinni państwo się wstydić – skarciła ich.

Nic już nie mówiąc, pani Beauvillier odwróciła się i wróciła do swojego pokoju.

– Niech się pani rozluźni, Odile! Zaraz posprzątam.

Wziął szufelkę spod zlewu i wyszedł po nieszczęsne zwierzątko. Rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu utraconej części ciała.

– Właściwie, Odile, nie może pani mieć za złe kotu, że potraktował to zwierzę jak wy waszych monarchów. Być może to urocze stworzonko było w istocie nieugiętym tyranem, który ciemniżył koci ród. Proszę sobie tylko wyobrazić, jak siedzi na tronie w maleńkiej koronie, a przed pałacem koty jęczą z głodu. Mefisto dokonał rewolucji!

– Nie zna pan litości!

– Ależ znam! Oto dowód: usunąłem wszelkie ślady przestępstwa. Teren został oczyszczony z połówek myszy! Może pani wyjść i otworzyć oczy.

Wtedy zza ogródka warzywnego wyłonił się Mefisto. Dreptał z niewinną miną wzdłuż ogrodzenia w kierunku kuchni.

– A tobie, przyjacielu, radzę trochę poczekać. Musisz się jeszcze wiele nauczyć, jeśli chodzi o postępowanie z dziewczynami.

- Heather? Dobry wieczór, mówi Andrew Blake.
- Panie Blake! Gdzie pan jest? Tak się martwię. Nie słyszę pana zbyt dobrze.
- Jestem we Francji, w lesie, a na dodatek pada deszcz. Dużo by wyjaśniać.
- Spaceruje pan o tak późnej porze?
- Proszę nie wnikać, Heather, sam nie potrafię tego zrozumieć. Jak się pani miewa?
- Jakoś daję radę. Wrzucił mnie pan na głęboką wodę, choć ledwie potrafię pływać.
- Wszystko dobrze?
- Usiłuję trzymać głowę nad wodą. Liczyłam, że zadzwoni pan wcześniej. Pan Ward powiedział, że jest pan na obozie reedukacyjnym.
- Ten nigdy nie przepuści okazji...
- O jaką reedukację chodzi?
- O żadną, Heather. Niech pani lepiej opowie o sobie.
- Zrobiłam pierwszy bilans od czasu pańskiego wyjazdu i interes ma się dobrze. Chłopcy z warsztatu są uroczy. Wyjaśniają mi wszystko, czego nie wiem. Zaczynam się lepiej orientować. Chociaż zebrania mają dość burzliwy przebieg. Addison nie może znieść, że wodze trzyma sekretarka.
- Nie jest już pani sekretarką, Heather, proszę to sobie wbić do głowy. Jeśli pani nie jest co do tego przekonana, inni tym bardziej nie będą.
- Próbowali mnie wytrącić z równowagi. Rozeszła się nawet plotka, że pan nie żyje, ja zaś byłam pańską kochanką i podrobiłam podpis, żeby przejąć władzę w firmie.
- Niech sobie gadają, choć życzę pani lepszych związków. Liczy się rezultat. Gdyby potrzebowała pani wsparcia, proszę zwrócić się do mecenasa Benderforda.
- Być może wygramy bardzo rentowny przetarg u szwedzkiego przedsiębiorcy. Jeśli zdobędziemy ten rynek, będziemy musieli zainwestować w nową maszynę.
- Proszę przygotować zamówienie, zaplanować dostawę do warsztatu, ale z zakupem wstrzymajcie się do czasu podpisania umowy. Jak sobie poradziliście ze wzrostem cen stali?
- Mamy zapas. Wykorzystujemy go w oczekiwaniu na spadek kursu. Pod koniec roku z pewnością pojawią się trudności, tym bardziej że trzeba będzie wypłacić premie.
- Proszę niczego nie wypłacać Addisonowi i jego zbirom.
- Może pan na mnie liczyć. Swoją drogą, dziękuję bardzo za podwyżkę!
- To normalne. Odtąd wszystkie kłopoty są na pani głowie!
- Kiedy pan wraca?
- Nie wiem, Heather, ale nawet po moim powrocie być może nie wrócę do wszystkich swoich obowiązków. Nigdy już nie będzie pani moją asystentką. Mam nadzieję, że czuje się pani już trochę pewniej w nowej roli.
- Niezupełnie.
- Chciałem jeszcze prosić panią o małą przysługę, Heather.
- Słucham?
- Trzeba sprawdzić pewną francuską firmę handlującą nieruchomościami. Jej nazwa to Nieruchomości Vandermel.
- Zamierza pan podbić branżę budowlaną?
- Raczej odwrotnie. Proszę spróbować znaleźć jak najwięcej informacji na ich temat: bilanse, wyniki finansowe, ścieżki kariery kierownictwa, bieżące plany. Co tylko się da.

- Dobrze, proszę pana. W jaki sposób mam przesłać dane?
- Odezwę się. I proszę się o mnie nie martwić, Heather. Wszystko ze mną w porządku.
- Rzeczywiście dobrze pan brzmi. Znacznie lepiej niż ostatnio.
- Kończę, chyba wytropiły mnie lisy. Do usłyszenia!

Pani Beauvillier wsunęła do szuflady kolejny list z banku. Sięgnęła natychmiast po katalog, którego okładkę zdobiły bożonarodzeniowa choinka przybrana łańcuchami i kolorowymi bańkami oraz wesoły krągły bałwanek. Przyjrzała się dość monstrualnej postaci z marchewkowym nosem i w cylindrze, po czym odłożyła pismo na bok. Najwyraźniej musiała być w naprawdę kiepskim nastroju. Westchnęła na widok kolejnego listu. Zielona koperta, ręcznie adresowana. Taka sama, jaką Andrew zauważył miesiąc wcześniej. Nie zastanawiając się nawet, pani Beauvillier przepuściła ją przez niszczarkę, która zamieniła list w wąskie paseczki.

- Słabe żniwo – stwierdziła, widząc, że nie ma już żadnego listu do otwarcia.
- Wydaje się pani zmartwiona – zauważył Andrew.
- Proszę się nie obawiać, panie Blake. Martwienie się nie należy do pana obowiązków.

Poradzę sobie.

Odwróciła wzrok, jak gdyby w obawie, że Andrew mógłby wyczytać z jej spojrzenia coś innego, niżby na to wskazywały słowa. Blake nie nalegał.

– Gdyby zgodziła się pani poświęcić mi jeszcze chwilę swojego czasu, chciałbym poruszyć kilka kwestii dotyczących funkcjonowania posiadłości.

- Słucham pana.
- Zasugerowałem Odile zainstalowanie okienka dla kota w drzwiach do ogrodu, dla Mefista. Nie pociąga to za sobą żadnych kosztów. Czy widzi pani jakieś przeciwwskazania?
- Jeśli dzięki temu unikniemy wrzasków na widok martwych myszy, ma pan moje błogosławieństwo.

Blake odchrząknął i ciągnął dalej. Kolejny temat był delikatniejszy.

– Chciałbym także zapytać, czy mógłbym odpisywać na listy w bibliotece. Nie mam własnego biurka, a praca w charakterze sekretarza wymaga przestrzeni lepiej przystosowanej do tego celu niż kuchenny stół.

- Nie lubię, kiedy ktoś tam wchodzi.
- Wiem, a jednak jest to miejsce najlepiej przystosowane do tej pracy. Kolekcja książek pani męża znalazłaby się dzięki temu pod lepszą opieką. Ciemność, brak wentylacji i kurz na pewno nie mają na nie dobrego wpływu.

Pani Beauvillier spuściła wzrok.

- Muszę się zastanowić. Jutro dam panu odpowiedź.
- Dobrze, proszę pani. Ostatnia sprawa jest nieco bardziej osobista...
- Nie zamierza pan znowu wtrącać się w moje sprawy?
- Chodzi tylko o pani dobro. Oboje z Odile uważamy, że jest pani ostatnio przemęczona.

Naszym zdaniem powinna pani zasięgnąć rady lekarza.

– Wykluczone. Żeby nafaszerował mnie lekarstwami, które głównie niszczą organizm? Wzrusza mnie pańska troska, ale jestem wystarczająco duża, żeby sama o siebie zadbać. Coś jeszcze?

- Nie, proszę pani.
- Proszę więc mnie już zostawić.
- Czy w najbliższych dniach spodziewa się pani gości?
- Nikt się nie umawiał. Poinformuję pana, kiedy będzie pan potrzebny. Dziękuję.

Przed wyjściem Andrew spojrział po raz ostatni na ściągniętą twarz pani Beauvillier. Przy najbliższej okazji będzie musiał zajrzeć do skrytki w głębi szafy. Znajdzie tam zapewne wiele

odpowiedzi.

– Naprawdę miło, że mogę zjeść z wami obiad – oświadczyła Manon, przycupnąwszy nieśmiało na krześle.

– Zawsze to jakaś odmiana – odparła Odile. – Poza tym będzie okazja do porozmawiania, na co często nie mamy czasu.

Blake postawił przyprawy pośrodku stołu i zajął miejsce naprzeciw dziewczyny. Manon miała zapadnięte oczy i sprawiała wrażenie wyczerpanej. Kiedy zauważyła, że kot zajął miejsce na krześle obok niej, na wpół ukryty pod stołem, jej twarz się rozpromieniła. Poglaskała ostrożnie zwierzę. Kocurowi nie drgnął nawet jeden wąsik.

– Jest piękny. Wczoraj widziałam, jak się przechadzał po trzecim piętrze. Chodził za mną krok w krok.

– Przy okazji – wtrącił Blake. – Magnier przyjdzie jutro albo pojutrze, żeby znów naprawić domofon. Wytniemy wtedy okienko dla kota w drzwiach.

Odile skinęła głową bez entuzjazmu. Cieszyła się na myśl o okienku, ale nieco mniej podobało jej się odnowienie kontaktu z zarządcą. Otworzyła piekarnik.

– Gotowe, podajcie mi talerze.

Blake wstał, żeby jej pomóc. Kucharka oznajmiła:

– Filet z okonia pieczony z marynowanymi warzywami.

Manon nie zareagowała, kiedy Andrew postawił przed nią talerz. Jej spojrzenie ginęło w oddali.

– Cudownie, Odile – stwierdził Andrew. – Pani posiłki degustuje się również nosem i oczami.

– Dziękuję.

Próbując nawiązać rozmowę, Odile zapytała Manon:

– Czy ciebie aby nie bierze jakaś choroba? Wydajesz się bledziutka. Październik bywa podstępny. Łatwo się zaziębić. Szczególnie kiedy się jeździ na rowerze bez szalika.

Manon spojrzała błagalnie na Blake'a.

– Powinnaś jej powiedzieć – poradził.

Ponieważ Andrew po raz pierwszy zwrócił się do niej per „ty”, a na dodatek była pewna, że nie zdoła udawać przez cały posiłek, Manon poczuła napływające do oczu łzy.

– Jestem w ciąży – szepnęła do Odile.

Kucharka oniemiała. Po chwili jednak doszła do siebie i zawołała:

– Gratulacje! Czyli to nudności tak dają ci w kość?

– Nie, to Justin, ojciec. Porzucił mnie, kiedy dowiedział się o dziecku.

Odile odruchowo wyciągnęła rękę i uścisnęła dłoń dziewczyny.

– Moja ty biedna!

Kilka łez Manon spadło do talerza, tworząc okrągłe jasne plamki w sosie rybnym.

– Kiedy chodzi o zabawę, mężczyźni zawsze są chętni, ale kiedy trzeba wziąć na siebie odpowiedzialność...

– Nie sędzę, żeby ta przemowa była trafiona – zauważył Blake.

Odile cofnęła rękę i odparła:

– Uważa pan, że reakcja tego chłopca jest uczciwa?

– Na razie jest niezręczna albo nawet głupia.

– Oto do czego sprowadzają się mężczyźni – złościła się Odile.

– Manon potrzebuje pomocy i wsparcia. To, że jej historia stanowi poparcie dla najgorszych uprzedzeń na temat mężczyzn, w niczym nie poprawia sytuacji.

– Czyli trzeba podejść do sprawy filozoficznie?

– Przynajmniej pragmatycznie. Nie rozwiążemy problemu Manon, buntując ją przeciwko Justinowi.

– Ciekawe, że mężczyzna zawsze stanie w obronie drugiego mężczyzny, niezależnie od popełnionej przez niego zbrodni.

– Nie bronię Justina. Usiłuję tylko nie niszczyć ich wspólnej przyszłości. Mam nadzieję, że jeśli Justin je akurat z kimś obiady, to osoba ta nie powie mu, że miał rację, uciekając, jak bowiem wiadomo, ciężarne kobiety są histeryczne i niezdolne.

Tymczasem Manon skosztowała ryby.

– To jest przepyszne – stwierdziła niemal ze zdziwieniem.

Po czym spojrzała na nich oboje i dodała:

– Bardzo was lubię. Nie chcę, żebyście się kłócili z mojego powodu. Dziecko to mój problem.

– Nie kłócimy się – stwierdziła Odile. – Tylko dyskutujemy.

– Nie chciałabym więc być przy prawdziwym starciu.

– Jak sobie radzisz na rowerze? – zapytał Blake. – Musi być ci coraz trudniej.

– Trochę się męczę, jadąc tutaj. Z powrotem jednak nie ma problemu, szczególnie że teraz mam bliżej...

Dziewczyna urwała gwałtownie. Blake zrozumiał problem.

– Wciąż mieszkasz z matką?

Manon zacisnęła palce na talerzu.

– Trafiała ostatnio na pismo z ubezpieczalni.

– I jak zareagowała? – dociekał Andrew.

– Kazała mi poddać się aborcji. Odmówiłam. I tak już jest zresztą za późno. Powiedziała, że z trudem wiąże koniec z końcem i nie będzie miała jak wyżywić dodatkowej gęby. Odeszłam więc.

– Gdzie śpisz? – zapytała Odile.

– U koleżanki nauczycielki, ale nie będę mogła zostać u niej na dłużej.

Odile i Blake wymienili spojrzenia.

Blake natychmiast zauważył książkę na stole Magniera. Okładka została niezręcznie obłożona grubym szarym papierem, a tytuł wykaligrafowano pisakiem. Andrew sięgnął po dzieło.

- *Youpla* autorstwa Jacka Londona? – zdziwił się.
- Tak. Pomyślałem, że bardziej to zainteresuje chłopca niż *Biały kiel*. On uwielbia mojego psa. A chodzi przecież o to, żeby coś przykuło jego uwagę. Jestem już w połowie. Teraz chłopak traktuje moje zwierzę jak bohatera!
- Jeśli będziesz mu czytał o życiu cesarzowej Sissi, postaraj się nie odgrywać głównej roli.
- Nie zmieniam fabuły, zastępuję tylko imię zwierzęcia.
- Nie wiem, co Jack London by na to powiedział... Właściwie jednak, czemu nie? *Youpla* na pewno nieco łagodzi dramatyczne sceny. Ciekawe, choć zdanie „*Youpla* skoczył wilkowi do gardła” brzmi mniej strasznie.
- Możesz sobie kpić, ale już po pierwszym rozdziale Yanis przestał marudzić.
- Gorzej będzie z matematyką. Nie mogę zamiast cyfry „dwa” używać „Pikachu” ani mówić „Iron Man” zamiast „pomnożyć”.
- Szkoda, byłoby zabawnie. Wyobraź sobie tylko: Kot Sylwester podzielony przez Scooby-Doo i pomnożony przez małą myszkę!
- Mówiąc o małej myszce, nie wspominaj nawet o tym zwierzątku przy Odile. Na sto procent dostanie zawału serca, a ty będziesz wyklęty na wieki.
- Za jedno słowo? W takim razie jak sobie radziła, kiedy wypadła jej ząb?
- Nie widzę związku.
- W dzieciństwie, kiedy traciłaś mleczny ząb, nie wkładałaś go pod poduszkę, żeby myszka dała ci w zamian pieniędzy?
- U nas tymi sprawami zajmuje się Wróżka Zębuszka.
- Bez sensu.
- Dlaczego wróżka miałaby mieć mniej sensu niż gryzoń? Niechętnie patrzymy na nosicieli chorób zakaźnych, którzy drepczą po pościeli naszych śpiących dzieci.
- I naprawdę wierzysz w małą wróżkę, która fruwa sobie nocą i zbiera zęby? Widziałeś jakąś? Taką ze skrzydełkami i z głupawym uśmiechem? Trzeba pamiętać, żeby jej zostawić otwarte okno, w przeciwnym razie może się roztrzaskać o szybę.
- Za to twoja mała myszka pewnie zostawiła trochę bobków, bakterie dżumy i wirusy cholery na poduszce Odile, która od tamtej pory dostaje szału na widok tego stworzenia.
- Magnier brał dyskusję bardzo na poważnie i Blake nie mógł się powstrzymać przed dokuczaniem mu. Zarządca nie przebierał już w słowach.
- Bo oczywiście twoja wróżka nigdy nie robi kupy...
- Nie na dziecięcych poduszkach, a jeśli już, to tylko jeśli szkraby są bardzo niegrzeczne.
- Magnier skrzywił się niczym wściekły uczeń, któremu nie było dane mieć ostatniego słowa. Mruknął:
- Wiem, jak znieczulić Odile.
- Nawet o tym nie myśl.
- Blake odłożył książkę i zapytał:
- Myślisz, że mógłbym od kogoś pożyczyć samochód?

- Po co?
- Muszę wybrać się do miasta, mógłbym również przywieźć cięższe sprawunki.
- Ja mam samochód.

Blake uniósł brwi.

- Masz samochód, a mimo to każesz dzieciakowi taszczyć tyle kilogramów przez las?

- Samochód jest mój, ale nie mam prawa jazdy.

- Gdzie on jest?

- W starej stodole. Nie wiem, czy jeszcze działa.

Otworzył szufladę kredensu i zaczął w niej grzebać.

- Gdzieś tutaj powinny być klucze. Pan François dał mi je jakiś czas przed śmiercią.

Chciał, żebym zrobił prawo jazdy, ale nie zdążyłem. Od tamtej pory nikt nie ruszał samochodu.

- Znasz się na mechanice?

– Trochę na ciągnikach i kosiarkach. Na obrabiarkach i piłach również, ale żeby na samochodach...

- Możemy rzucić okiem?

- Proszę, oto klucze.

Kiedy Odile i Andrew wstawili się wspólnie za Manon, pani Beauvillier od razu zgodziła się zapewnić jej dach nad głową. Z własnej inicjatywy zaproponowała nawet udział w niepokrytych przez ubezpieczenie kosztach medycznych.

Po południu Andrew zabrał się za urządzenie jednego z pomieszczeń na trzecim piętrze, które do tej pory służyło jako składzik. Wybrał największy i najjaśniejszy pokój, położony w połowie drogi między jego pokojem i tym, w którym sypiała kucharka.

Przez resztę dnia Odile i Blake sprząтали i porządkowali pokój, przenosząc pudła i stare meble do sąsiednich pomieszczeń. Philippe przyszedł im pomóc w przesunięciu szafy i wniesieniu łóżka z pokoju gościnnego na drugim piętrze. Choć bolały go plecy, Andrew lubił te chwile. Z satysfakcją patrzył, jak Odile i Magnier współpracują przy przepychaniu materaca przez zakręt schodów. Blake postarał się o to, żeby znaleźli się jedno obok drugiego. Manon śledziła całą operację zza balustrady, z początku lekko zakłopotana, że nie może pomóc, ale przede wszystkim przejęta tym, że ktoś męczy się z jej powodu.

Co interesujące, nawet pani Beauvillier opuściła swój apartament i przyszła ocenić wyniki ich zmagania. Niczym królowa na inauguracji sierocińca nadzorowała prace z godnością. Zrobiła także kilka kroków w głąb korytarza. Odile nie miała pewności, czy pani w ogóle pojawiła się na tym piętrze, odkąd ona została przyjęta do pracy. Zanim zeszła na podest schodów, na którym stali rzędem jej pracownicy, pani Beauvillier obdarzyła Manon przyjacielskim gestem, polegającym na czułym pogłaskaniu ramienia. Szepnęła jej nawet coś do ucha.

Był już późny wieczór. Manon siedziała na schodach i głaskała delikatnie Mefista, który usadowił się jej na kolanach.

Blake zdziwił się na jej widok i podszedł bliżej.

– Źle ci w twoim pokoju?

– Odile ścieli dla mnie łóżko. Mówi, że po tym całym zamieszaniu i wzbijaniu kurzu trzeba wywietrzyć, a ze względu na dziecko boi się, że się zaziębię.

Blake przysiadł na tym samym stopniu, ramię w ramię z dziewczyną.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Lepiej. Dzięki wam wszystkim.

– Naprawdę? Nie chciałem o tym mówić przy wszystkich, ale czy Justin zareagował jakoś na list?

– Nie daje znaku życia. A moja komórka nie łapie tutaj zasięgu. Nie widziałam również gniazdka telefonicznego, żeby podłączyć laptopa.

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie. W najgorszym razie jestem pewien, że pani Beauvillier się zgodzi, żebyś mu podała numer telefonu stacjonarnego na wypadek, gdyby chciał z tobą porozmawiać.

– Porozmawiać? Nie mam pewności, czy kiedykolwiek zamienimy jeszcze choćby dwa słowa.

– Nie zakładaj najgorszego. Mężczyźni często potrzebują czasu, żeby coś zrozumieć, jeszcze więcej, żeby zareagować, ale to nie znaczy, że są potworami.

Mefisto mruczał z przymkniętymi ślepiami. Dziewczyna przeczesywała palcami jego długą karmelową sierść. Mimo powagi sytuacji, w jakiej się znalazła, Manon była w dobrym nastroju. Blake zawsze lubił atmosferę strychów i mansard, a ciepłe światło, w którym był skąpany korytarz, jeszcze bardziej wzmacniało to uczucie.

– Pamięta pan dzień, w którym wyprowadził się pan od rodziców? – spytała Manon.

– To była środa. Pamiętam dobrze, ponieważ w tamtych czasach śledziłem razem z matką pewien serial kryminalny. Podjęła wtedy ostatnią, wzruszającą próbę zatrzymania mnie na jeszcze jeden wieczór pod pretekstem, że musimy obejrzeć razem kolejny odcinek. Moja przyszła żona czekała jednak na mnie, mimo wszystko więc wyszedłem. Dla mnie był to wieczór bez znaczenia. Dopiero wiele lat później, kiedy matka o tym wspomniała, uświadomiłem sobie, ile to dla niej znaczyło. Mama wyznała, że tamtego dnia nie zdobyła się na włączenie telewizora beze mnie. Przeplakała cały wieczór. Nie zdawałem sobie wtedy z tego sprawy. Dla mnie nic się nie kończyło, żyłem po prostu swoim życiem.

– A pańska córka?

– Kiedy zostałem ojcem, musiałem liczyć się z tym, że pewnego dnia Sara opuści gniazdo rodzinne i wyjedzie na studia. Miałem ją zawieźć na lotnisko. W przeddzień tej podróży nie zmrużyłem nawet oka w nocy. Wstałem po cichu i zakradłem się pod jej drzwi. Nie ośmieliłem się wejść do środka i popatrzeć, jak śpi, jak wtedy, kiedy była niemowlęciem. Przyznam, że nie słyszałem nawet jej oddechu. Po prostu rozkoszowałem się każdą sekundą ostatniej nocy, kiedy miałem ją jeszcze przy sobie naprawdę.

– Nigdy więcej nie spała już w domu?

– Owszem, ale kiedy zabraknie codzienności, wszystko się zmienia. Miała inne zwyczaje, żyła w związku. Jej życie nie toczyło się już pod naszym dachem. Zniknęło coś, na co składają się drobnostki.

– Musiało być panu smutno.

– Przyszła jej kolej na to, żeby zrobić następny krok w życiu. Tak to już jest.

– Ja nigdy nie widziałam siebie opuszczającej mieszkanie, w którym dorastałam, będąc wypędzona przez własną matkę.

– Pozwól, żeby minęło trochę czasu. Wiem, że znowu będziesz mi wyrzucać, że mówię, jakbym czytał z podręcznika, ale wierz mi, że niedobrze jest wyciągać pochopne konkluzje. Jesteś jeszcze w szoku. Jestem przekonany, że twoja matka już żałuje swoich słów.

– Nie zna jej pan...

– Jesteś córką. Wkrótce odkryjesz siłę tej więzi. Nie możesz jej nie doceniać.

– A jednak kiedy wyszłam, ona zaś zatrzasnęła drzwi, poczułam w głębi serca, że już nic nigdy nie będzie tak, jak było dawniej. Pomyślałam, że może po raz ostatni widziałam swój pokój. Czuł się pan tak kiedyś?

– Ostatnie razy... Jesteś za młoda, żeby tak patrzeć na życie. Przywiąż raczej wagę tylko do pierwszych razów.

– Nie jest mi teraz łatwo. Ostatni raz Justin wziął mnie w ramiona. Ostatni raz pocieszyła mnie mama. Ostatni raz miałam nadzieję zdać egzamin...

– Pamiętasz, co czułaś w pierwszym dniu, kiedy obudziłaś się ze świadomością, że jesteś w ciąży?

– Prawdę mówiąc, nie. Chyba pobiegłam do toalety, żeby wymiotować...

Drzwi do pokoju Manon się otworzyły i w progu stanęła Odile.

– Łóżko gotowe. Trzeba będzie wzmocnić szafę, jest bowiem w złym stanie, ale to już zadanie dla mężczyzn. A teraz, moja panno, musisz wypocząć, ponieważ dzień był dla ciebie wystarczająco długi.

Manon odstawiła kota na ziemię, choć ten chętnie dałby się tak głaskać przez całą wieczność. Wszyscy życzyli sobie dobrej nocy i udali się na spoczynek. Manon pierwsza zamknęła drzwi swojego pokoju. Odile i Blake rozeszli się – każde w swoją stronę korytarza. Andrew źle widział na odległość, ale był pewien, że Odile pomachała mu lekko, zanim zniknęła

w swojej sypialni. Odpowiedział jej tym samym gestem i szybko położył się do łóżka, żeby opowiedzieć o wszystkim Jerry'emu i żonie.

Andrew przetarł fotel z kurzu i już miał zamiar się w nim usadowić, kiedy się zawahał, jakby odczuwając potrzebę zapytania poprzedniego właściciela o pozwolenie. W końcu zajął miejsce przy biurku, w pomieszczeniu urządzone w taki sposób, w jaki on sam mógłby to zrobić, gdyby posiadłość należała do niego. Zamknął oczy. Położył ręce na skórzanych podłokietnikach. Nikt tutaj nie siedział od śmierci pana Beauvilliera.

Choć otrzymał pozwolenie na zajęcie biblioteki na potrzeby sekretariatu, majordom nie został upoważniony do dotykania zawartości szuflad. Dokumenty i długopisy leżały więc obok podkładki na dużym blacie o krawędziach ozdobionych jaśniejszym fryzem. Andrew wziął głęboki oddech i rozejrzał się po pomieszczeniu. Specyficzną atmosferę miejsce zawdzięczało półmrokowi, który rozpraszały miejscami kinkiety, roztaczające łagodny blask wśród regałów z wiśniowego drewna, ciągnących się wzdłuż wszystkich ścian. Na każdym z nich stały piękne książki i dzieła sztuki. Sam nie postawiłby biurka w innym miejscu. Zadowolony wstał, żeby przyrzeć się dokładnie wszystkiemu. Pan Beauvillier zgromadził imponującą kolekcję, której najstarsze eksponaty ustawiono w oszklonej biblioteczkę. Andrew otworzył drzwi mebla, sięgnął po tomik poezji i ostrożnie go przeglądał. Siedemnasty wiek. Tekst o miłości, o śmieci, o przemijaniu. Andrew natrafił na liczne słowa w języku starofrancuskim. Pogładził palcem nierówny papier i odstawił książkę na półkę. Większość publikacji była po francusku: klasycy literatury, słowniki, prace o tematyce historycznej, architektonicznej i medycznej, a także kilka ciekawostek, takich jak słownik żargonu pochodzący niemal sprzed stulecia. W jednej z niskich szafek Blake odkrył wieżę stereo i kolekcję płyt CD. Muzyka klasyczna i filmowa, jedna lub dwie opery oraz płyty z muzyką rozrywkową, z których najnowsze pochodziły z okresu tuż przed śmiercią pana Beauvilliera. Zakończywszy zwiedzanie, Blake uznał, że z przyjemnością poznałby człowieka o tych zainteresowaniach.

Andrew skierował się do wyjścia. Rozejrzał się po korytarzu i zamknął drzwi przed spojrzeniami ewentualnych ciekawskich. Wyjął z kieszeni taśmę klejącą, którą pożyczył od Philippe'a, i skierował się w stronę jednej z biblioteczek. Wsunął rękę za książki i wyciągnął mały plastikowy woreczek. Wysypał jego zawartość na biurko. Pozbierał wąskie paseczki listu i zielonej koperty, które pani Beauvillier przepuściła przez niszczarkę do dokumentów. Trochę czasu zajęło mu wydobycie ich ze śmietnika. Na pewno kilku brakowało, ale większość znajdowała się teraz przed nim. Blake nigdy nie przepadał za układankami. Metodycznie oddzielił paski pochodzące z koperty od tych będących niegdyś listem, które miały dla niego większe znaczenie. Dopasowywał teraz do siebie skrawki koloru kości słoniowej, na których rysowały się szczątki drobnych liter postawionych czarnym atramentem. Zapewne z powodu specyficznej kaligrafii Andrew w pierwszej kolejności zdołał rozszyfrować podpis: Hugo.

Dlaczego pani Beauvillier nie zadawała sobie trudu, żeby przeczytać listy od własnego syna? Blake'owi przyszło nagle do głowy, żeby sprawdzić coś na kopercie. Po znaczku udało mu się szybko zidentyfikować pochodzenie przesyłki: Dżakarta, stolica Indonezji. List szedł do adresata ponad trzy tygodnie.

Pukanie do drzwi wzbudziło w nim panikę.

– Panie Andrew, czy jest pan tutaj? – zapytała Odile przez zamknięte drzwi.

Blake ukrył pospiesznie wszystkie paski pod podkładką. Kucharka weszła do środka, nie pytając o pozwolenie.

– Tak myślałam, że tutaj pana znajde.

– Najprawdopodobniej będę tu przebywał coraz częściej. Nigdy pani nie czeka, aż zostanie pani poproszona do środka?

– Nie jest pan nagi...

– Co mogę dla pani zrobić?

Odile omiotła wzrokiem pomieszczenie.

– Pani musi pana bardzo cenić, skoro pozwala panu korzystać z tego pomieszczenia.

– Nie będę odtąd zajmował stołu w kuchni, gdzie przygotowuje pani swoje wspaniałe potrawy.

– To mi nie przeszkadzało. Lubię pańskie towarzystwo. Przepraszam, że przeszkadzam, ale Magnier pana szuka. Czeka przy drzwiach kuchennych.

– Dlaczego go pani nie wpuściła?

– Niech pan lepiej sam zobaczy...

Zarządca stał w drzwiach. Twarz i ubranie miał poplamione smarem.

– Co się stało? – zapytał Andrew.

– Jesteśmy z Hakimem w stodole, przy samochodzie. Pomagam w naprawie, ale on mówi o rzeczach, których nie rozumiem. Masz prawo jazdy i ty będziesz prowadził, pomyślałem więc, że...

– Już idę.

Kiedy ruszyli w drogę, Odile rzuciła jeszcze za Blakiem:

– Niech pan spróbuje nie wracać w takim stanie!

Pośrodku stodoły, między tym, co musiało być niegdyś boksem dla koni, a starą maszyną rolniczą, stał mały renault z podniesioną maską i otwartymi na oścież wszystkimi drzwiami. Karoserię pokrywała gruba warstwa kurzu, podłoga wokoło była zaś zarzucona różnymi narzędziami.

– Hakimie, jesteś tutaj jeszcze? – zapytał Philippe.

Spod samochodu dobiegł ich głos:

– Zaraz skończę. Trzeba zmienić rurę wydechową, ale takiego modelu na wymianę można szukać tylko u kolekcjonerów.

Spod auta wygramolił się młody człowiek.

– Andrew, przedstawiam ci Hakima, starszego brata Yanisa.

– Przepraszam, że nie podaję ręki, ale jest brudna.

– Dzień dobry. Uda się go naprawić? – zainteresował się Blake.

– Nie twierdzą, że bez problemu przejdzie przegląd techniczny, ale będzie jeździć. Trzeba uważać na opony, są trochę łyse. Co do reszty: po wymianie akumulatora, świec i oleju, oczyszczeniu filtrów i zatankowaniu ruszy na pewno. Chce pan spróbować?

Blake usadowił się za kierownicą.

– U nas wszystko znajduje się po przeciwnej stronie – zauważył Anglik. – Prowadziłem już we Francji, ale to było dawno temu.

– Szybko pan sobie przypomni.

Brat Yanisa musiał mieć nieco ponad dwadzieścia lat. Obaj odziedziczyli to samo spojrzenie. Andrew przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik się uruchomił.

– Zrobimy kilka kółek po parku przed wyjazdem na trasę, ale nie powinno być żadnych problemów.

Silnik pracował równomiernie.

– Gratulacje! Doskonale się pan zna na tej robocie.

– To w końcu mój fach, pracuję w warsztacie. Yanis nic nie wspominał?

Hakim zerknął na zegarek.

– Czy ktoś mógłby sprawdzić mój telefon? Jest w kieszeni mojej kurtki. Czekać na wiadomość, a nie chciałbym go pobrudzić.

– Nie ma sprawy – odparł Blake, wyłączając silnik. – Niestety, nie ma tutaj zasięgu.

– Niedobrze. I tak zresztą będę musiał już lecieć.

– Ile jesteśmy panu winni? – zapytał Blake.

Hakim wytarł ręce o ścierkę.

– Nic, proszę pana. Wiem, co robicie dla Yanisa, i dziękuję. Dobrze, że widuje się z takimi ludźmi jak panowie. Wraca do domu szczęśliwy. Ma mnóstwo pomysłów.

– Myślałem, że jego wizyty są tajemnicą – zdziwił się Andrew.

– Matka o nich nie wie, to prawda. Ale to przecież mój młodszy brat, mam na niego oko.

– Na pewno nie przyjmie pan zapłaty za swój czas albo przynajmniej za części?

– W żadnym wypadku. Proszę się nie wahać, gdyby były jakieś problemy. Może wyjedzie pan ze stodoły, dopóki jeszcze jestem? Przy odrobinie szczęścia deszcz umyje samochód, na razie bowiem nie bardzo wiadomo, w jakim jest kolorze.

Blake wrzucił pierwszy bieg, ale za szybko zwolnił sprzęgło. Samochód skoczył jak koza i silnik zgasł. Za drugim razem poszło mu lepiej. W żółtym tempie renault wytoczył się ze

stodoły.

– Podróż do miasta zajmie mu tydzień – stwierdził Magnier.

– Jeśli złapie gumę, będzie mógł wysiąść i wymienić koło, nawet się nie zatrzymując –
dodał Hakim.

Mężczyźni wybuchli śmiechem.

– Widzę, że się ze mnie naśmiewacie! – zawołał Blake.

Magnier odparł:

– Uważaj, drzewo dwieście metrów przed tobą! Hamuj, w przeciwnym razie jutro
wieczorem w nie uderzysz!

Wracając od Philippe'a, Blake z zaskoczeniem zauważył ramię wystające z okienka dla kota w drzwiach, potrząsające odbłaskową grzechotką. Stłumiony głos Odile powtarzał:

– Mefisto! Mefisto! Pora wracać. Chodź do mamusi. Przejdź przez magiczne drzwiczki!

Andrew się zatrzymał, zafascynowany widowiskiem. Wyobraził sobie kucharkę po drugiej stronie, na czworakach, z głową na wpeł zaklinowaną w otworze i wzywającą swojego kota angorskiego. Ta wizja sprawiła, że niemal wybuchnął śmiechem. Skradając się, ruszył wzdłuż ściany. Blake miał okazję zrealizować jeden z żartów, z jakich słynął w młodości. Niezależnie od nastroju, już od najmłodszych lat nadarżająca się sposobność wprawiała go w stan wrzenia. Przed oczami pojawiały mu się wszystkie możliwe scenariusze. Rysowały się dwie główne możliwości: albo zapuka do okienka, starając się nie zmiażdżyć ręki Odile, ona zaś wycofa ramię i mu otworzy. To rozwiązanie dawało im obojgu możliwość zachowania godności. Może również zastosować plan B, w nadziei, że ta surrealistyczna sytuacja przejdzie do historii. Andrew się wahał. Ręka Odile wciąż potrząsała idiotyczną zabawką. Blake był tak blisko, że pochylił się i przyjrzał jej się z bliska.

– Mefisto! Mefisto! Jeśli szybko nauczysz się przechodzić przez magiczne drzwi, mamusia przygotuje ci krewetki! Takie, jak lubisz!

Przez ułamek sekundy Blake niemal zawstydził się tego, co zamierzał zrobić, ale w złej wierze – którą Odile oceniałaby jako typową dla rodzaju męskiego – zdołał się przekonać, że jeszcze niczego nie zrobił, nie powinien więc odczuwać wyrzutów sumienia. Przy tego typu działaniach – kiedy już podejmie się ostateczną decyzję – konieczne jest właściwe tempo. Odile, z typowym dla siebie uporem, nie rezygnowała z zamierzonego celu. Z godną pochwałą wytrzymałością – choć krawędź otworu musiała już niemal odpiłować jej ramię – robiła wszystko, żeby zwrócić uwagę swojego kocura.

– Kici, kici!

Przez chwilę Blake rozkoszował się myślą o reakcji Odile, gdyby wsunął jej w dłoń zdechłą mysz. Natychmiast jednak uznał, że byłoby to złośliwe. Ograniczył się do uściśnięcia znienacka jej ręki:

– Dzień dobry, Odile! Jak się pani miewa?

Odile wydała z siebie stłumiony okrzyk, a jej ramię odskoczyło w tył szybciej niż murena, przed której pyskiem kłapnąłby biały rekin. Odgłos głuchego uderzenia, jaki usłyszał chwilę później, zaniepokoił Andrew. Kiedy ujrzał twarz Odile pojawiającą się w drzwiach, zrozumiał, że czekają go ciężkie chwile. Miała mroczne spojrzenie. Pocierała obolałą głowę. Andrew rozbudził wściekłego cyborga, który żył do tej pory w ukryciu na naszej planecie. Zaczęła wrzeszczeć, jeszcze zanim otworzyła drzwi. Niemał wyrwała drzwi z zawiasów, po czym huknęła na Blake'a:

– Co też ma pan w głowie? Oszalał pan? Zwęgliło panu czerep?

Andrew nie znał tego określenia, ale uznał za stosowne nie pytać o jego znaczenie. Odile gestykulowała, wściekała się i co chwilę pocierała czoło, na którym rysował się już pokaźny guz. Nie zapowiadało się więc, że szybko jej przejdzie. Wspominała o chorobie umysłowej, o psychicznej torturze, o ataku serca i innych rzeczach, które wypowiedziane zbyt szybko w obcym języku całkowicie mu umykały.

Nagle Blake ujrzał Mefista siedzącego spokojnie pośrodku kuchni, z ogonem ułożonym w idealnym półkolu wokół kudłatych łap. Kot, który od dawna znajdował się wewnątrz, musiał

obserwować, jak jego pani się ośmiesza, zachęcając go do skorzystania z otworu, który on już i tak zaakceptował.

Blake nie próbował uspokoić Odile, wskazał tylko palcem kota. Po chwili potok słów kucharki się urwał.

– O co chodzi?

– Za panią.

Odwróciła się i zobaczyła kota.

– Jesteś tutaj, mój maleńki! – odezwała się już całkiem innym tonem.

Blake odkrył wówczas jedno z praw rządzących życiem ludzkim: kobiet należy bać się najbardziej wtedy, kiedy przechodzą gwałtownie od najczarniejszej wściekłości do łagodnego tonu.

– To dobry kot – uznał za stosowne stwierdzić. – Jak duży chłopak, sam przeszedł przez magiczne drzwiczki.

Odile odwróciła się do niego. Jej twarz była purpurowa.

– Czyli pan...

– Pewnego dnia wytłumaczy mi pani, co znaczy „zwęgliło czerep”?

Cyborg zrobił krok w stronę Andrew. Była już zatem najwyższa pora, żeby wziąć nogi za pas.

Na pierwszym skrzyżowaniu Andrew przeżył chwilę paniki na widok samochodu nadjeżdżającego z niewłaściwej strony. Następnie z powodu kilku małych, prowadzących donikąd rond zgubił się na peryferiach miasteczka. W końcu jednak znalazł parking w centrum, wzbudziwszy zainteresowanie wielu przechodniów swoim niewyobrażalnie brudnym samochodem rodem z innej epoki. Magnier zaproponował, że pojedzie z nim i posłuży za przewodnika, ale Andrew odmówił. Żeby zrealizować swój plan, musiał być sam, bez żadnych świadków. Rozpytując kilkakrotnie o drogę, dotarł pieszo przed wejście do skromnego budynku w dzielnicy handlowej. Przeczytał nazwiska na skrzynkach na listy i odczekał trochę, aż w końcu ktoś wchodzący do środka go wpuścił. Nikt nie jest podejrzliwy w stosunku do osób w pewnym wieku, choć przecież wredni ludzie także się starzeją.

Kiedy zadzwonił do mieszkania numer piętnaście, miał jeszcze przez chwilę wątpliwości co do słuszności swojego postępowania.

- Pan Justin Barrier?
- Słucham pana.
- Chciałbym zamienić z panem kilka zdań.
- Na jaki temat?
- Manon.

Blake poczuł, że młody człowiek o pięknych błękitnych oczach zeszywniał. Był gotów zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Andrew chwycił ręką za skrzydło drzwi, chcąc to uniemożliwić.

- Nie zamierzam panu prawić morałów ani w żaden sposób na pana wpłynąć.
- Jest pan jej ojcem?
- Nie łączą nas więzy rodzinne. Po prostu ją znam.
- To ona pana przysłała?
- Gdyby wiedziała, że przyszedłem, zapewne byłaby wściekła. Proszę, żeby pan również jej o tym nie mówił. Czy mogę wejść?
- Jestem zajęty.
- To nie potrwa długo.

Młody człowiek nie mógł ustać spokojnie w miejscu, kołysał się z nogi na nogę i nerwowym gestem na zmianę wsuwał i wyciągał rękę z kieszeni.

– Może moglibyśmy usiąść... – zaproponował Andrew, wskazując krzesła stojące wokół zagraconego stołu.

Mężczyźni usiedli naprzeciw siebie.

- Jak ona się czuje? – zapytał Justin, unikając wzroku gościa.
- Zdrowie jej dopisuje. Humor nieco mniej. Jej matka źle przyjęła wiadomość o ciąży. Na razie Manon mieszka w posiadłości, w której pracuje. Ja również jestem tam zatrudniony. Justin westchnął ciężko i przeczesał palcami krótkie włosy.
- Czego pan chce? – rzucił, przechodząc do defensywy.
- Niczego. Nie przyszedłem po to, żeby wzbudzić w panu wyrzuty sumienia czy prawić kazania. Jeśli się zejdziecie i nie będziecie szczęśliwi, związek tak czy inaczej się rozpadnie.
- Potrzebuję czasu do namysłu.
- My, mężczyźni, najczęściej używamy tego zdania, żeby uniknąć namysłu.
- Jak na kogoś, kto nie chce prawić kazań, nieźle pan sobie radzi...

– Jestem gotów się założyć, że popełniłem w życiu więcej błędów niż pan. Gdyby w takich chwilach jak ta pojawił się u mnie jakiś obcy człowiek i szczerze ze mną porozmawiał, być może znalazłbym odpowiedzi, dzięki którym uniknąłbym kilku katastrof. Jaki użytek zrobi pan z tego, co sobie powiemy, to już nie moja sprawa.

– Nie bardzo wiem, na czym stoję. Dziecko wszystko zmienia...

– Naprawdę?

– Jestem jeszcze młody...

– Witaj w świecie mężczyzn! Jaki jest wiek odpowiedni dla każdego etapu życia? Między piętnastym a dwudziestym rokiem życia eksperymentujemy, jemy i pijemy byle co, marzymy, rozmawiamy. Testujemy. W najlepszym razie określamy granice własnych możliwości, w najgorszym – odkrywamy nasze braki. To już za panem, Justinie. Wygląda mi pan na ułożonego człowieka, choć należałoby poczynić jeszcze kilka postępów w dziedzinie porządku. Ma pan pracę. Pana związek z Manon ma szansę przetrwać.

– Nie planowałem dziecka!

– Życie rzadko czeka, aż będziemy gotowi. Nie wiem, czy powinien pan wybrać Manon, ale na pewno teraz warto zadać sobie to pytanie.

– Myśli pan, że o czymś takim można zdecydować ot tak?

– Nigdy nie będzie pan miał pewności. Nigdy nie znajdzie pan odpowiedzi, nie szukając ich. Warto jednak postawić na szczerłość, posłuchać głosu serca i nie dać się powstrzymać lękom.

– Przemawia pan jak mędrzec.

Blake się uśmiechnął.

– Manon także uważa, że mówię, jakbym czytał z podręcznika, po czym wzrusza mnie swoimi wyznaniem. Nawet jeśli nie chcemy im tego okazywać, kobiety potrafią nas poruszyć, nieprawdą?

– Mówi o mnie?

– Niewiele, ale cały czas o panu myśli. To mogę panu zagwarantować.

– Jest na mnie zła?

– Czeka na pana.

– Napisała do mnie list...

– Odpisał jej pan?

– Nie potrafiłbym pisać w tak piękny sposób. Nie wiem zresztą, co miałbym jej odpowiedzieć.

– Są tylko dwie możliwości, Justinie. Albo ciąży Manon uświadomiła panu, że dziewczyna była tylko przygodną znajomością i nie zamierza pan przejść do kolejnego etapu – w takim wypadku trzeba zerwać. Albo odczuwa pan w stosunku do niej coś więcej, ale spanikował pan, ponieważ sprawy potoczyły się zbyt szybko. Obie te sytuacje są możliwe, powinien pan jednak przynajmniej jej powiedzieć, którą drogę teraz wybiera, żeby Manon mogła pójść naprzód albo zacząć się odbudowywać. Ona również ma swoje życie.

– Jest pan żonaty?

– Byłem. I to ja o nią zabiegałem.

– Młodo ją pan poznał?

– W pana wieku byłem już żonaty od czterech lat. Długo musieliśmy się starać o dziecko.

– Wiedział pan od początku, że to ta jedyna?

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że te historie o zakochaniu od pierwszego wejrzenia, o byciu dla siebie stworzonym i o szaleńczej miłości to babskie wymysły. Tylko one w to wierzą. Młody mężczyzna od pierwszego wejrzenia zakochuje się tylko w zgrabnych pośladkach i pięknych piersiach. Nigdy tego nie mówimy, ale to prawda. Dopiero później, kiedy opadnie

poziom hormonów, uczymy się poznawać tę drugą osobę. Dziewczyny dobrze o tym wiedzą. Wie pan, dlaczego tyle czasu spędzają, zajmując się dbaniem o wygląd? Gdyby nie hormony, wygłupialibyśmy się cały czas z chłopakami na rowerach, bawilibyśmy się pistoletami i jeździli na motorach. Zawsze znajdujemy sobie jakieś zabawki. Dobrze więc, że są hormony popychające nas w stronę jedynych istot, które są w stanie uniemożliwić nam robienie z siebie głupców przez całe życie. Nie wiem jak pan, ale kiedy ja zacząłem się dokładniej przyglądać tej kobiecie, która miała zostać moją żoną, robiłem to bardzo metodycznie. Wiem, to straszne, co teraz powiem, ale... Czy interesuje się tym samym co ja? Czy będzie mi umilać życie? Czy będzie w stanie ze mną wytrzymać? Nigdy im się do tego nie przyznajemy, lecz w rozmowie z prawdziwymi przyjaciółmi stwierdzamy, że wszyscy robimy to samo. Wybieramy tę, która najlepiej nam odpowiada i znajduje się w zasięgu naszych możliwości, a następnie uczymy się ją kochać.

Zapanowała osobliwa cisza.

– Z dziewczynami jest inaczej? – zapytał wreszcie Justin.

– Nie wiem. W moim wieku z trudem rozumiem mężczyzn, a co dopiero przeciwny obóz.

– Czasami nie rozumiem jej reakcji...

– Wszyscy odczuwamy to samo. Jedyne pytanie, na jakie pan sam musi dziś znaleźć odpowiedź, brzmi następująco: Czy dla Manon i dziecka jest pan gotów zrezygnować z ustalonej z góry przez siebie wizji swojego życia? Czy samochody, piwo i gry wideo będą w stanie dać panu większą satysfakcję niż to, co przeżyłby pan z Manon? Jeśli teraz ją pan odrzuci, żeby za kilka miesięcy zacząć to samo z inną kobietą, wasza historia okaże się wielkim marnotrawstwem. Jeśli zaś spędzi pan resztę życia bez żony i dziecka, wyjdzie na to, że miał pan rację, zostawiając Manon. Nadeszła pora na egoistyczne myślenie, Justinie. Niech pan nie pozwoli innym oceniać swojego zachowania. Trzeba wybrać i wziąć na siebie odpowiedzialność za swoją decyzję.

– Wyjeżdżam.

– Opuszcza pan miasto? Kiedy?

– Jutro. Na miesiąc. Wyjazd służbowy do Niemiec. Mamy montować maszyny w Monachium. Zgłosiłem się na ochotnika. Tutaj się duszę.

– Z litości dla Manon, niech pan nie zostawia jej tak długo bez decyzji.

Pod zadaszeniem małego domu Philippe'a stało trzech mężczyzn i przyglądało się spadającym wielkim kroplom deszczu. Yanis znalazł się między Magnierem i Andrew, z twarzą zwróconą w stronę szarego parku, który przypominał czarno-białe zdjęcie. Trzy pokolenia ramię w ramię – do niedawna nieznajomi, a teraz bliscy sobie.

– U nas – powiedział Magnier – kiedy tak pada, mówimy, że leje jak z cebra.

– W Anglii mówimy, że pada psami i kotami. Wiem, co powiesz, Philippe, i jestem bliski przyznania ci racji.

– Nauczycielka matematyki mówi, że pada, jakby sikała krowa.

Starsi mężczyźni spojrzeli na chłopca.

– Skoro już mowa o matematyce – zmienił temat Blake. – Skończyłeś rozwiązywać ćwiczenia, które ci zadałem?

– Są megatrudne. Wolę zadania tekstowe. Lepiej rozumiem, jeśli jest wyjaśniona sytuacja, jak coś się dzieje oprócz liczb.

– Yanis, nie mogę wymyślać historyjek dla każdego równania. Musisz je skończyć do jutra, ponieważ wtedy zabieramy się za dzielenie.

Chłopiec sprawiał wrażenie urażonego.

– Moja mama dostanie chyba swój telewizor za trzy tysiące lat!

– Do tego czasu ludzie wynajdą coś innego. Nie będzie już telewizorów.

– Nie będzie już także mojej matki...

– Kolejny powód, żebyś się pospieszył i odrobił lekcje.

– Co będę z tego miał?

Philippe i Andrew znów spojrzeli na chłopaka.

– Rzeczywiście jesteś dobry w negocjacjach.

Yanis podniósł wzrok na Blake'a.

– Prawdę mówiąc, chciałbym pana o coś poprosić.

– Chcesz powiedzieć: oprócz czasu, który ci poświęcamy?

Philippe mu przerwał.

– Przypominam ci, że już prawie nie wysyłam cię po sprawunki.

Yanis wyrzucił przed siebie zamkniętą pięść.

– Jesteście naprawdę bezkompromisowi.

– Bezkompromisowi? – zdziwił się Magnier. – Zwolennicy niewolnictwa i bezkompromisowi pedofile? Powinieneś brać nogi za pas! Ale poczekaj chociaż do końca ulewy.

– Skąd bierzesz te określenia? – zapytał Blake.

– Z książki, którą właśnie czytam. To historia pięciorga dzieci, które szukają skarbu na bezludnej wyspie. Super, ponieważ mają psa o imieniu Youpla.

Magnier dyskretnie puścił oko do Blake'a.

– O co więc chciałeś nas prosić?

– Wie pan, co to jest Halloween?

– Mniej więcej, ale w Anglii obchodzi się to święto rzadziej niż w Stanach.

– We Francji także się raczej nie przyjęło – dorzucił Magnier.

– Może i tak, ale ja miałbym ochotę świętować Halloween z kolegami.

– To chyba można zrobić.

- Potrzebujemy tony cukierków!
 - Biorąc pod uwagę, że potrzeba tysiąca gramów na kilogram, jeden lizak waży zaś dwadzieścia gramów, ile lizaków znajdzie się w kilogramie?
 - A ile waży żelka? – wtrącił się zarządca. – Bardzo lubię żelki.
 - Philippe, usiłujemy tutaj pracować!
- Yanis zmarszczył czoło w zamyśleniu. Przez dłuższą chwilę było słycać tylko szum deszczu wśród liści i stukanie kropli o metalowy stolik i dach. W końcu chłopak się odezwał:
- To za trudne jak dla mnie. Potrzebuję kalkulatora.
 - Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem. Trudno. Obejdiesz Halloween innym razem.
- Yanis mruknął coś pod nosem i znów się skupił. Philippe wyciągnął przed siebie dłoń, żeby sprawdzić, czy nadal mocno pada.
- Przy tej ilości wody dowiemy się wkrótce, w jakim kolorze jest samochód.
 - Wydaje mi się, że jest błękitny, jak niebo – powiedział Blake.
 - Pamiętam raczej, że był w kolorze anyżówki – odparł Magnier.
 - Już wtedy pijałeś aperitif?
 - A co niby jest nie tak z moim aperitifem?
 - Ależ nic. Mówię tylko, że samochód ma kolor błękitnego nieba.
 - Jest zielony.
 - Założymy się? – prowokował Blake.
 - O co się założymy? – zainteresował się Magnier.
 - Pięćdziesiąt! – zawołał Yanis. – Potrzeba pięćdziesięciu lizaków na kilogram!

Od dziesięciu lat Blake nie czuwał do tak późnej nocy nie dlatego, że dręczyły go czarne myśli. Może kiedyś, z okazji kolacji z Richardem albo na weselu Sary i Davida. Dzisiejszego wieczoru postanowił jednak, że musi się dowiedzieć.

Zamknął się w bibliotece i oczyściwszy blat biurka, kontynuował swoją wymagającą precyzji rekonstrukcję. Powoli list nabierał kształtu. Paski papieru połączone taśmą klejącą przypominały nieco pracę przedszkolaka z okazji Dnia Matki, tyle że mniej kolorową. Na razie dokument sprowadzał się do trzech oddzielnych kawałków. Blake był za bardzo skupiony na dopasowywaniu pociągnięć pióra, żeby zwracać uwagę na treść. Manipulował ostatnimi strzępkami, żeby połączyć poszczególne fragmenty. Niektóre z pasków były pocięte na kilka części, co nie ułatwiało zadania. Dzięki staranności Andrew osiągnął wreszcie cel. Kiedy przykleił ostatni pasek, wziął list do ręki i zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć.

Kochana Mamo!

Wierny terminom, jakie sobie ustaliłem, piszę, żebyś wiedziała, co u mnie słychać. Mam nadzieję, że ten list zastanie Cię w dobrej formie. Powoli zaczynamy wygrywać z kartonami i bardzo cieszymy się z naszego nowego domu. Mimo że jest nieco mniejszy – o jeden pokój – to jest położony bliżej dzielnicy, w której pracuje Isabella, i dosłownie dwie ulice od parku z małpkami, które tak cieszą Tanię. Po przeprowadzce Twoja wnuczka nie straciła ani jednej ze swoich przyjaciółek, wciąż bowiem chodzi do tej samej szkoły. Ja muszę pokonywać nieco dłuższą drogę na uniwersytet, ale to mi nie przeszkadza. Gdybyś chciała nas odwiedzić, bez problemu znajdziemy dla Ciebie miejsce, bardzo by nas Twoja wizyta ucieszyła. Nadal widuję się z Franckiem dwa razy w tygodniu. Po poprawie, o której wspominałem Ci w zeszłym miesiącu, jego stan gwałtownie się pogorszył. Przez dwa tygodnie naprawdę się o niego bałem, ale lekarze są dobrej myśli. Twierdzą, że grożą mu jeszcze łagodne nawroty, zanim stanie na dobre na nogi. Wspieramy go razem z jego dziewczyną, która coraz lepiej mówi w naszym języku.

Wciąż dziwi mnie, że tak dawno nie otrzymałem od Ciebie żadnych wieści, chociaż sam piszę wszystko o moim życiu. Nie chcę się narzucać i nawet jeśli Twoja postawa mnie rani, jestem w stanie ją uszanować. Dla Francka Twoje wsparcie byłoby niezwykle ważne, szczególnie w jego stanie. Wczoraj wieczorem znów rozmawialiśmy o Tobie. Franck jest dla mnie niczym brat i jego bliskość pozwala mi zapomnieć o tęsknocie za rodziną, do której mimo wszystko i on należy.

Wciąż liczę na wiadomość od Ciebie. Podaję jeszcze raz mój adres pocztowy i e-mail. Isabella dołącza się do pozdrowień.

Twój syn, Hugo

Blake w końcu zrozumiał, co oznacza niewielki bągrol pod podpisem, który tak bardzo utrudnił mu ułożenie układanki. Mała Tania narysowała małpkę i się podpisała.

Andrew odłożył list i westchnął cicho. Ile osób w tej właśnie chwili czekało z nadzieją, że ktoś uczyni gest w ich stronę?

Manon wsunęła głowę przez drzwi do kuchni. Kiedy zobaczyła, że Andrew jest sam, weszła w podskokach. Majordom wkładał właśnie filiżankę do zmywarki.

– Panie Andrew! – zawołała Manon. – Justin wysłał mi wiadomość!

– To doskonała nowina! Myślałem jednak, że tutaj nie ma zasięgu.

– Podłączyłam komputer do gniazdka telefonicznego w bibliotece, tak jak pan radził, i odebrałam maila.

– Fantastycznie! Widzisz, nie powinno się tracić nadziei. Co napisał?

Zachwycona dziewczyna pogłaskała się po brzuchu, który zaczynał się już zaokrąglać.

– Mój list go wzruszył. Píše, że żałuje swojej reakcji i że myśli o mnie i o dziecku. Musi wyjechać za granicę. Wykorzysta ten czas, żeby podjąć decyzję. Ma również nadzieję, że moja matka nie będzie zła – to się akurat nie sprawdziło – i że w razie potrzeby mogę liczyć na jego pomoc. Poza tym obiecuje, że będzie pokrywał koszty związane z dzieckiem i na pewno mnie nie zostawi na łasce losu.

– *Thank God!*

– Nie używa określenia „nasze” dziecko, ale nie twierdzi również, że się nie zejdziemy.

– Pozwól mu się przyzwyczaić do tej myśli. Justin to poważny chłopak, jestem pewien, że po powrocie odezwie się znowu, tak jak obiecał.

– Skąd może pan wiedzieć, że jest poważny? – zdziwiła się Manon.

Andrew się zawahał.

– Cóż... Wnioskując z tego, co mi o nim powiedziałaś, i z tego, że taka dziewczyna jak ty nie wybrałaby byle kogo, stwierdziłem, że musi być poważny.

Manon wydawała się usatysfakcjonowana odpowiedzią. Mało brakowało. Andrew przyjrzał się dziewczynie. Jej twarz ponownie promieniała. Jeden mail wystarczył, żeby osuszyć łzy, rozjaśnić cienie pod oczami i przywrócić chęć do życia. Pomyślał, że kobiety stosunkowo łatwo zadowolić, mimo to mężczyznom przychodzi to z trudem.

Kłapa w drzwiach kuchennych się uniosła i w otworze pojawiły się wąsy Mefista.

– Mam wrażenie, że trochę utył – zauważyła Manon.

– Odile twierdzi, że to tylko złudzenie. Podobno obrasta w futro przed zimą, ale jeśli to prawda, to ma chyba zamiar wyprodukować okrycia dla wszystkich kotów z okolicy.

Manon nie usłyszała już ostatnich słów. Była rozmarzona, pogrążona we własnych myślach, uczipiona cienia nadziei. Zaczęła odliczać dni.

Kot podreptał do swojej miski. Powąchał suchą karmę, ale nawet jej nie tknął. Wylizał za to talerz z poprzedniego dnia, na wypadek gdyby zachowała się tam chociaż cząsteczka jedzenia. Zauważywszy, że miska na mleko jest pusta, odwrócił się do obecnych w pomieszczeniu ludzi i zamiauczał żałośnie.

– Wiem, że to pora na ciepłe mleczko – wyjaśnił Blake – ale twoja pani jest jeszcze zajęta i nie spodobałoby się jej, gdybyśmy ją wyręczyli. Będziesz musiał poczekać, aż zejdzie z góry.

Jak gdyby zrozumiał te słowa, kot się rozsiadł i rozpoczął toaletę.

Manon wyszła już, żeby zając się sprzątaniami, kiedy wróciła Odile. Nie zaszczyciła Blake'a nawet spojrzeniem, tylko od razu skierowała się do lodówki i dała kotu jeść.

– Przepraszam, kochanie. Sporo dziś zamieszania. Byłeś na spacerku?

Kot ocierał się o jej nogi, kiedy wlewała mleko do garnka. Zapaliła gaz.

– Nadal jest pani na mnie zła? – zaryzykował Blake.

Odile stała z palcem zanurzonym w garnku, sprawdzając temperaturę mleka, i nawet się do niego nie odwróciła.

– Jeszcze boli mnie czoło, ale już panu wybaczyłam. Mam inne problemy, z panią.

Wlała mleko do miski i postawiła przy kuchence.

– Czy naprawdę potrafiłby pan doradzić coś w kwestii lokat?

– Tak sędzę.

– Mnie także?

– Nie rozumiem?

– Od trzech lat powierzam wszystkie oszczędności ludziom, którzy zajmują się inwestycjami pani Beauvillier, i zaczynam sądzić, że naprawdę są nieuczciwi. Powoli wszystko tracę. Gdybym panu pokazała dane, czy zgodziłby się pan wydać opinię na ten temat?

Odile spojrzała na Andrew. Na jej twarzy malował się smutek i niepokój.

– Boję się, że zostanę z niczym – dodała. – Rozumie pan?

– Dlaczego nie wspomniała pani o tym wcześniej? Przecież mówiłem, że może pani na mnie liczyć. Przyjrzymy się temu razem. Proszę się nie martwić.

Odile przyjęła jego słowa z ulgą, ale dodała:

– Jest jeszcze jedna kwestia. Pani od dwóch dni nic nie je. Nawet okruszka. Kiedy pomagam jej się ubrać rano, widzę, że z dnia na dzień traci na wadze. Zamartwia się. Nie wspominałam o tym, sądziłam bowiem, że nabierze sił. Często jej się zdarzają takie okresy, ale tym razem...

– Zajrzę do niej.

Mimo że nie była to pora czytania korespondencji, Andrew zapukał do drzwi apartamentu pani Beauvillier.

– Niech pani wejdzie, Odile.

Blake otworzył drzwi.

– To nie Odile, proszę pani. To Andrew.

– Co się stało?

– Powinniśmy porozmawiać.

– Porozmawiamy później, panie Blake, podczas naszego seansu. Teraz jestem zajęta.

– Jeśli mogę sobie pozwolić... Uważam, że sytuacja wymaga interwencji.

Przekroczył próg. Pani Beauvillier siedziała za biurkiem z kalkulatorem w ręku. Wokół niej były rozłożone wyciągi z kont. Na widok Blake'a wkraczającego do pomieszczenia natychmiast zeszywniała.

– Powiedziałam już, że o pańskim problemie porozmawiamy później.

– Muszę nalegać.

– A jeśli nie pozwolę?

– Odile i ja martwimy się o panią. Zdrowie pani nie dopisuje...

– Nadeszła jesień, wszyscy są zmęczeni o tej porze roku.

– Wydaje mi się, że jest inna przyczyna. Pani doradcy finansowi...

Pani Beauvillier ucięła:

– To nie pańska sprawa!

– Moim celem nie jest wtrącanie się w pani sprawy.

– Przecież właśnie pan to robi!

– Wydaje mi się, że jest to konieczne.

Wyraźnie zdenerwowana, pani Beauvillier zaczęła składać dokumenty. Ułożyła je w małe stosiki i wepchnęła do szuflady. Jej coraz bardziej gwałtowne gesty zdradzały narastającą wściekłość.

– Wydaje mi się, że powinna pani umówić się na wizytę u lekarza – ciągnął Blake. – Proszę przynajmniej wysłuchać jego zdania, zrobić kilka badań.

– Czyli jest pan nie tylko doradcą finansowym, ale także lekarzem?

– Proszę pomyśleć rozsądnie. Nic pani nie je. Co rano widzę, że otwiera pani listy, które coraz bardziej panią przygnębiają. Dlaczego nie pozwala pani sobie pomóc?

Schowawszy do szuflady ostatnie kartki, pani Beauvillier zatrzasnęła ją jednym zdecydowanym ruchem i wstała.

– Nie potrzebuję pomocy, panie Blake. Tego już za wiele! Jestem za stara na kazania.

Nie odwracając się nawet, ruszyła w stronę sypialni.

– Proszę mnie zostawić. Nie mam ochoty widzieć pana już dzisiaj. Poprosi pan Odile, żeby przyniosła mi pocztę o odpowiedniej porze.

Pani zatrzasnęła za sobą drzwi. Andrew przez chwilę się wahał, jak powinien się zachować. Nie mógł wrócić na dół, nie przekłuwszy wrzodu. Czekanie do jutra na nic się nie zda. Skierował się do drzwi sypialni i położył rękę na klamce.

– Niech mnie pani wysłucha, proszę...

Brak odpowiedzi. Blake otworzył drzwi. Pani Beauvillier siedziała skulona na łóżku. Na jego widok gwałtownie się wyprostowała.

– Jak pan śmie!
– Nie zostawia mi pani wyboru.
– Prosiłam, żeby mnie pan zostawił w spokoju.
– Sumienie mi na to nie pozwala.
– To nie pańskie sumienie wypłaca panu pensję, tylko ja.
– Pójdzie pani do lekarza. Jeśli nie będzie on pani odpowiadał, poszukamy innego. Do skutku.

– Zabraniam panu...
– Z szacunku dla pani postąpię wbrew poleceniu. Chodzi o pani zdrowie i o przyszłość posiadłości.

Pani Beauvillier wstała. Patrzyła na Blake'a z wściekłością, o którą nigdy by jej nie podejrzewał. Mimo to musiał brnąć dalej. Przekroczył próg pokoju. Kobieta uniosła rękę, chcąc go powstrzymać.

– Jeśli zrobi pan jeszcze jeden krok, zwolnię pana.
Jej głos był oschły i lodowaty. Andrew się cofnął.
– Niech mnie pani nie zwalnia, bardzo proszę. Oboje dużo byśmy na tym stracili.

Blake nie zdołał się dowiedzieć, z kim jego chlebodawczyni miała zamiar się spotkać tego popołudnia, był jednak pewien, że wizyta ta miała związek z jej problemami finansowymi. Za pośrednictwem kucharki szefowa zabroniła mu zajmować się czymkolwiek, nie pozwoliła mu nawet kontaktować się ze sobą. Służbę pełniła więc Odile, Andrew został zaś skazany na siedzenie we własnym pokoju. A miał przecież inne zamiary. Kiedy w holu rozległ się dźwięk domofonu, Blake, skradając się na palcach, podszedł do balustrady schodów na trzecim piętrze, żeby się upewnić, że wszystko potoczy się tak, jak przewidział. Usłyszał głosy, zobaczył panią schodzącą na dół, a następnie Odile, która wprowadziła trzy osoby do małego salonu. Nadeszła pora, żeby zabrać się do działania.

Z latarką w kieszeni zszedł na pierwsze piętro, wślizgnął się do apartamentu pani i od razu skierował się do jej sypialni. Łóżko było niepościelone, szuflada na wół wysunięta – w pomieszczeniu panował znacznie większy nieład niż podczas jego pierwszej wizyty tutaj. Otworzył szafę i wsunął ramię między ubrania, żeby naprzeć na tylną ściankę. Ta się nie poruszyła. Andrew spróbował jeszcze raz, lecz bez skutku. Zbity z tropu zaczął obmacywać deskę w poszukiwaniu mechanizmu otwierającego. Nie znalazł żadnego rowka ani wypukłości. Czyżby sekretne drzwiczki były tylko wytworem jego wyobraźni? Włączył latarkę i wcisnął się głębiej między ubrania.

Oświetlając systematycznie każdy zakamarek, Andrew szukał nerwowo. Na czworakach zajrzał nawet za pudełka po butach. A jednak nie oszalał! Po prawej stronie zobaczył małą dźwignię przy ścianie. Ostrożnie nacisnął. Tylna ściana szafy otworzyła się z cichym trzaskiem.

Andrew pchnął tajemne drzwi, a snop światła latarki odsłonił przed nim więcej, niż się spodziewał. Nie chodziło o zwykłą kryjówkę, ale o najprawdziwsze pomieszczenie. Wchodząc do środka, pojął różnicę między długością korytarza a rozmiarami sypialni pani Beauvillier. Nowo odkryty pokój był niemal równie duży, wypełniony po brzegi pamiątkami i wyłożony aż po sufit czarnym aksamitem. Kierując latarkę w różne miejsca, Blake co chwilę znajdował kolejne niespodzianki. Centrum pomieszczenia zajmował stół zarzucony zapisanymi kartkami, na regałach stały teczki z dokumentami i książki. Najdziwniejsze jednak były ściany zawieszane zdjęciami i listami – wszystkie dotyczyły François Beauvilliera. Tę niezwykłą kolekcję wzbogacały jeszcze przedmioty i ubrania. Nie było to muzeum, ale raczej świątynia, tajne miejsce kultu poświęcone pamięci zmarłego. Andrew poczuł się nagle nieswojo: miał wrażenie, że dopuszcza się profanacji, że wdziera się na siłę do najbardziej prywatnej części umysłu pani Beauvillier. Choć gdyby teraz wyszedł, na nic by się to nie zdało. I tak już wiedział. Nie potrafiłby zapomnieć ani nawet udawać, że niczego nie widział. Miejsce to było zbyt szokujące. Oświetlał latarką zdjęcia i liściki zaadresowane do „Nalie”. Były tutaj również pożółkłe dziecięce rysunki. Pani Beauvillier nie spędzała więc czasu w sypialni na spaniu ani na oglądaniu telewizji. Przesiadywała ukryta wśród przeszłości. Czy Odile wiedziała o istnieniu tego sanktuarium?

Oglądając zdjęcia, Blake dowiedział się nieco więcej na temat człowieka, którego cień wciąż unosił się nad posiadłością. Był postawnym mężczyzną, a jego pozy i spojrzenie wskazywały silny autorytet. Na jednej fotografii siedział przy stoliku w restauracji w towarzystwie pani Beauvillier. Na innej pozował przed posiadłością, z Magnierem na drugim planie. Andrew zatrzymał się przy odbitce, na której pan Beauvillier stał obok innej kobiety i małego dziecka. Sądząc po strojach, zdjęcie musiało być wykonane znacznie wcześniej niż to, na którym znajdował się ze swoją żoną i z Hugonem. Tajemnicze skrawki czyjegoś życia.

Zastygłe chwile tworzące istnienie. Odtworzenie złożonej osobowości na podstawie tych kilku ujęć zmuszało do pracy godnej śledczego. Należało odczytać każdy szczegół, najdrobniejszy gest, spojrzenie, wszystko to, co nie miało być uwiecznione, ale i tak stało się częścią zdjęcia. Pani Beauvillier wybrała te właśnie fotografie, żeby pamiętać i odtwarzać minione chwile. Znaczenie, jakie nadawała każdej z nich, musiało być równie interesujące, jak zawarte na nich informacje.

Andrew znalazł dokumenty, po które tak naprawdę tutaj przyszedł. Wyciągi z kont, akty notarialne potwierdzające własność i inne dokumenty leżały starannie posegregowane w plastikowych koszulkach i podpisane. Nie zainteresował się jednak nimi, biorąc pod uwagę to, co znalazł tuż poniżej. Z początku uznał, że musiał coś źle przeczytać, pochylił się więc, żeby sprawdzić, i otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Pani Beauvillier zgromadziła obszerną kolekcję książek na temat spirytyzmu i kontaktów z zaświatami. Dzieła z tej dziedziny wypełniały dwa całe regały. W jednych omawiano sposoby na skontaktowanie się ze zmarłymi, inne dotyczyły sygnałów przesyłanych przez dusze. Blake nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Nigdy by nie podejrzewał, że pani Beauvillier mogła się interesować ezoteryzmem. Chociaż biorąc pod uwagę pustkę, jaką w jej życiu wywołała śmierć męża, skłonność ta wydawała się całkiem prawdopodobna. Andrew natrafił na serię publikacji na temat pisma automatycznego. Nie mając pojęcia, o co chodzi, sięgnął po jedną z książek i przeczytał notatkę z okładki.

Pozwólcie duszom bliskich zmarłych pokierować waszą ręką i odczytajcie, co mają wam do powiedzenia! Zadawajcie pytania i otrzymujcie odpowiedzi! Wszystkie techniki i metody analizy zostały tutaj przystępnie wyjaśnione. Nie traćcie więcej kontaktu z drogimi wam osobami, które odeszły. Porozumiewajcie się między światami!

„Otrzymanie tej cudownej mocy za cenę jednej książki było naprawdę darem niebios” – stwierdził Andrew w duchu. Ten rodzaj obietnic był zresztą równie wiarygodny jak reklamówki, na które pani rzucała się każdego ranka. Blake odłożył książkę i przeniósł wzrok na stół. Choć nie wierzył w zjawiska paranormalne, był pod wrażeniem znaczenia, jakie przypisywała im pani Beauvillier. Jego zdaniem wynikało to przede wszystkim z głębokiej rozpacz, pustki, która – choć przeżywana w inny sposób – znajdowała odzwierciedlenie w jego historii.

Na okrągłej tacy przykrytej aksamitną serwetą leżały kartki papieru zapisane zdeformowanymi, nieregularnymi literami. Andrew wziął do ręki kilka z nich, starając się niczego nie poprzekładać. Czasami na papierze nakreślono tylko pojedynczą literę, umieszczoną przypadkowo. Na innej kartce ciągnęły się kreski bez wyraźnego znaczenia. Na dole każdego dokumentu widniała data, czasami nawet godzina. Niemal codziennie pani Beauvillier oddawała się eksperymentom, zarówno w środku dnia, jak i w nocy. Wyobraził ją sobie z piórem w dłoni, z zamkniętymi oczyma, jak czeka na François, który miałby ożywić jej rękę i przekazać wiadomość.

Andrew uświadomił sobie nagle, że to, co z początku wziął za stos archiwów ułożonych przy ścianie, było imponującą kolekcją tych właśnie kartek, mających być rezultatem kontaktów z zaświatami. Były posegregowane miesiącami. W zeszytach umieszczonym na wierzchu pani Beauvillier zapisywała „interesujące” wyniki. Pierwsze notatki pochodziły sprzed lat, ostatnie zaledwie sprzed kilku dni.

15 października: François nie ufa już lokatom Gaertera.

17 października: François nadal mnie kocha.

18 października: François uważa, że trzeba rozważyć propozycję Nieruchomości Vandermeel.

Blake był zarazem zafascynowany i zaniepokojony. Każdego dnia pani Beauvillier usiłowała rozprawić się ze swoimi zmartwieniami. Bezustannie dręczyły ją problemy

i wątpliwości, które przeradzały się w obsesję. Odłożył zeszyt na miejsce. Nie powinien dłużej tutaj zostawać. Niczym złodziej, który wychodzi z niczym, po raz ostatni przesunął snop światła po pomieszczeniu. Nigdy więcej nie spojrzy już na panią Beauvillier w ten sam sposób. Przestała być już dla niego zimna i nie zrównoważona. Stała się przejmująca.

Na czas, kiedy Manon była zajęta myciem okien na piętrze, Blake pożyczył od niej przenośny komputer i podłączył go w bibliotece. Poszukiwania na temat spirytyzmu i pisma automatycznego zaprowadziły go na liczne strony i fora. Ku jego rozczerowaniu dziedzina ta dzieliła się na wiele różnych odmian: z jednej strony były osoby cierpiące, z drugiej zaś te, które usiłowały to wykorzystać. Niezliczone historie zdruzgotanych kobiet i mężczyzn nieumiejących poradzić sobie ze stratą dziecka, towarzysza, członka rodziny, gotowych na wszystko, byle tylko mieć poczucie, że śmierć nie rozdzieliła ich na dobre. Naprzeciw tym nieszczęśnikom wychodziła, z szeroko rozłożonymi ramionami, zgraja oszustów, bajerantów i mistyfikatorów, którzy z odrażającym cynizmem wymyślali przeróżne bzdury mające na celu wykorzystanie bólu bliźnich. Pieniądże w zamian za to, co bezcenne. Pośród tego potopu nieszczęść Blake zauważył jednak kilku doświadczonych profesjonalistów, zdolnych obalić zarzuty najbardziej zaciekłych sceptyków, ale to nie na ten temat toczyła się większość rozmów. Internet rzadko stawia sobie za cel informowanie czy przynoszenie ulgi – chodzi w nim przede wszystkim o sprzedaż. Po raz kolejny najciemniejsza strona natury ludzkiej przytłoczyła jej szlachetne cechy. Blake nie miał zamiaru oceniać tych wierzeń, choć niezależnie od tego, czy komunikacja między panią Beauvillier i jej zmarłym mężem była prawdziwa, czy też nie, rzeczą pewną było to, że potrzebuje ona pomocy w świecie żywych.

Andrew zalogował się do swojej poczty elektronicznej i zaczął pisać.

Dzień dobry, Heather!

Mam nadzieję, że zastaję Panią w dobrej formie. Wysyłam tę wiadomość, żeby poinformować, że można się odtąd ze mną kontaktować za pośrednictwem maili. Na pewno nie będę sprawdzał poczty trzy razy dziennie i proszę nie podawać nikomu mojego adresu. Czy miała Pani okazję dowiedzieć się czegoś na temat Nieruchomości Vandermel? Będę wdzięczny za wiadomość.

Z poważaniem, Andrew Blake

Zanim zabrał się do pisania kolejnego listu, Blake chwilę się namyślał. Wychowanie nakazywało mu tego poniechać, ale instynkt podpowiadał coś przeciwnego. Co interesujące, nie potrafił z całym przekonaniem stwierdzić, co Diane zrobiłaby na jego miejscu.

Dzień dobry, Hugo!

Nigdy się nie spotkaliśmy, a moje zachowanie będzie zapewne dla Pana dużym zaskoczeniem. Pozwalam sobie wysłać ten list, gdyż znam Pana matkę. Miewa się dobrze. Dodam jeszcze, że nie ma ona pojęcia o moim kroku, dlatego byłbym wdzięczny, gdyby zechciał Pan jej o tym nie wspominać. Trudno mi wyjaśnić, kim właściwie dla niej jestem, ale zrozumiałem, że i Was łączą dość skomplikowane relacje. Moim zamiarem nie jest wtrącanie się do Waszych spraw (gdyby Pańska matka to czytała, z pewnością uznałaby, że właśnie to robię, i nie myliłaby się!), ale zakładam, że być może uzna Pan za przydatną możliwość skontaktowania się z kimś z jej otoczenia. Mam nadzieję, że nie odbierze Pan źle mojego posunięcia. Nie mam w nim żadnego prywatnego interesu. Po prostu chciałbym, żeby ktoś uczynił to samo dla mnie, gdybym znalazł się na miejscu Pańskiej matki. Jeśli Pan nie odpowie, uznam, że nie życzy Pan sobie kontaktu ze mną.

Z poważaniem,

Andrew Blake

Odile czekała przy drzwiach do biblioteki. Blake aż podskoczył na jej widok.

– Drzwi nie były zamknięte – broniła się kucharka.
– Proszę, niech pani wejdzie. Jak się czuje pani Beauvillier?
– Coś zjadła.
– Nadal jest na mnie wściekła?
– Nie mówi o tym. Kazała mi się jednak wszystkim zająć. Nie chce widzieć nikogo poza mną. „Aż do odwołania”, jak dodała.
– Przykro mi, że przeze mnie ma pani więcej obowiązków.
– To bez znaczenia. Zanim się pan pojawił, robiłam to latami. Poza tym czuję się odpowiedzialna za waszą kłótnię...
– Nie jest pani niczemu winna. To ja wtargnąłem do jej pokoju.
– Gdybym panu o wszystkim nie opowiedziała, nie poszedłby pan tam.
– Wcześniej czy później i tak by do tego doszło. Naprawdę nie powinna mieć pani z tego powodu wyrzutów sumienia.

Blake wstał.

– Czy uważa pani, że słusznie postąpiłem? Tylko szczerze? – zapytał.
– Ja nigdy nie ośmieliłabym się na coś takiego.
– To nie jest odpowiedź na moje pytanie...
Odile wydawała się zakłopotana.
– Gdybym zdobyła się na odwagę – przyznała wreszcie – powiedziałabym jej to samo. Ona ucieka przed prawdą, ukrywa się w swoim świecie. Powinna zobaczyć się z lekarzem i nie ufać tym, którzy ją rujnują. Jednocześnie mówiąc to, mam wrażenie, że ją zdradzam, choć bowiem nie zawsze jest to łatwe, pani Beauvillier traktuje mnie dobrze i wiele jej zawdzięczam.
– Najgłębsza lojalność wymaga czasami zdrady. Muszę wiedzieć, czy stoi pani po mojej stronie, czy też muszę działać sam. Groziła, że mnie zwolni. Nie zawaha się. Myślę jednak, że nie odeśle nas obojga.
– Boję się. Zawsze mnie uczono, że bym nie wtrącała się w prywatne sprawy innych ludzi.
– Mnie uczono tego samego, ale w niektórych wypadkach brak działania może być uznany za nieudzielenie pomocy osobie będącej w niebezpieczeństwie.
Odile wahala się przez chwilę, po czym odparła:
– Może pan na mnie liczyć. Proszę jednak pamiętać, że kiedy pani podnosi głos, zupełnie tracę moc.
– Zapewniam, że będzie zła przede wszystkim na mnie.
– Jeśli zdoła ją pan ocalić, będzie panu wielce zobowiązana.
– Tak jak ja albo pani. Tutaj czuję się na swoim miejscu. A proszę mi wierzyć, że nieczęsto odnoszę takie wrażenie.

Po chwili milczenia Blake dodał:

– Odile, czy mogę coś pani zaproponować?
– Jeśli chodzi o to, żebyśmy mówili sobie po imieniu, to się zgadzam. Już pan zresztą to robi.
– Chodzi o pani kuchnię.
– Co z nią?
– Chciałbym, żebyśmy któregoś wieczoru zjedli razem z Manon i Philippe'em, we czwórkę. Chyba każde z nas chciałoby poczuć się mniej samotnie. Przecież mieszkamy razem...

Sądząc po imponującym susie, jaki wykonał ze swojej poduszki, można było uznać, że Mefisto nie przyzwyczał się jeszcze do nowego domofonu. Wskoczył w powietrze, jak gdyby został porażony prądem. Nastroszył sierść. Skrzypiący głos Magniera zaskoczył wszystkich.

– Czy to odpowiednia pora na wizytę? – dobiegło pytanie z drugiego końca parku.

Andrew przykręcił głośność i odparł:

– Wszystko gotowe, czekamy na ciebie.

– Dobra, już idę!

Odile, owinięta w pasie białym fartuchem, żonglowała garnkami. Okap nad kuchenką pracował na pełnych obrotach. Stół nakryto dla czterech osób, ale nikt nie siedział na honorowym miejscu.

– Co się stało Mefistowi? – zapytała Manon, wchodząc do kuchni. – Właśnie na niego wpadłam. Pędził jak wiatr, cały najeżony.

– Przestraszył go głos Philippe’a – wyjaśnił Andrew.

Dziewczyna założyła sukienkę z okazji wspólnej kolacji.

– Pięknie wyglądasz – pochwalił ją Andrew

Manon obróciła się wokół własnej osi, unosząc fałdy sukni.

– Patrzcie uważnie! Przy moim rosnącym brzuchu pewnie włożyłam ją po raz ostatni.

Widząc, że Odile nie podziela ich wesołego nastroju, Blake nachylił się ku niej.

– Czy coś jest nie tak?

– Nie dostaniecie przystawki, nie udała mi się.

– Proszę się o to nie martwić. Jesteśmy wśród swoich. Nie musi pani na nikim robić wrażenia. I tak mamy szczęście, że trafił nam się ktoś o takim talencie kucharskim. Proszę się nie denerwować, tylko korzystać z miłej atmosfery.

Odile zmusiła się do uśmiechu i podniosła pokrywkę. Philippe zapukał w okno. Andrew otworzył drzwi. Magnier założył „wyprasowaną” koszulę. Sądząc po rezultacie, zapewne to Youpla miał w łapie żelazko. Philippe uczesał się także starannie, z przedziałkiem, czego nigdy dotąd nie robił. Przypominał chłopca przystępującego do pierwszej komunii, który spóźnił się trzydzieści pięć lat na ceremonię.

– Żeby kolacja była lżejsza – oznajmił Andrew – nie będzie przystawki. Zajmijcie, proszę, miejsca.

Zarządca i pokojówka usiedli po jednej stronie stołu, majordom i kucharka – po drugiej. Nagle Magnier zachował się bardzo osobliwie. Blake miał wrażenie, że Philippe zaraz się rozplącze.

– Co z tobą?

– Dziwnie się czuję... Od tak dawna tu nie jadłem. Dziękuję za zaproszenie.

Przepraszam, nie sądziłem, że tak zareaguję.

– Nawet ja nigdy nie widziałam w tym domu czterech osób przy jednym stole – przyznała Odile.

– Czterech i pół! – poprawiła Manon, wskazując swój brzuch.

– Zapomnieliśmy o winie! – zawołał Blake.

– Nie zapomnieliśmy – zauważyła Odile. – Wino jest w piwnicy. Jeśli pan chce się napić, będzie musiał sam po nie pójść.

– Ja się nie ruszam – stwierdził Magnier. – Za dobrze mi tutaj! Nie chcę sobie psuć

nastroju.

Manon pokręciła odmownie głową, dlatego Blake oświadczył:

– Otworzymy butelkę następnym razem. Dzięki temu nic nie przeszkodzi naszym kubkom smakowym w delektowaniu się smakołykami, droga Odile.

Podczas gdy kucharka szykowała talerze, swoje wielkie wejście wykonał kot.

– Jest naprawdę piękny – stwierdził Magnier. – Widywałem go już w parku, ale z daleka. Zastanawiam się, czy polubiłby się z moim psem...

– Youpla stale chce biegać, a Mefisto potrzebuje ruchu. Być może rzeczywiście jest szansa, że dojdą do porozumienia.

– Zostawcie mojego kota w spokoju! – zagroziła Odile.

Wprawnym gestem postawiła pełen talerz przed Manon.

– Szef kuchni poleca: kaczkę z pieczonymi ziemniaczkami.

Magnier natychmiast rozwinął serwetkę i wsunął jeden koniec za kołnierzyk koszuli. Wodząc wzrokiem za talerzem, który niosła ku niemu Odile, wciągnął głęboko piękną woń i jęknął z rozkoszą. Kucharka zakończyła podawanie posiłku na kocie, który dostał nieco mniejszy talerz.

Każdy odczekał, aż kucharka zasiądzie do stołu, żeby zabrać się za jedzenie, choć Philippe trzymał już mocno widelec w dłoni.

– Smacznego! – powiedziała Odile.

Blake sprawdził ostrzem noża kruchość skórki. Idealna. Pokiwał głową z satysfakcją.

Po kilku pierwszych kęsach wszyscy biesiadnicy pogratulowali kucharce, nawet kot wskoczył na stół z zamiarem zwędzenia dodatkowego kawałka.

– Co cię napadło? – mruknęła Odile, odstawiając go na podłogę. – Nigdy wcześniej tego nie robiłeś!

– On także świętuje – bronił go Magnier. – Ja w każdym razie jestem bardzo zadowolony!

– Mimo wszystko nie próbuj podkradać nam niczego z talerzy! – zażartował Blake.

Rozmowa z początku toczyła się wokół pogody, która z każdym dniem przynosiła więcej wilgoci, a następnie zeszła na temat konieczności – dogłębnie przedyskutowanej – noszenia zimą czapek i szalików. Słuchając o wełnianych czapkach, do których zakładania zmuszały ich matki, i o bitwach na śnieżki stoczonych w czasach szkolnych, Manon ujrzała swoich towarzyszy w zupełnie nowym świetle. Odile, Blake i Philippe wymieniali się wspomnieniami na temat pory kładzenia się spać w dzieciństwie, ulubionych komiksów, a nawet smaków pasty do zębów, które najwyraźniej bardzo się różniły w zależności od kraju. Mówili o swoich zmarłych już rodzicach. Spojrzenie Manon wypełniła nostalgia. Nie chcąc jej zasmucać, Andrew skierował dyskretnie rozmowę na inny temat.

– Tak czy inaczej – podsumował – kiedy tak sobie myślę, mimo dzielącej nas różnicy wieku podobają nam się i złączają nas te same rzeczy. Choć się mówi, że różne są gusta. Na przykład jeśli chodzi o kino...

Magnier podchwycił temat:

– Ja najczęściej oglądam filmy akcji i komedie, ale pamiętam, że bardzo mi się podobał pewien chiński film. Fabuła toczyła się powoli, podpisy były zdawkowe, po trzy słowa, chociaż aktorzy mówili w tym czasie dziesięć minut. A pani, Odile?

Westchnęła z uśmiechem.

– Nie wiem, czy powinnam wam o tym mówić. Będziecie się śmiać.

Naciskana ze wszystkich stron, w końcu przyznała:

– Mam słabość do amerykańskich musicali romantycznych. Są przejmujące. Ci ludzie, którzy śpiewają o swoich nadziejach i smutkach, wzruszają mnie. Mają takie same problemy jak

my, ale w oprawie muzycznej nawet największe tragedie stają się piękne. Piękno ich rozpaczy dodaje mi sił. Aż ciarki mnie przechodzą na samą myśl. Niektórzy pewnie myślą, że to kiczowate, uważam jednak, że gdyby trzeba było pokazać przybyszowi z obcej planety najsilniejsze uczucie, jakie nasz gatunek potrafi wywołać, to komedia romantyczna byłaby idealna.

Blake pokiwał głową przejęty. Philippe patrzył na Odile jak urzeczony.

– Dużo ich pani ogląda? – spytała Manon.

– Mam niewielką kolekcję DVD w pokoju. To wszystko, co mi zostało z mojego poprzedniego życia. Podczas każdego seansu muszę mieć przy sobie zapas chusteczek do nosa... Płaczę, kiedy ludzie się rozstają, a jeszcze bardziej, kiedy znów się schodzą! Po prostu ryczę jak bóbr. A pan, Andrew? Jakie są pana ulubione filmy?

– Dawno niczego nie oglądałem. To zawsze Diane wybierała filmy, w przeciwnym razie zdarzało nam się oglądać straszne gnioty. Dzięki niej odkryłem kino francuskie, waszych klasyków i wiele zaskakujących produkcji. Miała dar emocjonowania się przedziwnymi rzeczami. A ja szedłem jej śladem. Chyba nie mam ulubionego gatunku. Czasami lubię się pośmiać, czasami wolę zaangażowane kino albo dramat. Lubię również od czasu do czasu się bać.

– Ja właśnie to najbardziej lubię – przyznała Manon. – Często z Justinem oglądaliśmy filmy tylko po to, żeby poczuć przerażenie. Przeważnie były żalosne, ale my wrzeszczeliśmy ze strachu. Na przykład ludzie idą nocą przez las i zaczyna ich ścigać jakiś potwór. Uwielbiam takie klimaty! Najlepiej, jeśli nie widać tej kreatury. Zawsze mniej się boimy, kiedy już zobaczymy potwora. Przytulałam się wtedy do Justina, ścisnęłam jego ramię aż do bólu. A potem bałam się iść nawet do łazienki, chociaż znajdowała się dwa metry ode mnie.

– Najstraszniejszy film, jaki widziałem, to *Piekło żywych trupów* – wspominał Magnier. – Miałem wtedy pięć lat. Bałem się potem wszystkich przez miesiąc. Wrzeszczałem, kiedy tylko jakiś dorosły próbował mnie dotknąć. Usiłowałem wyrwać sąsiadce ramię, byłem bowiem przekonany, że to zombie.

– W wieku pięciu lat? – zdziwiła się Odile. – Kto pozwolił panu oglądać taki film w tym wieku?

– Mama zostawiła mnie pod opieką znajomych, którzy mieli nastoletnie dzieci.

– Zombie zawsze stają na wysokości zadania – przyznał Blake. – Powinno się je dodawać do wszystkiego. Pomyślcie tylko: *My Fair Lady i zombie*, *Zombie są wieczne* z Jamesem Bondem albo *Hrabia Monte Christo i zombie*...

– To zabawne, że wspominasz o hrabim Monte Christo – zauważył Magnier. – Właśnie zacząłem to czytać małemu.

– Czyli to prawda? – podchwyciła Odile. – Uczy pan chłopca z miasta? To piękna inicjatywa.

– On pomaga mi w zakupach, ja jemu w lekcjach...

– Gdyby wszyscy zachowywali się tak jak pan – pochwaliła Manon – świat byłby przyjemniejszy.

– W każdym razie trochę nam zejdzie z tą książką – stwierdził Magnier. – Tomisko ma ponad tysiąc stron, a mimo to niełatwo mi tam umieścić Youplę.

Blake rozłożył właśnie talerzyki deserowe, kiedy Odile oznajmiła:

– Teraz proponuję tartaletki z karmelizowanymi jabłkami z naszego ogrodu. Bądźcie wyrozumiali, nie robiłam ich bowiem od wieków.

Nikt nie zareagował. Co gorsza troje biesiadników zamarło wśród kłopotliwej ciszy. Odile zrozumiała, o co chodzi, dopiero wtedy, kiedy jej wzrok pobiegł śladem spojrzeń, które

były skierowane w stronę drzwi. W progu stała pani Beauvillier. Blake i Magnier zerwali się gwałtownie na równe nogi.

– Cieszę się, że spędzacie przyjemny wieczór – powiedziała pracodawczyni.

Odile się cofnęła. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie podszyte lękiem.

– Nie przerywajcie sobie – ciągnęła pani Beauvillier. – Po prostu zeszlłam na dół, zaintrygowana wybuchami śmiechu.

Blake pierwszy przejął inicjatywę.

– Proszę zjeść z nami deser.

Czym prędzej dostawił dodatkowy talerzyk.

– To bardzo miłe, ale raczej wrócę na górę.

– Nalegam...

W chwili, gdy tylko wypowiedział te słowa, już ich pożałował.

– Często pan nalega... – stwierdziła z ironią pani Beauvillier.

W jej głosie nie było jednak słyhać zgorzknienia.

– Proszę z nami zostać. Nie ma sensu, żeby siedziała pani sama! – dorzucił Magnier.

Odile, niezdolna wymówić choćby jednego słowa, wysunęła tylko przed siebie rękę z tartaletką.

– Niech tak będzie – uległa pani Beauvillier. – Trochę wam potowarzyszę.

Wśród grobowej ciszy zasiadła przy stole i zwróciła się do Manon.

– W pani stanie powinna pani uważać na koty. Kobiety w ciąży nie powinny przebywać w ich pobliżu.

– Nie ma problemu. Zrobiłam badanie i okazuje się, że już jestem odporna na toksoplazmozę. Miło, że pani o tym pomyślała.

Blake podał swój talerzyk Odile, która przekroiła tartaletkę na pół i zwróciła mu połowę.

– Naprawdę cieszymy się, że pani do nas dołączyła – oświadczył Magnier. – Powinna pani i mnie kiedyś odwiedzić. Park o tej porze roku jest wprost przepiękny.

– Moje bóle zmuszają mnie do pozostania w domu, ale dziękuję za zaproszenie.

Każdy degustował deser, okraszając go licznymi pochwałami. Pani dodała:

– Chętnie podarowałabym wam szampana, żeby uczcić to radosne spotkanie, ale nie wiem, czy w domu została choćby jedna butelka. Pytanie, czy byłby jeszcze smaczny? Jak pani myśli, Odile?

– Jeśli coś zostało, to tylko w piwnicy, a ja tam nigdy nie schodzę. Z powodu...

– Zapomniałam.

Pani wkrótce ich opuściła. Na koniec rozmawiała zupełnie swobodnie z Blakiem i wydawała się spokojna. Wieczór dobiegał końca. Magnier ani się obejrzał, a już musiał wracać do siebie.

– Następnym razem, pani Odile, przyniosę borowiki na sos. Jeszcze raz dziękuję, jedzenie było wyborne.

Odile patrzyła za nim, jak znikał we mgle i ciemnościach nocy, wciąż z serwetką pod szyją, gdyż zapomniał jej zdjąć.

Manon zaproponowała pomoc przy sprzątanu po kolacji, ale jej zmęczona mina sprawiła, że odesłano ją do łóżka. Mefisto ruszył za nią, co wyraźnie nie spodobało się kucharce. Kot coraz częściej wykazywał się niewiernością.

Odile i Blake zostali sami.

– Ten posiłek to był dobry pomysł – powiedziała kucharka. – Naprawdę. Myśli pan, że polubili moją kuchnię?

– Jak może pani w to wątpić? Nawet pani Beauvillier zjadła całe ciastko.

– Spodobało mi się gotowanie dla was wszystkich. Było naprawdę przyjemnie. Może to powtórzemy?

W ciągu kolejnych dni wiele rzeczy niezauważalnie zmieniało się w posiadłości. Każdego popołudnia około szesnastej Manon miała zwyczaj schodzić na podwieczorek, który zjadała w towarzystwie Odile. Rozmawiały, choć głównie głos zabierała Manon. Najczęściej opowiadała o Justinie, czasami o matce. Odile zaproponowała jej pomoc w powtarzaniu do egzaminów ustnych. Magnier nie zakradał się już po swoje posiłki niczym złodziej. Odbierając pudełko z jedzeniem, zawsze odtąd pozdrawiał gestem kucharkę, dziękował jej i życzył miłego dnia lub dobrej nocy, w zależności od pory. Czasami, jeśli akurat był umówiony z Yanisem na lekcję matematyki, Andrew przynosił posiłek zarządcy. Odile dokładała wówczas dodatkową porcję dla chłopca. W końcu udało się ją także przekonać, żeby przygotowywała to samo dla wszystkich, od kota po Madame, i nikt nie narzekał – wprost przeciwnie. Tylko pani Beauvillier dziobała widelcem jak wróbelek, ale to nie jakoś potraw była tego przyczyną.

Blake był zapewne najbardziej świadom ewolucji stosunków międzyludzkich na terenie posiadłości i cieszył się z tego powodu, choć nie zapominał, że – jak dotąd – żaden z problemów pani Beauvillier nie został rozwiązany.

Hugo bardzo entuzjastycznie odpisał na maila Andrew. Syn pani Beauvillier chciał dowiedzieć się czegoś więcej na temat tajemniczego informatora, jednocześnie pochwalając jego inicjatywę.

Ten wtorek był szary, chłodny i deszczowy. Najgorsza typowo listopadowa pogoda, która pojawiła się z kilkudniowym wyprzedzeniem. Blake stanął przy oknie na drugim piętrze i przez lornetkę obserwował bramę posiadłości.

– Co pan robi? – spytała Odile, widząc go na posterunku.

– Zwracam honor słowu „hipokryzja”.

– Co proszę?

– Nadjeżdża jej taksówka – oznajmił majordom. – Punktualnie!

– Dlaczego wypatruje pan pani Berliner? Domofon przestał działać?

Blake nie odpowiedział. Ruszył żwawo schodami w dół. Zatrzymał się przy domofonie i wyłączył dźwięk.

– Andrew, co pan znowu knuje?

– Ta kobieta jest zła.

– To prawda, ale co ma pan zamiar zrobić? Porazić ją prądem, kiedy zadzwoni?

Blake spojrzał na Odile.

– Dalibóg! To doskonały pomysł.

– Pan naprawdę oszalał. Niech pan zostawi przyjaciółkę pani Beauvillier w spokoju. Nie zostało jej ich już wiele.

– Takich przyjaciół, jak pani Berliner, zawsze jest za dużo.

Ekran domofonu się uaktywnił i pojawiła się na nim twarz gościa. Kobieta postawiła kołnierz płaszcza, usiłując osłonić twarz, ale rześisty deszcz i tak spływał jej po twarzy. Wcisnęła przycisk dzwonka, nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi. Nacisnęła po raz drugi, a po chwili jeszcze raz. Twarz pani Berliner wykrzywił grymas, który obiektyw kamery zniekształcił, sprawiając, że wyglądała jeszcze bardziej przerażająco. Przesadna mimika i nerwowe gesty upodabniały ją do urażonej postaci z kreskówki, która nie może osiągnąć swojego celu – ku uciesze wszystkich widzów. Chwilami, patrząc pod pewnym kątem, przypominała ryjówkę, ale Blake postanowił nie dzielić się tym spostrzeżeniem z Odile. Wbrew jego oczekiwaniom ta

przyglądała się scenie z nieukrywanym zadowoleniem.

- Jak długo będzie ją pan trzymał pod tym prysznicem?
- Dopóki się nie dowiemy, czy jej tusz do rzęs jest naprawdę wodoodporny.
- Na mój gust, przy tej pogodzie potrzeba około minuty, żeby wszystko spłynęło.

Andrew uniósł brew zaskoczony. Nigdy nie widział Odile w makijażu. Sama myśl wydała mu się interesująca. W końcu miała warunki.

Pani Berliner zaczęła panikować. Andrew uznał, że po praniu i płukaniu nadeszła pora na wyżymanie.

- Proszę powiadomić panią, że przybył gość.
- A pan?
- Jak powiedziałem – zwracam honor hipokryzji.

Blake sięgnął po olbrzymi parasol i wyszedł na zewnątrz, naprzeciw nieszczęsnej kobiety, która padła ofiarą niefortunnej awarii domofonu.

W bibliotece Blake podłączył wieżę stereo i zaczął przeglądać kolekcję płyt CD. Choć znalazł wielu cenionych przez siebie artystów, czuł, że ten wieczór sprzyja najbardziej słuchaniu muzyki klasycznej. Zatrzymał się na wyborze Debussy'ego, Straussa i Mozarta. Preludium, walce i requiem. Co najlepiej odpowiadało jego uczuciom?

Diane uwielbiała Debussy'ego. Umieścił płytę w urządzeniu i rozsiadł się w głębokim fotelu. Po pierwszych taktach *Suity bergamaskiej* ogarnęło go wzruszenie. Łagodne światło, drewno, książki, narastające, czyste dźwięki... Andrew spuścił powieki. Poczł, że przenikają go fale. Każdy instrument i każdy takt torowały sobie drogę w stronę przestrzeni wrażeń, których tak dawno nie doświadczył. Jego palce przebiegały w rytmie melodii po skórzanym obiciu poręczy fotela. Słuchał tych dźwięków już setki razy, mimo to jednak tego wieczoru miał poczucie, że odkrywa je na nowo, niczym monumentalną rzeźbę, z której podmuch wiatru zrywa zakrywającą ją płachtę, jak ściana, która pada, odsłaniając horyzont. Umysł Blake'a wznosił się ku innemu światu, gdzie nic nie jest szare, gdzie wszystko wibruje życiem – nawet przeszłość. Niesiony muzyką, miał siłę pogodzić się z nieobecnością Diane. Potrafił się przekonać, że ona wciąż żyje w nim. Dźwięki dawały mu nadzieję.

Muzyka urwała się gwałtownie. Blake otworzył oczy i zobaczył panią Beauvillier stojącą tuż przy wieży. Właśnie wyłączyła płytę.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała. – To jest nie do zniesienia...

Była w szlafroku. Zrobiła kilka kroków, zagubiona. Rozglądała się wokół siebie, rzucając od czasu do czasu spanikowane spojrzenie na Andrew, jak gdyby zobaczyła ducha. Blake zrozumiał, co ją gnębi, i podniósł się z fotela.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Dlaczego wybrał pan właśnie ten utwór?

Blake się zawahał, zanim odpowiedział. Pani Beauvillier przejęła inicjatywę.

– Tej muzyki słuchaliśmy razem z François po zakończeniu urządzania tego pomieszczenia. Siedział dokładnie w miejscu, które zajmował pan przed chwilą. Był taki szczęśliwy, że jego książki mają wreszcie swoje miejsce. Wziął mnie w ramiona i tańczyliśmy...

– Tę samą kompozycję grano w sali Pleyela, gdy po raz pierwszy zobaczyłem kobietę, która odmieniła moje życie. To było w czasach studenckich. Diane była zapisana do innej grupy. Siedziała w rzędzie przede mną. Moją uwagę zwrócił ruch jej włosów. Nie spuściłem już jej z oczu. Wypatrywałem jej profilu, jej rzęs, jej warg. Przeżywała muzykę. Podczas antraktu usłyszałem jej głos i śmiech...

– Czy wierzy pan w przypadki, panie Blake?

– A pani?

– Nie wierzę.

Pani Beauvillier się zachwiała. Blake czym prędzej podbiegł, żeby ją podtrzymać.

– Proszę usiąść. Przyniosę pani szklankę wody.

– Nie, proszę nie zostawiać mnie tutaj samej. Nie wchodziłam do tego pomieszczenia, odkąd François... Widok pana siedzącego w fotelu był dla mnie szokiem.

– Jest mi bardzo przykro z tego powodu.

– Niepotrzebnie. Miał pan rację. W imię jego pamięci ten dom powinien nadal żyć.

Doszła trochę do siebie.

– Jak pan myśli, ile moglibyśmy dostać za te książki?

– Co chce pani przez to powiedzieć?
– O ile dobrze pamiętam, jest tutaj wiele pięknych, oryginalnych edycji i kilka dawnych dzieł. Za jaką cenę moglibyśmy je sprzedać?

– Czy mówi pani poważnie?

– Nie mam wyboru. Obawiam się, że nie będę miała środków, żeby przedłużyć panu umowę po okresie próbnym. Chcąc uniknąć najgorszego, będę musiała sprzedać, co tylko się da.

– Nie może pani pozbyć się książek męża...

– Lepiej będzie sprzedać całą posiadłość? Czasami sobie myślę, że życie byłoby wtedy łatwiejsze. Przyznam, że rozważam taką możliwość. Przeniosłabym się do małego mieszkania w mieście. Już sama perspektywa pozbycia się tego ciężaru przynosi mi ulgę. Móc wyjść na ulicę, spotykać ludzi, przyglądać się im, oglądać wystawy sklepowe, a może nawet iść do kina... Kupować chleb, robić zakupy i wracać do siebie. Zajmować się tylko własną egzystencją.

Blake opadł na fotel. Pani Beauvillier wpatrywała się w swoje dłonie i obracała obrączkę – za luźną na jej szczupłe palce. W końcu podniosła na niego wzrok.

– Czy kiedy stracił pan żonę, panie Blake, przeprowadził się pan?

– Rozważałem to, ale ostatecznie zostałem. Przede wszystkim ze względu na córkę. Nie chciałem, żeby straciła kolejny punkt odniesienia. I jeszcze z powodu rzeczy Diane. Chciałem, żeby wszystko zostało na swoim miejscu, jak gdyby mogła wrócić w każdej chwili.

– Rozumiem pana. François marzył o tej posiadłości, całą ją wyremontował. To miejsce go przypomina. Gdybym je sprzedała, miałabym wrażenie, że on drugi raz umiera. Dopóki więc wystarczy mi sił, wolę poświęcić jego książki i moją biżuterię, żeby tego uniknąć.

– Biżuterię?

– Jest dla mnie bez znaczenia, w większości pochodzi bowiem ze spadków. Pani Berliner już zaproponowała, że kupi kilka sztuk.

– Czy mogę wyrazić swoje zdanie?

– Czy się zgodzę, czy też nie, i tak je pan wyrazi... – odparła ze zmęczonym uśmiechem. Nachylił się ku niej.

– Jeśli sprawy mają się tak, a nie inaczej, proszę pozwolić mi się wszystkim zająć.

– Jest pan majordomem, nie zaś syndykiem masy upadłościowej.

– Jestem przede wszystkim człowiekiem. I tak jak Odile, Philippe, a nawet Manon, jestem do pani przywiązany.

– Jak do każdej pracy.

Pokręcił głową.

– Nie tylko, proszę pani.

– A co z moimi książkami?

– Jeśli pani sobie życzy, mogę sprawdzić w Internecie. Powiem, co można z nimi zrobić.

– Niech się pan pośpieszy.

– Proszę dać mi czas do jutra rana.

– Dobrze. Myślałam także o świętowaniu Halloween z tym chłopcem, którego uczy pan z Magnierem. Zgadzam się. Rozważam również podjęcie wkrótce starej dobrej przyjaciółki na kolacji. To pańska rodaczka. Korespondowałyśmy ze sobą w czasach licealnych i pozostałyśmy w kontakcie, choć od piętnastu lat się nie widziałyśmy. Kolacja byłaby jak najbardziej na miejscu. Podarujmy posiadłości jeszcze trochę blasku przed zmrokiem.

Sprzedawczyni patrzyła ze zdziwieniem na osobliwe przedmioty, jakie dwaj mężczyźni układali starannie na taśmie przy kasie. Stojący za nimi klienci również rzucali podobne spojrzenia. Dziesiątki paczek cukierków wszelkiego rodzaju, butelki napojów gazowanych, świece i ciastka – w tym ulubione herbatniki Manon, których potrafiła teraz zjeść całą paczkę na podwieczorek. Blake napotkał pytające spojrzenie kasjerki i szepnął:

– Uważa pani, że jesteśmy za starzy na imprezy?

Magnier dodał:

– Mamy zamiar dostać cukrzycy w ciągu jednego wieczoru. Będzie to jakaś odmiana po reumatyzmie.

Puścił do niej oko i udał, że strasznie boją go plecy. Kobieta nie ośmieliła się więcej na nich patrzeć i zajęła się skanowaniem kodów paskowych.

Kiedy dotarli do samochodu, Blake włożył zakupy do bagażnika.

– Może jednak przesadziliśmy z ilością tego wszystkiego. Ilu ich w końcu przyjdzie?

– Pięciu. Yanis z dwójkiem najlepszych przyjaciół, jego młodsza siostra i jej przyjaciółka.

– Jeśli zjedzą choćby jedną czwartą tego wszystkiego, skończą na ostrym dyżurze.

– Słodocze mają długi termin ważności. Poza tym fajnie jest zorganizować coś wspólnie.

Szykuję zresztą dla nich małą niespodziankę...

– Jakiego typu? – zaniepokoił się Blake.

– Nie powiedziałeś mi, o co chodziło z tym asem pikowym, dlatego nie zdradzę mojej niespodzianki.

Gęste szare chmury przyspieszyły nadejście nocy. Na szczęście na wieczór nie przewidziano opadów. O wyznaczonej godzinie młodzi goście wyłonili się z lasu i zatrzymali z otwartymi ustami. Nawet Yanis, stary bywalec, był pod wrażeniem. Wokół domu Magniera płonęły pochodnie. Tańczące płomyki rzucały pomarańczowe blaski na pobliskie drzewa i krzewy. W każdym oknie stały świece różnej wielkości, oświetlając fasadę strzelistymi ognikami. Z ogrodowego stołu uśmiechała się do nich, szczerząc ostre zęby, wydrażona okazała dynia. Panował niesamowity nastrój.

Kiedy goście podeszli bliżej, majordom we fraku i w cylindrze wyłonił się nagle z obłoku mąki. Jego twarz była biała jak u trupa, a czarne cienie pod oczami sprawiały, że wyglądał bardzo niepokojąco. Zamiast płaszcza z kapturem był okryty starym, dziurawym kocem.

– Dobry wieczór, dzieci! – zaczął grobowym głosem. – Witajcie w krainie waszych najgorszych koszmarów. Znajdujecie się oto na magicznej ziemi...

Nagle nie wiadomo skąd wypadł, szczekając głośno, Youpla. Pies miał na głowie opaskę z migoczącymi gwiazdkami, a na szyi muszkę.

– Wracaj, kundlu! Nie teraz! – rozległ się głos Magniera ukrytego za domem.

Pies rzucił się na dziewczynki, usiłując polizać je po twarzach, czym przestraszył je bardziej niż mroczny majordom.

Nie tracąc powagi, Blake mówił dalej:

– Wejdziecie na teren przeklętej posiadłości. Jeśli chcecie zdobyć cukierkowy skarb, musicie pokonać ścieżkę tysiąca zaklęć i podążać za światłami... Uważajcie jednak, gdyż u celu podróży straszliwa czarownica i jej wierna asystentka czekają tylko, żeby was pożreć.

Piekielny majordom wybuchnął diabolicznym śmiechem rodem z filmów grozy. Yanis dreptał niespokojnie w miejscu.

– Panie Blake, czyli mamy iść w stronę domu, tak?

– Pan Blake już nie istnieje, zjadłem go! Ha, ha, ha, ha, ha!

Andrew owinął się przeżartym przez mole kocem i potknąwszy się o ogrodowe krzesło, zniknął w ciemnościach nocy.

Zostawione same sobie, dzieci ruszyły naprzód.

– To głupie! – denerwował się najmłodszy z kolegów Yanisa. – Właściwie to my powinniśmy ich straszyć! A tu już w lesie się bałem. W ogóle to kim jest ten wielki świr, który śmieje się jak potłuczony?

Zza krzewu rozległ się głos:

– Nie śmieję się jak potłuczony! Nie drażnij piekielnego majordoma!

Yanis wybuchnął śmiechem.

– Chodźcie, idziemy! Od lat marzę, żeby wejść do rezydencji. Opowiada się przeróżne rzeczy na temat tej chaty. Mówi się, że zbudował ją wnuk Frankensteina. Podobno łapią tam dzieci i robią na nich doświadczenia.

– Yanis, boję się – szepnęła koleżanka siostry.

– Nie martw się. Są spoko!

Dzieci ruszyły ścieżką. Pochodnie rozmieszczone w regularnych odstępach tworzyły atmosferę sprzyjającą pobudzeniu wyobraźni. Na pierwszym zakręcie wpadli na gigantyczną pajęczynę, pośrodku której czatował olbrzymi stwór.

– To przecież sztuczne! – zawołał drugi kumpel Yanisa.

Siostra chwyciła go za rękę i już nie puściła.

– Nie boję się! – dodał chłopiec głosem pełnym brawury.

Wtedy właśnie Blake wyskoczył z wrzaskiem zza kępy zarośli. Z pięciu dziecięcych gardeł również wyrwał się głośny krzyk.

– A więc to tak, małe potworki! Próbujecie udawać twardzieli? Ha, ha, ha, ha!

Znów uciekł, tracąc płaszcz, który zaczepił się o jedną z gałęzi.

Teraz dzieci szły stłoczone w gromadkę, niczym rzymski legion, i bacznie rozglądały się wokoło. Nagle z oddali dobiegło ich wycie wilka.

– Gdzie są cukierki? – zapytała jedna z dziewczynek.

– Jak tylko je znajdziemy, zabieramy skarb i spadamy biegiem – zaproponował przyjaciel Yanisa.

Przed ich oczami rysował się już dach domostwa, kiedy piekielny majordom zrobił kolejne wejście.

– Ciemna ta noc, nie uważacie? Spójrzcie na niebo i strzeżcie się, ponieważ pewien wariat właśnie mi powiedział, że czeka was jeszcze jedna niespodzianka. Chociaż nie mam pojęcia, co zaplanował...

Rozległ się huk eksplozji. Echo wybuchu musiało być słyszalne daleko poza granicami posiadłości. Na niebie pojawił się maleńki, świetlisty punkt, po czym nagle noc rozjaśniła feeria kolorów. W górę wleciał kolejny fajerwerk, a po chwili następny. Teraz dzieci już się nie bały. Nawet piekielny majordom wzniosł oczy ku niebu pełnemu kolorowych ogników. Salwy następowały po sobie w ogłuszającym huku, dzieci zaś wołały:

– Jeszcze! Jeszcze!

– Nie nakręcajcie go, jest już i tak wystarczająco podekscytowany. Pamiętajcie, że piekielny majordom was uprzedzał.

Przerażony wybuchami Youpla ukrył się gdzieś w lesie. Widowisko trwało w najlepsze. Blake nie miał pojęcia, skąd Philippe wytrzasnął cały ten arsenał, ale był pod wielkim wrażeniem. Po serii czerwonych rozet ognie nasiliły się jeszcze – w parku zrobiło się jasno jak

w dzień. Kilka przepięknych snopów rozdarło noc. Kiedy trzy ostatnie, największe fajerwerki wyleciały w powietrze, dzieci krzyczały z radości.

Blake, równie zafascynowany ostatnimi iskrami ginącymi w ciemnościach, potrzebował kilku chwil, żeby przypomnieć sobie swoją rolę.

Odile, przeobrażona w straszliwą czarownicę, czekała w progu kuchni z Manon przebraną za mumię. Kucharka była odziana w łachmany, a na głowie miała perukę ze strzępków szmat. Jej czarne zęby zrobiły duże wrażenie na małych dziewczynkach.

– Wejdźcie, proszę, do mojej skromnej jaskini, młodzi ludzie, i posilcie się...

Mumia ruszyła za nimi kołyszącym się krokiem, z rękami wyciągniętymi naprzód.

Pięcioro dzieci zasiadło przy stole i degustowało magiczne ciasta czarownicy i przekłete, pomarańczowe bezy. Już po chwili przestały zważać na blade oblicze majordoma, na blizny mumii i czarne jak węgiel zęby czarownicy. Śmiały się i napychały cukierkami.

Kiedy wybiła dziesiąta, nadeszła pora, żeby wracać. Yanis najgoręcej wyraził swoją wdzięczność Odile i Manon, obdarowując je siarczystymi całusami. Już na odchodnym, kiedy jego przyjaciele napychali sobie kieszenie słodyczami, chłopak podszedł do Blake'a.

– To był najlepszy wieczór w moim życiu. Szkoda, że nie było z nami pana Magniera.

– Nie wiem, gdzie on się podział. Cieszę się jednak, że wam się podobało, to znaczy piekielny majordom się cieszy...

– Czyli to prawda?

– Co jest prawdą, Yanisie?

– Że ludzie robią coś dla innych, nie spodziewając się niczego w zamian?

– Istotnie, to się zdarza.

Ciemne, szeroko otwarte oczy chłopca wpatrywały się w Blake'a. Przez ułamek sekundy Andrew miał wrażenie, że już kiedyś przeżył podobną sytuację. Przypomniała mu się młodziutka Sara. Jarmark, na którym wygrał dla niej wielkiego niebieskiego królika, strzelając do celu. Blake poczuł ucisk w sercu. Rozzochrał czuprynę dziecka i byłby je wziął w objęcia, gdyby nie uznał, że mu nie wypada. Podał mu więc tylko rękę.

Chłopak energicznym gestem uściśnął dłoń majordoma.

– Dziękuję, proszę pana.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I nie zapomnij, że na czwartek masz do zrobienia pięć ćwiczeń.

– Obiecuję, że je zrobię.

Dzieci ruszyły w drogę powrotną. Odile i Manon machały im na pożegnanie ze schodów. Blake odprowadził ich, wysłuchując opowieści o najciekawszych momentach wieczoru. Nagle osobliwy dźwięk dobiegający z głębi lasu zwrócił uwagę wszystkich. Gdzieś w oddali, wśród drzew, pojawiło się światło. Z początku słabe, ale nasilające się z każdą chwilą. Ciemności przeszył przeciągły krzyk.

– Philippe, to ty? – zawołał Andrew.

Kształt o niewyraźnych konturach prześlizgnął się między pniami drzew. Osobliwy duch raz zniknął, raz się pojawiał – za każdym razem nieco bliżej. Zdawał się unosić nad ziemią.

– Co to takiego, panie Blake? – zapytał Yanis niepewnie.

Jego młodsza siostra wczepiła się w niego z całych sił.

– Nie bójcie się, dzieci. To na pewno sprawka Philippe'a.

Dotarłszy na skraj lasu, świetlista zjawą nagle przyspieszyła i z wrzaskiem ruszyła z impetem wprost na dzieci. Te z krzykiem rozpierchły się na wszystkie strony. Odile wróciła do kuchni, żeby po chwili wyjść uzbrojona w patelnię. Ruszyła na kreaturę, która gonila spanikowane dzieci. W ogrodach posiadłości rozegrał się osobliwy balet. Duch latał śladami

Yanisa i jego kolegów, Blake klęczał, usiłując osłaniać siostrę chłopca, która ukryła się w jego ramionach, a druga dziewczynka szukała schronienia wśród drzew. Wydawało się, że nie uda się powstrzymać przerażającego widma, dopóki na jego drodze nie stanęła Odile, która wymierzyła mu potężny cios patelnią w sam środek głowy. Duch ucichł gwałtownie, ale nie od razu przerwał szalony bieg – wreszcie go jednak zakończył, wpadając z impetem w gęste zarośla. Dzieci potrzebowały ponad pół godziny, żeby się uspokoić.

- Wiedziała pani, że to był Philippe?
 - Nic nie wiedziałam! – usprawiedliwiła się Odile. – Przy tym świetle, bestialskich wrzaskach i pędzącym duchu!
 - Poszła pani na całość...
 - Zagroził dzieciom! Co go podkusiło? Powinien nas ostrzec.
 - Na szczęście wyjdzie z tego. Mógł zginąć! Wyobraża to sobie pani?
 - Co to za pomysł, żeby pędzić w stronę dzieci na rowerze z wielkim rzutnikiem i megafonem przyczepionym do twarzy! I do tego pod prześcieradłem!
 - Blake usiłował powstrzymać śmiech.
 - Reflektor prawie zmiażdżył mu kolano podczas upadku.
 - A dzieci? Pomyślał pan o dzieciach? Tygodniami będą im się jeszcze śniły koszmary.
- A za trzydzieści lat, kiedy zobaczą łopoczące na wietrze prześcieradło albo kogoś jadącego na rowerze w ich kierunku, uciekną z wrzaskiem.
- Mimo wszystko to był bardzo miły wieczór.
 - Chory pomysł, powinni pana odesłać do czubków na resztę życia!
 - Odile, niech pani odpuści! Magnierowi nic się nie stało. Na pamiątkę zostanie mu tylko ślad po patelni na środku czoła.
- Pod maską złości Odile ukrywała niepokój.
- Czy on jest na mnie bardzo wściekły? – zapytała.
 - Nie wie, że to pani go uderzyła.
 - Jak to?
 - Wczoraj wieczorem, po wypadku, nie wiedział nawet, jaki mamy dzień. Ma dziurę w pamięci. Kiedy pomagałem mu się położyć spać, nazwał mnie mamą...
 - Pan żartuje?
 - Przysięgam, że nie. Pytał także, czy Święty Mikołaj przyniesie mu czerwony rower.
- Odile była przerażona, Blake zaś z trudem hamował wybuch śmiechu.
- To dlatego poszedł pan do niego tak wcześnie dziś rano?
 - Wróciłem tylko wziąć prysznic i się przebrać. Spędziłem noc u jego wezgłowia. We wczorajszym przebraniu i w makijażu. Ciekaw jestem, jak wyglądała jego matka.
 - Nie odzyskał jeszcze pamięci?
 - Powracają strzępki wspomnień. Pamięta, że jechał na rowerze. Rozpoznał psa. Pytał jednak, dlaczego nieszczęsny Youpla nosi muszkę pod szyją.
 - Czyli nie pamięta, że to ja go uderzyłam?
 - Powiedziałem mu, że wpadł na gałąź. Nikt się nie wygada, zadbałem o to.
 - Tak mi wstyd.
 - Jeśli postanowi wejść przez komin w święta, proszę nie rozpalać ognia.
 - Czasami już z panem naprawdę nie mogę...
 - ...to patelnią w głowę. Przepraszam.
 - Może powinnam go odwiedzić?
 - Zastanawiałby się, dlaczego okazuje mu pani tyle współczucia, i zacząłby coś podejrzewać. Nie jest idiotą. Chociaż wczoraj był przekonany, że jeśli zmoczy łóżko, przyjdą żandarmi i go aresztują.
 - Biedaczysko.

– Mnie raczej żal żandarmów. Proszę się zresztą nie martwić, w przyszłym tygodniu ma urodziny. Możemy mu zorganizować małą niespodziankę. Co pani na to?

– Nawet gdybym nie czuła się tak winna, zgodziłabym się.

Kiedy Odile poszła pomóc pani w ubieraniu się, zastała ją w lepszej formie niż w ciągu poprzednich dni.

– Czy sztuczne ognie i petardy nie przeszkadzały pani za bardzo?

– Nie trwało to długo.

– Philippe i Andrew naprawdę świetnie wszystko zaplanowali. Dzieci były zachwycone.

Powinna pani była zobaczyć park, fajerwerki...

– Odile, co się stało z pani zębami?

– Z zębami?

– Przypomina pani piętnastowieczną wieśniaczkę z zepsutymi pieńkami.

Kucharka rzuciła się w stronę lustra w łazience i krzyknęła przerażona.

– Mój Boże!

– Przebrała się pani?

– Pan Blake przekonał mnie, żebym poczerzyła sobie zęby jak pirat, ale znalazł tylko czarny marker...

Pani roześmiała się cicho.

– Wyglądam strasznie! – lamentowała Odile.

– W sam raz na wieczór Halloween, ale już nie na następny dzień...

Nagle Odile uniosła ręce do ust i krzyknęła jeszcze głośniejsze:

– Litości!

– Co się dzieje?

– Tym samym markerem narysował blizny na twarzy mumii!

– Jakiej mumii?

– Manon! Oby tylko dziecko się od tego nie pobrudziło.

Tego dnia Andrew zauważył brak zainteresowania pracodawczyni korespondencją, która jeszcze kilka tygodni wcześniej wzbudziła w niej wielki entuzjazm. Czyżby już odbyła wizytę w swojej tajnej kryjówce? O co zapytała męża? Czy rozmyślała o synu?

Przyglądając się jej, Andrew z coraz większym trudem ukrywał swoje emocje. Wiedział już za dużo. Pod koniec spotkania zapytał:

- Czy podjęła pani decyzję w sprawie sprzedaży książek?
- Z ciężkim sercem, ponieważ moja sytuacja się nie poprawia.
- Udało mi oszacować wartość kolekcji za pośrednictwem wyspecjalizowanego serwisu.

Złożono nawet tymczasem kilka ofert kupna, w tym jedną, która wydaje mi się całkiem zadowalająca. Pewien paryski kolekcjoner jest gotów wziąć całość za kwotę o dwadzieścia pięć procent wyższą niż najlepsze wstępne wyceny.

- Dlaczego chce zapłacić więcej?

– Jego pasją są słowniki. W pani zbiorze znajduje się najwyraźniej kilka niezwykle rzadkich. Odpowiedziałem w pani imieniu, że jeśli chce je mieć, musi kupić całość księgozbioru, i że mamy już kilka innych ofert. Natychmiast podbił cenę.

– Prawdziwy z pana skarb, panie Blake. Proszę sfinalizować tę transakcję. Skończmy z tym jak najszybciej.

- Czy mam się również zająć sprzedażą biżuterii?
- Innym razem, jeśli pan pozwoli. Jedna zła nowina na dzień całkowicie mi wystarcza.

Czy mogę poprosić o jeszcze jedną przysługę w związku ze sprzedażą książek?

- Do usług szanownej pani.
- Czy można by ich nie zabierać z biblioteki przed kolacją z moją angielską przyjaciółką?
- Czy data spotkania jest już ustalona?
- Przyjedzie w przyszły piątek, najprawdopodobniej z mężem. Jeśli nabywca się zgodzi, chciałabym, żeby książki François znajdowały się jeszcze wówczas na swoich miejscach.

- Na pewno uda mi się przekonać nabywcę.

– Liczę także na pana i na Odile, że zorganizujecie nam prawdziwą ucztę. Tak dawno jej nie widziałam. Kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek będę miała możliwość podjąć ją u siebie?

Blake ponownie stał na podeście schodów i obserwował bramę wejściową.

- Niepotrzebnie się pan wysila – oznajmiła Odile, schodząc do niego. – Dziś nie pada.

Andrew jednak nie odjął lornetki od oczu i odparł:

- Nigdy nie wysilam się bez powodu, szczególnie jeśli chodzi o osobę pokroju pani

Berliner.

Wreszcie zza drzew wyłoniła się taksówka.

– Trzeba mimo wszystko przyznać, że ma jedną zaletę – oświadczył Blake, zmierzając do domofonu. – Jest punktualna.

Odile z ciekawości ruszyła za nim.

- Co tym razem pan dla niej szykuje? Będzie ją straszył duch na rowerze?
- To zbyt ryzykowne. Philippe nie wie, kiedy przestać.
- Pan zaś oczywiście jest mistrzem opanowania i umiaru?

Pani Berliner zadzwoniła do drzwi. Jej zniekształcona w obiektywie twarz pojawiła się na ekranie. Blake zachichotał złośliwie i nacisnął przycisk zwalniający zamek.

- Czasami mnie pan przeraża – oświadczyła Odile, równie zaciekawiona, co

zaniepokojona.

Pani Berliner położyła dłoń na furtce. Kiedy tylko jej skóra zetknęła się z metalem, kobietą wstrząsnęły konwulsje, a modny kapelusik spadł na ziemię. Z na wpół otwartych ust wydostał się doskonale słyszalny przez domofon odgłos: coś między piskiem kota, sykiem powietrza uchodzącego z dziurawej opony i rykiem niedźwiedzia, który usiłuje się wypróżnić po zimie.

– Pan jest kompletnie chory! – zawołała Odile. – Proszę natychmiast przestać!

– Sama mi pani podsunęła ten pomysł!

– Andrew, doniosę na pana!

– Naprawdę uważa pani, że ktokolwiek uwierzy kobiecie z czarnymi zębami?

Pani Berliner opuściła rezydencję późnym popołudniem zaopatrzona w kilka nowych egzemplarzy biżuterii. Stanowczo odmówiła dotykania furtki. Andrew odprowadził ją do taksówki, a następnie udał się do swojego pokoju na odpoczynek. Kiedy mijał sypialnię Manon, odniósł wrażenie, że słyszy łkanie. Zapukał.

– Czy wszystko w porządku? Tu Andrew.

Brak odpowiedzi. Blake nalegał:

– Proszę, odezwij się!

Drzwi się otworzyły. Dziewczyna otarła łzy, ale zrozpaczone spojrzenie zdradzało jej nastrój.

– Coś cię martwi? Cięża?

– Jeśli o to chodzi, to wszystko w porządku. Produkuje dziecko z ciasteczek maślanych i cukierków.

– Jakież wieści od Justina?

– Dziś w nocy śniło mi się, że nie wróci.

– To tylko zły sen.

Manon cofnęła się w głąb pokoju i oparła się o szafę.

– Śni mi się każdej nocy, myślę o nim każdego dnia. Powinien wrócić za jedenaście dni.

Czasami wyobrażam sobie, że pojawi się jeszcze tego wieczoru, czasami zaś wcale w to nie wierzę. Zmieniam zdanie co czterdzieści sekund... Brakuje mi także mamy. I zgubiłam moherowy sweter, który Justin podarował mi na naszą rocznicę...

Blake przygarnął dziewczynę do siebie.

– Uwaga, będę czytał z podręcznika! Stawiaj czoło tylko jednemu problemowi jednocześnie. Jak twoja nauka do egzaminu? Termin się zbliża...

– To już za dwa tygodnie. Odile uważa, że jestem gotowa, z wyjątkiem tekstów pedagogicznych. Zresztą...

Manon urwała.

– Co „zresztą”? – nalegał Blake.

– Za dwa tygodnie albo Justin wróci, i wtedy być może mam szansę zdać, albo nie wróci, a wtedy nie mam nawet po co podchodzić do egzaminów.

– Na razie powinnaś się uczyć.

– Mogę zadać panu pytanie?

– Bardzo proszę.

– Pamięta pan czasy, kiedy miał pan dwadzieścia lat?

– Francja i Anglia były w stanie wojny. Chodziliśmy w zbrojach i mieszkaliśmy w lepiankach. Biedacy jadali korzonki, wszyscy spaliliśmy ze świniami, żeby było nam cieplej.

Widzisz, jak dobrze pamiętam? W czym mogę ci pomóc?

– Również miał pan tyle wątpliwości co ja?

– Moje życie na pewno różniło się nieco od twojego w niektórych sprawach. Nie mieliśmy do dyspozycji tylu gadżetów elektronicznych, tylu ubrań, tych wszystkich rzeczy, które nas teraz rozprasza, ale wątpliwości i lęki nieumiejętnie ukrywane pod pozorami wszechwiedzy – jak najbardziej. Pamiętam doskonale pewne zdanie, które zobaczyłem na frontonie katakumby podczas wycieczki do Rzymu z moimi rodzicami. Nad stosem kości i czaszek widniał napis: Byłem tym, kim ty jesteś. Będziesz tym, czym ja jestem. Wyszedłem stamtąd przerażony i nigdy o tym nie zapominałem. Od tamtej pory widziałem w starszych ludziach dzieci, jakimi byli w przeszłości, w dzieciach zaś – przyszłych staruszków. Każdy idzie własną drogą, ale kilka etapów nam się pokrywa.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że pan się czegoś bał!

– Bałem się stawić czoło życiu, a czasami...

– Jej! To ja powinnam pana pocieszać!

– Wystarczy mi, że mogę patrzeć na twoje życie. Masz energię i dobre serce. Nosisz w sobie nowe życie. Przyszłość należy do ciebie. Teraz twoja kolej. Wszystko, co starsza osoba może zrobić dla młodej osoby, to szczerze opowiedzieć o tym, co wie, choćby miała na tym ucierpieć jej duma. Nie zapominaj, że dorosły jest tylko podstarzałym dzieckiem.

Za pomocą widelca Philippe podrapał się pod szerokim bandażem, którym była owinięta jego głowa.

– Jak się mają sprawy z *Hrabim Monte Christo*? – zapytał Blake szeptem.

– Ciężko nam idzie – odparł Magnier równie cicho. – Nawet nie samo czytanie jest problemem, chłopak radzi sobie bowiem coraz lepiej. Chodzi raczej o bohaterów. Żeby go bardziej zainteresować, zastąpiłem służącego Bertuccia Youplą.

– Twój pies jest współnikiem Edmunda Dantesa? – parsknął Blake.

– Tak, i teraz chłopak pyta, dlaczego hrabiemu pomaga w zemście gadający pies. Ponadto nie umie się pogodzić z tym, że Mercedes, ukochana hrabiego, nie jest wielką niemiecką berlinką i niektóre fragmenty stają się zupełnie surrealistyczne: gadający pies zanoszą sekretną wiadomość samochodowi o mocy dwustu koni. Poważnie, nie jest łatwo!

Yanis uniósł wzrok znad kartki z zadaniami matematycznymi. Chłopak siedział przy stole zarządcy, Youpla leżał u jego stóp.

Poważnym tonem pouczył mężczyzn:

– Wiecie, co dyrektor mówi w szkole tym, którzy gadają i przeszkadzają innym w pracy?

– Każe im wyjść? – zgał Blake.

Obaj znaleźli się więc na zewnątrz, wystawieni na podmuchy wiatru, i tam kontynuowali rozmowę. Philippe miał na sobie sweter, który dostał od wszystkich w prezencie na urodziny.

– Nie rozstajesz się z nim – zauważył Blake.

– Bzdura. Po prostu pogoda jest odpowiednia na noszenie swetra.

– Przecież dobrze widziałem twoją minę, kiedy Odile wręczała ci pakunek.

– Sama powiedziała, że to prezent składkowy od was wszystkich.

– Oboje byliście czerwoni jak buraki. I pocałowaliście się w policzek.

– Całowałem wszystkich, nawet panią i siebie.

– Byleś w takim stanie, że pocałowałbyś nawet kota, gdyby tylko był pod ręką. Coraz lepiej się dogadujecie z Odile.

– To prawda. Nie mam jednak złudzeń. Jestem zbyt prostacki dla takiej kobiety. Ty wiesz, jak z takimi postępować.

I naśladowując lekki brytyjski akcent Andrew, Magnier wyrecytował:

– „Nic nie może odwrócić uwagi moich kubków smakowych od pani przysmaków”, „Panie przodem”, „Ależ nie, to nic nie szkodzi”, „Ten bigos to rozkosz w czystej formie”.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Twój rodak Sherlock nie wydedukowałby tego lepiej.

– Kładę to na karb twojego urazu.

– Połóż to na karb mojej głupoty. Nie jestem wystarczająco ciekawy, żeby zainteresować Odile moją osobą.

– Czy to oznacza, że miałbyś na to ochotę?

Magnier się odwrócił. Blake nie nalegał. Mężczyźni udali się na krótką przechadzkę, a następnie wrócili, żeby sprawdzić, jak sobie radzi Yanis. Nie zamienili już ze sobą ani słowa na temat inny niż zadania chłopca. Philippe kilkakrotnie wykonał niezręczne ruchy, jak mu się to zdarzało od czasu nieszczęśliwego „upadku”. Wieczorem Blake wrócił jeszcze, chcąc się upewnić, czy wszystko z nim w porządku. Zastał Philippe’a przed telewizorem, rechoczącego głupkowato, choć oglądał dokument na temat dramatycznego podniesienia się poziomu wód na

terenach Polinezji. Wysłał go do łóżka. Philippe nie protestował. Tego wieczoru, w przeciwieństwie do poprzedniego, Andrew nie musiał mu śpiewać piosenki na dobranoc.

- Odile, niech pani będzie rozsądna!
 - Proszę nie nalegać, to bezcelowe!
- Blake się nie poddawał.
- Nie podamy posiłku bez wina, ja zaś nie mogę się na żadne zdecydować. Byłem na dole, ale za duży wybór!
 - Nie protestuję przeciwko winu, protestuję przeciwko zejściu do piwnicy.
 - Mogę zejść z panią. Będę panią chronił przed...
 - Bardzo to miłe, ale nie poradzi pan nic na moje fobie.
 - Nigdy nie schodziła pani do piwnicy?
 - Owszem, raz. I to mi wystarczyło. Proszę zapytać panią Beauvillier, była wtedy razem ze mną. Nie wiem, co takiego musnęło mnie w ciemnościach, ale wyleciałam na górę jak strzała.
 - Powiem więc pani Beauvillier, że ze względu na fobię szefa kuchni dotyczącą kilku stworzonek do posiłku zostanie zaserwowana woda z kranu.
 - Gdybyśmy mieli walkie-talkie, mógłby mi pan opisywać butelki, ja zaś powiedziałabym, którą przynieść na górę.
 - Może zaplanujemy ekspedycję w strefę skażenia ze zdalnie sterowanym robotem? Zresztą nie mamy walkie-talkie.
- Odile skrzyżowała ręce na piersiach – najwyraźniej nie miała zamiaru ustąpić. Blake podjął kolejną próbę.
- Zejdzie pani ze mną. Wystarczy, że zamknie pani oczy, ja będę służył za przewodnika. Nic pani nie zobaczy. Kiedy staniemy przed skrzynkami z winem, spojrzysz pani, wybierze, po czym wrócimy na górę – biegiem, jeśli pani sobie życzy – i sprawa załatwiona.
 - Pan nie ma żadnej fobii?
 - Mam, panicznie się boję gigantycznych krabów z Alaski. Kiedy byłem mały, rybacy sprzedawali czasami szczypce tych wielkich stworzeń. Były długie, wąskie i najeżone kolcami jak macki potworów z obcej planety w filmach. W internacie kolega z pokoju kupił kilka takich i schował pod moim łóżkiem. Kiedy wyszedłem spod prysznicy, rzucił je na podłogę. Dostrzegłszy te wielkie stwory poruszające się po parkiecie, uciekłem nago na korytarz.
 - Biedaczysko. Jak jednak mniemam, pewnie nie spotyka pan często krabów z Alaski. W każdym razie zapewniam, że od dawna nie widziałam żadnego w okolicy. Ostatnio musiały być tutaj w okresie kredy.
 - Świetnie, od razu mi lepiej. Czyli możemy zejść do piwnicy?
 - Czy nie rozumie pan znaczenia zdania: „Nigdy nie zejdę do piwnicy”?
 - Rozumiem przede wszystkim, że czas ucieka, że potrzebujemy wina na wieczór i że nie ma nikogo, kto dokonałby wyboru lepiej niż pani.
- Blake prowadził pod rękę Odile, której oczy były przewiązane chustką. Cała sztywna ze strachu, poruszała się powoli, łapiąc krótkimi haustami powietrze.
- Proszę się rozluźnić, jeszcze tylko kilka stopni. Wszystko w porządku.
- Stanęli w progu długiego korytarza o łukowatym sklepieniu z cegieł. Zagłębili się w labirynt. Piwnica rozciągała się pod całym domostwem. Na pierwszym rozwidleniu Blake się zawahał. Zobaczył pomieszczenie bez drzwi wypełnione zardzewiałymi narzędziami ogrodowymi. W miejscu, gdzie przechowywano dwa dziecinne rowerki i sterty starych, pożółkłych gazet noszących ślady mysich kup, skręcił w prawo.

– Niech mi pan tylko nie mówi, że się zgubiliśmy – mruknęła Odile.

– Proszę mi zaufać.

Kiedy znaleźli się w komorze z wózkiem dziecięcym przykrytym prześcieradłem, Andrew odetchnął. Byli już blisko celu. Stąpając po ubitej ziemi, weszli do niskiego pomieszczenia, którego trzy ściany zajmowały skrzynki z butelkami. Kilka pojemników piętrzyło się jeszcze u ich stóp.

– Uwaga na schody! Jesteśmy na miejscu. Proszę na chwilę mnie puścić, będą mi potrzebne obie ręce.

Blake się uwolnił, po czym kilkoma szerokimi gestami zgarnął największe pajęczyny.

– Co pan robi?

– Dbam o panią.

– Ostatnim razem, kiedy pan o mnie zadbał, chodziłam z czarnymi zębami przez pięć dni. Przytrzymując ją za ramiona, przyprowadził kobietę przed stojak z czerwonymi winami.

– Na trzy zdejmuję opaskę, pani wybiera i wracamy. Raz, dwa i hop!

Odile otworzyła nieśmiało oczy. Ujrzała przed sobą ścianę pełną butelek.

– Co za koszmar! Te wszystkie pajęczyny... Nie sposób odczytać napisów na etykietach przez ten cały kurz.

– Mogę pójść po szmatkę, jeśli pani sobie życzy.

– Niech się pan stąd nie rusza! Tutaj widzę Graves i Saint-Emilion. Nie będziemy ryzykować. Będzie ich troje, potrzebujemy zatem przynajmniej trzech identycznych butelek.

– Bierze ich pani za pijaków, ponieważ to Anglicy?

– Dwie butelki do posiłku i jedna, żeby sprawdzić, czy wino jest dobre. Przy tak starych rocznikach zdarzają się niespodzianki.

Odile nachyliła się, żeby przyjrzeć się kolejnym etykietom.

– Tutaj mamy Château-Lafite, Haut-Brion... Są nawet burgundy: vosne-romanée, chassagne-montrachet. Piękna piwnica!

– Powinna pani częściej tutaj przychodzić.

– Niech pan znowu nie zaczyna.

Wskazała palcem:

– Widzę białe. Jedno Sauternes byłoby na pewno bardziej zaskakujące, ale właściwie, dlaczego nie?

Nachyliła się jeszcze bardziej. Nagle wśród skrzynek, za butelkami, Odile spostrzegła ruch. Zamarła.

– Diane bardzo lubiła Sauternes.

Odile nic nie odpowiedziała. Usiłowała zapanować nad sobą, ale wobec wpatrzonych w nią małych czarnych oczek była bezsilna. Nie krzyczała. Nie uciekała. Zdobyła się tylko na to, żeby chwycić rękaw Blake'a, który spokojnie przeglądał zawartość jednej ze skrzynek.

Cofając się, jej ramię i szyja napotkały na swojej drodze wielką pajęczynę. Odile poczuła, jak dreszcz przerażenia przepływa przez jej ciało. Gwałtownie podskoczyło jej ciśnienie i nagle, niczym w przegrzanej kotłowni, nastąpiła awaria zasilania. Odile runęła jak długa na ziemię.

– Za kilka godzin pojawią się goście. Jeśli Odile ocknie się w piwnicy, nigdy nie dojdzie do siebie.

– Przyszedłem, jak tylko mogłem najszybciej.

Blake i Magnier przemierzali korytarze szybkim krokiem. Kiedy dotarli do piwniczki z winami, kucharka wciąż leżała nieprzytomna na podłodze.

– Biedaczka... – rozczulił się Philippe. – Wygląda, jakby spała. Jak śpiąca królewna.

– W pałacu z pajęczyn, na łożu z odchodów gryzoni. Cudownie. Biorąc pod uwagę liczbę myszy, które tutaj biegają, pomyślałbym raczej o Kopciuszk. Jak sądzisz, czy ze śpiewem na ustach utkają dla niej suknię? Żarty żartami, teraz jednak ty bierzesz ją za nogi, ja chwytam ją za ręce i wychodzimy stąd.

– Całe szczęście, że kiedy upadała, nie uderzyła się głową o skrzynię

– Wtedy to ty musiałbyś gotować dzisiejszą kolację.

Naśladowując specyficzny akcent majordoma, zarządca oznajmił:

– Pierozki ravioli z puszki w sosie GMO i chleb tostowy w plastikowym opakowaniu!

– Podnosimy ją na „trzy” – zakomenderował Blake.

Mężczyźni podnieśli Odile i ruszyli powoli w stronę wyjścia.

– Ma nawet niezłe nogi – zauważył Magnier.

– Czyli jednak podoba ci się.

– Zamknij się i idź, zamiast gadać głupoty. Bolą mnie plecy.

– Powiedz sobie, że ratujesz księżniczkę.

– Niezłe ratowanie – westchnął Philippe. – U nas, kiedy trzeba taszczyć coś ciężkiego, mówi się, że to waży tyle, ile zdechły osioł.

– Zabawne, bo u nas, w Devonie, mówi się o wadze ciężarnej krowy.

– Słyszę was – wymamrotała Odile. – Popamiętacie mnie jeszcze!

Do wizyty gości pozostała niecała godzina. Manon spędziła cały dzień na polerowaniu salonu od podłogi do sufitu. Blake pomógł jej w odkurzaniu i czyszczeniu żyrandola. Nakryto do stołu, bez rozkładania go, biesiadników było bowiem tylko troje. Wyprasowany biały haftowany obrus, porcelanowy serwis, szkło bakaratowe ręcznie obrabiane i stare francuskie srebra.

Dziewczyna wytrzepała jeszcze poduszki na narożnej kanapie, podczas gdy Andrew sprawdzał, czy kieliszki są ustawione w równej odległości od zagłówek krzeseł.

Majordom wyrzwał przez okno i sprawdził, czy Philippe realizuje swoje zadania jak należy. Na prośbę pani, wyjątkowo, zarządca otworzył główną bramę. Rozstawił także pochodnie wzdłuż wyżyrowanej alei i zmiotł suche liście z trawnika. Stał teraz na drabince pod markizą i wymieniał żarówkę.

– Dokończ tutaj sama – powiedział Andrew do Manon. – Sprawdź w kuchni, jak się sprawy mają.

Co interesujące, drzwi do kuchni były zamknięte. Blake zapukał i wszedł do środka. Odile kroila właśnie wołowinę na cienkie plasterki.

– Daje pani sobie radę?

– Ciągle kręci mi się w głowie, ale zdążę ze wszystkim. Zechce pan przelać wino do karafek?

– Nie ma sprawy. A później pójdę się przebrać.

Nie przerywając, kucharka zapytała:

– W co zamierza się pan ubrać?
– Założę beżową koszulę i brązową marynarkę. Do tego może muszkę. Dlaczego pani pyta?

– Zauważyłam, że Philippe wyciągnął pochodnie. Gotów pan powtórzyć numer z piekielnym majordomem. Proszę lepiej zrezygnować z muszki.

– Dlaczego?

– We Francji zakładają je raczej goście.

– Rozumiem. A zatem krawat. W jakim kolorze? Mam niebieski i zielony.

– Ma pan także bordowy. Byłby idealny.

Blake otworzył trzy butelki Haut-Brion, żeby pooddychały, po czym przelał zawartość jednej z nich do szerokiej karafki. Nagle uświadomił sobie, że wbrew swoim zwyczajom kucharka nie włożyła nic do miski Mefista.

– Myśli pani, że kotu nie będzie smakować?

– Rzuciłby się na to, jak na wszystko, co gotuję od pewnego czasu, ale muszę go trzymać na diecie. Proszę nic nie mówić. Wiem, co pan sobie myśli.

– Obrasta w futro na zimę – oto co myślę.

– Mefisto to tłuszcioch, i tyle. Wczoraj widziałam go w ogródku warzywnym. Ukryty za kępą traw przyglądał się chciwie jakiemuś ptaszкови. Udawał, że jest gotowy do skoku i złapania go w locie. Nie wiem, co on sobie wyobraża. Przypominał raczej poduszkę. Jak tak dalej pójdzie, zmieni się w kanapę.

– Nie śmiem nawet myśleć, co by mi pani zrobiła, gdybym to ja użył tych słów w odniesieniu do Mefista.

Odile zwiększyła moc okapu i wrzuciła plasterki wołowiny na grilla.

– Już je pani smaży?

– To mały sekret tego przepisu – wyjaśniła. – Trzeba najpierw zamknąć mięso. Dzięki temu nieco wysycha, ale po chwili nasiąknie sokiem z winogron, zmięknie i zyska delikatny aromat.

– We Francji krócej smaży się mięso niż w Anglii. Najczęściej podaje się krwiste.

– A wy lubicie podeszwy. Zawsze za długo je pieczecie. I tak od wieków. Co zrobiliście z naszą Joanną d'Arc? Tak długo ją piekliście, że się spaliła!

Płomienie pochodni dzielnie opierały się kroplom padającego deszczu. W domu wszyscy przyjęli już pozycje bojowe. Z półgodzinnym opóźnieniem światła pojazdu oznajmiły nadjeżdżających gości.

– Manon, idź uprzedzić panią, że już są. Daj także znać Odile.

Samochód sunął żwirową aleją, eleganckim łukiem ominął kasztanowiec, żeby zatrzymać się u stóp schodów. Blake czekał u ich szczytu z parasolem w ręce. Zszedł otworzyć drzwi od strony pasażera, osłaniając od deszczu postać kobiety, która wysiadła z samochodu.

– Dobry wieczór pani. Witamy w posiadłości Beauvillier.

Kiedy jego wzrok padł na kobietę, przez chwilę był przekonany, że to halucynacja.

– Melissa?

– Dobry wieczór, Andrew. Przepraszam, że cię nie ucałuję, ale teoretycznie się nie znamy. Dobrze wyglądasz.

Blake się zachwiał. Zerknął w stronę kierowcy. Richard Ward wysiadał z samochodu po drugiej stronie.

– Ja nie mam prawa do parasola?

– Co ty tutaj robisz?

– Towarzyszę żonie w wizycie u jej francuskiej koleżanki.

Richard wyciągnął wspaniałą bukiet kwiatów z tylnego siedzenia, po czym ruszył biegiem, żeby schronić się pod markizą.

– Dobrze wyglądasz, stary druhu. Przyjemnie na to patrzeć.

Blake nie mógł się otrząsnąć.

– Gdyby kiedyś mi powiedziano, że będziesz majordomem w domu, w którym ja będę gościem na kolacji, nie uwierzyłbym. To musi być ta magia życia!

Richard już się cieszył na nadchodzący wieczór.

– Zdajesz sobie sprawę z sytuacji? – zapytał Andrew.

– Doskonale, dlatego właśnie tu jestem. Prawdę mówiąc, ja i przyjaciółki mojej żony...

Richard Ward skierował się do wejścia.

– Teraz teoretycznie powinienes przytrzymać mi drzwi, trzymając mały palec na szwie spodni.

– Richardzie...

– Panie Ward. Nie należymy do tego samego świata – odparł tamten, wytrzymując spojrzenie przyjaciela, któremu wcale nie było do śmiechu.

Oszołomiony Blake zamknął drzwi za gośćmi. Richard zdjął płaszcz i wręczył go majordomowi.

– Dziękuję, jest pan bardzo uprzejmy.

Blake miał ochotę rzucić się na niego, jak wtedy, kiedy Richard wmówił rektorowi uniwersytetu, że Andrew przespał się z jego córką. Powstrzymało go pojawienie się pani Beauvillier. Schodziła po schodach, imponująca we wspaniałej szmaragdowej sukni wciętej w tali. Uczesana i umalowana, robiła naprawdę niezwykle wrażenie.

– Nathalie, jak miło cię znów zobaczyć!

– Melisso, jaka jestem szczęśliwa. Dziękuję, że przyjechałaś aż tutaj!

Kobiety padły sobie w objęcia.

– Pewnie nie pamiętasz Richarda, mojego męża?

Ward nachylił się i ucałował dłoń gospodyni.

– Bardzo mi miło.

Wręczył jej bukiet kwiatów.

– Są przepiękne! – zawołała Nathalie. – Nie trzeba było. Panie Blake, zechce pan znaleźć na nie wazon?

Kiedy tylko uwolniła się od kwiatów, pani Beauvillier ujęła dłoń przyjaciółki.

– Tak się cieszę, że was widzę! Coraz rzadziej widuję znajome twarze. Wejdźcie, proszę, i się rozgoście.

Blake dotarł do kuchni jak automat. W jego głowie wrzało. Zaplanował sobie dzisiejszy wieczór w najdrobniejszych szczegółach, ale nie był przygotowany na to, co go właśnie spotkało. Co gorsza nikomu nie mógł się zwierzyć ze swojego zmartwienia. Otworzył szeroko jedną z szafek i wyjął wielki wazon, który zaczął napełniać wodą z kranu.

Choć Odile krzątała się po kuchni, zauważyła, że z Andrew dzieje się coś dziwnego.

– Wszystko w porządku?

– Podam aperitif. Pani naprawdę pięknie dziś wygląda.

Pełne powątpiewania spojrzenie kucharki odprowadziło go, gdy wychodził z bukietem.

Aperitif podano w małym salonie. Melissa i Nathalie szybko pogрузyły się we wspomnieniach. Siedziały obok siebie na sofie i śmiały się, przywołując okoliczności pierwszego spotkania – każda mówiła z błędami w języku tej drugiej.

Ward usadowił się w fotelu. Kiedy tylko mógł sobie na to pozwolić, puszczał oko do Blake'a. Podając mu kieliszek, majordom szepnął:

– Jeśli nie przestaniesz, zboczeńcu, oskarżę cię o molestowanie.

Ward bawił się doskonale, patrząc na przyjaciela uwięzionego w swojej roli. Nachylił się, żeby odstawić kieliszek na niski stolik.

– Możesz udawać, że jesteśmy na balu kostiumowym, na którym tylko ty jeden się przebrałeś...

– Zapłacisz mi za to!

– Jutro zrobię, co tylko zechcesz, ale dziś wieczorem chcę się zabawić.

Przyjaciółki były zbyt zajęte sobą, żeby zauważyć sprzeczkę mężczyzn. Ward zapytał już głośniej:

– Przyjacielu, czy mógłbym prosić o więcej lodu?

„Do muszkatu? Ty prostaku!” – miał już odpowiedzieć Blake, ale w porę się powstrzymał.

– Oczywiście, proszę pana...

Andrew prawie wpadł na drzwi, wychodząc, Ward zaś zagłębił się w fotelu cały rozanielony.

Kiedy Blake otworzył szeroko drzwi do dużego salonu, pomieszczenie zrobiło na gościach oczekiwane wrażenie.

– Podejmujesz nas jak królów! – zawołała Melissa.

– Jak ludzi, którzy są bliscy memu sercu – uśmiechnęła się Nathalie.

Blake podsunął Melissie krzesło.

– Zapraszam panią...

Pani Ward unikała spojrzenia Andrew. W przeciwieństwie do męża wydawała się bardziej zakłopotana niż rozbawiona całą sytuacją. Majordom pomógł następnie zająć miejsce panu Wardowi. W chwili, gdy Richard przysuwał się do stołu, Andrew dyskretnie nastąpił mu na stopę, uśmiechając się szeroko. Gość zagryzł zęby i grzecznie podziękował. Blake skierował się do pani, podziwiając jej wygląd i ruchy, które wyrażały radość ze spotkania. Andrew zauważył, że nie miała na sobie żadnej biżuterii poza obrączką. A przecież naszyjnik dodałby uroku wydekoltowanej sukni. Pani Beauvillier oznajmiła:

– Wiem, że w Anglii służba rozwija serwetkę i kładzie ją na kolanach biesiadników, ale ten zwyczaj nie jest przyjęty we Francji. Jeśli jednak sobie życzycie, pan Blake może...

Melissa i Richard czym prędzej rozwinęli serwetki sami.

– Zawsze z rozbawieniem stwierdzam, że nasze kraje, chociaż sąsiadujące, mają tak odmienne zwyczaje – powiedział Ward.

Melissa się roześmiała:

– Pamiętasz tę nauczycielkę, która dręczyła nas pytaniami o słowa, jakie nasze kraje zapożyczyły od siebie?

– Oczywiście! – powiedziała Nathalie. – Pani Sarenson! Wariatka, która ubierała się jak strach na wróble.

– Twierdziła, że gdyby nie Anglicy, Francuzi nie mogliby mówić o parkingu, o weekendzie, o WC, o klubie czy o sandwiczu. Ani o dokerach albo o dezodorantach. Żabojady nie mogłyby grać *fair play*, nosić pulowerów ani pić *milk-shake'ów*!

– Nie mam pewności, czy brakowałoby nam kidnaperów, dilerów i *fast foodów*, ale w kwestii dżentelmenów i seks-symboli wasz wkład jest nieoceniony.

– Kazała nam nawet uczyć się na pamięć tekstu własnego autorstwa, naszpikowanego słowami, które Anglicy przejęli od Francuzów...

– Zapomniałam o tym.

„Szykowna *femme fatale* w modnym dezabilu, zblazowana przeglądała *menu*. Dała *carte blanche* swojemu kawalerowi, który wyznaczył jej *rendez-vous*, chcąc opowiedzieć o swoim paryskim *pied-à-terre*. Ten burżuj był gotów dla niej na wszystko, posunąłby się nawet – w końcu *noblesse oblige* – do przestępstwa w afekcie”. Potem była jeszcze mowa o *tour de force* i o biżuterii, ale nie pamiętam już dokładnie.

– *C'est la vie!*

– Bardzo podoba mi się cytat, który przypisuje się Surcoufowi, waszemu korsarzowi, choć stawia nas on w kłopotliwej sytuacji – wtrącił Ward.

– Jak brzmią te słowa?

– Kiedy mierzył się on z naszą flotą, jeden z angielskich admirałów chciał go upokorzyć.

Powiedział: „Walczycie dla pieniędzy, my zaś dla honoru!”. Na co sławny mieszkaniec Saint-Malo odparł: „Każdy walczy o to, czego mu brakuje”.

Blake odczekał, aż wszyscy skończą się śmiać, aby oznajmić:

– Na przystawkę nasz *cordon-bleu* przygotował przegrzebki Świętego Jakuba w sosie pomarańczowym. *Bon appetit*.

Kolacja toczyła się idealnie dla wszystkich oprócz Blake'a. Korzystał z wyjść do kuchni, aby odreagować. Niczym tonący zaczerpywał haust powietrza, po czym zanurzał się pod powierzchnię. Dwukrotnie odczuł potrzebę przemycia twarzy zimną wodą. Doskwierał mu niepokój. Obecność Richarda, z którym nie mógł porozmawiać, choć znajdował się na wyciągnięcie ręki, i dystans, jaki utworzyła między nimi Melissa, zazwyczaj tak serdeczna, kazały mu zadać sobie pytanie o to, co tutaj właściwie robi. Zastanawiała go również niezwykła promiennosc pani Beauvillier.

Manon miała już zbierać ze stołu, kiedy Andrew wystąpił krok naprzód, z dokładnie złożoną serwetką przerzuconą przez lewe przedramię.

– Teraz proponujemy państwu wołowe *mille-feuille* z *foie gras* w winogronach, w towarzystwie zapiekanki ziemniaczanej z trufkami.

Posiłek toczył się bez zakłóceń. Pani i jej goście wesoło mieszała francuski z angielskim, zadając pytania w jednym języku i odpowiadając w drugim. W kuchni Odile zaczęła się uspokajać. Sałata i taca serów były już przygotowane, deserem zaś się nie martwiła. Nigdy jeszcze nie zepsuła *crème brûlée*.

– Andrew, daje pan radę?

– To dziwny wieczór.

– Myśli pan, że są zadowoleni z mojej kuchni?

– Talerze wracają do kuchni puste. Nie wiem, jak we Francji, ale w Anglii to dobry znak. Gości pani zdobyła, mam jednak wrażenie, że nasza pracodawczyni jest pod jeszcze większym wrażeniem pani talentu.

Podniesiona na duchu Odile wytarła ręce i pozwoliła sobie na krótką przerwę.

Kiedy Blake wrócił do salonu, rozmowa zdążyła zmienić tor. Pani zwierzała się właśnie:

– François chciał, żebym go wspierała. Nie zawahałam się przed zrezygnowaniem z kariery. Nie żałuję tego zresztą. Żadna praca nie uczyniłaby mojego życia szczęśliwszym.

– Drogi, które prowadzą do naszego życiowego celu, zawsze są zadziwiające – stwierdził Ward, zwracając się zaś nagle do Andrew, zapytał:

– A co pana, na przykład, skłoniło do pracy jako majordom?

Blake zaniemówił. Pani Beauvillier zachęciła go:

– Niech pan nie będzie taki nieśmiały! Proszę powiedzieć.

Blake poczuł ogarniające go zakłopotanie. Stojąc na baczność przed gośćmi, patrzył prosto w oczy swojego najlepszego przyjaciela, którego tutaj nie powinien nawet znać, zmuszony do odpowiedzenia na niemożliwe pytanie zadane przez pracodawczynię, którą okłamywał od kilku miesięcy.

– Sam nie wiem – wybełkotał. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Odpowiedział po francusku czy po angielsku? Nie potrafił stwierdzić. Wszystkie spojrzenia były w nim utkwione. Z mętliku, jaki panował w jego głowie, wyłoniła się tylko jedna odpowiedź:

– Wykonywałem wiele zawodów. Patrząc wstecz, muszę przyznać, że za każdym razem pełniona funkcja miała w moich oczach mniejsze znaczenie niż osoby, z którymi pracowałem. Bliskość, współpraca, dążenie do jednego celu. Wszystko to, na co składa się życie. Bardzo szybko sama profesja usuwała się w cień, ustępując miejsca relacjom międzyludzkim. Przeżyłem to najpierw z ojcem, a później z innymi ludźmi, których spotkałem na swojej drodze. W głębi duszy myślę, że po prostu lubię dbać o ludzi. Nie wiem, czy można to nazwać zawodem, ale

temu chciałbym móc poświęcić całe swoje życie.

Jego ostatnie słowa rozplynęły się wśród całkowitej ciszy. Nathalie, Melissa i Richard przyjęli je każde na swój sposób, ale wszyscy wyczuli w nich moc silniejszą, niż mógłby na to wskazywać ton dotychczasowej rozmowy.

Aby dodać sobie animuszu, Ward wypił łyk wina. Wszyscy się spodziewali, że Blake powróci do swojej pozy uległego majordoma. Biesiadnicy już zamierzali podjąć ciąg dalszy lekkiej rozmowy, kiedy – wbrew wszelkim oczekiwaniom – Andrew dorzucił:

– Ma pan rację. Drogi, które prowadzą nas do celu, jaki sobie wyznaczamy, są często zaskakujące. Miałem w młodości przyjaciela, który mieszkał przy ruchliwej szosie na angielskiej wsi. Co rano, zrozpaczony, znajdował na poboczu martwe jeże. Często widywałem, jak płakał nad tymi małymi stworzonkami, które grzebał w ziemi w ogrodzie swoich rodziców. Wiele lat później został inżynierem i nigdy o nich nie wspominał. A jednak wygrał konkurs na projekt, dzięki któremu jego kariera wspaniale się rozwinęła – były to specjalne fosy i tunele chroniące większą faunę. Czy to droga, którą pokonujemy, sprawia, że stajemy się tym, kim jesteśmy, czy też sami wybieramy sobie funkcję w zależności od tego, co bliskie naszemu sercu?

Było już bardzo późno, gdy goście wyjechali. Zmagając się z wiatrem, Blake odprowadził samochód aż do głównej bramy, żeby ją zamknąć. Kiedy tylko minął granicę posiadłości, Ward wcisnął hamulec. Melissa natychmiast wysiadła z samochodu.

– Co za wieczór! Tak dziwnie było patrzeć, jak się wszystkim zajmujesz – rzuciła się w objęcia przyjaciela. – Ale dobrze ci z tym. W końcu zawsze to dla nas robięś.

Ward również wysiadł i zawołał do żony:

– Wracaj do samochodu. Zaziębisz się w tej sukience!

Melissa pocałowała Blake'a i schroniła się w samochodzie. Ward chwycił Andrew za ramiona.

– Ta wizyta na długo zapadnie mi w pamięć.

– A co dopiero mnie! – odparł Blake. – Przez cały wieczór bawiłeś się moim kosztem. Przestań mnie tak ścisnąć, gdyby ktoś nas zobaczył...

– Powiedziałbym, że to miłość od pierwszego wejrzenia.

Ward na chwilę spoważniał.

– Wiesz, Andrew, gdybym cię nie znał, po dzisiejszym wieczorze chciałbym się z tobą zaprzyjaźnić. Dobrze, że spotkaliśmy się już pięćdziesiąt lat temu.

– A wszystko po to, żebym ja wystąpił w przebraniu majordoma, a ty mógł wygłosić wykład o tym, jak wyjść z windy, która zatrzymała się na piętrze pełnym węzów.

– Jestem szczęśliwy, że dożyłem tej chwili. Prawie się rozplakałem, słysząc tę historię o jeżach. Nawet Melissa jej nie знаła.

– Powiesz jej, że mówiłem o tobie?

– Widziała moje spojrzenie. Już wie.

Nad ramieniem Blake'a Ward spojrzał w dal, w stronę domu.

– Ktoś biegnie w naszą stronę. Jakiś mężczyzna chyba.

Andrew się odwrócił.

– To Magnier, zarządca. Często mi ciebie przypomina.

– Szybko sobie znalazłeś mojego następcę...

– Jesteś nie do zastąpienia.

Nadbiegł zdyszany Philippe. Andrew udał, że życzy gościom szczęśliwej podróży.

– Niech pan będzie ostrożny!

– Jeszcze raz dziękujemy! – rzucił Ward, wsuwając dłoń do kieszeni.

Blake zbladł. Przyjaciel wydobyl banknot, który następnie wsunął mu w dłoń.

– Ty wariacie! – burknął Andrew pod nosem.

Ward odparł na głos:

– Ależ tak, zależy mi na tym. Był pan wspaniały!

Po czym wsiadł do samochodu i odjechał.

– Sprawiali wrażenie bardzo sympatycznych – stwierdził Magnier.

– Pani wie, kogo podejmować.

– Pomogę ci zamknąć.

Wracając do domu, mężczyźni gasili po drodze pochodnie.

– Philippe?

– Tak?

– Cieszę się, że jesteś. Ty także jesteś niezastąpiony.

Pracownicy firmy transportowej potrzebowali zaledwie dwóch godzin, żeby zapakować kolekcję książek do wyłożonych miękkim sukniem skrzyń. Blake nadzorował ich przez cały czas trwania operacji. Pani zamknęła się w swoich apartamentach, zapewne zrozpaczona. Nawet Odile miała łzy w oczach, kiedy przyszła zaproponować pakowaczom coś do picia. Ciężarówka odjechała. Domostwo odzyskało spokój, ale jednocześnie wiele z tego spokoju utraciło.

Blake patrzył na puste półki, na których nieliczne bibeloty wydawały się teraz niestosowne. W supermarkecie kupił kilka prześcieradeł w mysim kolorze i je rozpakował.

– Pomóc panu? – zapytała Manon, opierając się o framugę drzwi.
 – Nie powiem „nie”. Cała ta pustka działa na mnie przygnębiająco.
 – Prześcieradła to dobry pomysł, będzie mniej smutno.
 – Nie chcę, żeby pani widziała bibliotekę w tym stanie. Ja także dzięki temu będę mniej przygnębiony.

– Finanse posiadłości mają się aż tak kiepsko?
 – Pani szuka jakiegoś rozwiązania...
 – W zeszłym tygodniu po raz pierwszy zapłaciła mi gotówką.
 Blake nic na ten temat nie wiedział. Manon ciągnęła dalej:
 – Mam nadzieję, że nie będzie zmuszona zwalniać pracowników. Dla Odile i dla Philippe’a to byłaby katastrofa. Pan, z takimi umiejętnościami, na pewno znalazłby sobie stanowisko w znacznie większym domu niż ten.
 – A ty, Manon? Dokąd byś poszła?
 – Justin wraca za kilka dni. Wszystko zależy od niego. W najgorszym razie wrócę do matki.
 – Mam nadzieję, że wrócisz do niej nie dlatego, że będziesz do tego zmuszona.
 – Wysłała mi esemesa Jak się miewasz? z płaczącym emotikonem. Nie wysiliła się za bardzo.
 – To dobry początek. Udało ci się złapać zasięg telefonem?
 – Wspięłam się na wzgórze. Istna wyprawa. Coś mi podpowiadało, że Justin zostawił mi wiadomość.

– Piękna intuicja. Z małą poprawką w kwestii nadawcy. Mimo wszystko to świetna wiadomość. A jak powtórki do egzaminu?
 – Posuwają się naprzód...
 – Brzuch ci się już zaokrągła.
 – Mały waży coraz więcej.
 – Mówisz, jakby to miał być chłopiec.
 – To także intuicja. Zobaczymy, czy się sprawdzi.
 Obecność Manon podsunęła Andrew pewien pomysł.
 – Swoją drogą, tak między nami, jakie jest twoje zdanie na temat Odile i Philippe’a?
 – Bardzo ich oboje lubię. Te ich charakterki... Cieszę się, że coraz lepiej się między sobą dogadują.
 – Czyli również to zauważyłaś?
 – Sytuacja naprawdę diametralnie się zmieniła w stosunku do tego, co się tutaj działo, kiedy się pojawiłam w tym domu.
 – Manon, czy zgodziłabyś się mi pomóc?

- W czym?
- W otworzeniu im oczu.

Jeszcze tego samego popołudnia, kiedy Andrew udał się do pani Beauvillier, ta zadała mu pytanie, które sprawiło, że zaniemówił.

– Widział pan cmentarz w parku?

Andrew przyjrzał się jej, nie umiejąc odgadnąć, co powinien odpowiedzieć. Powinien wiedzieć czy udawać nieświadomego?

– Panie Blake?

– Byłem tam kiedyś z Magnierem.

– Mógłby mi pan tam towarzyszyć?

Liście zniknęły już z drzew, odsłaniając w pełni niebo. To uczucie przestrzeni zawsze robiło na Andrew to samo wrażenie. Świadomość bezkresu, widok horyzontu i powiew wiatru na twarzy elektryzowały go. W dzieciństwie lubił biec z rozłożonymi ramionami w stronę błękitu, z krzykiem. Później nauczył się trwać nieruchomo, wsłuchując się w bicie serca i puszczając wodze fantazji. Z czasem, choć brakowało już czystych ptasich śpiewów w oddali, wewnętrzne wzruszenie pozostawało żywe. Tego popołudnia w parku wiatr sprawiał mu przyjemność.

Blake szedł u boku pani Beauvillier. Opatulona w płaszcz, którego kołnierz zakrywał jej pół twarzy, maszerowała naprzód niepewnym krokiem, z głową osłoniętą szalem. Przez niemal trzy miesiące służby Blake ani razu nie widział, aby zapuściła się poza dom. Trudno było stwierdzić, dlaczego teraz się na to zdecydowała i czy sprawiało jej to przyjemność.

W zależności od wieku, dwoje ludzi nie chodzi razem tym samym krokiem. Andrew wielokrotnie zwracał na to uwagę. Yanis zazwyczaj biegł przed nim, odwracając się od czasu do czasu, żeby go popędzić. Philippe zachowywał się jak Youpla: oddalał się, aby następnie wrócić, jego uwagę wciąż przyciągało coś nowego. Manon raz szła przodem, raz z tyłu, dopasowując swoje położenie do towarzysza, tylko kiedy nie była zatopiona w swoich myślach.

Blake i pani Beauvillier szli, jak to często robią ludzie starsi, dostosowując swój chód do tempa marszu drugiej osoby. Być może życie nauczyło ich, jak wielką wartość ma umiejętność wspólnego marszu, jak gdyby trzeba było rozkoszować się towarzystwem, aż po chrzest zgodnych kroków.

Blake nie miał wątpliwości, któredy powinni iść. Kiedy jednak zauważył rozłożysty dąb osłaniający swoimi konarami cmentarzyk, poczuł ulgę. Na widok ogrodzenia pani Beauvillier się zatrzymała. Bez słowa się odwróciła i spojrzała na drogę, którą właśnie pokonali. Blake pomyślał, że usiłuje wypatrzyć stąd dom, nie sposób było go jednak dostrzec. Może szukała po prostu poczucia bezpieczeństwa, po tym, jak wybrała się na tak daleką wyprawę?

– Ruch dobrze pani robi – stwierdził Andrew.

– Chciałabym mieć taką pewność.

Blake wskazał dąb.

– Cóż za majestatyczne drzewo!

– Istotnie. François mówił, że najpiękniejsze w naszej posiadłości.

– Założenie miejsca wiecznego spoczynku u jego stóp było doskonałym wyborem.

– Wielkość drzewa nie była jedynym tego powodem. Kiedy razem z François przejeżdżaliśmy posiadłość od jej poprzedniego właściciela, ten w pierwszej kolejności opowiedział nam właśnie o dębie. Legenda głosi, że przeszło dwa wieki temu spotykało się tutaj dwoje zakochanych. On był synem jednego z najbogatszych właścicieli ziemskich w okolicy, ona zaś prostą córką jednego z dzierżawców. Historia głosi, że się kochali, ale bogata rodzina stanowczo sprzeciwiała

się ich związkowi. Kiedy jeden z pracowników ojca chłopaka odkrył, że para mimo zakazu nadal się spotyka, postanowił zacząć się w lesie ze strzelbą i zniechęcić dziewczynę, raniąc ją.

Pani Beauvillier i Blake znaleźli się przy pniu drzewa. Kobieta pogłaskała korę i ciągnęła dalej:

– Niecelnie wystrzelona kula nie raniła dziewczyny, ale zabiła chłopaka. Od tamtej pory opowieść ta przechodzi z ust do ust i żaden drwal nie ośmielił się ściąć drzewa, chociaż wszystkie mu podobne przerobiono na belki dachowe i meble.

– Myśli pani, że to prawdziwa historia?

– Podoba mi się. Coś jak Romeo i Julia. Nie mam pojęcia, czy jest prawdziwa. Miłość często jest zwalczana, drzewo zaś nadal tutaj stoi.

– Czy pani mąż wierzył w tę opowieść?

– Francis lubił bajki. Jego kolekcja książek jest na to najlepszym dowodem. Uważał, że opowieści stanowią najlepszy sposób, żeby wznieść się ponad przeciętność codzienności.

Pani Beauvillier weszła między groby. Najpierw skierowała się w stronę kamienia nagrobnego rodziców. Stała tam dłuższą chwilę, kontemplując. Wiatr rozwiewał kosmyki włosów, które wysunęły się spod chustki. Zaciśnęła usta i wbiła wzrok w wyryte na kamiennej płycie imiona. Blake pozostał za ogrodzeniem, choć i tak stał w odległości zaledwie kilku metrów.

Pani Beauvillier przeszła następnie przed grób męża. Tu zachowywała się inaczej. Jej spojrzenie często wybiegało poza granitowy blok i gubiło się w krajobrazie. Nie zaciskała również tak mocno ust. O czym myślała? Zerknęła na Blake'a. Odniósł wrażenie, że nie oddala się jeszcze, ponieważ czuje się obserwowana. Gdyby była tutaj sama, przy grobie męża spędziłaby na pewno znacznie mniej czasu.

W końcu odwróciła wzrok w stronę bezimiennego grobu. Nie patrzyła na kamień. Unikała go. Stała ze spuszczonej oczyma. Przy tym nagrobku wydawała się jeszcze drobniejsza, wrażliwsza i bardziej nieszczęśliwa.

Zanim odeszła, zwróciła się do Blake'a. Mówiła głośno, wbrew temu, co nakazywały kody obowiązujące w tym miejscu.

– Czy boi się pan śmierci?

– Chyba nie. Nienawidzę jednak skutku, jaki wywiera ona na życie.

Pani Beauvillier zaśmiała się cicho.

– Śmierć odebrała panu bliskich – stwierdziła.

– Rozdzieliła nas.

Pani Beauvillier zamknęła za sobą furtkę i spojrzała jeszcze raz na groby. Wsparła się rękami na ogrodzeniu i wyznała:

– Ja nienawidzę życia. To ono oddzieliło mnie od bliskich. Śmierć wreszcie to zmieni. Czy brakuje panu żony, panie Blake?

– Szalenie.

– Mnie także brakuje François. Czy kochał pan żonę, panie Blake?

– Nie wiem. Często się zastanawiałem, co znaczy „kochać”. Wiem tylko, że moje życie było piękniejsze, kiedy ona w nim była. Dobrze się przy niej czułem. Podobało mi się to, jaka była. Imponowała mi. Jej prawość, jej dobre serce – każdego by uszczęśliwiła. Nigdy się przy niej nie nudziłem. Kiedy byłem silny, miałem ochotę pokonywać dla niej przeszkody. Kiedy czułem się słaby, to dzięki niej byłem w stanie podążać naprzód.

– Nigdy jej pan nie zdradził?

– Ani razu.

– Wydaje się pan obdarzony wyjątkową moralnością.

– Proszę się nie łudzić. Jestem tylko mężczyzną. To nie moje opanowanie powstrzymało mnie przed skokami w bok, ale strach, że mógłbym zranić żonę. Pojęcie grzechu jest dla mnie czymś w pełni subiektywnym. Liczą się tylko powody, dla których popełniamy błędy. Dobro i zło to pojęcia bez wartości. „Dla kogo” albo „przeciw komu” definiują znacznie lepiej to, kim jesteśmy.

– Trzeba jeszcze mieć możliwość wyboru. Jest pan dobrym obserwatorem i zapewne zastanawia się pan, dlaczego na jednym z kamieni nagrobnych nie ma nazwiska.

– Musi być jakiś dobry powód, za albo przeciw...

– Ten grób to kompromis, panie Blake. Pan był mężczyzną jednej kobiety, tymczasem François – nie. Przez blisko dwadzieścia lat ukrywał swoją drugą miłość. Odkryłam ją przypadkiem, z powodu dziecka. François był dla mnie wszystkim, ja zaś byłam dla niego tylko częścią. Kiedy ona umarła, postanowił zgromadzić całą swoją rodzinę pod tym drzewem. Podejrzewam, że pomysł tego cmentarza powstał wyłącznie po to, żeby mąż mógł ją mieć blisko siebie. Zgodziłam się, panie Blake. Wytrzymałam ten afront, ale pod warunkiem, że na grobie nie zostanie umieszczone jej nazwisko.

– Sądzi pani, że mąż pani nie kochał?

– Czy zgodziłby się pan być drugim wyborem swojej ukochanej? Czy zniósłby pan myśl, że to dla kogoś innego podejmuje ona największe ryzyko? Sama zdrada nie jest moim głównym dramatem. Zniszczyło mnie odkrycie, że nie kochał mnie tak, jak ja kochałam jego. Byłabym w stanie podnieść się po miłostce, ale nie udało mi się wyleczyć z ich miłości. Chociaż zawsze temu zaprzeczałam, odniosłam wrażenie, że ożenił się ze mną z rozsądku, a to ją kochał całym sercem.

– Wciąż ma mu to pani za złe?

– Wybaczenie wymaga dużo czasu lub siły. Nie mam już ani jednego, ani drugiego. Pani Beauvillier zadrżała.

– Chodźmy! Powinniśmy już wracać.

– Zostańmy jeszcze chwilę, zapewne jestem tutaj ostatni raz.

Wczepiła się w ogrodzenie niczym więzień w kraty.

– François był moim szczęściem i nieszczęściem. Zazdroszczę panu waszej wspólnej drogi z żoną. Zazdroszczę tak bardzo, że aż zaczynam sądzić, że to tylko iluzja. A mimo to brakuje mi François. Chciałabym, żeby tu był. Przy nim się nie bałam.

– Nie mówi pani o nim jak o osobie, której ma pani coś za złe.

– Gdyby pan wiedział, ile starań włożyłam w to, żeby pozostać blisko niego. Ostatecznie mam jednak wrażenie, że zawsze byłam sama.

Blake otoczył panią Beauvillier ramieniem. Nie cofnęła się. W drodze powrotnej nie ośmielił się wspomnieć o jej synu. O ile idąc tutaj, to majordom towarzyszył swojej pracodawczyni, o tyle w drodze powrotnej mężczyzna podtrzymywał kobietę – oboje ugięci pod ciężarem nieobecności i żalu.

– Otrzymałem pani wiadomość, Heather, proszę mi jednak wybaczyć – nie mogłem wcześniej oddzwonić. Jak się pani miewa?

– W porządku. Jeśli ma pan chwilę, chciałabym porozmawiać o fabryce.

– Jakież problemy?

– Nie, z produkcją wszystko w porządku, ale Addison naprawdę przekracza już wszelkie możliwe granice. To gbur, paskudny macho, a na dodatek zagraża nam wszystkim, rozgrywając swoje małe walki o władzę. Gdybym mogła, chętnie bym go zwolniła.

– Proszę się nie wahać! Jest pani szefową. Proszę jednak uważać, to podstępny człowiek. Musi mieć pani dobry motyw, proszę nie dawać mu niczego do zrozumienia bez solidnych dowodów. Jeśli go pani zaatakuje, nie może się pani ograniczyć do zranienia go. Trzeba go zabić jednym ciosem, w przeciwnym razie stanie się groźny.

– Taki miałam plan. Czyli mam pana zgodę?

– Ma pani nawet moją zachętę, potrzebne wsparcie i zapewnione gratulacje, jeśli uda się pani z nim skończyć!

– Dziękuję panu. W innej kwestii – udało mi się zdobyć informacje na temat Nieruchomości Vandermel.

– Jak się sprawy mają?

– Zrealizowali kilka projektów osiedli domów jednorodzinnych w różnych regionach Francji. Nie mają specjalnie złej opinii. Ich budynki miewają wady, ale nic, co by wykraczało poza normy, z tego, co zrozumiałam. Jedyna wątpliwość dotyczy sposobu, w jaki kupują tereny. Wielu sprzedawców skarżyło się na naciski i transakcje na granicy legalności. Ma pan z nimi do czynienia?

– Nie bezpośrednio, ale próbują przejąć parcelę, na której mi zależy.

– Proszę zatem uważać. Wyślę mailem wszystkie dane, które udało mi się zgromadzić na ich temat.

– Bardzo pani dziękuję, Heather. Ostatnim razem stwierdziła pani, że mam zmieniony głos. Dziś to samo mogę powiedzieć o pani. Słysząc w pani słowach coraz większą pewność siebie. Cieszę się. Ta praca pani służy.

– Wciąż się boję, że popełnię jakieś głupstwo, ale nauczyłam się już nie okazywać tego strachu.

– Droga Heather, mam dla pani dobrą i złą wiadomość. Zła jest taka, że ten strach nigdy pani nie opuści.

– A dobra?

– Bez tego lęku nigdy nie zdobędziemy się na krok naprzód. Niech pani spojrzy na tego kretyna Addisona, on się niczego nie boi. Pozdrawiam panią!

- Andrew, naprawdę nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.
- Zarządca dreptał nerwowo po swojej kuchni, czekając, aż Blake wyjdzie z sypialni.
- Wiem, że masz szlachetne pobudki – dodał – i jestem za to bardzo wdzięczny, ale naprawdę...
- Wybacz, że uznam ten argument za słaby w ustach człowieka, który bawi się w ducha cyklistę. Już zresztą prawie skończyłem. Nakryłeś do stołu?
- Pomrukując, Magnier wypełnił polecenie.
- Jeśli zaś chodzi o Odile – ciągnął na głos – to od kilku dni śni mi się dziwny sen.
- Opowiadaj!
- Zawsze ten sam, bardzo szczegółowy i realistyczny. Płynę wśród chmur, wszystko wokół mnie jest białe. Nagle widzę Odile, która wylania się przede mną, z rozbieganym spojrzeniem, i uderza mnie w sam środek czoła. Na tym sen się gwałtownie urywa. To chyba jakaś pozostałość po wypadku.
- Z pewnością. Jesteś gotów?
- Magnier stanął w drzwiach sypialni, które Blake właśnie otworzył. Na jego widok Philippe odskoczył do tyłu i krzyknął:
- Rany boskie, masz niby przypominać Odile? Wyglądasz jak transwestyta, który nadepnął na minę! Youpla jest już bardziej do niej podobny niż ty!
- Blake wystroił się w perukę i pomalował usta szminką. Rezultat był zaskakujący, choć nie jeśli chodzi o podobieństwo.
- Posłuchaj, Philippe, to nie konkurs sobowtórów. Chcę ci po prostu pomóc. Został nam kwadrans do rozpoczęcia drugiego etapu.
- Magnier nie mógł oderwać wzroku od groteskowo wymalowanej twarzy towarzysza. Nieświadomie powoli się cofał, skonfundowany.
- To się nie powiedzie – powiedział, kręcąc przecząco głową. – Za bardzo się ciebie boję. Chyba już wolałbym zjeść kolację z piekielnym majordomem.
- Siadaj!
- W innych okolicznościach Philippe płakałby ze śmiechu, tym razem jednak widok mężczyzny – zazwyczaj tak starannie ubranego, a teraz w ostrym makijażu i z fryzurą rastafarianina – wprawiał go w zakłopotanie.
- Moja matka mawiała, że każdy człowiek ma swoją strefę cienia, ale ty bijesz wszelkie rekordy. Nawet gwiazdy rocka przy tobie przypominają bardziej mnichów cysterskich.
- Siadaj do stołu! Zaczynamy od serwetki.
- Philippe rozłożył tkaninę i wyciągnął szyję, żeby wsunąć sobie serwetkę za kołnierzyk.
- Nie tak! Chwytasz za róg i pozwalasz grawitacji ją rozłożyć.
- To grawitacja założy mi serwetkę?
- Następnie kładziesz ją sobie na kolanach.
- Ale to nie tam najbardziej się plamię!
- Magnier był spięty. Blake nachylił się do niego.
- Philippe, oddychaj.
- Chciałbym ciebie zobaczyć na moim miejscu. Widziałeś się w lustrze? Na pewno nie. Sądząc po twojej gębie, malowałaś się po ciemku, i to stopą. A głos...
- Co z moim głosem?

– Jest taki jak zwykle, za to twarz... Naprawdę wytrącasz mnie z równowagi.
– Sądziłem, że ci w ten sposób pomogę.
– Mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie dziś uczyć tańca, jeśli mnie bowiem tkniesz, to
zwymiotuję.

– Spróbuj się skupić. Manon niedługo przyjdzie i dobrze by było, gdybyśmy mogli
przyjrzeć się, jak siadasz do stołu.

– Zobacz cię w takim stanie?
– A w czym problem?
– Mój Boże, biedna dziewczyna! Urodzi ze strachu już w progu!
– Uprzedziłem ją, że będę przebrany, ona zaś – w przeciwieństwie do ciebie – nie robi
z tego afery. Złóż serwetkę i zacznij od nowa.

Magnier powoli przyzwyczajała się do wyglądu swojego *coacha*. Sytuacja zaczęła go
nawet bawić.

– Philippe, to poważna sprawa.
– Jasne, ty najlepiej o tym świadczysz.
– Skup się na serwetce.
– Róg, grawitacja i – hop! – na kolana.
– Lepiej, ale staraj się nie wyciągać szyi, ponieważ przypominasz wtedy starego
psychopatycznego kurczaka.

– Chyba sam się nie widziałeś.
– Teraz zobaczmy, jak trzymasz sztucce.
– Coś robię nie tak?
– Zacznijmy od chwili, kiedy po nie sięgasz. To nie żaden wyścig. Musisz poczekać, aż
dostaniesz porcję na talerz i wszyscy będą gotowi do jedzenia.

– Zrozumiano. Czekam.
– Teraz sięgnij po sztucce.
Philippe chwycił nóż i widelec.
– Wyglądasz, jakbyś miał kogoś zadźgać.
– Trochę tak jest. Zadźgam stek.
– A fasolkę?
– Ją również zadźgam. Każdą po kolei. Istna masakra!
– Jeśli będziesz się wyglupiał, nic nie zdziałamy.
– Od dziesięciu lat jadam sam. A ty chciałbyś, żebym w jeden wieczór został przyjęty na
dworze austriackim, udając wicehrabiego Krzywa Gęba? Nie dam rady.

– Nie sądzę.
Blake wstał i poprawił sztucce w dłoniach przyjaciela.
– O, tak lepiej.
– Z bliska twoja twarz wygląda jeszcze straszniej. Frankenstein przy tobie to Mona Lisa.
Ktoś zapukał do drzwi.
– Może ja powinienem otworzyć, żeby nie narażać dziewczyny na niepotrzebny stres?
– Ty zostajesz tutaj.

Manon rzeczywiście wydała z siebie okrzyk.

– Całe szczęście, że ją uprzedziłeś! – stwierdził Magnier szyderczo.

Dziewczyna weszła, nie spuszczać Blake’a z oczu. Obeszła go w kółko.

– To jest ta pańska metoda kształcenia Philippe’a, jak się zachować przy kobietach?

Magnier wstał i pocałował Manon w policzek.

– Dobry wieczór, Manon. Niech mu pani sama powie... Może pani posłucha. Założmy, że jest pani agentem służb specjalnych biorącym udział w ćwiczeniach, które mają na celu strzelanie do drewnianych figur: trzeba zgładzić terrorystów, a oszczędzić kobiety i dzieci. Co by pani zrobiła na jego widok?

– Już by nie żył.

– Dziękuję za wasze wsparcie – odezwał się Andrew. – Manon, zechcesz zająć miejsce?

Trochę zmienimy zasady naszego przedstawienia.

Blake zdjął perukę i obmył twarz wodą z kranu.

– Żeby pozostawić wam jak największą swobodę, usiądę obok. Zapomnijcie, że w ogóle istnieję.

– Nie będzie to łatwe! Twoja uroda poraża.

– Będę się wtrącał, tylko jeśli Philippe popełni jakiś błąd.

Blake podszedł do szafy ze sprzętami gospodarskimi i wyciągnął z niej miotłę, której rączkę wycelował w Magniera.

– W razie odstępstwa od właściwego zachowania ukłuję cię w zębra. Będziemy na bieżąco poprawiać każdy błąd.

Manon doskonale bawiła się całą sytuacją. Philippe i ona zasiedli naprzeciw siebie. Andrew zapalił świeczkę pośrodku stołu.

– Jak romantycznie! – stwierdziła z ironią dziewczyna.

– Musisz mi powiedzieć, kiedy powinienem pyszczkiem popchnąć w jej stronę krokiet.

– Jesteście gotowi?

Zarządca nachylił się do pokojówki.

– Naprawdę się cieszę, że się pani zgodziła. Chyba lepiej trenować z prawdziwą kobietą, ale głupio się czuję. Że też muszę się uczyć jeść poprawnie w moim wieku.

– Nie ma problemu, Philippe. Każdy potrzebuje czasami pomocy i wiek nie ma tutaj znaczenia. Mnie Andrew również pomógł. Tylko metoda była trochę mniej dziwna.

– Możemy zaczynać?

Róg serwetki, grawitacja, sztuczce – na początku Philippe osiągnął bezbłędny wynik.

Między nim a Manon nawiązała się ostrożna rozmowa. Przypominało to raczej grę, w której na pytanie nie wolno odpowiedzieć „tak” albo „nie”.

– Lubi pani kwiaty?

– Bardzo.

– Nie jest pani uczulona na mięczaki?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo...

W poszukiwaniu tematu do konwersacji Manon wspomniała o swoim marzeniu, żeby zwiedzić najdalsze zakątki świata.

– Do jakiego kraju chciałby się pan wybrać? – zapytała Magniera.

– Nie wiem. Chyba boję się latać i cierpię na chorobę morską. Musi to być kraj, do

którego da się dojechać pociągiem.

Philippe zwrócił się do Blake'a.

– Czy na Bahamy można dotrzeć koleją?

Andrew uniósł oczy do nieba i dźgnął go w bok kijem od miotły.

Po pewnym czasie cała trójka zaczęła się przyzwyczajać do tego nienaturalnego modelu funkcjonowania.

Philippe nalał Manon wody do kieliszka na sposób meksykański, unosząc butelkę coraz wyżej w miarę serwowania. Blake przywołał go do porządku lekkim ukłuciem. Kiedy zarządca prawie rzucił solniczką w swoją partnerkę, Andrew nieomal złamał mu żebro. Magnier dawno nie miał okazji dyskutować z kobietą. Kolacja *tête-à-tête* nasuwała mu wiele wątpliwości.

Philippe oscylował między uwagami, które okazywały się całkowicie nie na miejscu, i wstydlivością. Spuścił wzrok, pytając:

– Czy była już pani kiedyś na randce? Na pewno, jest pani taka piękna.

Dziewczyna się zaczerwieniła.

– Mam bardzo złe wspomnienia z pierwszej randki. Spotkałam się z chłopakiem, którego poznałam w liceum. Prawił mi komplementy, ale tak naprawdę chodziło mu tylko o jedno. Był przystojny, miał doskonałe maniery, lecz to były tylko pozory. Nauczył mnie przynajmniej, że ładne opakowanie może zmylić.

– Biedne dziecko – stwierdził Philippe. – Na moją pierwszą randkę umówiłem się z dziewczyną o imieniu Émilie. Do dziś pamiętam jej piękne zielone oczy. Za każdym razem, kiedy na mnie patrzyła, czułem się jak zając sparaliżowany światłami nadjeżdżającego samochodu. Prosiłem ją o spotkanie dziesiątki razy, aż w końcu się zgodziła. Wybrałem najlepszą restaurację, na jaką mnie było stać. Kupiłem dla niej białe róże. Poszedłem do restauracji, ale ona się nie zjawiała. Tak bardzo się martwiłem. Pamiętam jeszcze litość w oczach kelnerów, kiedy odchodziłem z bukietem. Nie ośmieliłem się do niej zadzwonić. Trzy dni później spotkałem Émilie pod rękę z kolegą. Kiedy zapytałem, co się stało, roześmiała mi się w nos. Zapomniała o randce, która nie miała dla niej żadnego znaczenia. Od tamtej pory z nikim się już nie umawiałem.

Chociaż Magnier oparł się nieelegancko łokciami o stół, opowiadając swoją historię, Blake nawet nie drgnął.

– Manon! – ciągnął Magnier. – Nie wyobraża pani sobie, jak wielki to dla mnie zaszczyt, że przyszła dziś pani tutaj, ale chyba jest już późno. Niech pani nie traci czasu na takiego starego zrzedę jak ja. Musi się pani przygotowywać do egzaminu. Za kilka miesięcy będzie pani mamą. Andrew mówił, że czeka pani na mężczyznę, który wyjechał za granicę. Kiedy on wraca?

– Czy to normalne, że się jeszcze nie odezwał?

– Uspokój się, Manon! Jest dopiero ósma rano.

Siedząc przy biurku w bibliotece, dziewczyna wpatrywała się w skrzynkę odbiorczą maila niczym marynarz okrętu podwodnego kontrolujący sonar. Andrew zastał ją tam już przed świtem, idąc przeprosować gazetę. Od tamtej pory tkwiła w tym samym miejscu, tylko dwa razy wyszła do toalety, prosząc go uprzednio o to, aby ją zastąpił na stanowisku, na wypadek gdyby na horyzoncie pojawiła się torpeda.

– Zniszczysz sobie wzrok, wpatrując się tak w ekran.

– Na pewno już wrócił. Na co czeka? Może nie zauważył mojej wiadomości?

– Dlaczego miałby jej nie zauważyć?

– A jeśli miał wypadek? Wyobraża pan to sobie? Co by to była za tragedia, gdyby zginął w kwiecie wieku, w drodze do kobiety swojego życia noszącej jego dziecko. A jeśli nie jestem kobietą jego życia?

– Naprawdę musisz się uspokoić. Nie przetrwasz całego dnia w takim napięciu. Ja zresztą także nie...

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. Czuję się jak pralka ustawiona na program wirowania – cała się trzęsę. Nie potrafię wysiedzieć w miejscu. Wiem, że gadam głupstwa, ale jeśli nie wypowiadam ich na głos, zostają w mojej głowie i rosną, aż w końcu eksploduje mi mózg!

– To z pewnością nie jest łatwe dla młodej dziewczyny.

– Tak bardzo za nim tęsknię! Bezustannie o nim myślę. Wie pan, czego najbardziej mi brakuje? Na pewno uzna pan, że zwariowałam, ale uwielbiam słuchać jego oddechu, kiedy śpi. Zdarza mu się chrapać, ale najczęściej oddycha powoli, głęboko. Ma swój rytm, który przypomina muzykę. Nie męczy mnie wcale powtarzanie sobie, że jest tutaj, blisko mnie. Kładę wtedy głowę na jego ramieniu. Nawet się wtedy nie budzi! Czuję ciepło jego skóry na moim policzku, słucham go, chłonę bicie jego serca i czuję się bezpieczna. Kiedy pomyślę, że być może już nigdy nie przeżyję podobnej chwili...

– Nie zaczynaj znowu!

– A czego panu najbardziej brakuje po śmierci żony?

Manon natychmiast uświadomiła sobie niestosowność tego pytania. Justin mógł wrócić. Diane – nie.

– Przepraszam – powiedziała zmieszana. – Naprawdę gadam same bzdury. Nie chciałam panu zrobić przykrości...

– W porządku. Jeśli rozmowa o Diane może ocalić cię przed eksplozją mózgu.

Andrew przywołał wspomnienie żony. Nie było to ani smutne, ani bolesne. Często o niej myślał, jak gdyby rozstali się poprzedniego wieczoru.

– Lubilem w niej wiele rzeczy i za wszystkimi tęsknię. Przede wszystkim uwielbiałem patrzeć jej głęboko w oczy. Często się mówi, że oczy to okna duszy. Ludzie się pieszczą, dotykają, ale trzeba dużego zaufania, żeby pozwolić drugiej osobie zaglądać sobie prosto w oczy tak długo, jak tylko ta ma na to ochotę. W takiej chwili nie tylko słyszy się to, co dana osoba chce nam powiedzieć, ale także się widzi, jaka jest naprawdę. Z Diane mogło się to zdarzyć w każdej chwili, w trakcie kolacji, na ulicy lub wieczorem, kiedy byliśmy sami. Czas się zatrzymywał i trwaliśmy połączeni niewidzialną nicią. Nigdy nie doznałem czegoś równie silnego. Najlżejszy ruch źrenicy otwierał przede mną drzwi jej umysłu. Mimo że nasze ciała się nie stykały,

odczuwaliśmy zmysłowość silniejszą niż cielesna. Odbieraliśmy wzajemnie swoje uczucia. Ona o tym wiedziała. Godziła się na to. Jej zaufanie było równie piękne jak to, co z niej wyczytywałem. Wychwytywałem jej energię, jej esencję.

– Musiał pan ją bardzo kochać. Na mnie nigdy nikt tak nie patrzył. Czasami Justin pożerał mnie wzrokiem, ale to nie to samo. Myśli pan, że on wyśle maila czy raczej zadzwoni?

– Nie mam pojęcia.

– Czy pani nie była zła, że podałam jej numer?

– Liczy równie mocno jak ty, że Justin zadzwoni.

Odile wsunęła głowę przez drzwi.

– Wciąż żadnych wieści?

Blake uniósł ręce do nieba.

– Czyli wszystkie trzy czekacie na księcia z bajki! Jestem otoczony!

Mina kucharki zmarkotniała, kiedy zadała kolejne pytanie:

– Nie widzieliście może Mefista? Szukam go od wczoraj. Nie tknął jedzenia, a dziś rano nie pojawił się w porze, gdy podaję mu mleko.

Manon i Blake pokręcili głowami. Andrew usiłował ją pocieszyć:

– Na pewno wkrótce wróci, szczególnie przy takiej pogodzie.

Manon westchnęła:

– Samce wracają, kiedy tylko im się podoba, i przysparzają nam tylu zmartwień.

Blake miał już zaprotestować, kiedy rozległ się dzwonek dochodzący z apartamentów

pani.

– Czego ona może chcieć? – zdziwił się Blake.

– Telefon! – zawołały jednogłośnie obie kobiety i rzuciły się w stronę korytarza.

Blake nieprędko miał zapomnieć widok Manon i Odile biegnących po schodach jak nastolatki, biorących ostre zakręty i przytrzymujących się trzeszczącej poręczy. Pani również nie zachowywała się tak jak zwykle. Na drugim końcu linii rzeczywiście musiał czekać Justin.

Kiedy Andrew dotarł spokojnie do apartamentu pracodawczyni, zobaczył Manon zaciskającą dłonie na słuchawce. Robiła wszystko, żeby w jej głosie nie odzwierciedliły się szalone grymasy, które wykrzywiały mimowolnie jej twarz. Dziewczyna odpowiadała spokojnym tonem, choć jej ciało wyrażało zupełnie przeciwny nastrój. Pani i Odile dreptały wokół niej, przeżywając razem z Manon skrajne emocje, które zmieniały się w niej co sześć sekund. Kiedy Manon zakończyła rozmowę, wszystkie trzy były u kresu sił. Konwersacja trwała niespełna dwie minuty i Blake się zastanawiał, dlaczego wszystkie dziewczyny świata wpędzają się w taki stan z powodu mężczyzn.

Justin obiecał, że wpadnie po Manon jeszcze tego samego wieczoru, o dziewiętnastej. Zapewne w dobrej wierze, pod koniec rozmowy, chłopak uznał za stosowne powiedzieć „kocham cię”, co bynajmniej nie uspokoiło Manon – wywołało wprost przeciwny efekt. Zdaniem wszystkich trzech kobiet ta miłosna deklaracja stanowiła czynnik poważnie zagrażający pozytywnemu rozwiązaniu sprawy. Manon powróciła do życia z energią, która mogła budzić lęk. Napięcie i wątpliwości ostatnich tygodni zmaterializowały się w formie huraganu, który zmiatał wszystko, co tylko znalazło się na jego drodze. Pani Beauvillier i kucharka zachowywały się podobnie, bez żadnych zahamowań. Po godzinie, kiedy kobiety odegrały trzykrotnie całą rozmowę, komentując ją dokładniej niż niejedno klasyczne dzieło literackie, Blake uznał – dla własnego dobra psychicznego – że lepiej będzie mu się schronić u Philippe’a, gdzie spotkał Youplę i Yanisa: samych samców. Pomyślał także o ocaleniu Mefista, ale nigdzie go nie znalazł.

Kiedy pod wieczór Blake wrócił do domu – w towarzystwie Philippe’a, który nie chciał przegapić powrotu syna marnotrawnego – zastał kobiety przy stole w kuchni, przy herbacie. Manon śmiała się do rozpuku, wraz z Odile i panią Beauvillier. Andrew uderzyła intensywna energia, jaka od nich emanowała. Trzy pokolenia zgromadzone razem, szczęście najmłodszej promieniujące na pozostałe. Pani, o żywym spojrzeniu i z ładnie zarysowanymi dołeczkami w policzkach, uśmiechała się jak nigdy dotąd. Philippe był wyraźnie zafascynowany Odile, która tego wieczoru wyzbyła się swojej surowości na korzyść sympatycznej gadatliwości.

Blake modlił się w duchu, żeby Justin przybył na czas. Obawiał się, że jeśli młodzieniec spóźni się choćby sekundę, nikomu nie uda się zapanować nad trzema kobietami. Manon natychmiast zaczęła sobie wyobrażać, że „jej” Justin został porwany przez mafię, pani będzie się zamartwiała, że nie ma z czego zapłacić okupu, a Odile przygotowuje patelnię.

O wpół do siódmej Manon krążyła już w kółko po kuchni. Brała do ręki przypadkowe przedmioty, oglądała je nieprzytomnym wzrokiem, po czym odkładała na miejsce i sięgała po kolejne. W ciągu ośmiu minut zdążyła dwukrotnie obejść kuchnię, macając każdą rzecz. Za piętnaście siódma postanowiła nagle się przebrać przy pomocy Odile, uznała bowiem, że strój, który miała akurat na sobie i który wybierała przez kilka godzin, absolutnie nie pasował do mającej nadejść historycznej chwili. Za dziesięć siódma siedziała już na ławeczce przy wejściu, ubrana w kurtkę, ze wzrokiem wbitym w domofon, niczym pies wpatrujący się w stek na wystawie rzeźnika. Pani Beauvillier starała się ją wspierać, trzymając za rękę.

Philippe i Andrew obserwowali całą scenę, stojąc na uboczu. Magnier miał ochotę coś powiedzieć, ale Blake zdołał go powstrzymać. Lekcja numer jeden: nigdy nie pouczać ani nie

wtrącać się w sprawy zakochanej kobiety. Lekcja numer dwa: podziwiać widowisko i modlić się, żeby pewnego dnia któraś z nich zachowywała się tak samo, myśląc o nas.

Za minutę siódma Manon stała na warcie przy domofonie, gotowa sięgnąć po słuchawkę tak szybko, jak kowboj chwyta rewolwer podczas pojedynku przed saloonem w Teksasie. Pani i Odile wyszły na półpiętro, skąd kucharka obserwowała bramę przez lornetkę pożyczoną od Blake'a. Nawet go nie zapytała o pozwolenie.

– Jeśli to ty, Manon, się odezwiesz, kiedy zadzwoni – szepnął Andrew – będzie wiedział, że na niego czekasz. Masz majordoma, posłuż się nim. Niech Justin cię zapragnie.

– Ma pan rację. Niech pan mu otworzy. Zobacz pan, to dość proste, wystarczy nacisnąć tutaj...

Blake spojrział na dziewczynę z rozbawieniem.

– Przepraszam – powiedziała zakłopotana. – Sama już nie wiem, co się ze mną dzieje.

Nagle rozległ się nienaturalnie piskliwy krzyk Odile:

– Samochód!

– Jaka marka?

– Za ciemno, żebym rozpoznała, ale wygląda na pomarańczowy.

– Kopciuszkule, oto twoja karoca z dyni – stwierdził Blake. – Oddychaj. To niedobra pora na utratę przytomności.

Manon trzymała się za brzuch, cały czas ustawiona na program wirowania. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Blake ujął ją pod brodę i zmusił do spojrzenia sobie w oczy.

– Manon, w dniu, w którym twój mężczyzna okaże się niezręczny, zachowa się głupio, jak tylko facet to potrafi, przypomnij sobie tę chwilę i wybacz mu.

Manon pocałowała go w policzek. Rozległ się sygnał domofonu, budząc ogólne zamieszanie.

– Posiadłość Beauvillier, dobry wieczór – powiedział Andrew swoim najbardziej profesjonalnym głosem.

– Nazywam się Justin Barrier. Jestem umówiony z Manon...

– Już otwieram.

Blake włączył oświetlenie na dziedzińcu i na schodach. Odile kilkakrotnie powtórzyła:

– Umówiony! Powiedział, że jest umówiony! Jakże to romantyczne!

Blake i Magnier wymienili zdumione spojrzenia. Manon poprawiła sukienkę i przyjrzała się swojemu brzuchowi.

– Pewnie uzna, że jestem olbrzymia.

– Wyglądasz pięknie. Nie martw się. I na litość boską, pozwól jemu mówić!

– Ma pan rację. Zamykam buzię na kłódkę.

– Już wszedł, idzie aleją! – relacjonowała Odile z podestu schodów.

– Proszę dać nam znać, kiedy minie zagajnik – poprosił Blake.

– Idzie zdecydowanym krokiem. Miałaś rację, Manon. Jest śliczny...

Philippe otworzył szeroko oczy. Blake zerknął na Odile i zauważył, że pani odbiera jej lornetkę i sama przez nią patrzy. Westchnął.

– Minął kasztanowce – oznajmiła pani Beauvillier.

Andrew położył dłoń na klamce.

– Manon! Pora, żebyś wkroczyła na scenę.

Dziewczyna wydawała się krucha, a jednak emanowała z niej królewska godność i niewinność. Dlaczego kobiety tak działają na wszystkich mężczyzn świata? Manon wzięła głęboki wdech i przekroczyła próg, jak gdyby rzucała się w fale oceanu z wysokiej falezy.

Philippe i Andrew stanęli dyskretnie przy jednym z okien w salonie, tymczasem pani

i Odile śledziły przebieg spotkania z wysokości półpiętra.

Manon zeszła po schodach naprzeciw Justinowi. Młody człowiek objął ją i mocno uściskał – mimo dziecka w brzuchu. Przyjrzał się jej, odgarnął kosmyk włosów i szepnął coś, co oboje ich rozśmieszyło. Ramię przy ramieniu ruszyli aleją. Nie czuli już zimna. Żyli w świecie wiecznego lata. Znów ją przytulił. Blake miał wrażenie, że tylko Justin mówi. Młodzi ludzie byli szczęśliwi, a przez to stawali się piękniejsi. Wypełniała ich energia, o której każdy marzy – ta, która sprawia, że stajemy się niepokonani, że czas przestaje istnieć, która unosi nas i pozwala zapomnieć o dotychczasowej samotności.

– Słowo daję, Philippe! Ty płaczesz...

– Bzdura. Coś mi wpadło do oka.

– Aha. Trudno! Jak możesz być tak nieczuły? Ja mam łzy w oczach.

– Serio?

Manon i Justin stali dłuższą chwilę, rozmawiając i się śmiejąc, po czym dziewczyna, ciągnąc go za rękę, wróciła do domu. Blake powitał ich na schodach.

– Justin zaprasza mnie na kolację – oznajmiła Manon z blaskiem szczęścia w oczach.

– Dobrze, panienko.

– Ale jutro przyjdę, może tylko trochę się spóźnię...

– Proszę się nie spieszyć – wtrąciła pani Beauvillier, która wyszła razem z Odile

i Magnierem.

Justin wspinał się po kilku stopniach i uściskał wszystkim rękę. Zaczął od kobiet, którym podziękował za opiekę nad Manon, aż wreszcie stanął przed Andrew.

– Dziękuję, panie Blake.

– Miłego wieczoru. Życzę wam szczęścia.

Młodzi się wycofali, wtuleni w siebie. Manon pomachała wszystkim na do widzenia. Magnier odpowiedział jej tym samym gestem, sztywno, jak gdyby żegnał wielki statek pasażerski znikający za horyzontem, chociaż dziewczyna znajdowała się niecałe trzy metry od niego.

Oddalili się. Nagle Manon puściła rękę swojego mężczyzny i wróciła biegiem do Andrew, którego wylewnie pocałowała.

– Dziękuję – szepnęła. – Bez pana chyba bym oszalała.

– Nie odniosłem zatem pełnego sukcesu, jesteś bowiem jednak trochę zwariowana – zażartował Blake, nie chcąc pozwolić, aby wzruszenie wzięło nad nim górę.

– To dziwne, ale przed chwilą odniosłam wrażenie, że Justin pana zna.

– Kolejne przeczucie. Pamiętaj, że te nie zawsze się sprawdzają!

W przyptywie emocji Manon ucałowała również panią i Odile oraz Philippe'a, który wziął ją w ramiona. Na odchodnym szepnęła jeszcze do Andrew:

– Pańska córka ma wielkie szczęście. Mieć takiego ojca, jak pan, to prawdziwy dar niebios. Do jutra!

Deszcz padał nieprzerwanie od samego rana. Schowany pod zadaszeniem małego domu zarządcy, Andrew kołysał się na krześle. Wsłuchiwał się w krople wybijające rytm na metalowym stole ogrodowym.

– Co za pogoda pod psem! – skomentował Magnier, dołączając do niego.

– Nadchodzi zima. Cały czas mi zimno.

Philippe nigdy wcześniej nie słyszał, żeby jego towarzysz narzekał.

– Ponury coś jesteś. Jakies kłopoty?

– Ależ skąd!

Magnier zauważył, że Blake wypowiedział ostatnie słowa bez przekonania.

– Przepraszam, że muszę cię o to prosić, Andrew, ale będę zapewne potrzebował twojej pomocy w pewnej niełatwej sprawie...

– Mów, o co chodzi.

– Rynny w budynku nie odprowadzają już wody. Zapewne zatkały je suche liście. Każdej jesieni dzieje się to samo. Woda nie znajduje ujścia i zaczyna spływać po fasadach.

– Trzeba się wspiąć na górę?

– Do większości rynien można się dostać po sieci lin spuszcanych z okienek dachowych, ale do trzech – tylko z dużej drabiny. Dopóki nie patrzę w dół, jestem w stanie spuścić się na linie z dachu, ale drabina... Przyznam, że nie najlepiej mi to idzie.

– Kiedy trzeba będzie się tym zająć?

– Im wcześniej, tym lepiej. Robi się coraz zimniej, może nadejść przymrozek, a wtedy będzie jeszcze bardziej niebezpiecznie.

– Załatwmy to dzisiaj.

Magnier otworzył okienko w dachu i wystawił głowę na zewnątrz. Mimo że wiatr osuszył dachówki, wyjście na dach wciąż stanowiło dość ryzykowną operację. Uzbrojony w uprząż i długi hak, zarządca przecisnął się na zewnątrz i dał znak Andrew, żeby ten został na strychu, w pobliżu sprytnego systemu krążków i lin stworzonego do interwencji na dachu.

– Musisz tylko trzymać linę. Połuźniaj, kiedy poproszę, i chociaż wciągnik będzie odwalał główną robotę, musisz być gotowy, żeby mnie w razie czego przytrzymać. Jeśli zacznę spadać, moje życie znajdzie się w twoich rękach.

– Możesz na mnie liczyć.

W normalnych okolicznościach Blake na pewno by zażartował. Powiedziałby na przykład, że to nieostrożne ze strony Francuza powierzać swoje życie podstępemu i zdradzieckiemu Anglikowi. Niczego jednak nie skomentował i skupił się na pilnowaniu liny.

Niczym alpinista Magnier przesunął się z jednej stromizny dachu na drugą. Ostrożnie spuścił się na linie w stronę rynny. Za pomocą haka, wyciągając jak najdalej ramię, zgarnął zaklinowane w niej gnijące liście i odetkał odpływ. Powtórzył ten sam manewr po drugiej stronie dachu, starając się nie patrzeć w dół.

– Dajesz radę?

Brak odpowiedzi.

– Andrew, nie wygłupiaj się. Tutaj chodzi o moje życie! Jesteś tam ciągle?

– Nie wygłupiam się! Nie usłyszałem cię. Spokojnie, jestem na miejscu.

W tej chwili Magnier uznałby każdy dowcip za idiotyczny, ale jednocześnie mniej niepokojący niż ta powaga, zupełnie niepodobna do Blake'a. Doczołgał się na sam skraj dachu,

sprawdzając regularnie napięcie sznura.

Kiedy zrzucił liście z ostatniego odpływu, odetchnął z ulgą. Szczęśliwy ruszył niczym gąsienica w stronę okienka. Blake mechanicznie związał sznur.

– Odwaliliśmy kawał dobrej roboty – oświadczył Magnier.

– Jeszcze tylko drabiny.

– Nie musisz tego robić.

– Nie ma sprawy. Mówiłem, że nie mam lęku wysokości.

Mężczyźni oparli wysoką drabinę o zachodnią stromiznę dachu.

– Swoje waży – westchnął Blake, łapiąc oddech.

Magnier rozciągnął drabinę na całą jej długość.

– Andrew, naprawdę nie musimy tego dzisiaj robić...

Drabina w swojej najdłuższej pozycji ledwie dotykała skraju dachu.

– Podaj mi hak.

Philippe podał Blake'owi narzędzie. Nie bardzo było wiadomo, czy bardziej pada, czy wieje. Andrew zachowywał się dziwnie, jak gdyby myślami był zupełnie gdzie indziej. Trwało to już od kilku dni. Zapewne z tego powodu zarządcy udało się odnieść pierwsze zwycięstwo w jednej z ich partii szachowych. Magnier się wahał, czy nie odwołać całej akcji, ale majordom już wspinał się po szczeblach drabiny.

Blake minął poziom pierwszego piętra i zatrzymał się na chwilę. Na tyle głośno, żeby Magnier mógł go usłyszeć, powiedział:

– W mojej rodzinnej wiosce stał stary kościół. Kiedy tylko wikary nie patrzył, wspinaliśmy się z chłopakami po ścianie wieży. Ścigaliśmy się, który z nas pierwszy dotrze najwyżej i przesunie gniazda srok przy dzwonnicy.

– Bądź ostrożny, Andrew!

Blake ruszył dalej w górę, aż dotarł do okien na drugim piętrze. Zaczął pogwizdywać. Magnier trzymał drabinę, nie spuszczać go z oczu. Bał się tak samo, jak gdyby to on był na górze. Wreszcie Andrew sięgnął dachu. Przełożył ramię przez brzeg rynny i zaczął w niej grzebać. Stosy martwych liści zebrały się nad krawędzią blachy. Blake pracował, dopóki nie usłyszał skrzypienia haka po metalu.

– Z tą skończyłem!

– Wracaj więc! Nie spiesz się!

Majordom znów stanął na drabinie całym ciężarem i zaczął schodzić w dół. Zatrzymał się na chwilę przy drugim piętrze, lekko sapiąc. Magnier z ulgą patrzył, jak Blake z każdym krokiem jest bliżej ziemi.

– To jednak dość wysoko – przyznał Andrew, znalazłszy się w połowie drogi. – Wydajesz się taki mały, przypominasz skrzata.

– Wiesz, co ci powie ten skrzat? – odparł Philippe, którego zaczął już opuszczać stres.

Zarządca obiecał sobie, że nie będzie już drugi raz tego dnia kusić losu. Koniec. Zresztą pewnie za chwilę znów zacznie padać. Drabina powinna wrócić do garażu, a on ze swoim kumplem pójdą się napić. O odetkanie dwóch wciąż jeszcze zatkanych rynien zarządca poprosi Hakima. Ta perspektywa sprawiła, że poczuł prawdziwą ulgę.

Blake znajdował się już tylko kilka metrów nad ziemią. Nagle jednak nie trafił nogą na szczebel. Magnier zobaczył, jak się chwieje. Mało brakowało, a majordom zdołałby odzyskać równowagę – niestety, w tym gwałtownym ruchu nie zdążył przytrzymać się ręką. Andrew Blake spadł jak kamień z wysokości ponad pięciu metrów.

Magnier rzucił się w jego stronę z krzykiem. Już się przeklinał. Przeczuwał tragedię. Obawiał się jej wcześniej. Powinien był jej zapobiec, o nic nie prosić. Blake leżał nieruchomo na

boku, wśród błota i kamieni. Z twarzy i rąk płynęła mu krew. Philippe ukląkł przy nim, ale nie śmiał go dotknąć.

– Andrew, błagam cię! Powiedz coś!

Blake miał półprzymknięte powieki. Nie był w stanie niczego wyartykułować.

– Żyję...

– Co mówisz? – zapytał Magnier, nachylając się ku niemu.

– Żyję. Nie poszczęściło ci się, wredny zabojadzie.

Blake słabł w oczach, był bliski utraty przytomności.

– Andrew, zostań ze mną! Błagam cię.

– Kiedy zobaczysz moją małą Sarę, powiedz jej, że ją kocham, i że żałuję wszystkiego, czego nie zdołałem dla niej zrobić.

– Najlepszy przyjaciel, jakiego miałem w życiu, nauczył mnie jednego: jeśli masz problem z dzieckiem i jeśli tego żałujesz, sam musisz mu o tym powiedzieć. Dlatego będziesz żył.

Kiedy pogotowie zabrało nieprzytomnego majordoma, żaden z ratowników nie chciał wypowiadać się na temat jego szans. Pani Beauvillier i Magnier nie odstępowali go na krok. Tuż przed tym, jak karetka odjechała na sygnale, przybiegła Odile. Na noszach, tuż przy nieruchomej twarzy Blake'a, położyła Jerry'ego, małego pluszowego kangurka. Ze łzami w oczach spojrziała na ratowników.

– Zróbcie tak, żeby on zawsze był przy nim, bardzo proszę.

Najpierw rozległ się odległy grzmot rodem ze złego snu. Później dał się słyszeć głuchy tętent kopyt, jakby setki dzikich koni pędziły po trawiastych zboczach wzgórz Windermere. Gwałtowny wdech, fala uderzeniowa przenikająca klatkę piersiową, tak jak w dniu pierwszego krzyku. Wreszcie światło. Oślepiająca dziura o niewyraźnych kształtach. Uczucie ołowianej ciężkości, jak gdyby ciało wypełniał płynny, rozgrzany metal zmieniający się w letnią wodę, której wartki strumień wreszcie się uspokoi, tworząc jezioro.

„Budzi się, wezwijcie lekarza!”.

Znów noc. Być olbrzymim i ciemnym kształtem sunącym przez wody jeziora. Zanurzać się płynnym ruchem coraz bardziej w głąb. Czas nie istnieje.

Przez półotwarte powieki Blake dostrzegł niewyraźną sylwetkę. Diane.

– Proszę otworzyć oczy. Jeśli mnie pan rozumie, proszę otworzyć oczy.

Mężczyzna i kobieta otoczeni białą aureolą nachylają się nad nim. Rozumie ich, ale język, którego używają, jest dziwny.

– Doskonale – odzywa się kobieta. – Proszę się nie śpieszyć, nic na siłę.

– Jak się pan nazywa? – pyta lekarz.

Umysł Blake’a podchwycił pytanie i zaczął szukać odpowiedzi w gmatwaninie informacji, nad którymi usiłował zapanować. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to „Andy”, zdrobnienie własnego imienia. Zawahał się.

– Andrew – wydukał z trudnością.

– Doskonale.

Powoli Blake zaczął dochodzić do siebie. Z godziny na godzinę coraz mniej czasu spędzał na pływaniu w jeziorze. Poproszono go, żeby poruszył rękami, każdym z palców i nogami. Zrobiono mu zastrzyki. Chociaż tego nienawidził, nie znalazł w sobie siły, aby zaprotestować.

– Co się ze mną stało?

– Spadł pan z dużej wysokości. Miał pan szczęście.

– Kiedy?

– Dziesięć dni temu.

Blake podniósł dłoń do głowy.

– Muszę odebrać córkę ze szkoły.

Pielęgniarka była przyzwyczajona do tego rodzaju zaburzeń.

– Proszę się nie martwić. Zajmiemy się tym.

Blake uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Jasnozielone ściany, okno o opuszczonych roletach, denerwujące pikanie.

Na stoliku przy łóżku dostrzegł pluszową zabawkę. Zwierzątko obudziło w nim jakieś uczucie. Bardzo silne. Z trudem sięgnął po maskotkę. Zapach małego kangurka również wywołał przypływ emocji. W jego umyśle zaczęły nakładać się na siebie obrazy. Pokój. Puste łóżko i książki. Twarz.

– Czy nazwisko Richard Ward coś panu mówi?

Andrew spróbował się skupić.

– To mój brat?

– Nie sądzę. Proszę spróbować sobie przypomnieć. To dobrze panu zrobi.

Nagle Blake zobaczył przed oczami twarz przyjaciela.

– Tak, pamiętam go. Czy on tu jest?

– Nie, ale dzwoni trzy razy dziennie z Anglii. Pozdrawia pana. Wiele osób tutaj przychodziło, kiedy pan leżał w sypialni. Dwie kobiety, a nawet jakiś chłopiec, który zostawił dla pana kopertę.

Pielęgniarka położyła list na łóżku.

– Otwarcie go byłoby dobrą stymulacją. Czy mam panu pomóc?

Andrew skinął głową. Pielęgniarka rozerwała kopertę. W środku znajdowała się kartkówka z matematyki z adnotacją 13 punktów na 20, bardzo dobra praca oraz list. Kobieta pokazała je pacjentowi. Blake nie zareagował.

– Nie jestem w stanie czytać – tłumaczył się.

– Zrobię to za pana:

Siemka! Mam nadzieję, że czujesz się dobrze i że niedługo wrócisz. Dostałem najlepszą ocenę z matmy w całym moim życiu! Pani Crémieux powiedziała, że na pewno ściągałem, dała mi więc inne ćwiczenia i pilnowała mnie, ale je także dobrze rozwiązałem. Nieźle ją zrobiłem! Przychodziłem do Ciebie codziennie z moją matką, ale nie mogłem wchodzić na Twój oddział. Mam nadzieję, że nie zejdziesz. Widziałem już kogoś, kto zszedł. To była fretka Kevina. Okropne. Nie reagowała już nawet na swoje imię. Fajnie by było Cię znowu zobaczyć, nawet po to, żeby robić ćwiczenia z matmy. Całuję, Yanis

PS. Szukaj kasę na telewizor dla mojej matki.

Pielęgniarka dodała:

– Na dole jest rysunek małego potworka z rogami i podpis Youpla. Te japońskie kreskówki zaśmiejają dzieciom mózgi.

– Yanis... – powtórzył Blake powoli.

– Kim jest dla pana ten chłopiec? Proszę pomyśleć. To na pewno nic trudnego.

Blake nie od razu sobie przypomniał. Zanurkował w wodach jeziora, w którym tak przyjemnie mu się pływało.

W ciągu kolejnych dni Andrew odzyskał świadomość i nabrał sił. Badania neurologiczne nie wykazały żadnych odchyłeń od normy, z wyjątkiem zaburzeń typowych przy podobnych urazach.

Kiedy wrócił po tomografii do pokoju, czekali tam na niego Manon i Justin.

– Jak się macie, młodzieży?

– Znacznie lepiej już pan wygląda. Przyszliśmy na badanie ultrasonografem i przy okazji wpadliśmy do pana.

– Cieszę się, że was widzę. Czuję, że mogę już chodzić, ale wciąż zmusza się mnie do leżenia w łóżku albo siedzenia w fotelu. Mam prawo do dziesięciu minut wolności w ciągu dnia. Istna katorga.

Manon podeszła bliżej.

– Wiemy już, że to będzie chłopczyk.

– Czyli twoja intuicja się sprawdziła!

– Będzie miał na imię Théo.

– Bardzo ładnie.

– Na drugie damy mu Andrew – dodała dziewczyna.

Blake nie od razu zrozumiał.

– Théo, doskonale...

Urwał.

– Andrew?

Blake poczuł, że ogarnia go dziwne uczucie.

– Nie powinniście dostarczać tylu emocji staremu człowiekowi. Dziękuję bardzo. Niech was uściskam. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo jestem wzruszony.

– Cieszymy się – wtrącił Justin.

– To dla mnie wielki zaszczyt. Biedny malec! W szkole koledzy będą w niego rzucać kamieniami, kiedy się zorientują, że nosi angielskie imię.

– W posiadłości bez pana nic już nie jest takie samo – ciągnęła Manon. – Pani i Odile są całkowicie zagubione.

– Gdybym tylko pozwolił, Odile przynosiłaby mi posiłki trzy razy dziennie. Choć muszę powiedzieć, że kiedy patrzę na szpitalne dania, marzę o jej pysznych potrawach.

– Pani również czeka na pański powrót.

– Skoro mowa o powrotach, czy są jakieś wieści w sprawie Mefista?

– Nadal nie. Odile jest przekonana, że rozjechał go samochód.

– Biedny futrzak. To by była bardzo przykra wiadomość.

Manon zobaczyła Magniera stojącego w progu pokoju. Przywitała go i powiedziała:

– Zostawimy was. Na nas już zresztą pora.

Po czym dodała:

– Zajrzemy jutro, jeśli pan pozwoli.

– Jeszcze raz dziękuję za małego!

Manon uśmiechnęła się szeroko, po czym wyszła za Justinem. Magnier stał nieruchomo w progu, unikając spojrzenia przyjaciela.

– Poznajesz mnie? – zapytał nieśmiało.

– Jak najbardziej! Jest pan wicehrabią Krzywa Gęba. Dlaczego stoisz tak w progu?

Wejdz.

– Jak się czujesz?

– Dochodzę do siebie. Cieszę się, że cię widzę. Powinieneś być przynieść szachy, mógłbym się odegrać. Bierz krzesło, zostaniesz na chwilę?

Magnier nie kazał się długo prosić. Wbił wzrok w Andrew. Blake wskazał bandaż owijający mu głowę.

– Widzisz, mam nawet taki sam bandaż jak ty, kiedy wpadłeś na drzewo. Mam nadzieję, że nie będę tak samo majaczył...

– Tak bardzo się o ciebie bałem – przyznał Magnier. – Naprawdę myślałem, że nie żyjesz. Nigdy bym sobie nie wybaczył...

– Nie będziesz miał okazji. Dlaczego dopiero teraz mnie odwiedzasz? Nawet pani wychynęła ze swojej dziury.

– Nie śmiałem. Za bardzo się wstydzilem.

– To był wypadek, Philippe! Nikt mnie do niczego nie zmuszał.

– Lekarze mówią, że jak tylko zrośnie się zebro, będziesz taki jak dawniej.

– Niezupełnie, Philippe.

Magnier się przestraszył.

– Jak to?

– Pamiętam doskonale, o co cię poprosiłem, kiedy sądziłem, że nadeszła moja godzina.

– Chodzi o twoją córkę?

– Życie lubi płatać figle, przyjacielu. Kilka dni przed moim upadkiem poraziła mnie pewna uwaga Manon. Powiedziała, że taki ojciec jak ja to dar niebios dla mojej córki. Gdybym był zamkiem, powinienem był w tamtej chwili runąć w gruzy. Straszne. Niczego nie zrobiłem dla własnej córki. Od lat zajmuję się wszystkim, tylko nie nią. Uświadomiłem to sobie w chwili, gdy Manon to powiedziała. Zupełnie mnie to rozbiło. Drugim ciosem były twoje słowa, kiedy stwierdziłeś, że jeśli czegoś żałuję, sam powinienem jej o tym powiedzieć.

– Przepraszam, że cię uraziłem.

– Nie uraziłeś mnie. Chyba właśnie dzięki tej uwadze jestem dziś przy życiu. Wiesz, Philippe, przedtem nie bałem się śmierci. Miałem poczucie, że zrobiłem już wszystko, co miałem do zrobienia na tym świecie. Teraz jednak widzę tę sprawę inaczej. Śmierć nie może mnie dopaść, zanim nie skończę tego, co powinienem zrobić.

Magnier ujął Blake'a za rękę i powiedział:

– Cieszę się, że znów ujawniasz swój świński charakter i górnolotne idee. Przepraszam, powinienem był wcześniej cię odwiedzić.

– Ja, gdybyś kiedykolwiek znalazł się w śpiączce, nigdy bym cię nie opuścił, łajdaku! Przyszedłbym od razu. Założyłbym ci perukę, wymalował i wprawił implanty piersi. Kiedy byś się obudził, wmawiałbym ci, że jesteś Angeliną Jolie. Puściłbym ci nawet kilka filmów z tobą.

– Ty wariacie!

– Mogę podkreślić ogrzewanie, jeśli panu zimno.

– Dziękuję, Justinie, wszystko w porządku. Niech pan raczej uważa na gołoledź, nie wszędzie posypano szosę solą.

W drodze powrotnej do posiadłości Blake z trudem rozpoznawał znajome okolice. Po trzech dniach opadów gęstego śniegu nawet leśne poszycie było białe. Gałęzie uginały się pod ciężarem grubego płaszcza. Z pewnym trudem Philippe otworzył szeroko bramę wjazdową, żeby samochód mógł wjechać do środka. Justin zredukował bieg, zanim zapuścił się w główną aleję. Park wyglądał cudownie, a domostwo robiło jeszcze bardziej bajkowe wrażenie. Dachy i balkony były pokryte nieskazitelnie białą warstwą puchu nadającego im łagodne kształty. Mimo pochmurnego nieba zewsząd bił oślepiający blask.

Kiedy tylko Justin zaparkował u stóp schodów, Odile, Manon, Philippe, a nawet pani Beauvillier pojawili się na zewnątrz.

– Cóż za komitet powitalny! – ucieszył się Andrew, gramoląc się z pojazdu.

Philippe chciał mu pomóc wejść po schodach, ale Blake przyjął za punkt honoru, że poradzi sobie sam, chociaż nieco jeszcze kulał. Zażartował:

– Od jak dawna pilnujecie wejścia, wypatrując mojego przyjazdu? Przydała się wam pewnie moja lornetka? Cieszę się, że was wszystkich widzę.

Grupa wciągnęła ocalałego do środka. Odile ostrożnie pomogła mu zdjąć płaszcz. Manon uwolniła od szalika, a Philippe przejął jego torbę. Pani Beauvillier przyglądała się temu, wyraźnie uradowana z powrotu Andrew.

– Pasują panu te nowe okulary – stwierdziła Odile.

– Biorąc pod uwagę stan poprzednich, to była dobra okazja do zmiany.

Pani Beauvillier ucięła:

– Czy moglibyśmy zająć się korespondencją? Mamy już ponad godzinę spóźnienia...

Widząc jej chytry uśmieszek, Blake zrozumiał, że chodzi raczej o powrót do dawnych zwyczajów niż o zarzut. Odile wręczyła mu plik kopert i Andrew ruszył za panią na górę.

Siedząc każde po swojej stronie biurka, pani Beauvillier i Blake powtarzali znane im dobrze gesty. Bardziej niż kiedykolwiek przypominali dwoje bawiących się dzieci. On patrzył, jak ona swoim nożem do papieru w kształcie miecza otwiera, jedną po drugiej, koperty. Ona wręczała mu niektóre listy i udzielała instrukcji dotyczących odpowiedzi. A jednak tego ranka nie na korespondencji skupiała się cała uwaga pani, lecz na Blake'u.

– Kiedy widziałam pana ostatnio – zaczęła – myślałam, że to będzie ostatni raz.

Nagle uświadomiła sobie, jak osobliwa była to wypowiedź. Andrew skinął głową.

– Rozumiem. Czasami trzeba uważać na to, co bierzemy za ostatni raz.

Pani Beauvillier obracała w palcach miniaturowy mieczyk.

– Czy zamierza pan wziąć wolne na czas świąt?

– Nie.

– Nie chce pan nikogo odwiedzić?

– Już prędeż w styczniu. Jeśli pani pozwoli, wolałbym zostać tutaj do końca okresu próbnego. Później, z tego, co dała mi pani do zrozumienia, mogę mieć dużo wolnego czasu.

– Być może znalazłam na to sposób. Jeśli sytuacja finansowa się ustabilizuje, będziemy mogli zobaczyć przyszłość posiadłości w jaśniejszych barwach.

Mimo tych pozytywnych zapewnień Blake od razu uczuł ukłucie niepokoju. Chciałby

dowiedzieć się więcej, ale nie mógł sobie pozwolić na dalsze pytania.

Seans czytania korespondencji był tego dnia wyjątkowy. Ani pani Beauvillier, ani Andrew nie przywiązywali większej wagi do tego, co robili, ich rutynowe gesty były tylko pretekstem do spotkania się. Przyglądali się sobie na zmianę, unikając wzajemnych spojrzeń. Chociaż nie chcieli się do tego przyznać, cieszyli się wspólnie spędzonym czasem.

Odsuwając na bok ulotkę reklamową, pani odkryła kolejną zieloną, ręcznie zaadresowaną kopertę. Pochyliła się z zamiarem włączenia niszczarki. Blake walczył przez chwilę z własnym sumieniem. Pani zamierzała już wsunąć list do szpary urządzenia, kiedy zdecydował się zapytać:

– Czy mogę sobie pozwolić na uwagę?

Ręka z kopertą znieruchomiała. List znajdował się zaledwie kilka centymetrów od ostrzy. W pokoju było słychać tylko szum maszyny.

– Proszę tego nie niszczyć.

– Czyli wrócił pan do pełnej formy. Łącznie ze zdolnością wtrącania się w nie swoje sprawy.

– Zyskałem także kilka nowych kompetencji. Nie wiem, czy ma to związek z tym, że otarłem się o śmierć, ale jestem dziś jeszcze bardziej przekonany, że nic nie jest cenniejsze niż pokój. Trzeba o niego zadbać, dopóki to jeszcze możliwe. Żal na nic się nie zdaje. Uraza również nie. Liczy się tylko teraźniejszość i przyszłość. Życie jest tak kruche... Ja, podobnie jak pani, tęsknię za pewnymi osobami. Tak jak pani, żyję w cieniu ich nieobecności. Mam wrażenie, że oboje trzymamy się blisko tych, którzy nas opuścili, tymczasem są jeszcze inni, którzy nas potrzebują.

Andrew się obawiał, że powie za dużo. Pani Beauvillier potrząsnęła listem, jak gdyby oceniając jego zawartość, po czym położyła go przed sobą. Niszczarka wciąż była włączona.

– Co by na ten temat powiedziała pańska żona? – zapytała z zaskakującą śmiałością.

– A co by powiedział pani mąż? – odparował Blake.

– Odile, błagam! Musi mi pani zaufać i odpowiedzieć na moje pytania. Czy pani Beauvillier podejmowała kogoś z Nieruchomości Vandermel?

– Odbyło się kilka spotkań. Wiele. Czy to jednak byli akurat ci?

– Niczego pani nie zauważyła? Czy pani Beauvillier podpisywała jakieś dokumenty?

– Andrew, stawia mnie pan w kłopotliwej sytuacji.

– Przepraszam, ale to bardzo ważne.

– Jedyne, czego jestem pewna, to tego, że pani była wzywana do banku. Trzy dni po pańskim wypadku. Kiedy wyszła z banku, nic nie mówiła, ale była bardzo blada.

Odile podniosła miskę Mefista i opróżniła starannie nietkniętą zawartość do wiadra z kompostem.

– Wciąż brak wieści o kocie?

– Minęły już trzy tygodnie. Czasami rano mam wrażenie, że przyszedł i trochę zjadł. Wydaje mi się także, że w środku nocy słyszę, jak otwiera się okienko w drzwiach. W zeszłą niedzielę zesłałam nawet na dół, ale go nie było. Pewnie uważa pan, że muszę być głupia, żeby tak martwić się o kota. Na pewno przejechał go samochód, i tyle. To się zdarza codziennie, a media nie umieszczają tego w nagłówkach.

– Media rzadko mówią o tym, co się liczy w naszym życiu.

Blake podszedł bliżej, chcąc pocieszyć Odile, ale kucharka się odwróciła.

– Jak jakaś naiwna wciąż przygotowuję mu jedzenie. Obiecałam sobie jednak, że przestanę w Boże Narodzenie.

Kucharka umyła miseczkę i odstawiła ją ostrożnie obok poduszki zwierzęcia. Była bliska płaczu.

– On tak lubił ciepło! Mam nadzieję, że nie marznie tam, gdzie teraz jest.

Pociągnęła nosem, wytarła ręce i spróbowała wziąć się w garść.

– Czy pani Beauvillier mówiła o swoich planach na Boże Narodzenie?

– Jeszcze nie, tyle się działo...

– Chce zorganizować wieczerzę dla nas wszystkich: Manon, Philippe’a, pana i mnie.

Chyba zamierza zaprosić również Justina.

– Powiedziała pani „Philippe’a”...

Odile poczerwieniała jak burak.

– I co z tego? Pana w końcu nazywam Andrew! A co do wspólnego posiłku, pan Magnier powiedział, że to zwyczaj jeszcze z czasów, kiedy żył pan Beauvillier.

– Pan Magnier?

– Proszę przestać! – burknęła Odile. – Uważa pan, że jeszcze mi mało? Myślałam, że pan nie żyje, a na dodatek straciłam kota. Płakałam całymi godzinami. A pan zaraz po swoim powrocie zaczyna mnie znów torturować.

– Ja również za panią tęskniłem, Odile. Nawet bardzo. I chociaż podczas każdego posiłku tęskniłem za pani kuchnią, to nie jej mi najbardziej brakowało. Nie wyobraża pani sobie nawet, jak bardzo wzruszyłem się na widok Jerry’ego przy moim łóżku. Dlatego, że miałem go przy sobie, i dlatego, że tylko pani mogła o to zadbać.

Podszedł i pocałował ją w czoło.

– Dziękuję.

Kiedy tylko drzwi do małego salonu zamknęły się za nią, Odile odetchnęła głęboko, żeby dać upust napięciu. Była cała czerwona, a dłonie zaciskała z całej siły na tacy. Andrew nigdy nie widział jej tak bliskiej wybuchu. Lekko kulejąc, ruszył za nią do kuchni.

– Sądząc po pani stanie, pani Berliner musi być w formie – zażartował. – Kto tym razem padł ofiarą jej jadu?

– Co za wstyd! – zawołała wzburzona kucharka. – Ta wredna kobieta ma czelność przychodzić tutaj w pierścionku, który pani sprzedała jej zaledwie dwa tygodnie temu. Wiedziała przecież, że pozbycie się go było dla niej ciosem w samo serce, co jednak nie przeszkodziło jej w negocjowaniu najlepszej ceny. A dziś się z nim obnosi. Wyobraża pan to sobie? I to coś prawi morały! To coś uważa, że należy do wielkiego świata!

– Jest pani absolutnie pewna?

– Całkowicie. To piękny szmaragd, prezent od pana François. Wielokrotnie go czyściłam. Biedna pani... To mnie oburza. Dobrze pan zrobił, rażąc prądem tę starą babę.

– Przejmę teraz służbę.

– Nie trzeba. Niech się pan nie martwi, dam sobie radę. Lekarze mówią, że nie powinien pan forsować nogi.

– Trochę ćwiczeń mi nie zaszkodzi.

Kiedy wszedł do salonu z gorącą kawą i nową porcją ciasteczek, ani zaproszona osoba, ani pani Beauvillier się nie zorientowały, że zajął miejsce Odile. Pierwsza była zbyt zajęta wyrażaniem swojego zdania, druga zbyt oniemiała, żeby w jakikolwiek sposób zareagować.

– Ubawiła mnie pani. Jestem zaskoczona, że dała się pani rozczulić tej banalnej historii miłosnej między pokojówką i robotnikiem. To dobre na wątek serialu dla gospodyń domowych...

Blake postawił tacę na stoliku do kawy. Rozpoznawszy go, pani Berliner się odezwała:

– Cóż za niespodzianka! Podobno pan niedomagał. Słyszałam o pańskim wypadku.

Trzeba uważać, gdzie się stawia nogi, przyjacielu, szczególnie w pańskim wieku.

Andrew nawet nie mrugnął.

– Czy życzy sobie pani jeszcze kawy? – spytał uprzejmie.

Blake zawsze postępował w ten sposób z niebezpiecznymi ludźmi. Pozwalał im się wysuwać na prowadzenie, odsłaniać się, nabierać pewności, że mają przewagę. Pilnował się, żeby nie dać się sprowokować. Obserwował i pamiętał, że nie można nie doceniać wrogów. Życie nauczyło go, że nie ma słabych przeciwników, ten zaś, kto uważa się za silniejszego, jest często tym, który przegrywa.

– Niemniej jednak – dodała pani Berliner – cieszę się, że zastąpił pan poprzednią służącą, której wyraźnie brakowało wdzięku.

Nalewając kawę do filiżanki pani Berliner, Blake przyjrzał się pierścionkowi. Był skromny, elegancki, lśniący – miał wszystkie cechy, których brakowało osobie noszącej go właśnie na palcu. Kobieta uczyniła gest mający oznaczać, że nie chce już więcej kawy.

Pochłonęła ciasteczko i ciągnęła dalej:

– Wracając do pokojówki. Proszę na nią uważać. Narwana dziewczyna może okazać się mało zaradna, jak przyjdzie co do czego. Coraz trudniej o dobrą służbę. A wszystko przez pospolitą historię i emocjonalne podejście, które z braku funduszy nie zaprowadzą nawet do adwokata. A kiedy do tego dochodzą dzieci, my płacimy zasiłki, za którymi oni tak przepadają!

Blake poszukał wzrokiem spojrzenia pani Beauvillier. Odgadnąwszy zapewne zamiary

Andrew i prośbę w jego oczach, ledwie dostrzegalnym ruchem głowy dała mu swoje przyzwolenie.

Stanowczym ruchem Blake odstawił dzbanek z kawą i tak długo patrzył na panią Berliner, że ta musiała w końcu przestać go ignorować.

– Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

– Ponieważ dość rzadko ma się okazję widzieć taki okaz...

– O co panu chodzi?

– Za kogo się pani uważa? – zapytał Blake zadziwiająco spokojnym głosem.

– Proszę?

– Nie rozumie pani ojczystego języka?

Pani Berliner rzuciła spanikowane spojrzenie pani domu, która popijała nadal kawę, jak gdyby nigdy nic.

– Nie wiem, jak w pańskim kraju, przyjacielu – powiedziała kobieta, marszcząc nos – ale we Francji służba...

– Nie jestem pani przyjacielem. Słyszę, jak pani krytykuje i pogardza innymi, zastanawiam się więc, kim pani jest, żeby móc sobie na to pozwolić. Czy to jedyny sposób, jaki pani znalazła na napompowanie swojego *ego*? Ma pani zdanie na każdy temat i zawsze jest to złe zdanie. Nikt w pani oczach nie zasługuje na łaskę. Kogo potrafi pani bronić i popierać oprócz własnej pychy i dumy? Dla ludzi takich jak pani miłość to banał, sympatia jest oznaką słabości, a proste słowa świadczą o braku kultury.

– To skandaliczne. Nikt jeszcze się tak do mnie nie zwraca!

– I na tym zapewne polega cały problem. Kilka krótkich lekcji z pewnością otworzyłyby pani umysł i rozluźniło ten królewski zadek.

– Co proszę? Nathalie, niech pani coś powie!

Pani Beauvillier zrobiła współczującą minę.

– Kiedy widzę go w tym stanie, wolę milczeć. Przeraza mnie...

Blake nachylił się nad panią Berliner, która odruchowo się cofnęła. Przynął się jeszcze bardziej, zmuszając ją do wciśnięcia się w poduszki na kanapie.

– Czyli co? Nagle zabrakło pomysłu na nieprzyjemną uwagę? Na słowną torpedę? Gdzie pani pochopne oceny? Gdzie się podział cały cynizm? Zazwyczaj radzi pani sobie, nikt bowiem nie śmie się pani postawić. To jednak wcale nie znaczy, że reszta ludzi nie myśli. Nawet służba potrafi nadepnąć na odcisk. W głębi duszy żal mi pani, wyobrażam sobie bowiem, że prowadzi pani zimne, zgorzkniałe i głupie życie. Spędza pani czas na niszczeniu, oczernianiu i kalaniu wszystkiego, czego nie potrafi pani zrozumieć. Powinna pani zobaczyć „pokojówkę” i „zwykłego robotnika” – byli cudowni. Posiadali skarb, którego – jeśli nadal będzie się pani tak zachowywać – nigdy nie znajdzie pani w sobie. Myśli pani pewnie, że ludzie z sercem są naiwni, i znajduje pani niezdrawą przyjemność w ranieniu ich, hodując w sobie poczucie wyższości. Przypomina pani pasożyta, który utrzymuje się przy życiu kosztem cudzych uczuć i nadziei. Jest pani tylko paskudnym, zatruwającym krew kleszczem.

Blake przemawiał łagodnym, lecz dobitnym tonem. Jego twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od rozmówczyni, która zdołała wreszcie wybełkotać:

– Zawsze byłam gotowa pomagać temu domowi, a oto w zamian zostaję obrażona.

– Straciła pani przewagę i teraz postanawia zgrywać ofiarę. Wcale mnie to nie dziwi.

Zazwyczaj podłość idzie w parze z głupotą. Jeśli zaś chodzi o pojęcie pomocy, trzeba będzie zweryfikować pani standardy. Nie ma zresztą tutaj już żadnego pola do negocjacji. Proszę, żeby pani wyszła. To nie lokaj tego żąda, tylko mężczyzna. Przerwijmy tę grę w kody socjalne i wróćmy do podstaw. Jakim perwersyjnym sposobem nasza epoka umieściła panią ponad takimi

osobami jak Odile, które są warte po stokroć więcej niż pani? Won! Zna pani drogę. I niech pani noga nigdy więcej nie postanie na terenie tej posiadłości.

Pani Berliner zerwała się gwałtownie, nie prosząc już o nic więcej.

– Ostatnia rada – rzucił jej Andrew. – Niech pani uważa na kratę furtki i na gołoledź. W pani wieku trzeba o sobie dbać.

Po wymianie kilku maili z Richardem i Heather, Blake poszedł wreszcie się położyć. Drzwi do pokoju Manon zastał szeroko otwarte. Dziewczyna czytała na łóżku.

– Nie śpisz?

– Nie mogę zasnąć. Mam wrażenie, że dzidzius zaczyna się ruszać.

– Pewnie martwisz się także wynikami egzaminu?

– Oczywiście.

– Kiedy powinnaś je otrzymać?

– W przyszłym tygodniu, w przeddzień Wigilii.

– Co ci podpowiada intuicja?

– Boję się, ale chciałabym, żeby się udało. To byłby piękny prezent.

– Możesz poprosić Mikołaja, ale nie wiem, czy to leży w zasięgu jego możliwości.

– Czy to prawda, co powiedziała Odile? Że będzie pan mógł z nami zostać?

– Wiesz zatem więcej niż ja. Pani Beauvillier nic mi na ten temat nie mówiła. Skoro jednak jesteśmy już przy zwierzeniach, czy mógłbym cię prosić o pewną, dość specjalną, przysługę?

– Co tylko pan zechce.

Blake sprawdził, czy korytarz jest pusty, i zniżył głos:

– Kiedy w najbliższy wtorek będziemy wszyscy jedli kolację, chciałbym, żebyś coś zrobiła.

– Co takiego?

– Musisz zasłać.

– W jakim celu?

– Ponieważ jako jedyny tutaj mam prawo jazdy, będę musiał zawieźć cię do szpitala na badanie.

– Nie ma pan ochoty jeść ze wszystkimi?

– Oczywiście że mam, ale chciałbym przede wszystkim, żeby Odile i Philippe znaleźli się sam na sam. Chcę po prostu nieco pomóc przeznaczeniu...

Manon natychmiast zrozumiała, o co chodzi.

– A jeśli pani zejdzie na dół?

– Zgodziła się nie wychodzić ze swojego apartamentu.

– Zgodziła się?

– Jak najbardziej.

– Wyjaśnił jej pan, w jakim celu?

– Oczywiście!

Manon pogroziła mu palcem, jakby karciła dziecko.

– Dziwny z pana człowiek, panie Blake. Może pan jednak na mnie liczyć. Moje zasłańnięcie będzie spektakularne.

– Mimo wszystko nie psuj im apetytu.

Sztucznie poważnym tonem Manon oświadczyła:

– Gdyby podczas tej misji pan lub któryś z pańskich współników został przyłapany na gorącym uczynku, zaprzeczmy, że byliśmy wtajemniczeni w pańskie działania, a Odile walnie pana patelnię za karę za namawianie do złego.

Tej nocy Blake nie mógł zasnąć. Wyglądał przez okno na zaśnieżony park. Krajobraz

skąpany w niebieskawym świetle księżyca przypominał mu kartki z życzeniami, które matka kazała mu wysyłać do całej rodziny. Śnieg ze starych ilustracji był ozdobiony brokatem, który do wszystkiego się przylepiał i którego chłopiec nie mógł długo się pozbyć.

Blake usiadł na łóżku. Sięgnął po zdjęcie stojące na stoliku nocnym. Od jak dawna nie widział córki? Od jak dawna jej unikał? Cóż za paradoks sprawia, że odgradzamy się od tych, których kochamy najbardziej? Zapewne z powodu bólu, który sami sobie zadajemy. Odkąd po wypadku podjął decyzję, że do niej pojedzie, Andrew odliczał dni. Od dawna nie czekał na nic z taką niecierpliwością. Heather zarezerwowała mu już bilet lotniczy. Chciał zadzwonić do Sary w Boże Narodzenie i zapowiedzieć swoją wizytę. Jak jej przedstawi sytuację? Co jej powie? Czy nie jest już za późno? A jeśli ona odmówi?

W samym środku nocy, kiedy zamglony umysł płynął łagodnie wśród snów i bardziej przyziemnych pytań, jakiś dźwięk wyrwał Blake'a z półsnu. Wydawało mu się, że słyszy skrobanie. Z początku uznał, że to omamy słuchowe, ale po chwili fenomen się powtórzył.

„Termity. Ta posiadłość jest więc naprawdę przeklęta” – pomyślał.

Nadstawił uszu, starając się zlokalizować źródło tajemniczego odgłosu. Stanął na łóżku, później na krześle, a nawet na stole, żeby się upewnić, że szmer nie dobiega z belek dachowych. Następnie, z głową przyklejoną do ściany, ruszył wzdłuż pokoju. Odgłos zanikał i znów się pojawiał. Przerwy następowały wyraźnie wtedy, kiedy tylko Andrew wykazywał większe zainteresowanie zjawiskiem. W końcu wrócił do łóżka i próbował zasnąć, złośliwy duszek tylko jednak na to czekał, ponownie dając o sobie znać. Po upływie godziny Blake, wściekły, znów się podniósł. Był już całkowicie rozbudzony. Nie zazna spokoju, dopóki nie rozwiąże tej zagadki. Wstał. Niczym myśliwy na tropie zwierzyny, Blake czekał. Ciche skrobanie znów się rozległo. Blake ruszył na polowanie. Wkrótce, z latarką w ręku, rozpoczął eksplorację korytarza. Być może myszy założyły sobie gniazdo w pomieszczeniu gospodarczym wypełnionym starymi gratami i meblami. Blake wiedział, że większy hałas mógłby sprawić, że gryzonie przestałyby się ruszać, aż do następnej nocy. Wyobraził sobie minę Odile na wieść o tym, że jej fobia załęgła się w pobliżu jej sypialni. Oczyma duszy Blake widział ją już, jak ucieka przez śniegi, boso, w koszuli nocnej, wrzeszcząc i wyciągając ręce ku niebu.

Chrobot stawał się coraz wyraźniejszy. Musiał być już prawie u celu. Dźwięk dobiegał z jednego ze składowików, do którego drzwi były uchylone. Andrew osłonił dłonią latarkę i pchnął drzwi. Bez wątplenia w środku panowało poruszenie. Stopniowo oświetlił pomieszczenie.

Blake wiele już widział w swoim życiu, ale to, co zobaczył tej nocy, dosłownie go zamurowało.

– Odile, niech się pani obudzi! – powtórzył Blake szeptem, pukając ostrożnie.

Zaspana kucharka w końcu otworzyła drzwi.

– Co się dzieje?

– Ładna koszula nocna.

– Czy to dlatego wyciąga mnie pan z łóżka w samym środku nocy? Jest pan pijany?

– Mam dla pani dobrą i złą nowinę.

– Szczerze? Andrew, jest trzecia nad ranem. Mam nadzieję, że ma pan dobry powód, żeby mnie budzić. Czy pani jest chora?

– Dobra nowina jest taka, że w końcu zobaczy pani swojego kota. Zła zaś jest taka, że okazał się transseksualistą.

W składziku piętrzyły się meble i stare walizki. Wystarczyłoby tu eksponatów na całe muzeum bagaży. Były tutaj walizki z kartonu, z plastiku, skórzane i na kółkach. A także skrzynie. Snop światła latarki przesuwiał się niczym reflektor w więzieniu wylapujący zbiegów.

– Nie możemy ich przestraszyć – przestrzegł Andrew.

– Jeśli to jakiś żart...

– Owszem, ale to nie ja jestem tym dowcipnisiem. Będzie to pani musiała wyjaśnić ze swoim „kotem”.

Promień światła z latarki napotkał małe ślepka, które natychmiast znikły wśród walizek. Kiedy spojrzeli na jasną plamę na podłodze, Odile wytrzeszczyła oczy i krzyknęła.

– Mój Boże, Mefisto!

Zwierzę wylegiwało się w przytulnym gniazdku uwitym ze skarpetek i moherowego sweterka. Przyspane do niego były dwa kociątka.

Blake stwierdził z ironią:

– Ten, kto wmówił pani, że to kot, okłamał panią.

– Cóż ja mogłam na ten temat wiedzieć? Nie znam się. Poza tym u kota angorskiego trudno sprawdzić płęć. Nie mogłam mu przecież wsadzać lupy pod ogon!

– Ma pani jakieś pomysły na imiona dla maluchów?

– Proszę sobie ze mnie nie żartować. Co my zrobimy z tą menażerią? Ile w ogóle ich jest?

– Naliczyłem cztery, ale inne mogą ukrywać się w tym labiryncie. Zawsze może pani założyć cyrk, taki maleńki, z miniaturowymi tygrysami. Proszę spojrzeć na tego z pyszczkiem pełnym mleka, jak nam pokazuje kły, myśląc, że nas przestraszy.

– Czyli jednak nie utył. Był po prostu w ciąży.

– Nadal zresztą jest piękna, a to, co miało być zimowym futrem, biega teraz wokoło i bawi się wszystkim, co dynda.

Odile ostrożnie zrobiła krok w stronę Mefista. Maluchy natychmiast czmychnęły. Uklęła i pogłaskała zwierzę, które uniosło ku niej głowę.

– Tak bardzo się cieszę, że cię odnalazłam, mój... Moja córeczko. Martwiłam się, wiesz? Mefisto miauknął i zamruczał.

– Masz małe? Przecież to niewłaściwa pora roku.

– I pomyśleć, że oskarżała pani psa zarządcy o jego pożarcie!

– Byłam zrozpaczona.

– Teraz może już pani przestać. Mam tylko nadzieję, że wasze przysłowie się nie sprawdzi.

- Jakie przysłowie?
- „Jeden stracony, dziesięć odnalezionych”.

– Idealna! – ucieszył się Magnier, stwierdziwszy, że szczyt choinki sięga dokładnie sufitu w salonie.

– Jest wyższa niż ta w szkole! – entuzjasmował się Yanis.

Chłopiec pomógł zarządcy i Blake’owi ściąć drzewo w lesie należącym do posiadłości i przywlec je do domu. Odwrócił się do Andrew.

– Czyli to prawda? Będę mógł podarować mamie supertelewizor na święta?

– My dotrzymujemy słowa – odparł Blake. – Z takimi wynikami w nauce w pełni sobie na niego zasłużyłeś.

– Ale uwaga! – dodał Magnier. – Jeśli twoja średnia spadnie, odbierzemy go!

– To nieprawda! Nie zrobicie tego!

– Nie, oczywiście, że nie. Nie będziesz jednak mógł się spotykać z psem.

Blake cofnął się kilka kroków, żeby móc lepiej podziwiać drzewko. Jego zapach już wypełnił pomieszczenie. Razem z Magnierem umocowali pień w wielkim wydrążonym bierwionie. Pojawiła się także Manon z dwoma kartonami, które postawiła na podłodze.

– Znalazłam ozdoby choinkowe. Jest tutaj wszystko: bombki, łańcuchy...

Uradowany Yanis zanurkował w pudła pełne kolorowych dekoracji i zapytał:

– Kiedy już skończymy, będę mógł obejrzeć małe kotki?

– Odile zabierze cię później na górę – odparła Manon. – Na razie jest zajęta.

– Zajęta do tego stopnia, że nie ma czasu przyjść zobaczyć drzewka? – zdziwił się Blake.

– Jest z panią... – odparła Manon wymijająco.

– Wiesz może, co takiego robią?

– Nie wiem.

– Nie są na spotkaniu, mam nadzieję?

– Jeśli pani się dowie, że z panem na ten temat rozmawiałam, będzie zła.

– Kiedy przyjechali?

– Zaraz po tym, jak poszedł pan z zarządcą po choinkę.

Blake spojrzął na zegarek.

– Czyli spotkanie trwa już ponad godzinę. Jest ich dwoje?

– Andrew, proszę, niech mnie pan nie zmusza.

– W ciemnych garniturach.

– Nie zdjęli nawet płaszczy. Wyszli z panią i Odile do parku.

Z twarzy Blake’a odpłynęła cała krew.

– Przyjechali zmusić ją do podpisania umowy!

Andrew zwrócił się do Philippe’a.

– Idź, proszę, do domu po strzelbę. Spotkamy się przy głównej bramie. Nie mogą stąd odejść z podpisaną umową sprzedaży.

– Zrozumiałem. Jeśli chcesz, ja będę grał złego glinę, a ty – dobrego.

– Co to znaczy?

– Będę udawał groźnego, a ty zachowasz spokój. To skłoni ich do negocjacji z tobą.

– *Why not?*

Samochód gości wciąż stał zaparkowany przed wejściem do domostwa. Andrew obserwował je zza krat niczym lew ze swojej klatki. Philippe nadbiegł ze strzelbą przerzuconą przez ramię. Towarzyszył mu Youpla szalejący po śniegu.

- Po co przyprowadziłeś psa?
- Pomyślałem, że to zrobi na nich większe wrażenie.
- Założyłeś mu kaganiec?
- Tak bardziej przypomina psa stróża. W przeciwnym razie byłby skłonny przynieść im patyk albo lizać ich po twarzy.
- Blake spojrział w stronę parku.
- Czuję, że ona szykuje taki krok.
- Myślisz, że pani sprzedała im parcelę?
- Cóż by to mogło być innego? Przestała wspominać o problemach z pieniędzmi. Mówiła za to o remoncie łazienki.
- Czy to źle?
- Sprawdziłem tę firmę. Biorąc po uwagę ich metody działania i kłopoty finansowe, w jakich znalazła się pani Beauvillier, jestem skłonny się założyć, że wykorzystali sytuację. Ponieważ załatwiała wszystko sama, na pewno dała się zrobić w konia.
- Jeśli jednak nie sprzeda, wpadnie w biedę.
- Znajdziemy rozwiązanie. Muszą istnieć inne sposoby poradzenia sobie z tym problemem niż za pośrednictwem oszustów. Zastanawiam się, czy bank nie odegrał tu pewnej roli swoimi naciskami.
- Naprawdę tak myślisz?
- Nie wyobrażasz sobie, do czego niektórzy są zdolni dla takiej sumy. Na początek uniemożliwimy tym rekinom zjedzenie Nathalie. Czy strzelba jest nabita?
- Philippe zdjął broń z ramienia i złożył ją do strzału.
- Pomyślałem, że w razie czego będę mógł strzelić w powietrze, żeby im napędzić strachu.
- Tylko nie ryzykuj. Zabieramy papiery, ale nikogo nie zabijamy.
- Jesteś naprawdę zabawnym gościem, Andrew.
- Jak powinienem to rozumieć?
- Dobrze, mimo wszystko dobrze. Zasięgasz informacji o firmach, wiesz na temat pani więcej niż ja, chociaż mieszkam tu już tyle lat. Powiedz mi, czy ty zawsze byłeś majordomem?
- Tobie mogę się przyznać: byłem również tancerką i handlowałem rybami. Szykuj się, nadchodzą.

W oddali na tle zaśnieżonego parku zarysowały się cztery postacie. Pani i Odile podążały w stronę domostwa, tymczasem dwóch roześmianych mężczyzn kierowało się do samochodu. Kiedy znaleźli się przy bramie, zza kępy tui wyłonili się Blake i Magnier. Zarządca trzymał ostentacyjnie swoją strzelbę i ciągnął za smycz, usiłując zachęcić psa, który wyglądał, jakby skakał, chociaż w rzeczywistości biedne zwierzę poddawało się szarpaniu.

– Dzień dobry, panowie – zaczął Blake poważnym tonem.

Zaskoczeni mężczyźni zwolnili kroku.

– Byliśmy na spotkaniu z właścicielką, panią Beauvillier. Jesteście łowczymi?

– Można tak powiedzieć.

Jeden z agentów nieruchomości wskazał luksusową berlinkę zaparkowaną za bramą.

– Proszę wybaczyć, jeśli blokujemy przejście, zaraz odjeżdżamy.

Spróbował otworzyć furtkę, okazało się jednak, że jest zamknięta na klucz. Cofnął się o krok. Blake przeszedł do ofensywy.

– Jeśli pani Beauvillier podpisała jakieś dokumenty, prosiłbym, żeby nam je panowie oddali.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, równie rozbawieni, co zbici z tropu.

– Ta sprawa pana nie dotyczy – odparł starszy z nich z pogardą. – Miłego dnia.

– Powtarzam, jeśli pani podpisała dokumenty, proszę o oddanie ich. Nikt stąd wcześniej nie wyjdzie.

Magnier potrząsnął nieco bardziej psem i zaklekotał cynglem broni.

– Czy to groźba? – zapytał jeden z agentów.

– Raczej obietnica – odparł Andrew.

Starszy się roześmiał. W młodszym zaczęły budzić się wątpliwości.

– Nie wiemy nawet, kim jesteście – rzekł. – Jeśli nie chcecie kłopotów, radzę zostawić nas w spokoju.

– Nie zrozumiał pan – odparował Blake. – To wy będziecie mieć kłopoty, jeśli nie zrobicie tego, o co proszę. Oddajcie dokumenty, a ja pozwolę wam odejść i robić wasze interesiki gdzie indziej.

– Nasze „interesiki” nie powinny pana obchodzić. Dajcie nam przejść, w przeciwnym razie zostanie pan zwolniony, a na dodatek złożymy skargę.

Agenci nie dawali się zastraszyć. Biorąc pod uwagę stawkę, uznali, że gra jest warta świeczki.

– Dość tej zabawy, otwierajcie natychmiast furtkę.

Blake zbliżył się powoli.

– Doskonale znamy wasze metody – rzekł, patrząc starszemu prosto w oczy. – Nie pozwolimy wykorzystać słabości naszej pracodawczyni.

Mężczyzna poklepał młodszego kolegę po ramieniu.

– Widziałeś, stróż jest jednocześnie międzynarodowym szpiegiem. W końcu ma angielski akcent.

Następnie zwrócił się do Blake’a z kpiącą miną:

– Pozwól sobie powiedzieć jedną rzecz: właścicielka podpisała i – czy ci się to podoba, czy też nie – ziemia stała się naszą własnością. Trzeba będzie się z tym pogodzić, kolego.

Będziesz musiał zastawiać wnyki w innym lesie. Przykro mi.

Teraz z kolei Magnier zrobił krok naprzód. Youpla musiał wyczuć, że atmosfera się zmieniła, i zaczął powarkiwać na intruzów.

Uśmiechając się prowokacyjnie, starszy mężczyzna wskazał zachodnią część parku.

– Korzystaj z tego ośnieżonego krajobrazu, kolego, kiedy bowiem tylko przyjdzie odwilż, przejadą tędy koparki, a za pół roku będziecie mieć tutaj nowych sąsiadów.

– Jesteście z siebie zadowoleni – mruknął Blake. – Ubiliście interes stulecia.

– Nie mamy na co narzekać – odparł drugi, rechocząc.

– Wasza praca polega na oszukiwaniu tych, od których kupujecie ziemię, żeby następnie oszukać tych, którym ją sprzedajecie.

– Nie muszę z tobą na ten temat dyskutować. Otwieraj tę przeklętą bramę!

– Jaki z was pożytek? Komu się przydadacie?

– Nie prowadzę filozoficznych rozważań ze służbą, szczególnie z tą, która nie potrafi pogodzić się z przegraną.

Zanim agenci zdążyli sami sforsować furtkę, Blake wyrwał strzelbę z rąk Magniera i przytknął jej lufę do gardła starszego mężczyzny.

– Oddawaj natychmiast umowę, ty odbycie!

– Andrew, uspokój się! – wtrącił się Magnier. – Broń jest nabita. Poza tym po francusku mówi się raczej „ty dupku”. „Odbyt” to za bardzo techniczna terminologia. W dodatku to ja miałem grać rolę złego gliny.

Agent nieruchomości zamarł. Wytrzymał spojrzenie Blake’a i mruknął:

– Myślisz, że jesteś na Dzikim Zachodzie, nędzny kmiotku? To cię będzie kosztowało cały twój majątek.

Z zaskakującą szybkością Blake odbezpieczył broń i strzelił w kierunku samochodu. Szyby roztrzaskały się w drobny mak, a drzwi pokryły się śladami odprysków. Huk rozszedł się echem po okolicy.

– Myślisz, że zabicie takiej gnidy jak ty to dla mnie problem? Zastanów się dobrze.

Dlaczego ograniczać wolny rynek tylko do tego, co leży w waszym interesie? Ładuję w ciebie kulkę, a następnie kroję zwłoki na małe kawałeczki i daję je do zjedzenia psu. Popatrz na swój wóz, kretynie! Tak będzie wyglądał za chwilę twój szcurzy łeb, jeśli nie dasz mi tego, o co prosiłem.

Blake przeładował strzelbę. Mężczyzna przełknął ślinę.

– Andrew – zaniepokoił się Magnier – jesteś cały czerwony. Nie zabijesz go, prawda? Chociaż właściwie znam miejsce, gdzie można by zakopać ciało. Nawet koparki go nie znajdą.

Młodszy mężczyzna, ogarnięty paniką, puścił się biegiem przez zaśnieżone pole, porzucając towarzysza na pastwę losu.

– Dogadamy się... – spróbował starszy mężczyzna głosem zniekształconym przez lufę strzelby, która wbijała mu się w szczękę.

– Chcesz mnie kupić?

– Ile chcesz?

– Oddaj umowę i możesz zniknąć.

– Miałeś na myśli: „Wykładaj papiery i bierz dupę w troki, żaloszny błaznie” – poprawił go Magnier.

– A jeśli wspomnisz o tym pani Beauvillier, przysięgam, że cię odszukam i każę ci słono za to zapłacić, rozumiano?

Magnier był bardzo podekscytowany:

– Chodzi mu o to, że jeśli piśniesz choćby słówko szefowej, znajdziemy cię i rozetrzemy na miazgę, *capisce*?

Teraz mężczyzna naprawdę zaczął się bać.

– Rzuciło ci się na mózg – powiedział drżącym głosem. – To nie są żadne negocjacje, tylko napad.

– Biorąc pod uwagę, że słowa te padają z ust specjalisty, przyjmuję to za komplement. Dziękuję. Oddaj umowy. W przeciwnym razie twoja głowa zyska otwierany dach, jak sportowy samochód, o którym zapewne marzysz.

Mężczyzna rzucił teczkę w śnieg. Magnier natychmiast ją podniósł i otworzył. Blake z ostrożności przeszukał mężczyznę.

– Pan pozwoli?

Agent podniósł ręce do góry.

– Mam przyrzeczenie sprzedaży – triumfował Magnier. – I umowę cesji. Bingo! Miałeś rację!

Blake opuścił strzelbę.

– Idź i powiedz swojemu odważnemu koledze, że tego rodzaju broń ma tylko dwa naboje. Chociaż on pewnie nie potrafi zliczyć do dwóch. Ty byś zginął, ale on nie.

Kiedy samochód agentów nieruchomości ruszył z piskiem opon, Magnier i Blake pomachali im rękami na do widzenia, jak gdyby żegnali się z przyjaciółmi.

– Chyba się zsikał – skomentował Philippe. – W pewnej chwili naprawdę myślałem, że mu rozwalisz łeb.

– Gdyby mi nie dał tych papierów, odebrałbym je jego zwłokom. Ani słowa o tym wszystkim pani. I pamiętaj – jeśli pojawi się policja, wszystkiemu zaprzeczamy.

Ruszyli w powrotną drogę. Śnieg tłumiał odgłos ich kroków. Wokół panowała cisza, jak gdyby zima trwała spokojnie, nie chcąc przeszkadzać w ostatnich przygotowaniach do świąt. Wkrótce pewnie znowu zaczną padać.

– Philippe?

– Tak.

– Co to znaczy „rzuciło ci się na mózg”?

Odile, Manon, Philippe i Andrew siedzieli w milczeniu na kanapie i przyglądali się migoczącej w ciemnościach choince. Na ich twarzach tańczyły różnokolorowe odbłaski światełek. Fascynowało ich drzewko, ukazujące im wciąż nowe oblicza. W rytm zapalających się lampek pojawiały się bajkowe światy ukryte wśród przyozdobionych gałązek, pobudzając wyobraźnię i przywołując wspomnienia z dzieciństwa. Pod najniższymi gałęziami bawił się mały kociak, usiłując złapać czerwoną bombkę, a jego rodzeństwo szarpało złoty łańcuch po drugiej stronie choinki. Cała ta menażeria urządziła sobie w salonie plac zabaw. Philippe ostrożnie oswobodził się z małych pazurków pręgowanego drapieżnika, któremu za bardzo przypadł do gustu jego ulubiony sweter. Korzystając z chwili wytchnienia, Mefisto zasnęła na kolanach Odile.

– Gdybym spotkała Świętego Mikołaja – szepnęła Manon – poprosiłabym go o pokój dla dzidziusia, o ślub z Justinem i możliwość pracowania tutaj, z wami.

Odile włączyła się do gry.

– Ja bym go poprosiła, żeby odjął mi dziesięć lat i dodał odwagi, chociaż nie sądzę, żeby miał w worze takie prezenty.

– Ja chciałbym zjeść ostatni posiłek z moimi rodzicami – odezwał się Philippe. – Tylko jeden. Zawsze dużo rozmawialiśmy. Mam im tyle do powiedzenia. Chciałbym również spędzić taki wieczór z moimi dziećmi, gdybym je miał.

Blake nie wiedział, co powiedzieć. Było zbyt dużo rzeczy, na których mu zależało, tych jednak w większości nie można kupić albo przepchnąć przez komin.

Do salonu weszła pani Beauvillier. Wciąż przekonana, że znalazła rozwiązanie swoich problemów, była w doskonałym humorze.

– Czemu siedzicie tak po ciemku?

– Rozmawiamy o Bożym Narodzeniu – odparł Philippe.

– Jeszcze tylko dwa dni, pod warunkiem, że będziecie grzeczni. Czy to dziś wieczorem jecie wspólną kolację?

– Zgadza się – odparła Odile, wstając. – Muszę zresztą skończyć ją szykować. Jest pani pewna, że nie chce pani zjeść z nami?

– To miłe, ale miałam ciężki dzień. Wolę się wcześniej położyć.

Wskazała na dwa kotki goniące się po dywanie.

– Wasi mali przyjaciele z rozkoszą zjedzą moją porcję. Jeszcze przed chwilą bawili się pod moimi drzwiami. Co za poruszenie! Życzę wam miłego wieczoru. Dziękuję za wszystko, co wnosicie do tego domu. To również dzięki wam dobrze się tutaj czuję.

Pani już miała wrócić na górę, kiedy Manon wstała z kanapy. Wydała z siebie cichy krzyk i chwyciła się za brzuch. Odile natychmiast do niej podbiegła.

– Co ci jest?

– Nie wiem, coś zabolęło...

Philippe podszedł bliżej z kotkiem uwieszonym rękawa swetra.

– Chcesz, żebyśmy wezwali lekarza?

– To pewnie nic wielkiego – stwierdził Blake.

– Jak to nic wielkiego? – oburzyła się Odile. – Typowo męska ocena. Widać, że nigdy nie był pan w ciąży!

– To prawda! – zgodził się Philippe. – Cięża to coś wielkiego! To cud i tajemnica!

Machał rękami, a kocię uwieszone jego rękawa miauczało z przerażenia.

- Pozwólcie mi dokończyć – ciągnął Blake stanowczym tonem. – Miałem właśnie zaproponować, że zawiozę Manon do szpitala. Nie powinna ryzykować.
- Dlaczego do szpitala? – zdziwiła się Odile.
- Ponieważ w razie jakiegokolwiek problemu będą dysponować odpowiednim sprzętem.
- Co z naszą kolacją? – zapytał Philippe.

Manon udała, że się zatacza, i podniosła rękę do czoła.

- Robi mi się czarno przed oczami, widzę tańczące światełka...
- Nie wchodź do kręgu światła! – zawołał Philippe.

Tym razem kotek nie zdołał wytrzymać gwałtownego ruchu ramienia i spadł na kanapę. Teatralnym gestem Blake objął Manon.

- Ubierzcie ją. Ja idę po samochód. Widziałem już podobne dolegliwości u kobiet w ciąży. Sprawdźmy, czy wszystko jest w porządku. Nie martwcie się. Zaczniecie jeść kolację, dołączymy do was później.

Był sam środek sezonu świątecznego i miasto mieniło się różnymi ozdobami. Ludzie tłoczyli się w sklepach i robili ostatnie zakupy. Blake zaparkował w pobliżu jednej z restauracji w śródmieściu.

– Naprawdę wolisz zjeść tutaj? Nie masz ochoty poczekać, aż wrócimy do domu?

– Jestem za bardzo głodna. Nie będę w stanie wytrzymać dwóch godzin. Jeszcze naprawdę zrobi mi się słabo! Poza tym zobaczy pan, to naprawdę świetna restauracja.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Czy pozwolisz mi przedtem wykonać jeden telefon, skoro już łapię tutaj zasięg?

– Proszę się nie spieszyć, zarezerwuję stolik i pochłonę koszyk pieczywa.

Stanąwszy przed sklepem z wystawą w świątecznych kolorach, Blake wybrał numer. Po drugiej stronie ulicy, za oknem spryskanym sztucznym śniegiem, widział zasiadającą przy stole Manon.

– Dobry wieczór, Richardzie.

– Co za miła niespodzianka! Nie mów mi, że wspiąłeś się na wzgórze z tą twoją sztywną nogą!

– Jestem w mieście, a noga ma się coraz lepiej.

– W mieście? Mowgli wreszcie wychynął z dżungli.

– Mowgli przeprasza, że zawraca głowę Baloo, ale potrzebuje rady.

– Rady? Zamierzasz się do niej zastosować czy postąpić jak z pozostałymi, których ci udzieliłem?

– Niczego nie obiecuję, ale chciałbym znać twoje zdanie. Krótko mówiąc: udało mi się uniemożliwić pani Beauvillier sprzedaż jej ziemi.

– Jakim sposobem?

– Dyskretnie i dyplomatycznie, przy udziale psa, szaleńca i nabojów. Opowiem ci. Problem w tym, że ona liczyła na tę sprzedaż, żeby podreperować finanse, a tu nagle nici z pieniędzy. Mógłbym odkupić od niej tę działkę, ale wtedy musiałbym jej wyznać, kim naprawdę jestem.

– Wahasz się?

– To coś więcej niż wahanie. To ryzyko.

– Popatrzmy na tę sprawę z pragmatycznego punktu widzenia. Jeśli odkupisz jej ziemię, będziecie ze sobą związani. Czy na tym polega problem?

– Niezupełnie.

– Jeśli dobrze rozumiem, boisz się przede wszystkim tego, że będzie ci miała za złe kłamstwo, i nie zaakceptuje mężczyzny, który ukrywa się pod postacią majordoma, zgadza się?

– Wydaje się to takie proste, kiedy ujmujesz to w ten sposób.

– Cokolwiek postanowisz, prawda w końcu i tak wyjdzie na jaw. Nie będziesz w stanie wiecznie kłamać.

– Co zrobię, jeśli będzie na mnie zła? Co ze mną będzie, jeśli mnie zwolni?

– Straciłaby jednocześnie doskonałego majordoma, przyjaciela, który może jej pomóc, i dobrego człowieka. Nathalie nie jest idiotką. Możesz jej zaufać.

– Nie jej się obawiam, tylko siebie.

– Kilka miesięcy temu wszystkiego żałowałaś. Teraz jesteś pełen wątpliwości. To już pewien postęp. Od dawna nie widziałem cię w tak dobrej formie. Zaczynam dostrzegać w tobie

dawnego Andrew. Czuję, że żyjesz, że jesteś gotów do działania. Przyznaję, że pomysł z przyjazdem do Francji nie był jednak taki zły, jak z początku sądziłem. Niełatwo mi to przyznać, stary diable, ale miałeś rację! Słusznie także postępujesz, jadąc do Sary. I odkupując tę ziemię. Chyba masz również rację, otaczając Nathalie opieką. Jest tego warta. Nie masz nic do stracenia, Andrew. Od dziecka w sobie wątpiłeś. Już ja to dobrze wiem. Wreszcie osiągnąłeś wiek, w którym nauczyłeś się sobie ufać.

Blake milczał przez chwilę.

– Dziękuję, Richardzie.

– *You're welcome*, stary druhu.

Zajmując miejsce naprzeciw Manon, Blake stwierdził, że w koszyku został tylko jeden kawałek chleba.

– Tak długo mnie nie było czy byłaś aż tak głodna?

– Gdyby to nie była piętka, także bym ją zjadła.

Pośrodku stołu stała zapalona świeczka. Wokół nich siedziały same pary i grupy przyjaciół.

– Dziwnie tak znaleźć się tutaj we dwoje – stwierdziła dziewczyna. – Trochę odstajemy od reszty. Cieszę się jednak. Pojawił się pan tutaj zaledwie kilka miesięcy temu, a mam wrażenie, że znam pana od zawsze.

Kelner podszedł, żeby przyjąć zamówienie. Dwie pizze.

– Odiłe by się wściekła, gdyby nas tutaj zobaczyła – zauważył Blake.

– Mam nadzieję, że jej spotkanie z Magnierem przebiega pomyślnie.

– To się okaże, kiedy wrócimy. Byleby tylko któreś z nich nie leżało zemdlone pośród kotów bawiących się nieruchomym ciałem.

– Już widzę Philippe'a w charakterze ofiary.

– Także stawiałbym na niego.

Kiedy podano pizze, Andrew oświadczył:

– Mam ci coś ważnego do powiedzenia, Manon. To dla mnie dość trudne. Po raz kolejny będzie mi potrzebna twoja pomoc. Trochę się pogubiłem, ale myślę, że będziesz mogła wskazać mi właściwą drogę.

– Pan miałby mnie potrzebować?

– Chodzi o moją córkę. Przepraszam, że zadam ci to pytanie tak prosto z mostu, ale muszę wiedzieć.

Wziął głęboki oddech.

– Gdyby twój ojciec postanowił odnowić z tobą znajomość, jak byś to sobie wyobrażała? Co chciałabyś od niego usłyszeć?

Manon właśnie nabiła kawałek pizzy na widelec. Zatrzymała go w połowie drogi do ust. Spojrzała na Blake'a z mieszaniną łagodności i smutku.

– Na pewno nie jest pan w tym samym punkcie wyjścia, co ten człowiek – szepnęła. – Ojciec nas porzucił, mnie i matkę. Nie wziął na siebie żadnej odpowiedzialności, niczego nie żałował. Nigdy nie świętował moich urodzin i nigdy się nie dowiadywał, jak mi idzie w szkole. Przyjęłam do wiadomości, że nigdy nie miałam ojca. Pan jest zupełnie innym typem człowieka. Kiedy słyszę, w jaki sposób mówi pan o swojej żonie, kiedy widzę, jak dba pan o innych, nie mam co do tego wątpliwości. Bardzo bym chciała, żeby był pan moim ojcem, ale pańska przyjaźń jest już dla mnie wielkim szczęściem. Co takiego zrobił pan córce, że tak się tym pan zadrecza?

– Porzuciłem ją. Odkąd odeszła jej matka, porzuciłem ją. Nie pamiętam już nawet czasów, kiedy byliśmy ze sobą blisko. Kiedy traci się taką więź? W którym momencie ją

straciłem? Po śmierci Diane Sara zachowywała się bardzo dzielnie. Pozwoliłem jej radzić sobie samej, nie miałem bowiem dość sił, żeby zająć się samym sobą. Nauczyła się żyć, nie licząc na własnego ojca. Chyba traci się więź w chwili, gdy przestaje się być potrzebnym. Na początku dziecko widzi tylko ciebie, nie może żyć bez tego, co mu dajesz. Jego ręce wyciągają się do ciebie, kiedy tylko cię zauważy. W końcu jednak ręce te nie są w stanie objąć całego świata, jaki otwiera się przed nim, dlatego – co logiczne – dziecko wyrusza, żeby go odkrywać. Poszerza swoje horyzonty i się oddala. Zanim człowiek zda sobie z tego sprawę, jest już daleko. W ciągu kilku miesięcy straciłem żonę i córkę. Zorientowałem się, że ona mnie już nie potrzebuje. Nie chodzi o to, żeby cofnąć czas – chciałbym jej powiedzieć, że żałuję. Powiniennem był ją wesprzeć, ale nie potrafiłem znaleźć w sobie na to siły. Chciałbym, żeby zrozumiała, że znów może na mnie liczyć.

– Dla każdego dziecka nadchodzi dzień, w którym czas spędzony z rodzicami nie stanowi już najważniejszej części ich życia. Proszę spojrzeć na moje układy z matką. Wysyłałyśmy sobie esemesy, coraz dłuższe, i to mi wystarcza. Pogodzimy się, ale przestałam zadrećcać się całą tą sytuacją. Zamknęłam pewien rozdział. Pan także opowiadał o tym, jak odszedł z domu. Sara po prostu odcięła pępowinę.

– Ale ja nie! Potrzebuję jej, chcę być jej potrzebny. Uwielbiałem na nią czekać, spotykać się z nią. Szalałem z radości, kiedy mogłem iść po nią do szkoły. Pamiętam jeszcze murek, po którym biegała, trzymając mnie za rękę. Ostatnim razem, kiedy szliśmy tamtędy, ona pomagała mi usiąść. Czas mija, ja zaś dziś nie mam pojęcia, co zrobić, żeby znów się do niej zbliżyć. Pojadę do niej w styczniu, ale kiedy się z nią spotkam na lotnisku, nie będę wiedział, co powiedzieć. Czy powiniennem ją przytulić? Zacząć rozmowę już w samochodzie? Gdybyś wiedziała, Manon... Spędzam całe noce, wyobrażając sobie tę chwilę i ćwicząc możliwe scenariusze przed lustrem.

– Niech się jej pan nie boi. Gdybym była na jej miejscu, chciałabym, żeby pan po prostu wrócił, niczego nie wyjaśniając, i zajął miejsce przy mnie, jak dawniej. Niech życie samo wszystko zaaranżuje. Ktoś mądry mi powiedział, że potrzeba czasu, żeby nauczyć się prosto wyrażać myśli. To będzie ta chwila.

Wczesnym rankiem niewielki samochód z Andrew za kierownicą i Magnierem wczepionym w oparcie pędził drogą.

– Andrew, naprawdę nie czuję tego twojego planu. I błagam, zwolnij! Jest ślisko.

– Są tylko dwie możliwości: przekonać albo przestraszyć. Na idiotów zawsze skuteczniej działa terror. Mniej się zmęczymy i szybciej załatwimy sprawę. Żadnych skomplikowanych sformułowań, trybów przypuszczających. Tylko rozkazujący. Masz kominiarkę?

– Nie mam ochoty skończyć w pudle.

– Zaufaj mi.

– A jeśli nas rozpozna?

– Niemożliwe.

– Tylko dlatego, że mam na sobie twoje ubranie, a ty moje?

– Stres odejmuje połowę zdolności myślenia, w jej wypadku nie pozostanie ich za wiele.

– Wyjaśnisz to sędziemu. Na razie wyglądamy jak klauni: ty masz za małe ubrania, a ja o wiele za duże.

– Wybrałeś już akcent?

– Nie zaczynaj z tym! To niemożliwe, musieli ci coś zrobić w szpitalu. Jesteś owocem nieudanego eksperymentu. Próbując wyleczyć ci pamięć, obudzili utajoną partię twojej kory mózgowej. Twoja głowa stanęła w płomieniach i musieli gasić ogień łopatą. W rezultacie to ja będę musiał wypić to piwo.

– Co za głupie wyrażenie! Dlaczego niby będziesz musiał pić piwo? Już lepiej pozostań przy tym swoim aperitifie, którym można rozpuścić drzwi pancerne.

– Andrew, boję się.

– Wierzysz w Boga?

– Niezupełnie.

– Szkoda, wcisnąłbym ci tekst, że on nad nami czuwa. Zawsze możesz sobie powtarzać, że działamy w słusznej sprawie.

– Dziś rano musiałem okłamać Odile. Źle mi z tym.

– Widziałem, że w naprawę twojego swetra wkładała dużo s...

– Starania, tak – przerwał mu Philippe. – Niczego więcej. Wszystko przez te kociaki.

Podczas naszej kolacji nie dawały nam ani chwili spokoju. Ciągle wskakiwały na stół, łapały, co tylko się dało, ciągnęły za mój sweter albo spadały z lodówki. W każdym razie nieźle się pośmiałyśmy. Są naprawdę urocze.

– „Waszej” kolacji?

– Dalej, kpj sobie.

– Nie rzuciłeś w nią solniczką?

– Rozmawialiśmy o wielu sprawach. Było super.

– Cieszę się. Wiesz, Odile często mi o tobie wspomina. Uważa, że jesteś zaskakującym człowiekiem, że masz wiele zalet i dużą wiedzę. Powiedziała nawet, że masz w sobie to ziarno szaleństwa, co jej się bardzo podoba.

– Naprawdę?

– Jesteśmy już prawie na miejscu, szykuj się.

Philippe zeskoczył po drugiej stronie ogrodzenia i pomógł przedostać się Andrew.

– Jesteś pewien, że jest sama?

– Przysłuchując się jej opowieściom, zdobyłem kilka informacji.

Przekradli się między zaśnieżonymi krzewami i obeszlą dookoła przytulny dom. Kiedy ich oczom ukazała się weranda, Blake dał znak współnikowi, żeby się zatrzymali.

– Załóż rękawiczki i kominiarkę.

– Dlaczego ja mam mieć tę zieloną? Będę w niej wyglądał jak żywy trup. Chciałbym taką samą, jaką ty masz.

Blake wyrwał mu czapkę z rąk i podał swoją, czarną. Zadowolony Magnier ją założył.

– Znacznie lepiej wygląda, prawie jak strój komandosa.

Andrew zasłonił twarz i poprawił okulary w wycięciach na oczy. Magnier przyjrzał mu się uważnie.

– Tak jak mówiłem. Wyglądasz jak zdechła ryba.

Nagle spowaźniał i dodał:

– Andrew, możemy jeszcze wszystko odwołać.

– Od tej chwili mów mi Helmut.

– Litości.

– A ty, jak się nazywasz?

Przybity zarządca odpowiedział wreszcie zmęczonym głosem:

– Jestem Luigi.

– *Guten Tag*, Luigi!

– Boże.

– Przecież w niego nie wierzysz. Dlaczego miałby ci przyjść z pomocą?

Blake puścił się biegiem przez otwartą przestrzeń w stronę drzwi werandy. Podniósł doniczkę i wyjął spod niej zapasowy klucz. Otworzył drzwi i wślizgnął się do domu. Magnier deptał mu po piętach. Przechodzili z jednego pomieszczenia do drugiego, niczym żołnierze służb specjalnych. Kuchnia, patio, biblioteka i hol wejściowy były puste.

– Drapie mnie ta twoja kominiarka – jęczał Philippe. – Może właśnie oblażą mnie wszy.

Kiedy zbliżali się do jadalni, Andrew usłyszał odgłosy dochodzące z piętra. Wskazał schody. Skradali się krok po kroku, na palcach. Nagle Blake wyciągnął z kieszeni swojego płaszcza – a raczej z płaszcza Philippe’a – plastikowy pistolet pożyczony od Yanisa. Magnier zaprotestował szeptem:

– Nie! Nie podetkniesz jej tego pod nos?

– *Nicht* komentować! *Verboten* komentarz! Luigi ufać.

– Nie mogę się doczekać, aż będziesz tłumaczyć się glinom w tym swoim ściemnionym esperanto.

Z głębi korytarza usłyszeli odgłos zasuwanej szuflady – w pokoju albo w łazience.

– Jeśli jest goła, uprzedzam, będę rzygał.

Mężczyźni posuwali się korytarzem wzdłuż ściany. Nie było wątpliwości, że pani Berliner znajdowała się w sąsiednim pomieszczeniu, do którego drzwi były otwarte. Blake odliczył na palcach do trzech, po czym jednym susem znalazł się w otworze drzwi, trzymając przed sobą broń. Nie robił tego od szóstych urodzin, kiedy straszył matkę w stroju superbohatera. Pani Berliner kończyła się ubierać. Na widok postaci wyłaniającej się znikąd wrzasnęła.

– Ti, nie krzyczeć! To napad! Jeżeli gszeczna, ti *kein problem*.

Kobieta, na wpół żywa z przerażenia, nie wierzyła własnym oczom.

– Biszuteria! *Schnell!*

Skulona i przestraszona pani Berliner odparła:

– Nie rozumieć. Co pan mówić?

– Chcemi biszuterię! Szybko albo *gross problem!*

Luigi rzucał pełne niedowierzania spojrzenia Helmutowi. Jak mogło do tego dojść? Pani Berliner wskazała na szkatułkę na toaletce. Blake podał broń Magnierowi i kazał trzymać kobietę na muszce.

Philippe się opierał:

– No zabieraj pistolet, Luigi cykoro...

Wobec nalegającego spojrzenia współnika wykonał jednak polecenie. Blake wysypał zawartość szkatułki – wyrywając z ust pani Berliner kolejny krzyk. Nie znalazł jednak tego, czego szukał. Odwrócił się do niej i wyciągnął palec w oskarżycielskim geście:

– Ti kłamać! Inna biszuteria! Gdzie być? *Schnell!*

Magnier uznał za stosowne dodać:

– *Pronto* migiemisimo!

Kompletnie spanikowana, pani Berliner wskazała na komodę.

– *Primo* szuflada. Wy obiecać, że nie zrobić mi krzywdy.

Blake zajrzał do małego atlasowego woreczka, w którym znajdowały się klejnoty sprzedane przez Nathalie. Wysypał je na łóżko i wyłowił dwa pierścionki – w tym jeden ze szmaragdem – trzy bransoletki i wspaniałą naszyjnik. Odebrał kompanowi pistolet i zbliżył się do swojej ofiary.

– Jeśli ti *telefonieren polizei*, my frócić i *gross problem. Verstand?*

– *Si senõr!* – odparła kobieta, drżąc na całym ciele. – Ja nie mówić nic, nada, nib, que pouik. Klnę się na wszystko.

Philippe był gotów odejść. Kominiarka drapała go coraz bardziej, mocno się także pocił. Nagle Blake sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął stamtąd zwitek banknotów, które rzucił na łóżko pani Berliner. Kobieta patrzyła, niczego nie rozumiejąc. Magnier otworzył szeroko oczy.

– Ma que tua robita?

– Luigi zaufać.

– Perque banknotte dla stara babetta?

– *Kein* idea.

– Helmut wariatto.

Blake zwrócił się do kobiety:

– Odszkodowanie. Ti o wszystkim zapomnieć. Jeśli mówić, *ich come back und für sich, kolossal* katastrof!

Pani Berliner spoglądała na zmianę na banknoty i na szaleńca podskakującego przed nią, oraz na tego drugiego, mniejszego, który musiał cierpieć na tę samą chorobę psychiczną.

– *Ich* zrozumiano. Nigdy mówić.

Mężczyźni uciekli, nie zachowując żadnej godności. W połowie drogi powrotnej Philippe zażądał, żeby Andrew zatrzymał samochód na środku pustkowia. Wyskoczył z samochodu i zwymiotował do rowu. Blake się zastanawiał dlaczego – w końcu pani Berliner miała na sobie całkiem przyzwoity strój.

Pani Beauvillier wzniosła toast kieliszkiem szampana:

– Proponuję, żebyśmy wypili za zdany egzamin Manon i cudowny wieczór, który spędziliśmy razem.

– Za Manon! – rozległo się wokół stołu.

Zadźwięczały kieliszki. Nikt nie zauważył, że Blake i Magnier tylko udają, że piją, jak zresztą czynili od początku posiłku. Biorąc pod uwagę to, co ich wkrótce czekało, musieli pozostać trzeźwi. Tego wieczoru nastrój w pokoju kredensowym w niczym nie przypominał spotkania wśród kolegów z pracy albo kolacji na koszt pracodawczyni. Panowała ciepła atmosfera. Może dlatego, że był z nimi Justin i że była to Wigilia Bożego Narodzenia, a każda z obecnych osób przyczyniła się do zorganizowania tego wieczoru.

Żeby Odile nie musiała spędzić całego dnia przy kuchni, Andrew wpadł na pomysł, aby każdy przygotował jedno danie. Z początku niechętna oddaniu swojego królestwa w ręce amatorów, kucharka dała się w końcu przekonać – choć oczywiście czuwała nad całością prac. Manon przygotowała wybornego miętusa. Każdy dostał niewielką porcję, ponieważ koty, wykorzystując jej krótką nieobecność, wykradły połowę jeszcze ciepłego dania. Wkładem pani Beauvillier był pasztet z gęsich wątróbek, do którego sama przygotowała grzanki, nieco za bardzo przypieczone. Andrew porwał się na solę w sosie z szampanem, za którym to daniem Mefisto, obzarta miętusem, wprost szalała. Philippe zabrał się zaś za makaroniki – wyjątkowo udane z wyglądu, ale właściwie niejadalne, biorąc pod uwagę ich konsystencję betonu. Wszyscy docenili takt pani Beauvillier, która rzuciła się na nie pierwsza.

– Makaroniki! Doskonały pomysł! Od lat ich nie jadłam.

Po pierwszym kęsie jej entuzjazm znikł, co prawdopodobnie stałoby się również z jej zębami, gdyby nadal starała się gryźć ciasteczka.

– Bardzo interesujące... – oświadczyła spokojnie.

Co bardziej zuchwali zdecydowali się je ssać, licząc, że w końcu zmiękną. Pozostali usiłowali się ich pozbyć na wszelkie możliwe sposoby – upychając po kieszeniach i podrzucając do śmietnika – tłumiąc ataki śmiechu. We wzruszającym geście uznania Odile zmusiła się do zjedzenia jednego całego ciasteczka.

Była już prawie północ, kiedy pani Beauvillier podniosła się z krzesła.

– Proponuję, żebyśmy poszli się położyć. Jutro czeka nas długi dzień. Dziękuję wam wszystkim. To była moja najmiłsza Wigilia od dłuższego czasu.

Nagle przerwała.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Skoro moi przyjaciele Wardowie przyjadą tutaj jutro po południu, może wy również zaprosicie swoich bliskich?

Wszyscy spojrzeli po sobie. Pani Beauvillier ciągnęła:

– Justin, proszę dołączyć do nas również jutro. Może pan nawet zostać na noc, jeśli ma pan ochotę.

– Z przyjemnością, dziękuję – odparł młody człowiek.

Manon jeszcze bardziej cieszyła się z takiego obrotu sprawy. Magnier zauważył:

– Ja, poza psem, nie mam nikogo, kogo mógłbym zaprosić. Wszyscy moi przyjaciele znajdują się już w tym pomieszczeniu.

– A ten mały Yanis, który tak dobrze się uczył? – zapytała pani Beauvillier.

– Spędza święta z matką, bratem i siostrą.

– Niech więc i oni przyjdą. Im nas więcej, tym będzie zabawniej. Porozmawiamy sobie. Odile milczała. Nie miała nikogo, nawet psa. Blake również. Obawiał się kolejnego wieczoru, podczas którego będzie musiał usługiwać Melissie i Richardowi. Dwoje samotników wymieniło spojrzenia, które choć nie mogły niczego zmienić, rozgrzały im serca.

– Czyli jesteśmy umówieni! – stwierdziła pani Beauvillier. – Życzę wszystkim dobrej nocy.

Kiedy kuchnia była już wysprzątana, Odile oparła się o zlewozmywak i westchnęła.

– Martwi się pani jutrzejszym dniem? – zapytał Blake.

– Trzeba będzie nakarmić całe to towarzystwo. Nie wiem nawet, ile osób się zjawi.

– Zastanawiam się, czy nasza chlebodawczyni nie była na lekkim rauszu, kiedy wystosowała to zaproszenie.

– Nieważne, to w końcu dobry pomysł.

– Zechce pani zejść do piwnicy po szampana?

– Może pan na mnie liczyć.

Siedzący w kącie pomieszczenia Philippe bawił się z kociakami. Zmajstrował im zabawkę z korka i ze sznurka do wiązania pieczeni.

– Jeśli to może pomóc, to mam w domu mrozonki. Na pewno mniej smaczne niż pani potrawy, ale zaoszczędzą pracy.

– To miłe, Philippe. Wpadnę jutro i zobaczę, czym pan dysponuje.

Zarządca zapytał nieśmiało:

– Czy zgodzi się pani, żebym zaprosił psa? Byłby smutny, gdyby został sam w Boże Narodzenie.

– Niech pan go weźmie – odparła wzruszona. – Przygotuję mu coś specjalnego.

Gdyby Blake nosił sztuczną szczękę, z pewnością w tej chwili by ją zgubił, tak nisko opadła mu właśnie własna.

W głębi zaśnieżonego parku, w samym środku nocy, Philippe i Andrew czekali. Wokół nich psotliwy wiatr wzbijał w górę wirujące płatki śniegu.

– Czyli umówiłeś się z Odile na randkę przy zamrażarce? Gratulacje, to dobry znak. Wiesz, że w rankingu najlepszych miejsc na zalecanie się o względy kobiety plasuje się ono niemal na równi z gondolami w Wenecji? Wydaje mi się zresztą, że pierwotnie scena na balkonie z *Romea i Julii* rozgrywała się właśnie przy zamrażarce.

– Możesz się ze mnie nabijać, kto jednak robi piękne oczy do pani Beauvillier? I przytakuje każdemu jej słowu, choćby najbardziej bezsensownemu?

– Nathalie zawsze mówi do rzeczy.
– Nathalie? Proszę! Anglia znów chce najechać Francję! Pamiętaj jednak, że jeszcze nigdy się to nie udało! Chociaż muszę przyznać, że pasujecie do siebie.

– Naprawdę tak myślisz?
– Jeśli przestaniesz ze mnie kpić, to odpowiem. W przeciwnym razie...
– Zgoda, obiecuję. Dam ci spokój.
– Naprawdę uważam, że ładnie razem wyglądacie.
– Szkoda.
– Co szkoda?
– Szkoda, że nie mogę więcej się z tobą droczyć na temat Odile, miałem niezły dowcip na temat psa.

Mężczyźni się roześmiali. Magnier wznosił oczy ku jasnemu niebu i przyjrzał się gwiazdom.

– Wiesz, gdzie jest Wielka Niedźwiedzica?
– Na prawo od Małego Pingwina – odparł Blake, który wciąż obserwował posiadłość.
– Małego Pingwina?
– Tego nad Żelazkiem, na lewo od Faszerowanego Kraba.
Śnieżka trafiła Blake'a prosto w głowę.
– To, że pan skończył studia, nie oznacza, że może sobie ze mnie kpić.
Blake poprawił okulary i wskazał niebo:
– Popatrz sam! Tu masz konstelację Lewarka, a tam Batmana.
Druga śnieżka rozprysła się na jego czole.
– Nie wkurzaj mnie, Blake. Mam dość twoich chorych pomysłów. Napadamy na ludzi z bronią, włamujemy się do jakiejś wariatki.

– Swoją drogą, nie mówiłem ci, ale ona tu dzwoniła.
– Co? – zaniepokoił się Magnier.
– Dziś po południu. Byłem wtedy u pani Beauvillier.
– Co za dziwka! Byłem pewien, że nas wyda. Ty i te twoje świetne pomysły! Po co jej dawałeś te pieniądze?

– Przyszliśmy, żeby odebrać biżuterię, nie żeby kraść. Posłuchaj tylko: dzwoniła, żeby uprzedzić panią Beauvillier, że gang Bułgarów grasuje po okolicy i że ona sama o mało nie padła jego ofiarą. Wspominała o swoim bohaterskim zachowaniu, kiedy stanęła twarzą w twarz z olbrzymem o ognistym spojrzeniu i kurduplem, który musiał mieć pcheł, ponieważ drapał się po całym ciele. Powiedziała także, że dzięki swojej brawurze złodzieje niczego jej nie ukradli.

– Ogniste spojrzenie? Bzdura. Poza tym nie mam pcheł. To przez tę twoją cholerną

kominiarkę.

– Komandosi nie drapią się jak trędowaci.

– Kogo wyzywasz od trędowatego? – zapytał Magnier, lepiąc jeszcze większą śniegową kulę.

Blake wskazał posiadłość.

– Spójrz, Manon zgasiła światło!

Philippe zerknął na zegarek.

– Punktualnie. Hakim czeka już na nas w domu. Kiedy pomyślę o nocy, która nas czeka, już czuję ból w ramionach.

– Ktoś w końcu musi udawać Świętego Mikołaja, żeby pozostali mogli w niego wierzyć.

Mężczyźni znikli w ciemnościach nocy. Obaj śpiewali *Jingle Bells* – każdy w swoim języku.

Noc była krótka, ale świt okazał się wspaniały. Pierwsze promienie słońca zmieniły świeży śnieg w biały dywan bez skazy wyszywany lśniącymi diamentami. Niebo pracowało przez większą część nocy, aby stworzyć idealną scenerię dla Bożego Narodzenia.

Andrew wstał wcześniej. Jak zwykle starannie wybrał najelegantszy strój. Czekał teraz na łóżku, aż wybije siódma. Bardzo się bał.

W poszukiwaniu wsparcia zapatrzył się w zdjęcie żony i córki. Ich uśmiechy i twarze dodawały mu otuchy. Wydawało mu się, że słyszy dopingujące słowa Diane, jak w dniu, w którym miał wystąpić z planem modernizacji fabryki – rano przed robotnikami, a po południu w banku. Sara była jeszcze wtedy małą dziewczynką. Kiedy przestępował przez próg niczym żołnierz wyruszający na front, wsunęła mu w dłoń swoją ulubioną figurkę – Smerfa Zgrywusa – obiecując, że ten będzie go chronił.

Andrew poprawił kamizelkę i przesunął dłonią po twarzy, żeby sprawdzić, czy jest dokładnie ogolony. Za dziesięć siódma. Przytulił Jerry'ego, jak gdyby trzymał w objęciach tych, których najbardziej mu brakowało. Wyglądził spodnie i poprawił krawat. Za dwie siódma. Wstał, zapytał Jerry'ego, co ten myśli o jego wyglądzie i, nie otrzymawszy odpowiedzi, stanął po raz ostatni przed lustrem w łazience. Po raz pierwszy nie próbował dopatrywać się tego, co odebrał mu czas, ale poszukał tego, co czas był łaskawy mu zostawić.

Andrew wyszedł z pokoju możliwie jak najciszej. Nie chciał wpaść ani na Manon, ani na Odile. Mimo przywiązania, jakie odczuwał w stosunku do każdej z nich, to, co zamierzał zrobić, dotyczyło tylko jego.

Kiedy stanął przed wejściem do apartamentu pani Beauvillier, w rezydencji panował taki spokój, że było słycać jedynie kocięta bawiące się na dywanie w korytarzu. Stłumionym tupotom i koziolkowaniu towarzyszyło urocze miauczenie. Żeby poczuć się mniej samotnie, Blake pogłaskała Mefista, po czym zapukał do drzwi. Nie doczekał się reakcji. Zdecydował się więc wejść do biura i zastukał bezpośrednio do drzwi sypialni. Czyżby Nathalie nadal spała? To do niej niepodobne. Może znajdowała się w sekretnym pomieszczeniu?

Drzwi się otworzyły. Pani Beauvillier była zaskoczona, że to nie Odile, tylko Andrew, i to na dodatek w tak wytwornym stroju.

– Co się stało, panie Blake?

– Chciałem życzyć pani wesołych świąt.

– To bardzo miłe. Nawzajem.

Poprawiła pasek od szlafroka.

– Po to, żeby złożyć mi życzenia, pojawił się pan tutaj tak wcześnie? To jakiś angielski zwyczaj?

Manon doradziła Blake'owi, żeby mówił wprost. Richard kazał mu rzucić się na głęboką wodę. Nikt mu nie powiedział, że będzie musiał skorzystać z tych dwóch rad jednocześnie.

– Jeśli pani pozwoli, chciałbym jej coś pokazać. Zechce pani pójść ze mną?

– W tej chwili? Nie możemy poczekać, aż będę ubrana? Odile na pewno zaraz przyjdzie.

Perspektywa, że mogą nie być już sami, przeraziła go.

– Wolałbym teraz. Pozwolę sobie nalegać.

Pani Beauvillier się uśmiechnęła.

– Dobrze zatem. Nie chcę pana źle usposabiać. Jeszcze byłby pan skłonny wyrazić swoje zdanie na temat mojego życia zgorzkniałego kleszcza.

Pani Beauvillier i Andrew zeszli po schodach. Idący przodem Blake przemierzył hol, jakby to była katedra w Westminsterze w dniu koronacji. Zatrzymał się przed drzwiami do biblioteki.

– Tajemniczy spacer – szepnęła pani. – W jakim celu mnie pan tutaj prowadzi?

Blake otworzył drzwi. Wnętrze mieniło się blaskiem maleńkich światełek. Regały nadal były zasłonięte płótnami, ale na biurku czekało niewielkie pudełeczko zapakowane w elegancki papier.

Gestem dłoni Andrew zaprosił Nathalie do środka.

– Jest pan doprawdy zaskakującym mężczyzną, panie Blake.

Sięgnął po paczuszkę i wręczył ją jej uroczyście.

– Wesołych świąt.

– Będzie mi pan składał życzenia przez cały dzień? Co to jest? Ja także przygotowałam dla pana mały prezent, ale miałam zamiar wręczyć go panu w południe, przy wszystkich...

Rozplątała wstążkę i rozwinęła ozdobny papier, po czym znieruchomiała, zorientowawszy się, że trzyma w ręku pudełeczko na biżuterię.

– Nie trzeba było. Nie mogę tego przyjąć – stwierdziła zaskoczona i jednocześnie zakłopotana.

– To nie to, co pani sobie wyobraża.

– Pan wie, co sobie wyobrażam?

– Proszę otworzyć.

Pani Beauvillier uniosła wieczko – jej oczom ukazał się pierścionek ze szmaragdem. Zadrzała. Z niedowierzaniem wyjęła go i przyjrzała się z bliska.

– To nie kopia. To ten sam pierścionek. Jakim cudem?

Andrew zachęcił ją, żeby usiadła. Nie spuszczać klejnotu z oczu, Nathalie wykonała polecenie.

– Czy mogę prosić panią o podanie mi ręki?

– Proszę?

– Prosiłem o podanie, nie o rękę.

Pani Beauvillier oblała się rumieńcem. Blake wsunął jej pierścionek na palec.

– Dlaczego ofiarowuje mi pan taki prezent? Jak udało się panu go zdobyć?

Nagle Nathalie zakryła usta dłońmi, tłumiąc okrzyk.

– Gang Rumunów!

– Bułgarów. Trzeba przestać zwać na nich winę za wszystko. Proszę, nie mówmy już o tym. Zwłaszcza że mam dla pani jeszcze jedną niespodziankę.

Blake się cofnął. Stanął w głębi pomieszczenia i rozłożył ramiona.

– Zaczynam się pana bać... – szepnęła kobieta.

Płynnym ruchem Andrew zerwał płótno zakrywające pierwszy regał biblioteki. Tym razem pani Beauvillier nie zdołała pohamować okrzyku zaskoczenia. Półki były zastawione książkami. Jedno po drugim, Blake ściągnął wszystkie prześcieradła z mebli. Cenne woluminy wróciły na swoje miejsce. Pani Beauvillier wstała i zachrypniętym głosem spytała:

– Jak to możliwe? Odkupił je pan wszystkie?

– Jakie to ma znaczenie? Kłamałem, kradłem, ale robiłem to dla pani. Teraz muszę jeszcze o czymś powiedzieć – i jest to zapewne jedna z najtrudniejszych chwil mojego życia.

– Przeraza mnie pan.

– Mam dobrą i złą nowinę.

– Wiem, że lubi pan tę zabawę, ale ja zdecydowanie mniej.

– Którą wiadomość chce pani usłyszeć w pierwszej kolejności?

- Naprawdę musimy przez to przechodzić?
- To mnie uspokaja.
- Proszę więc najpierw o złą.
- Nieruchomości Vandermel nie kupią od pani ziemi. Już nie mogą.
- Jak to? Podpisałam dokumenty, wszystko jest załatwione, a ja potrzebuję tych

pieniędzy!

- Proszę zapytać o dobrą nowinę.
 - Andrew, w co pan pogrywa?
 - Dobra nowina jest taka, że ja mogę odkupić to, co pani chciała sprzedać, po lepszej cenie i z obietnicą – której oni złożyć nie mogli – że posiadłość nie zostanie naruszona.
 - Dlaczego miałby pan to zrobić?
- Blake poczuł zakłopotanie.
- Nie takiego pytania się spodziewałem...
 - A czego się pan spodziewał?
 - Stawiałem na: „Kim pan jest, żeby mieć środki na taką transakcję?”. W każdym razie na takie pytanie byłoby mi łatwiej odpowiedzieć.

Nathalie uśmiechnęła się uprzejmie i, artykułując przesadnie, powtórzyła:

– „Kim pan jest, żeby mieć środki na taką transakcję?”. Przy okazji proszę również wyjaśnić, kim pan jest, żeby robić mi prezent z książek mojego zmarłego męża? I kim pan jest, żeby włamywać się do mojej byłej przyjaciółki?

– Odpowiedź nie jest łatwa. Jest pani gotowa usłyszeć prawdę?

Pani Beauvillier zbliżyła się do Andrew i osobiście łagodnym gestem położyła palec na jego ustach.

– Proszę nic nie mówić.

Skierowała się do wieży i włączyła odtwarzacz. Niespiesznie przejrzała płyty CD. Andrew obserwował ją z zaciekawieniem i fascynacją. Kiedy wreszcie znalazła to, czego szukała, wsunęła płytę do czytnika i ponownie stanęła przy Blake’u.

Już przy pierwszych drżących dźwiękach skrzypiec Andrew rozpoznał najsłynniejszego walca Straussa, *Nad pięknym modrym Dunajem*. Nuty się nasilały, wypełniając przestrzeń i wywołując dreszcz emocji. Pani Beauvillier chwyciła Andrew za rękę i przyciągnęła go do siebie.

- Czy potrafi pan tańczyć walca, panie Blake?
- Jesteśmy jeszcze trochę za młodzi na ten taniec.
- To samo mówili moi rodzice.

Zaczęli płynąć po parkiecie. Kręcąc się w rytm muzyki, Nathalie nie spuszczała go z oczu. Andrew pozwalał jej się prowadzić, onieśmielony, jak na swoim pierwszym studenckim balu.

- Kim pan zatem jest, panie Blake?
 - Nie jestem tym zaginionym piosenkarzem, którego niektórzy zdają się od czasu do czasu widywać. Nie jestem również poszukiwanym terrorystą.
 - Od razu czuję się pewniej.
- Muzyka porywała ich, wywołując coraz silniejsze emocje.
- Panie Blake, mam dla pana dobrą i złą nowinę.
 - Sądziłem, że nie lubi pani tej zabawy.
 - Na każdego musi przyjść pora.
 - A więc poproszę o złą.
 - Nie tylko pan kłamał.

Blake poczuł, że robi mu się słabo, ale nie zgubił kroku.

– Co dokładnie pani wie?

– Proszę zapytać, jaka jest dobra wiadomość.

– Poproszę o dobrą.

– Melissa Ward jest wspaniałą przyjaciółką.

– Co to oznacza?

– Tak jak pan z jej mężem, my również dzielimy pewne sekrety.

– Od jak dawna pani wie?

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw chciałabym zadać panu pewne ważne pytanie, na które musi pan odpowiedzieć.

Zbliżał się finał walca, instrumenty dęte zlewały się ze strunowymi w oszłamiającym *crescendo*. Żeby lepiej było ją słyszeć, Nathalie wspięła się na palce i szepnęła mu do ucha:

– Przeczytałam list, którego nie pozwolił mi pan zniszczyć. Zastanawiam się, w jaki sposób dowiedział się pan o tym aspekcie mojego życia, ale o tym porozmawiamy później. Na razie chyba muszę się z panem zgodzić. Nic nie jest warte tyle, ile pokój. Postanowiłam odpisać Hugonowi... i porozmawiać z jego przyrodnim bratem. Nasza rodzina dość się już nacierpiała.

– Cieszę się, słysząc to. Może pani do niego napisać jeszcze dziś. To byłby dla nich piękny prezent na Boże Narodzenie.

– Czemu nie? Zaczynam już mówić jak pan!

Zgodnym ruchem para przyspieszyła kroku, porwana muzyką.

– Czy wróci pan tutaj po wizycie u córki?

– Wszystko będzie zależało od stanowiska, jakie mi pani zaoferuje.

– Niech pan sobie za wiele nie obiecuje, nie potrafi pan nawet należycie wyprasować gazety.

– Chce pani porozmawiać o swoich grzankach?

O ile pomysł z zaproszeniem Youpli był piękny, o tyle nie był szczególnie dobry. Kiedy pod koniec dnia Philippe przyszedł z nim do Odile, spotkanie młodego golden retrievera z kotami przebiegło dość burzliwie. Mefisto natychmiast potroiła swoją objętość na widok psa, który rozentuzjasmowany kulą sierści, rzucił się na nią, roztrzaskując krzesła. Odile udało się na szczęście zapanować nad nowo przybyłym, podając mu jedzenie. Wbrew wszelkim oczekiwaniom jedno z kociąt zdecydowało się wyruszyć na spotkanie z potworem. Przy pierwszym kontakcie pies zareagował obronnym gestem. Wyczuł jednak, że małe stworzonko o długich wąsach nie bardzo wie, co robi, położył się więc, aby pozwolić mu zbadać się w spokoju. Kotek obwąchał mu pysk, próbował złapać za ruchliwy ogon, a po kilku próbach wspięcia się na psa, obmacaniu go i przyjrzeniu mu się oszołomionymi oczami, w końcu wtulił się w niego, mrucząc.

Stwierdziwszy, że intruz nie pożarł ich brata, pozostałe kocięta czym prędzej do niego dołączyły. Mefisto za to nadal ukrywała się pod stołem, najeżona tak, że przypominała motylek do kurzu. Wzruszeni Odile i Philippe obserwowali, jak ich „dzieci” zaczynają się dogadywać. Oczywiście nie obeszło się bez incydentów, szczególnie kiedy Youpla, wciągnięty w zabawę, zaszczekał. Cztery koty czmychnęły z prędkością błyskawicy, szukając schronienia w najbardziej nieprawdopodobnych zakamarkach, z których pies nie byłby w stanie ich wyciągnąć.

Południowy posiłek odbył się w rodzinnej atmosferze. Odile przyszykowała menu zarazem wyrafinowane i pasujące do okazji: suflet z homarem i krabem oraz kaczkę pieczoną z jabłkami zebranych w sadzie należącym do posiadłości. Deser miał być podany później, kiedy pojawią się goście.

Po raz pierwszy wokół stołu nie zebrali się odrębni ludzie, mniej lub bardziej zagubieni w swoich egzystencjach, ale pojawiły się tutaj trzy przyszłe relacje. Trzy pokolenia, sześć nadziei, wiele różnych życiowych ścieżek, teraz złączonych w jedno życie. Andrew, Odile i Manon byli najbardziej świadomi drogi, jaką pokonali w ciągu ostatnich miesięcy. Wśród rozmów, wybuchów śmiechu i zwierzeń wymieniali znaczące spojrzenia. To, co łączy lub niszczy daną relację, rozgrywa się również za pośrednictwem błahostek.

Raz po raz przebiegał Youpla w pościgu za swoimi nowymi towarzyszami zabaw. Dostał już swój świąteczny prezent: zabawki, które wydają śmieszne odgłosy, kiedy przyciśnie się je nosem, które turlają się same i wracają do właściciela. Od czasu do czasu, w przypływie zaślinionej czułości, pies unieruchamiał maluchy między swoimi łapami i lizał ich zmierzwiłone futerko.

Pod wieczór pierwsi pojawili się Yanis, Hakim, ich siostra i matka, która przygotowała ciasteczka z migdałami i miodem. Będąc pod wrażeniem rezydencji, pomyliła panią Beauvillier i Odile, sądziła także, że Manon jest córką Philippe’a. Yanis pobiegł bawić się z psem i kociętami, a Hakim szybko pogrążył się w rozmowie na temat hydrauliki z panią Beauvillier. Matka podeszła do Blake’a.

– Cieszę się, widząc pana w formie. Ostatnio widziałam pana nieprzytomnego na szpitalnym łóżku.

– Pielęgniarki wspomniały, że pani przyszła. Dziękuję.

– Yanis nie dał mi wyboru. Cały czas opowiadał o panu i o panu Magnierze. Opisał wieczór Halloween, pana pomysły na to, jak go zmusić do nauki matematyki. Dzięki panom chyba poradzi sobie w szkole. Chciałabym sama mu pomóc, ale...

- Najważniejsze, że robi postępy. To dobry chłopak.
- Dziękuję także za prezent, który odkryłam dziś rano. Czuję się zakłopotana. Powinien pan widzieć Yanisa! Nie mógł wysiedzieć w miejscu. Bardziej zależało mu na tym, żeby rozpakować mój prezent, niż własne. Chciałabym panu zwrócić pieniądze.
- Nie ma mowy, droga pani! Podziękowania nie należą się zresztą ani mnie, ani Philippe'owi, ale pani synowi. Zapracował na to. Tej nocy to on był Świętym Mikołajem...
- Wie pan, mój ojciec mawiał, że są ludzie, którzy pojawiają się w naszym życiu niczym promienie światła, inni zaś są jak chmury. Dla naszej rodziny pan jest słońcem.
- Pani ojciec miał rację, choć myślę, że wszyscy jesteśmy kolejno chmurami i słonecznymi promykami. Czuję się zaszczycony pani słowami i bardzo za nie dziękuję. Niezależnie jednak od tego, czy jestem dla Yanisa przejaśnieniem na niebie, proszę nie zapominać, że tym niebem zawsze będzie dla niego tylko pani.

Wraz z nadejściem wieczoru Nathalie naprawdę zaczęła się niepokoić. Wardowie spóźniali się już ponad godzinę i widząc śnieg, który znów zaczął padać, obawiała się, że będą mieć problem z dotarciem na miejsce. W bibliotece Hakim, Manon i Justin słuchali muzyki. W pomieszczeniu rezonowały rytmy pop, disco i groove. Młodzi ludzie rozkoszowali się przebojami artystów, które wszyscy znali doskonale mimo różnicy pokoleń. W korytarzu na pierwszym piętrze Philippe, Yanis i jego siostra wybuchali co chwilę śmiechem, bawiąc się z menażerią. Można się było zresztą zastanawiać, kto sobie z kim pogrywał, biorąc pod uwagę psoty, jakie koty wyrządzały ludziom. W kuchni matka Yanisa i Odile rozmawiały. Mimo różnicy kulturowej miały tę samą koncepcję gotowania, dostrzegając w nim aspekt społeczny i uczuciowy, dalece wykraczający poza wartość smakową i odżywczą przepisów. Przekazywały sobie nawzajem różne sprawdzone sztuczki. Dom tętnił życiem. Gdyby przybysze z obcej planety zjawili się nagle na Ziemi w celu zbadania naszego gatunku, rezydencja okazałaby się idealnym miejscem do zaprezentowania im, jacy potrafimy być: głodni – zarówno jedzenia, jak i uczuć, lubiący się bawić, czasami niemądrzy, ale odnajdujący prawdziwe wartości we wspólnocie. Nawet obcy sobie ludzie potrafią się zjednoczyć, co czyni ich wspańiałymi.

Kiedy światła reflektorów rozjaśniły salon, Nathalie odetchnęła z ulgą. Blake zerwał się z kanapy jeszcze szybciej niż ona.

– Pozwoli pani, że pójde otworzyć?

– Nie musi pan już udawać majordoma.

– Tylko my dwoje o tym wiemy.

Z profesjonalnym wyczuciem czasu Blake zszedł po schodach dokładnie w chwili, gdy berlinka o przyciemnianych szybach się zatrzymała. Eleganckim gestem otworzył drzwi Melissie.

– Dobry wieczór, Andrew. Wesołych świąt!

Nie wiedząc, czy może go pocałować w policzek, czy nie, rozejrzała się w celu sprawdzenia, czy nie są obserwowani. Blake trzymał się na dystans, zachowała się więc jak gość.

– Porozmawiaj jak najszybciej z Nathalie – szepnęła. – Ta sytuacja zaczyna się robić nie do zniesienia.

– Pracuję nad tym.

Ward wysiadł z samochodu.

– Dobry wieczór, stary druhu! – rzucił jowialnie. – Mamy prezenty w bagażniku, liczę, że je pan wypakuje, niczego nie tłukąc.

Blake z całych sił cisnął w niego wielką śnieżką, którą trzymał do tej pory ukrytą za plecami. Pocisk rozprysnął się na drogim garniturze Richarda.

– Ty łobuzie! – zaprotestował gość.

– Daj mi spokój z tymi twoimi bagażami, kapitalistyczny wyzyskiwaczu! Tego się nie spodziewałeś, prawda?

Melissa wybuchła śmiechem i objęła Andrew.

– A więc rozmawiałeś z nią! Jak to się odbyło?

– Abstrahując od tego, że zachowałem się jak nastolatek, który nie zna się na kobietach, możemy uznać, że się udało.

– To doskonała wiadomość.

Tylne drzwi samochodu się otworzyły i zaskoczony Blake zobaczył wysiadającego

mężczyznę. Dopiero po chwili rozpoznał w nim Davida, męża swojej córki, którego przecież ani trochę nie spodziewał się tutaj spotkać. Kiedy uzmysławiał sobie, co to oznacza, otworzyły się także drugie drzwi i pojawiło się w nich oblicze Sary. Ward zachichotał.

– A ty się tego spodziewałeś?

Blake poczuł, że drży na całym ciele, ale nie z zimna. Opatulona w długi płaszcz w kolorze śliwkowym, Sara odznaczała się elegancją swojej matki. Stała przed nim.

– Pomyślałam, że miałbyś ochotę nas zobaczyć...

Andrew zrobił krok naprzód. Sara zachowała z czasów dzieciństwa ten rozkoszny zwyczaj zagryzania wargi. Po raz pierwszy od bardzo dawna Blake przytulił coś innego niż pluszową zabawkę albo psa. Trwał przez chwilę w tej pozycji, a następnie ujął Davida za ramię i również przyciągnął go do siebie.

Pozostali stali w drzwiach, niektórzy niczego nie rozumiejąc, inni zaś w pełni świadomi znaczenia rozgrywającej się przed nimi sceny.

– Czy on zawsze wita się w ten sposób ze wszystkimi gośćmi? – zapytał Justin. – To jednak dość specyficzny zwyczaj.

Blake marzył o tej chwili od wielu tygodni. Czekał na nią z nadzieją. Całymi nocami wyobrażał ją sobie, dobierając odpowiednie słowa na powitanie.

– Zostaniesz na dłużej? – zapytał.

Nigdy nie zamierzał o to pytać. Teraz jednak, kiedy trzymał ją w ramionach, nie chciał, aby znów się oddaliła.

– Prawdę mówiąc, postanowiliśmy z Davidem wrócić do Europy. Zbyt wielu rzeczy nam brakuje. Wahamy się jeszcze co do kraju, ale mamy wybór. Uskoków tektonicznych nam nie zabraknie.

Na podeście pojawił się Philippe.

– Czy ktoś może nam pomóc? Jedno z kociąt utknęło za kredensem na piętrze. Nie wygląda to dobrze.

Wieczór rozpoczął się więc od przedstawiania mebli. Mężczyźni podwinęli rękawy i unieśli olbrzymią szafę, gdy tymczasem kobiety pocieszały koty, psa i siostrzyczkę Yanisa, która bała się, że „kicia” umrze. Kiedy Odile udało się wreszcie wyciągnąć zwierzątko z pułapki, w rezydencji rozległ się radosny okrzyk, wywołując tym samym panikę wszystkich zwierząt, które czmychnęły w podskokach.

Dopiero w drugiej kolejności dokonano prezentacji. Manon spontanicznie pocałowała Sarę w policzek. Bardzo szybko wciągnęła je rozmowa na temat ciąży, co nie umknęło Blake'owi. Justin testował swój angielski z Davidem. Melissa i Nathalie dyskutowały szeptem w swoim kąciku i się podśmiewały. Tego wieczoru każdy miał coś powiedzenia. Niezależnie od miejsca, w którym się akurat znajdował, Andrew wodził oczami za Sarą. Jej obecność była bez wątpienia najpiękniejszym prezentem, jaki kiedykolwiek otrzymał.

Gdy wreszcie wszyscy zgromadzili się wokół choinki, Ward zaczął przywoływać z pamięci niektóre z głupstw, jakie wyprawiali z Andrew w młodości. Nawet Melissa i Sara nie miały o większości z nich pojęcia. Opis Blake'a stojącego w slipach pośrodku holu komisariatu policji w Bromley z przyczepioną do szyi karteczką z napisem: *Przybyłem z Plutona, proszę mnie nie dotykać, jestem radioaktywny, chyba że jesteś ślicznotką* odniósł prawdziwy sukces. Idąc za ciosem, Philippe zrelacjonował kilka najgorszych sytuacji, w jakie wpakował go Blake. Zapomniał na szczęście o epizodzie z Helmutem i Luigim.

– Czy także ci groził? – zapytał Ward.

– Niejeden raz! Chciał mi nawet wszczepić implanty piersi.

– Mnie zmusił, żebym przebrał się za dziewczynę i tak poszedł na ślub kolegi.

– Przegrałeś zakład! – bronił się Andrew.
– Jak gdybyś potrzebował pretekstu! – ironizował Magnier. – Zboczeńcu!

A następnie, biorąc wszystkich na świadków, dodał:

– Już pierwszego wieczoru stratował mój szczypiorek!

Z ręką na sercu Ward oświadczył:

– W imieniu Wielkiej Brytanii składam panu najszczerze przeprosiny. Zazwyczaj staramy się trzymać nasze najgorsze okazy na wyspie, temu jednak udało się zbiec.

Pojawienie się deserów pozwoliło na zbawienną zmianę tematu. Andrew wykorzystał chwilę, kiedy wszyscy nakładali sobie na talerze, i zapytał Magniera:

– Nie jesteś na mnie zły?

– Za co?

– Że ukrywałem przed tobą moją tożsamość.

– Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Nie dbam zresztą o twoją przeszłość ani o twój prawdziwy zawód. Możesz być sprzedawczynią ryb, jeśli masz ochotę. Chciałbym tylko, żebyś tutaj został.

– To nie zależy ode mnie.

– Akurat!

Rozmowę przerwało im wołanie „Tato!”. Od jak dawna Andrew nie słyszał tych słów? Odwrócił się do Sary.

– Tak, kochanie?

– Pani Beauvillier proponuje, żebyśmy zostali na noc. Co o tym sądzisz?

Blake ujął dłoń córki i pocałował ją.

– Masz nawet moją zgodę, żeby położyć się późno. Jak będziesz miała wolną chwilę, kiedy już będzie trochę spokojniej, chciałbym ci o czymś powiedzieć.

– Ja także. Wyglądasz o wiele lepiej! Odmłodniałeś! Chciałam ci pomóc, ale ty nie chciałeś. Czemu zawdzięczasz tę zmianę?

– Kłopoty innych i chęć odzyskania siebie.

Od strony kuchni nadeszła Odile, trzymając w ręce patelnię pełną plasterów ananasa smażonych z karmelem i rumem.

– Kto ma ochotę na mój specjał?

Stojący przed nią Magnier zamarł. Pobladł jak duch, a raczej jak duch, który właśnie kogoś... Seria obrazów przemknęła przez jego umysł. Koszmarne wspomnienia powracały do życia. Widział siebie unoszącego się wśród obłoków, otoczonego bielą. I nagle Odile zadaje mu cios w głowę tą samą patelnią.

Philippe uniósł rękę do czoła.

– Mój Boże! To ty mnie powaliłaś w noc Halloween.

Wszystkie rozmowy ucichły. Zakłopotana mina Odile była wystarczającym wyrazem przyznania się do winy.

– Chciałam tylko chronić dzieci... Przepraszam.

– To prawda – wtrącił Blake. – Zupełnie ci odbiło. Zapytaj Yanisa! Trzeba było jakoś zareagować.

Wszyscy z zaciekawieniem oczekiwali na reakcję Philippe'a. Podszedł do kucharki i delikatnie wyjął jej patelnię z rąk.

– Nigdy więcej nie próbuj mnie uderzyć! – powiedział. – W przeciwnym razie, przysięgam, że będę zmuszony poprosić mojego kumpla Helmuta, żeby się na tobie zemścił. Zobaczysz, jego rybia gęba wygląda naprawdę przerażająco.

– Kogo wyzywasz od ryb?

– Kim jest Helmut?

Sara szepnęła do ojca:

– Jak widzę, nie nudzicie się tutaj. Ci Francuzi rzeczywiście są dziwni. Aż się prawie ma ochotę tu zostać...

Tej nocy, choć zabrakło wiary w Świętego Mikołaja, wszyscy wierzyli w życie. Żyli, rozkoszowali się chwilą, jakby miała być tą ostatnią – jakby była pierwszą.

KONIEC

A na zakończenie...

Dziękuję, że towarzyszyliście mi aż do tej strony. Jeśli pozwolicie, chciałbym podzielić się z wami bardzo osobistym wspomnieniem, które – mam nadzieję – okaże się dla was przydatne.

Pewnego środowego popołudnia, dawno temu, odwiedziłem starszą panią, która mieszkała naprzeciw naszego domu. Stłukła wazon. Był mały i, prawdę mówiąc, dość brzydki, ale utrata tego przedmiotu bardzo ją zasmuciła. Usiadła. Odpowiednio dobierając słowa, opowiedziała mi historię skromnego flakonu, który okazał się pierwszym prezentem, jaki kupiła swojej matce za własne pieniądze. Mimo upływu lat wspomnienie radości jej mamy pozostało niezatarte, a błysk w jej spojrzeniu, kiedy mi o tym opowiadała – wyjątkowy. Ta urocza starsza pani nazywała się Alice Coutard-Faucon, ale wszyscy nazywaliśmy ją Nénène. Tego dnia ona i jej mały wazonik na zawsze zmieniły mój sposób postrzegania starszych osób. Alice podarowała mi jeden z kluczy do tego świata – nauczyła mnie, że „starzy” również byli kiedyś dziećmi. Miałem wówczas siedem lat.

Od tamtego dnia w każdym, kogo spotykam, widzę dziecko, jakim kiedyś on był. Wiele spośród tych osób nigdy zresztą o tym nie zapomina i zachowuje w sobie tę cudowną zdolność dziwienia się, wątpienia, uczenia się i zabawy. Ponieważ nigdy nie miały one oporów przed powierzeniem mi swoich historii – i ponieważ ośmieliłem się zadawać im pytania – szybko zdałem sobie sprawę, że wymiana ta przynosi odpowiedzi na kilka z moich niezliczonych pytań, przywracając w zamian moim rozmówcom cenną energię. Dzięki nim zrozumiałem, że życie przypomina przeprowianie się przez wielką rzekę. W młodości stoimy na brzegu i boimy się rzucić w fale. Później spędzamy naszą egzystencję na płynięciu, czasami znoszeni prądem, w stronę drugiego brzegu. Istnieje tylko jedna zasada: nie można się cofnąć. Jedni rzucają nam koła ratunkowe, inni usiłują nas zatopić. Jest także, niestety, wiele pasożytów, które uwieszają się grzbietów innych. Mam czterdzieści sześć lat i jestem gdzieś w połowie drogi. Od dawna nie sięgam już stopami dna. Gdy się odwracam, widzę tych, którzy nadpływają, niektórzy z nich to doskonali pływacy. Widzę również tych przede mną i podziwiam ich odwagę. Czuję wzruszenie na widok wszystkich, którzy walczą z falami: przede mną, za mną lub obok mnie.

Chciałbym zadedykować tę książkę promieniom słońca, które rozjaśniły moje życie i nauczyły mnie mniej się bać siebie samego i świata. Nie wszystkie te osoby były starsze, ale pływały znacznie lepiej ode mnie i są już znacznie dalej.

Za własne pieniądze kupiłem supermocny klej, który potrafiłby przylepić człowieka do sufitu, i sklepiłem dwadzieścia sześć kawałków wazonu Nénène. To jedyna układanka, jaką kiedykolwiek ułożyłem. Zajęło mi to całe popołudnie. Przy okazji się dowiedziałem, że taka substancja potrafi przylepić jeden palec do drugiego, koszulkę do stołu kuchennego, pincetę do ulubionej tacy mojej mamy oraz wnętrze dłoni do moich włosów... Katastrofy te są jednak niczym w porównaniu z tym, co zobaczyłem w spojrzeniu Nénène, kiedy odniosłem jej flakonik – jeszcze brzydszy niż poprzednio. Nadal lży napływają mi do oczu na to wspomnienie. Czuję się związany z tymi, którzy płaczą nad stłuczonymi wazonami, i jestem gotów na wiele, żeby spróbować je skleić. Nic na to nie poradzę. Odpowiedzialność za to ponoszą ci, którzy byli dla mnie przykładem, którzy podzielili się ze mną swoim doświadczeniem. Otworzyli oni bowiem magiczną drogę przez rwący nurt rzeki.

Dziękuję Nénène, mojej babci Charlotte Legardinier, mojej ciotce Marie Camus, Georgette i Charles'owi Juhelom, André Juhelowi, Marguerite Juhel, Fanny i Jacques'owi

Brondelom, Janine i Georges'owi Brissonom, Yvette i Bernardowi Turpinom. Jacqueline i André Gilardi, Gaby i Roger Le Pohro, Mathilde i Gabriel Bouldoire, Géraldine i Pierre Devogel, Germaine i Robert Fresnel, a także Jean-Louis Faucon, Sean, Douglas, Ray i William Gassner – dziękuję, że byliście tak życzliwi i szczerzy wobec mnie. Na szczęście wielu z was jest jeszcze wśród nas.

Moim rodzicom, których słowa rozumiem bardziej z każdym dniem. Tato, Mamo, nawet jeśli nie ma Was już tutaj, żebym mógł przeprosić za wszystko, przez co musieliście przejść z mojego powodu (mam w sobie wiele z Blake'a) – zapewniam Was, że dzieci radośnie mszczą się za Was.

Dziękuję moim bliskim, Brigitte Gaguèche, Sylvie Descombes, Gaëlle i Philippe'owi Leprince, Hélène i Samowi Lanjri, Martine i Stéphane'owi Bussonom, Michèle Fontaine, Rogerowi Balajowi, Dominique i Patrickowi Basuyau, Christine i Steve'owi Crettenandom, Soizic i Stéphane'owi Motillonom, Élisabeth i Michelowi Héonom, Chantal i André Deschamps, Cathy i Christophe'owi Laglbauerom, Marcowi Monmirelowi, Éricowi Lavalowi, Isabelle i Stéphane'owi Tignon, Andrew Williamsowi. Jesteśmy w wodzie po szyję i razem wiosłujemy. Wspólnie z wami zbaczałem z kursu, stawiałem czoło burzom, spotkałem kilka wraków, a także jedną lub dwie piaszczyste plaże. Na szczęście to nie koniec. Wiem, kim jesteście, i wiem, dlaczego Was kocham. Co byście powiedzieli na spotkanie na jakiejś wyspie?

Tobie, Thomasie, za nasze wspólne chwile, za wzajemne zrozumienie, Katii i Waszemu synowi, któremu ciągle wychodzą ząbki – cóż jednak bardziej naturalnego, jeśli ma się matkę, która bezustannie mu śpiewa *Małego rekinka*. Bądź ostrożny, ludzie liczą na Ciebie, ponieważ Cię potrzebują. Ja pierwszy. Tarcze hamulcowe prawdę Ci powiedzą.

Tobie, Éricu. Wciąż z przyjemnością patrzę, jak wybiegasz, zatrzymujesz się gwałtownie i wracasz po coś, czego zapomniałeś. Tylko Super Tancerka® mogłaby Cię ocalić... Fascynuje mnie Twoja zdolność prowadzenia nas do właściwego portu, chociaż trzymasz mapę do góry nogami. Swoją drogą, naprawdę mi przykro, że ludożercy zjedli Twojego stryjecznego prapradziadka.

Annie i Bernardowi – za wszystko, co razem dzielimy, za to, czego uczycie mnie robić, szczególnie zaś nie robić... Bernard, Annie chyba czeka na te diamenty domowej roboty. Pospiesz się i postaraj się nie podpalić pracowni. I proszę, nie mieszaj dzieci w ten nowy eksperyment nuklearny.

Tobie, Guillaume. Właśnie pożegnałem się z Tobą przed twoim wyjazdem do Anglii i już nie mogę się doczekać, kiedy wrócisz. Musisz żyć swoim życiem, ale nie zapominaj, że w razie potrzeby zawsze będę blisko, jak swoisty majordom. Obiecuję, że powiem Koali, Świstakowi i całej bandzie, że wrócisz. Jak Ci się udało być tak uczuciowym, a zarazem tak dobrze celować? Ma się tę rękę...

Tobie, Chloé. Cokolwiek zdecydujesz, cokolwiek zrobisz ze swoim życiem, myśl o naszym spotkaniu pozwala mi przetrwać. Niezależnie od czasu, jaki nam pozostał – a mam nadzieję, że mamy go jeszcze dużo – na pewno spotkamy się „*somewhere only we know*”. Na zawsze pozostaniesz moim małym smoczkiem, a Twoja walka na miecze była wspaniała.

Tobie, Pascale, ponieważ pływanie ramię w ramię przy Tobie jest największym szczęściem, jakie mnie spotkało w życiu. Nawet jeśli Twój kraul jest znacznie lepszy od mojego, absolutnie nie chcę, żebyś dotarła na drugi brzeg przede mną. Razem do samego końca. Jesteś moją tratwą, moją wyspą, moją łodzią ratunkową. Byłaś także kiedyś meduzą i małą foczką. Żadna rzeka nie jest na tyle silna, żeby nas rozdzielić.

Chcę również podziękować tym, którzy pozwalają mi się z nimi dzielić, Céline Thoulouze, Deborah Druba, Theirry'emu Diazowi i jego ekipom, Laurentowi Boudin, François

Laurentowi, Marie-Christine Conchon i wszystkim tym, którzy krzątają się w wydawnictwie Fleuve Noir.

Dziękuję rodzinie Bergeronów za podjęcie mnie we wspaniałym Château de la Rapée.

Na koniec, ponad wszystko, dziękuję Tobie, który trzymasz tę książkę. Czytelnikom i czytelniczkom, ale i niektórym księgarzom pasjonatom, którzy przyczynili się do sukcesu *Czego się nie robi dla mężczyzny*. Wszyscy mnie tworzycie, a ja należę do Was. Obiecuję, że nie będzie to najgłupsza rzecz, jaką zrobiliście w życiu.

Jestem bardzo wdzięczny tym, którzy pisali do mnie często przejmujące listy. Wasze imiona i Wasze historie towarzyszą mi każdego dnia. Jeśli macie ochotę, popłynemy razem jeszcze trochę. Już mówiłem, że to dla Was pracuję i jestem z tego powodu szczęśliwy. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy znów się spotkamy i wymienimy doświadczeniami. Moje życie, jak i ta książka, jest w Waszych rękach.

Z głębi serca dziękuję Wam, że jesteście.

¹ Między psem a wilkiem (przyp. tłum.).

² *Dieu et mon droit* (Bóg i moje prawo) – zwrot używany jako dewiza herbowa monarchii brytyjskiej od czasów króla Henryka V (1413–1422). Do dziś dewiza ta widnieje na herbie Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

